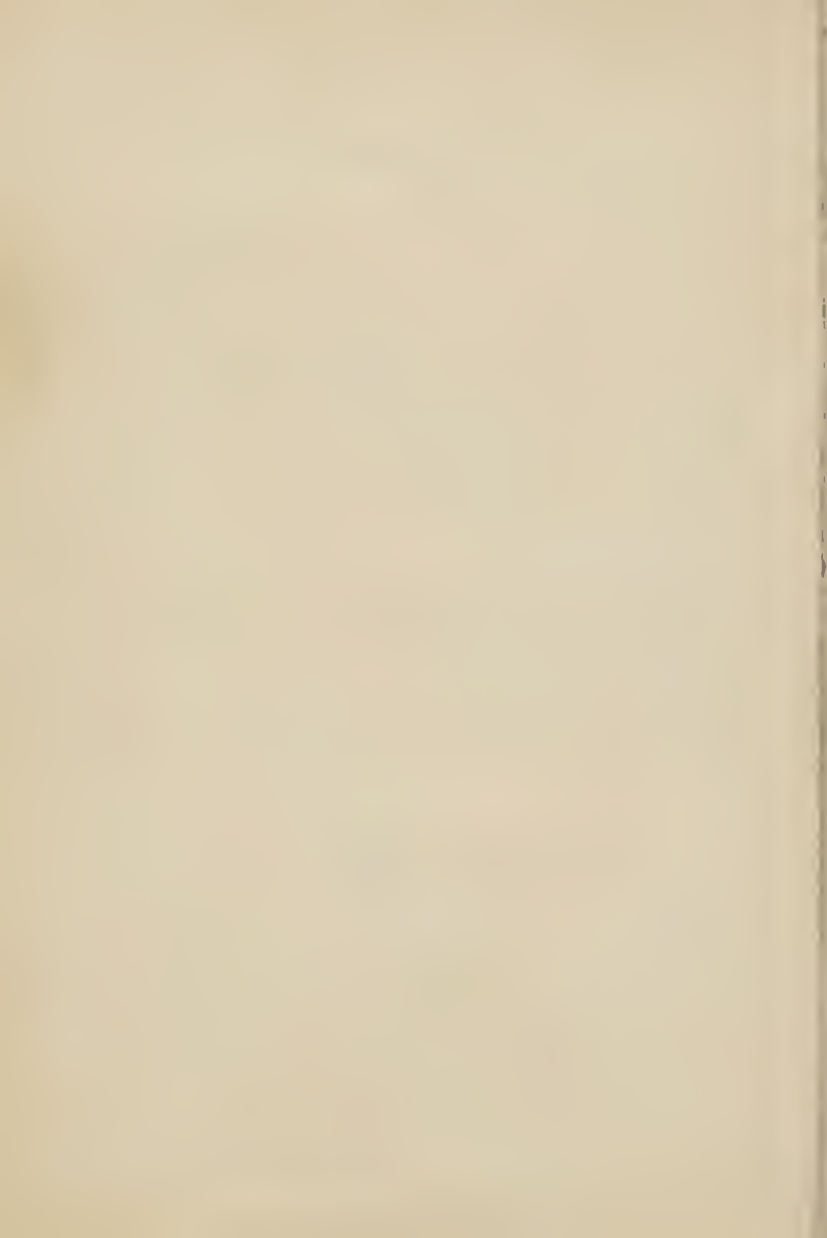




181







WYDANIE JUBILEUSZOWE

J. I. KRASZEWSKIEGO.



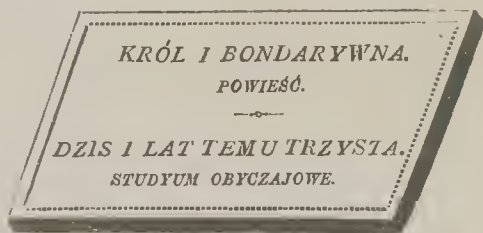
WYDANIE JUBILEUSZOWE.

---

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.

---



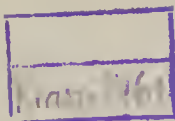
TOM IX.

Wydawnictwo na korzyść Jubilatów.

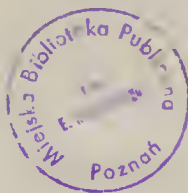
WARSZAWA.  
DRUK JÓZEFA UNGRA,

ulica Nowolipki, Nr. 3.

1879.

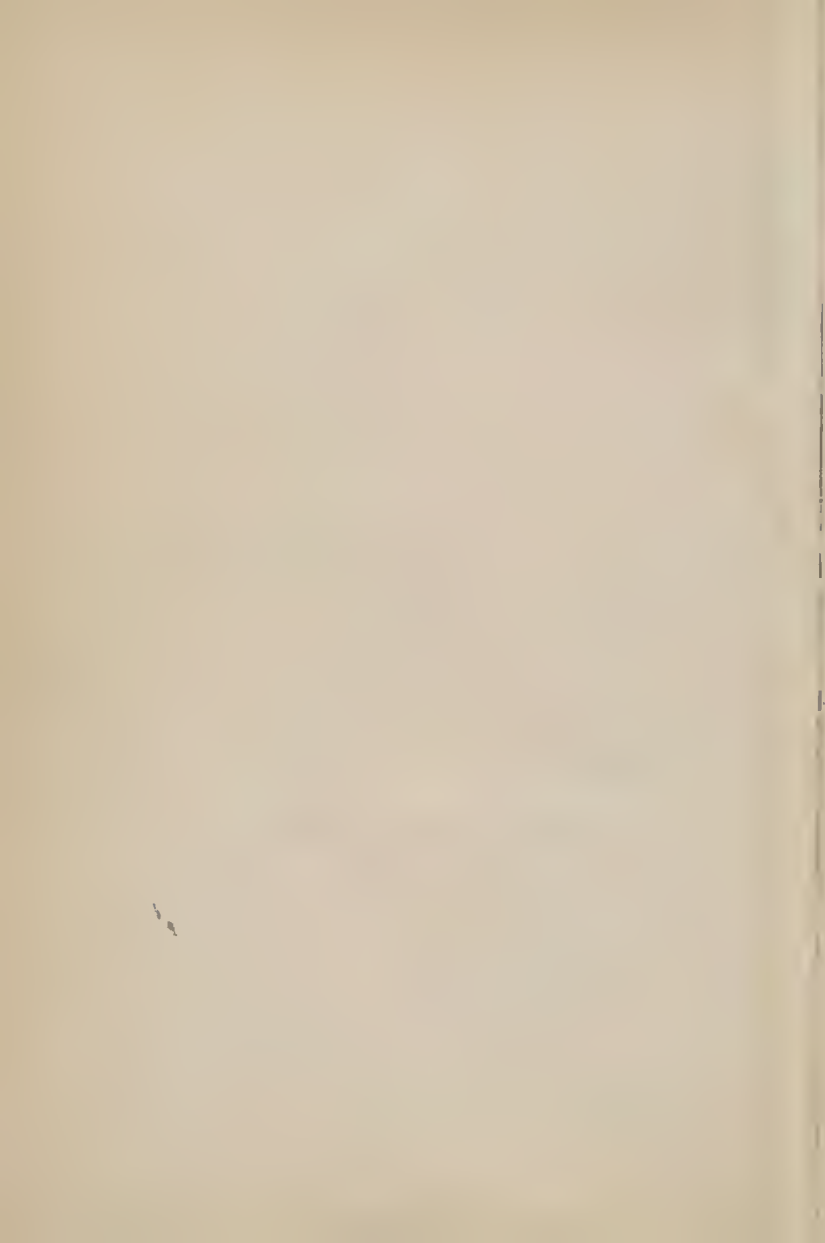


Дозволено Цензурою.  
Варшава, 7 Декабря 1877 г



1936 D 26

# KRÓL I BONDARYWNA.



Przed laty kilkudziesięciu po wielu domach spotkać było można kopie obrazka, wystawiającego młode dziewczę, oparte na ręku i pochylone na poręczu krzesła, w stroju ludowym, nieco fantazyjnym. Rysunek portretu tego umieścił był „Przyjaciel Ludu.“ Zowano tę piękność *Bondarynny*, a starzy ludzie historję jej w ten sposób opowiadali, jak my powtórzymy za nimi. Mamy ją z ust człowieka, który zaręczał za prawdę podania, a podania, nawet zmyślane, więcej częstokroć prawdy w sobie mieszczą, niż najwierzytelniejsze dzieje...

---

Wieczór był późny; w oknie otwartym domu położonego na wzgórzu, z którego widok rozciągał się na blonia, wody dniewproweni zalane, stała piękna pani, jedną ręką opierając się o krawędź, a drugą spuściwszy niedbale. Była zamysłona i zafrasowana; po białej twarzy zec, arystokratycznych rysów, nieco bladéj i zmęczonej, przelatywały drgnięcia jakieś spazmatyczne, na przemian błyski, rozpromieniające ją, i chnuiry. Niekiedy nóżką tupnęła ucieierpliwie, spojrzala na drzwi i westchnęła.

U stóp wzgórza, na którém stało domowstwo, widać było miasteczko, połudowane dziwacznie, ze starymi chatami, z nowemi jakimś, na prędcie wzniesionemi dworkami, ze wspaniałą ruiną starćj cerkwi. Wszystko to ogarniał już mrok wieczorny, tylko na niebiosach świeciła luna zachodnia, a wśród młociny dogorywający pożar, około którego kręciła się gromada ludzi, z najdziwniej i najsprzeczniej połączonych żywiołów złożona.

Widać było wśród niej i Żydów w czarnych żupanach, i wieśniaków w szarych świtach, i wojskowych kawaleryi narodowćj, i dworskie jakieś postaci w sztytch wytwornie frakach i trefionych perukach, jakby do pożaru przybyłe w pierwszćj chwili trwogi wprost z pokojów króla j. m.

Krół bowiem j. m. Stanisław August bawił wówczas w Kaniowie nad Dnieprem. i — jakby na przekór wszystkim wymaganiom etykiety — pożar właśnie wybuchnął, gdy najj. pan nie strachu, ale rozrywki potrzebował. Guiewali się też wszyscy na ten niesforny żywioł, który sobie pod bokiem pańskim z wynudaną swawolą popisywać się pozwalał, a mocnićj nad innych niecierpliwiła się tym wypadkiem siostrzenica króla, pani Mniszechowa, przywiązana do niego mocno i dbała o to, ażeby ubóztwiany wujaszek dohrćj był myśli i humoru.

Guiewała się na ogień, na ludzi, na drewniane spalone kramy, na powohy ratunek, na wiatr, który płomienie rozdmuchał, i na lamenta poszkodowanych, które ucho pańskie nieprzyjemnie drażnić mogły. Znała dobrze króla, który przedewszystkićm potrzebował spokoju i rozrywki, który największeni ofiarui okupić je był gotów, a taki był czuły na



wrażenia, a tak nieszcześliwy, a tak dobry i godzien miłości!

Mówiła to sobie pani Mniszechowa i gniewała się na cały świat boży, na ludzi, żywyli, przeznaczenie, na niewdzięczność tych, co otaczali najlepszego pana, odbierali od niego dobrodziejstwa, a płacić za nie nie umieli lub nie chcieli.

Pożar można było w pierwszej chwili — tak sądziła marszałkowa koronna — zdusić i zarzucić czapkami; muzyką należało zagłuszyć krzyki Żydostwa, ażeby najjaśniejszych uszu nie doszły; okna trzeba było pozastłaniać, aby w nie łna nie bila. Tymczasem król widział pożar, i strapił się nim, i zgryzł, i wyszedł nań patrzeć, więc się mógł zaziębić, bo powietrze wiosenne było zdradliwe, wilgotne i chłodne.

— Ci ludzie! ci ludzie! mruczala pani Mniszechowa, stojąc w oknie: niewdzięczni! a tak dobrego, tak anielskiego mają pana!

Od dwóch czy trzech dni chmury jakieś przeciągały po pańskim obliczu. Król ziewał, był roztargniony. nie go nie bawilo, nawet śpiew i gra marszałkowej, nawet billard z Platerem i Tyszkiewiczem, nawet rozmowa ze starostą miełnickim, który, jak uważała marszałkowa, przestał być dowcipnym.

Coś na to przecież poradzić było potrzeba! Król się nudził! król mógł z nudów zachorować... a wówczas. w co by się obróciły wszystkie rachuby wojewodziny podolskiej i spekulacye pana marszałka, którym szkatulka wuja w pomoc przyjsć miała?

Król się nudził! król się najoczywiściej nudził! Na nudy, same z siebie niebezpieczne dla zdrowia, przypadł przestrach, obudzony pożarem, znecierpliwienie, zaziębienie... wydatek na pogorzelców w chwili, gdy

tyle a tyle potrzeba było pieniędzy na opędzenie kosztów podróży i zakupienie tabakierek kameryzowanych na podarki! Pani Mniszechowa, zadumana smutnie, westchnęła z głębi duszy. Oczy jej z łuny pożarnej spadły na posadzkę pokoiku, w którym zdawała się oczekiwać na kogoś.

Była jeszcze piękna, twarzączkę miała wdzięczną, choć zmęczoną — któż wie! choć siostrzenica, zgodziłaby się była może na rozpędzenie nudów uśmiechem, słówkiem czułym i przymileniem serdecznym... ale do tej miłej twarzączki król był przywykł od jej dzieciństwa; rozkwitła ona i zwiędła pod jego oczyma, a Stanisław August miał (człowiek śmiertelny) jedną wielką, bardzo wielką wadę. W pierwszej chwili i najmniej nawet piękna, byle okraszona młodością, każda twarzączka, czyniła na niego potężne wrażenie; gotów był dla jej uśmiechu poświęcić wszystko, nawet najświętsze węzły potargać — coż po tém, gdy z każdym dniem gasły dla niego jej uroki i wkrótce obojętniał, ostygł, zamarzał, że go i najgorętszych nieznę oznaki odżywić nie mogły! Pani Mniszechowa przypominała sobie pewne chwile złudzeń rozwianych, i westchnęła znów. Tej natury nie zmienić nie mogło; niestety! trzeba jej było ulegać, należało ją zaspakajać. Był tak dobry! serce miał tak czule! sam nie winien był pewnie temu, iż go życie takim uczyniło, — życie, ludzkie, doznane zawody, przeniecierstwa... wiek może!

Pani marszałkowa miewinuiała go... Znękanego pana trzeba było zabawić i rozbudzić. Dziwne myśli chodziły jej po głowie rozmarzonej.

Wielkie panie w atlasach i koronkach, w całym blasku swych umiejętnie pielęgnowanych wdzięków, nie czyniły już na nim wrażenia. Świeża wiejska natura

jedna jeszcze żywić w nim krew poruszyć mogła. Wszakże w Wiśniowcu, Marysia, panienka respektowa, ściągnęła była na trzy dni oczy majestatu i... otrzymała na wyjeździe brylantowe kołczyki.

Pani Mniszechowa ruszyła ramionami.

— Co w niej upatrzył? Doprawdy nie wiem! szepnęła. Ha, młodość! tę niepowrotną, a tak drogą młodość, która tak prędko gaśnie i przechodzi, gdy ją płomień gorącej namiętności owionie!...

Spojrzała na drzwi oczekująca pani, i tupnęła nóżką w zgrabny trzewiczek na korku obutą; potem na własną tę nóżkę, która była prześliczna, a wysmięta naprzód, już nie czyniła wrażenia; potem na białełtne swe rączki, świecące brylantami, wśród których pałał niegdyś od króla otrzymany soliter... wkrótce po ślubie...

Właśnie wśród tych dumań drzwi się powoli otwarły, i w progu stanął całę niepoczesny mężczyzna.

Na pierwszy rzut oka poznać w nim było można podrzędną figurę sługi dworskiego. Człek był już dobrze podżyły, twarz miał nie nieznaezącą, trochę pofalowaną, rysy pospolite i grubo wyciosane, czoło niskie, usta szerokie, nos jakby obrzękły; tylko z oczu szarych i głęboko osadzonych pod nawisłemi brwiami, spryt patrzył i wytrawność. Zimny miał pozór i zobojętniały wyraz twarzy, jak ci, co się o wielkości świata ocierać zwykli, i których już nie nie dziwi, nie nie przestrasza, a niebardzo co ucieszyć może.

Suknia niewytworna, francuzka wprawdzie, njsć mogła i na pokojach najj. pana, ale świeżością ani smakiem nieczyichby nie zwróciła oczu. Z niej sądząc, oskarżyć można było przybywającego o zbytnią oszczędność, trwałą bowiem być musiała i na wszelkie przygody

obrachowaną. Stalowy jej kolor wytrzymać mógł pył i słotę, a guziki z perłowej maciecy zastępowały zwykle naówczas kosztowniejsze cacka, któremi przyozdabiali się eleganci.

Sklonił się we drzwiach wchodzący obojętnie dosyć, kapelusz, który trzymał w ręku, włożył pod pachę, palcami machinalnie ujął łańcuszek od zegarka, wywieszony z kamizelki, i czekał. Dworski nałóg nie dozwalał mu pierwszemu dostojną panię zagadnąć.

Marszałkowa niecierpliwie podstąpiła ku niemu.

— Al jakżeś panie stanowiczy, długo na siebie czekać kazał! zawołała.

— Pani marszałkowa przebaczy! suchym, nieco ochrypłym głosem ozwał się przybyły: musiałem być przy pożarze... tylko co powróciłem.

— Słyszana to rzecz — mówiła żywo pani Mnischowa — żeby teraz właśnie, gdy król tu mieszka, mogły się zapalić kramy! Pan wiesz, jak N. Pan jest wrażliwy.

— Ale pożar do mieszkania J. Królewskiej Mości dojść nie mógł na żaden sposób — odparł stanowiczy.

— Niemniej król się przestraszył, a czule jego serce musiało na tém ucierpieć, ciągnęła pani marszałkowa. Ucierpi i kieszeń, bo król do zbytku jest dobroczynny. Kto wie, jaki to wpływ wywrze na jego zdrowie!...

Ruszyła ramionami.

— Ale któż z nas co temu winien? szepnął Szuszkowski i ramionami ruszył. Ani ja, ani...

— Wszyscy, wszyscy! pan, ja, my... wszyscy, powiadam panu! gorąco odczuwała się pani marszałkowa:

bośmy wszysej dzień i noc czuwać, strzedz, pilnować powinni. Cóż za przyczyna pożaru?

— Któż ja wie! W żydowskie nupiecie padła iskra; może, z pozwoleniem, baba garnek z węglami, nicostrożnie wysypawszy żarzewie, w budzie zanuknęła.

Wyrażenie „z pozwoleniem, baba”, nieprzyjemnie zatętniało w uszach marszałkowej, która się zżymnęła, lecz musiała je „prostą kondycyją” człowiekowi przebaczyć, bo pan Szuszkowski, choć szlachcic, w obliczu marszałkowej był bardzo prostym człowiekiem. Gdyby nie konieczność, ańby się z nim nawet zadać, mówić i zbliżyć raczyła.

Szuszkowski nie miał po francuzku... ale na wierność jego dla króla, na poświęcenie dla niego, na dyskrecyę wreszcie rachować było można; w tym względzie był nieoszacowany i stawał się niezbędnym.

— Pożar ngaszono, szkoda nie tak znown wielka, dodał stanowniczy.

I ręką w powietrzu zamachnął, a oczyma w mroku szukać się zdawał wejrzenia pani Mniszechowej, aby z niego odgadnąć, po co został wezwany? mimo bowiem kłocowatej powierzchowności, Szuszkowski przebiegły był nieczmiernie i łatwo się domyślał wszystkiego.

Milezący, niepozorny, zimny, był to najniebezpieczniejszy dworak i intrygant, choć pod tą skorupą niktby go był o to nie posądził.

Pani marszałkowa nie śpieszyła z zapytaniem nowém, choć Szuszkowski niby nieznacznie, ale z intencją spojrzal na zegarek, który był darem króla Jego Mości.

— Nie śpiesz się, panie stanowniczy! odczywała się

po chwili, odchodząc ku oknu: mamy z sobą do pomówienia o rzeczach ważnych. Wiem, że na was rachować można; wiem, iż do kochanego naszego pana przywiązani jesteście.

— A, to pewno! mruknął Szuszkowski *à parte*.

— Pan widzieć mnisz, jak ja... dodała, powracając od okna znowu, jakby nie wiedziała co z sobą zrobić, marszałkowa:—pan sam to musisz widzieć, że król nasz kochany się nudzi.

Szuszkowski podniósł głowę nieco zdziwiony.

— Ale tak jest, ja go znam od dzieciństwa, ja w jego twarzy czytam jak w książce otwartej: król się nudzi!

— N. Pan się męczy! poprawił Szuszkowski. O, co to, to prawda.

— Właśnie dla tego czemuś go rozerwać koniecznie potrzeba, kończyła pani marszałkowa.

— Toć na rozrywkach nie zbywa, na odwiedzinach też, na ludziach najmniej... Muzyka, gorgi, billard, czytanie i taey mądrzy towarzysze jak imks. biskup Naruszewicz, taey zabawni jak podkancelerzy, taey dowcipni jak pan starosta miechicki...

— Dajże mi waćpan z nimi pokój! Wszyscy aż do Littlepage'a już się królowi przejedli. Król czegoś nowego potrzebuje.

Odkasznęła pani marszałkowa, spojrziała na Szuszkowskiego, którego siwe oczy w mroku błysnęły. Ruszył ramionami. Zbliżyła się do niego bardzo, oglądając się dokoła.

— Pan mnie zrozumieć nie chcesz...

Szuszkowski chwilę mlezał, jakby myśli zbierał i słowa ważył.

— Pani marszałkowa przebaczy... jakoś istotnie

wyrozumieć nie mogę, o co idzie. Boć rozrywki są różne, a na tych, eo je wymyślają, nie brak.

— Waćpan mnie rozumieć bo nie ehcesz! powtórzyła, wedle zwyczaju swego nogani tupiąc, pani Mniszechowa.

Szuszkowski się uśmiechnął.

— E! rzekl — choćym zrozumiał, to nie poradzę. Nie mam co w bawelnę obwijać. Pani marszałkowa mi daruje (powtórzył to już raz trzeci, jakby z nalogu), najj. pan nasz czasem bywa nie do rozbawienia i nie do rozerwania; kto może zgadnąć, czém go poruszysz? Niekiedy dzieciństwo go zajmie, a innego dnia choćby mu... (tu się zakrztusił) — choćby mu z chmur bóstwo zstąpiło, ziewaniem je powita.

— Przecież, panie stanowniezy, zdajesz się odgadywać myśl moją... przerwała pani Mniszechowa. Bóstwo! tak, bóstwa właśnie potrzeba... ale nie z chmur, nie z chmur.

— Tego tu jest dosyć... uśmiechnął się Szuszkowski.

— Wszystko to znane twarze, które nie robią na nin wrażenia, panie stanowniezy. Jego biednego, tego naszego męczennika, bawi tylko nowe, tylko świeże, tylko...

Stanowniezy ręką się po brodzie pogładził.

— Już to pan starosta — szepnął eicho — Esterkę był wyszukał i pokazał, weale nieszpeta, ale gadać nie umiała.

— A cóż to było — bo waćpan wszystko naturalnie najlepiej wiedzieć musisz — z tą pozawezorajszą przejażdżką i odpoczynkiem w jej chacie? po cichu zagadnęła marszałkowa. Cuda prawią.



Szuszkowski, jak gdyby mówić nie chciał, z nogi na nogę parę razy przestąpił i emoknął.

— Mówże mi pan szczerze!

— Nie ma o czem mówić... to daremne zachody, niepotrzebne balamuctwo.

— Ale mówią, że król powrócił w takiem usposobieniu, tak ożywiony, tak promienisty, jak go nie widziano dawno. Śpiewał nawet, chodząc po billardowym pokoju. Siadaj, panie stanowniczy, siadaj! — nagle opaniętawszy się, że go na nogach trzymała, poczęła marszałkowa, i sama zajmwszy miejsce przy oknie, wskazała naprzeciw siedzenie Szuszkowskiemu. — Mów mi pan otwarcie, ja nie mam dzieciomych przesądów. Król dla mnie jest wszystkiem... jemu wolno, co drugim byłoby zdrożniem. Pan mnie rozumiesz. Śmieszniaby się było wzdragać, gdzie należy służyć i pomagać. Dla króla wszystko.

Stanowniczy usiadł na brzeżku krzesła, dobył tabakierki, popatrzał na nią i odetchnął ciężko.

W tej chwili, jakby dla obudzenia ochoty do poufalszych zwierzeń, pani Mniszechowa coś w rękę gościa weisnęła.

Ręka ta niby się chciała cofnąć, potem skureczyła się konwnkcyjnie i weszła do kieszeni, a głowa skłoniła się z dziekczynieniem.

— Ja to wszystko lepiej pono wiem — odczywał się zmienionym nieco, poufłym jakimś głosem stanowniczy — lepiej, niżeli pan starosta mielnicki, który też szpieguje krok każdy. To moje rzemiosło, a król dla mnie jeden człowiek na świecie. Ani żony, ani dzieci, ani żadnej rzeczy, która jego jest, nie mam. Jego kocham i wielbię.



— A któżby go nie kochał i nie uwielbiał! potwierdziła pani marszałkowa.

Westchnęli oboje *unisono*.

— Jakże to było, panie Szuszkowski? zapytała pani Mniszechowa.

— Ja tu tak dalece teraz nie mam co robić, mówił stanowniczy: kwatery wyznaczywszy z rana, cały boży dzień mógłbym drzeć lub ziewać. Ale to już nie w mojej naturze. Człowiek się do ruchu urodził; gdy robić nie ma co, przynajmniej włóczy się a patrzy. Dni temu z pięć, przychodzi do mnie Żużel, furyer stary. Pani marszałkowa może go kiedy widziała, bo był z królem w Wiśniowcu.

— Ale go nie pamiętam.

— Stary, ogromny, siwy, wąs po pas, a nūmo to — ciągnął Szuszkowski — z pozwoleniem pani, tylko za kobietami patrzy. W podróży ledwie na parę godzin staniemy, on już zwietrzył gdzie białe leżko, i pewnie tam siedzi. Otoż przychodzi Żużel do mnie i powiada: „Panie stanowniczy, jeszcze jak żyw tak urodziwego stworzenia nie widział, jak wczoraj.” A ja w śmiech, bo jemu aby co młodego, każda n niego piękna.

Marszałkowa ze spuszczonemi oczyma słuchała, ale tok rozmowy jej nie zrażał. Cel uświecał środki.

— „Daj ty mi pokój ze swemi ukraińskimi pięknościami! rzekłem. Wyglądają wszystkie jak murzynki.” „A o, zobacz-no pan Bondarywnę!” odparł. „Chodzą na nią ludzic patrzeć jak do cudownego obrazu, bo to osobliwość taka piękność w chacie ukraińskiej. Tylko że tam przystęp trudny.”

Roześmiałem się znouu; ale jak mi począł opowiadać a przysięgać, że to warto choć zobaczyć raz w życiu, obudził moją ciekawość. Począłem rozpytywać,

gdzie i jak tego celu szukać, i dowiedziałem się, że na drodze do Spasa stoi chata za miastem, a w niej mieszka bogaty chłop, Ukraińiec, którego Bondarem zowią, choć nie robi beczek, i że tam ta piękność się kryje. Zapowiedział mi tylko Żużel, że tam przystęp trudny, bo kozacza natura bitna i wcale na suknię i państwo żadne względu nie ma.

Dobrałem tedy chwili wolnej, i przypasawszy szablę a kij wzięwszy do ręki, udałem się wedle wskazania na drogę do Spasa. Chatę mi łatwo było znaleźć, ale stała zaparta, nikogo koło niej nie było.

Po budowie i obejściu znać było zamożność gospodarza. Chata świetlana i porządna, obielona i posmarowana, okna w niej spore, obory i stajnie, ogród co się zowie. Ubogiemu szlachcicowi nie wstyd w niej mieszkać, gdyby ganek miała.

Siadłem z dala na murawie, rozmyślając, jak się to tam dostać, bom także Bondarywnę sławną chciałem widzieć; a już mi o niej po Żużla nagadali inni, którzy ją widzieli, gdy do cerkwi przychodziła. Dworscy uasi latali za nią jak szaleni, lecz odchodzili, uapastszy oczy, ze spuszczonej nosami. Ani było przystąpić do chaty. Pomyślałem sobie, że mnie staremu njdzie pono pójść o wodę poprosić. Podeszedłem tedy, próbując drzwi—zaparte. Pukam... aż w oknie się pokazała głowa kobieca w białej chuście i znikła. Pukam znów — przetworzyły się nieco drzwi; stara, z pozwoleniem babi, nos wystawiła i mruczy po rasińsku:

— „А чезого там?”

— „Wody proszę.” — Popatrzyła na moją twarz, na suknię i pnęła drzwi; wszedłem tedy za nią. Sień była bez podłogi, to prawda, ale przestąpiwszy próg do izby, w której nie było nikogo, poznałem, że gospo-

darz bardzo zamożny być musi. W izbie czyściusienko; stół i ławy porządne, umieciono, osmarowano, obrazy zlociste w kącie i lampa przed nimi. Na stole nakrycie białe, chleb i nóż. U drzwi wiadro i czerpak. Wymysłów tam wielkich nie ma, ale czuć dostatek. Baba, co mi drzwi otworzyła, ogromnego wzrostu, dumną postawy, zmierzyła mnie oczyma, w milczeniu wody zaczerpnęła z wiadra i podała. Pić mi się nie chciało, ale musiałem. Poprosiłem tylko o pozwolenie, żeby przysiąść na ławie. Postawiłem kij i nieopodal od okna przycupnąłem, rozpatrując się. Baba naprzeciw mnie stanęła, ręce założyła na piersiach, i słowa nie mówiąc, zdawała się czekać. Pilem powoli, odpoczywając naumyślnie, a nuż się zjawi owa piękność, albo rozmowę zawiązać się uda. Począłem ni to ni owo; ledwie mi odpowiedziała. Jużem był prawie zdesperował, że mi się mój eiekawości dogodzić nie uda, gdy od alkierza drzewiczki popelnione, otworzyły się z trzaskiem, i w progu stanęła dziewczyna, zdziwiona i jakby niepewna, czy iść dalej, czy się wrócić? Podniosłem oczy, i oczom mi się wierzyć nie chciało... pani marszałkowo, dobrodziejko!

Uśmiechnęła się pani Mniszechowa.

— Cóż tedy? spytała.

— Co? choć przed nią klękać! zawołał Szuszkowski. Tajemnica natury, jak się co podobnego w prostej chacie chłopca urodzić i wyrosnąć mogło! Bóg widzi, nie przesadzam, pani marszałkowo, chyba opisać nie potrafię.

— Istne cudo? co? szepnęła niedowierzająco pani Mniszechowa.

— Tak jest, cudo! słowa nie tracąc, mówił Szuszkowski: cudo! Biała jak lilia, smukła jak topola, oczy

czarne jak dwa dyamenty, a rzęsy nad niemi! a brwi jak dwa luki! a usta malinowe! a...

— Wstydzcie się, panie stanowniczy, śmiejąc się przerwała marszałkowa: przecie nie młody jesteś a w Warszawie wiele pięknych widzieć miałeś zrzeczność.

— A, gdzie! Somatys, Bacciarelli, Lullier, jak dawniej było... wszystko to w ką, jak Bóg miły! zapalając się nieco, mówił Szuszkowski. Piękne one, nie przeczę, ale to wszystko powiedle, wątle, a w tej dziewczce, z pozwoleniem, przy tej krasie takie życie, taka siła... aż mi się amazonki przypominały. A, piękna! osłupiałem. Matka widząc to, z politowaniem spojrzała na mnie i usta sobie ręką i fartuchem przysłoniła, aby się z mojego osłupienia nie roześmiać. Boć było z czego. Dziewczę też popatrzało na mnie trochę, a potem nagle fruło do alkierza, śmiejąc się do rozpuku, i drzwi za sobą zatrzęsło. Postawiłem czerpak z wodą i wstałem.

— „Héj! rzekłem do starcy: a toć to chyba przebrana królewna!”

— Nic, to moja rodzona donia, odczwala się kiwając głową. Pan Bóg mi ją dał, a powietrze ukraińskie taką hożą wykarmiło. Na psa urok!”

I pluła czegoś.

— „Można wam powinszować,” rzekłem. „Jakże waszój królewnie imię?”

— „Natalka,” odparła dumnie baba. „Ano ją ludzie Bondarywną tylko nazywają, i na okół na dwadzieścia mil znają to cuda, galąbka mojego kochanego.”

— „Dajcież mi się staremu choć popatrzeć dłużej na nią,” odczwalem się.

Baba rozśmiała się, ramionami ruszając.

— „Idźcie z Bogiem!” rzekła. „Wodyście się napili.

oczy uradowali, na lawce spoczęli, to i dosyć. U mnie córka nie na to, aby ją pokazywała.”

Cheiałem w żart obrócić rzecz i dukatem położonym na stole przekupić starą, ale mi go rzuciła pod nogi rozniewana, i musiałem za drzwi wyjść markotny. Alłści, gdy już je za mną ryglowała, a jam się oglądał jeszcze, okno się otworzyło i Bondarywna w nióm siadła, śmiało patrząc mi w oczy. Śnadź rozmowę z matką słyszała i chciała się przedemną popisać z pięknością.

— Kokietka! mruknęła pani Mniszechowa.

— A któraż kobieta, z przeproszeniem pani marszałkowej, kokietką nie jest? odezwał się głos zniżając Szuszkowski. Moja przygoda na tém się skończyła.

— Czyście wy o Bondarywnie królowi co szepnęli? po cichu spytała marszałkowa.

— Ja?... ani mi się śniło! żywo odparł stanowniczy. Ja w tych sprawach delikatnych (tu zniżył głos) nigdy daremnie kroku nie robię, żebym N. Pana drażnił, nie będąc pewien sukcesu. Z Bondarywną, jestem przekonany, choćby wiedzieli, iż sam N. Pan zaszczyca ją swym affektem, nie ma co poczynać. Król się rozmarzy, z tego wszystkiego nie nie będzie i w zysku utraćcie.

— Ale król tam był, król tam był! Król tam przeszło pół godziny siedział i posłał jej sznur koralu, ja wiem. Któż to zrobił? kto nakartował? Jestem niezmiernie rada, ale niemniej zazdrosna, i chciałabym wiedzieć. Przyznaj się waćpan, panie Szuszkowski.

Stanowniczy krok się cofnął.

— Nie wypieralbym się, gdyby tak było, rzekł. Lecz powtarzam, ja się do tego mieszać nie chcę, bo

ludzi trochę znam i wiem, że z tego wyniknie tylko utrapienie i niepotrzebna gadanina. Darenna rzecz, tu u nas na dworze nie a nie się nie utai. Długie języki... najlepsi przyjaciele króla j. m. zdradzają.

— Cóż to znowu tak strasznego? przebaknęła marszałkowa. Więc choćby i gadano, to cóż? Czyż znękaniemu rządani, panowaniem, dźwigającemu na ramionach cały ciężar losów kraju, nie byłoby wolno się rozerwać? I o kogoż to idzie? O prostą kozaczkę! Toć śmieszne.

Pani Mniszechowa poczęła chodzić po pokoju. Szuszkowski milczał i machinalnie rękawy sukni gładził, wyciągał i poprawiał.

— Więc któż królowi wskazał chatę, powiedział o Bondarywnie? spytała marszałkowa. Jak waćpan sądzisz?

— Nie nie wiem, rzekł Szuszkowski: na uczciwość nie wiem.

— Ale się choć domyślasz?

— Ani to nawet, dodał stanowniczy. Możnaż odgadnąć, kto się N. Pann chciał przypodobać? Od Żużla począwszy do pana starosty... wszystko możliwe, a i traf też...

— Traf być nie może! zawołała pani Mniszechowa.

— To już nie wiem, zakończył Szuszkowski; a tyle tylko rozumiem, iż się ja do téj sprawy mieszać nie będę.

— Dla czego?

— Bo znam ten lud i jego usposobienia; dodał stanowniczy. Król j. m. się rozmarzy, jak to mu, z przeproszeniem pani marszałkowej, nie trudno.

Pani Mniszechowa ramionami ruszyła.

— Nie rozumiem waćpana, rzekła po ciebu. Zbyt

sobie wielką sprawę robisz z prostego dziewczęcia chłopskiego.

Sznszkowski głową pokiwał. Marszałkowa poczęła się niecierpliwie przechadzać po pokoju.

— Proszę was, rzekła, podchodząc ku niemu: wywiedz się bliżej o bytności króla w tej chatce i kto to sprawił. Ja to wiedzieć potrzebuję.

— Dowiedzieć się mogę, odezwał się stanownicz; ale pomać nie będąc, powtarzam jasnej pani. Znam ten lud: buta okrutna.

Rozmowa, w której obie osoby niezupełnie były szczere i wypowiedzieć myśli swe się wahały, była-  
by może pociągnęła się dłużej jeszcze, choć w pokoju ciemno się robić zaczynało, gdyby drzwi się nie otworzyły i paź królewski nie przyszedł oznajmić, że król j. m. wzywa panią marszałkową na pokoje.

Szybko szepnąwszy coś Sznszkowskemu, który się skłonił i odszedł, pani Mniszechowa zadzwoniła na służącą i poprawiwszy fryzurę, w chwili potem siedziała przy klawikordzie, otoczona słuchaczami.

---

Dnia tego, cudem jakimś, nie było gości z Kijowa, nikt nie przyjechał, kresy z Warszawy nie nadeszły, korespondencyj pilnych nie było, muzyka nie trwała długo, czytanie *Tauryki* ks. Naruszewicza nie zdawało się bawić n. pana, i w chwili gdy podano wieszczkę, król się, jak zwykle, usmiechem pożegnawszy swych gości, cofnął do swojego pokoju.

Jeszcze się kolacja nie skończyła, gdy paź szepnął panu staroście mielnickiemu, że król go do siebie prosi.



Starosta, który właśnie wysączał kieliszek węgryna i zdawał się w nim smakować, równie jak w wesołej rozmowie z generałem Komarzewskim, dopił wina szybko, namarszczył się trochę, ale wstał, i otarłszy usta serwetą, powolnym krokiem powlókł się dosyć niechętnie ku królewskiemu pokojowi.

W pierwszym z nich nie znalazł nikogo; w drugim świeciła przysłoniona lampa alabastrowa. Król Stanisław siedział w fotelu, na pół rozebrany, narzuciwszy na siebie niebieski szlafrok jedwabny, podbity leciuchnięm futerkiem.

Starosta wszedł do gabinetu krokiem człowieka, który jest pewien, że zostanie dobrze przyjęty, wyklórując zęby maleńkim sztylcikiem ze słoniowej kości, dobytym właśnie z kaniuzelki.

Pan starosta miechicki był człowiekiem w sile wieku, bardzo pięknej postawy, budowy olbrzymiej niemal, twarzy przystojnej, ale wszystko w nim wydawało hulakę. Chód, wejrzenie, mowa, ruchy, postawa zaniedbana, miały w sobie coś żołniersko-rubaszego. Umiał być dworakiem w potrzebie, choć natura stworzyła go raczej na myśliwego, silacza i wesołego kuma. Nawet przy królu, z którym był na bardzo poufalej stopie, nie umiał się zmusić do przyzwoitego zachowania. Słów nie cedził, przymilać się bardzo nie lubił, chyba do kobiet. Nie obawiał się ani ludzi, ani niedźwiedzi, i z obojgiem szedł chętnie w zapasy. Walka i wesoła biesiada były dla niego najupodobańsze, a w dodatku gra namiętna. Otwarty do zbytku, cyniczny często, starosta miechicki miał wszystkie wady i cnoty charakterów tego rodzaju. Rzucił pieniądze i uczuciami, nie wahał się życia stawić. Po swojemu honor rozumiał, płaszczyć się nie potrafił, lecz nie pojmował opo-



ru w ludziach przeciwko sobie. Był mocno przekonany, że świat dla niego został stworzony, i z naiwnym używał go egoizmem, pewien, że miał prawo do tego.

Król go kochał, był słabym dla niego, a że starosta dość miał energii, ulegał mu, bo się go po trosze obawiał nawet.

Jedno spojrzenie na Stanisława nauczyło przybyłego, że powinien go starać się czémś rozerwać. Król był zmęczony, smutny, roznerwowany.

— Stawię się na rozkazy, rzekł po żołniersku, salutując żartobliwie starosta.

— Siadaj, mój drogi, siadaj, odparł król. Nudno mi było, ty mić może rozerwiesz, a przynajmniej nie dozwolisz, aby mną czarne myśli oswadły.

Starosta siadł wygodnie na kanapie, nogę na nogę założył, rękę jedną do góry podniósł nad głowę, i w takiej postawie słuchał zamyśloni.

— Nie uwierzysz, jak ja jestem nieszczęśliwy! dokończył król i westchnął.

— Ale wierzę, wierzę, bo w. kr. mość wiecerzy nie jadasz i wina nie pijesz, *et sans soupers il n'y a pas de bonheur sur la terre*, rzekł starosta. To do-wiedziona rzecz.

— Balamut z ciebie—ciagnał Stanisław—balamut! Ty nie zestarzejesz nigdy.

— Nicch mnie Bóg od tego strzeże! przerwał starosta.

— Zazdroszczę ci, na prawdę ci zazdroszczę, mówił król dalej. Nie wiesz, co to jest być królem, a jeszcze w takim jak nasz kraju. Gdybyż choć na chwilę można o tych złotych kajdanach zapomnieć i ciężar zrzucić z karku! Ale purpura ściga i mści się, mój starosto. Jest to szata Deianiry.

— Cóż się stało? zapytał starosta. Mnie się zdaje, że w. kr. mość miałbyś prawo właśnie w tej chwili się cieszyć. Wszystko idzie po myśli, nawet nieprzyjaciele przychodzą do opamiętania.

Król ręką rzucił.

— Pozwól mi na chwilę o nich zapomnieć, rzekł. Wszystko to dręczy mnie, wyczerpuje, nazy, a nie nie bawi. Pragnąłbym się czémś odświeżyć.

— N. panie, nie ma na to innego lekarstwa, tylko się zakochać na dni kilka. Ale w kim?

Spojrzał bystro i szydersko.

— Dodam—rzekł—że dla odmiany trzebaby szukać przedmiotu nie w tych sferach, w których wszystko jest znane i oklepane, gdzie się z góry wie, poczynając miłość, którego dnia i jak się ona zakończy.

Król się zarumienił i zmieszkał, popatrzał na starostę.

— Słuchaj! ty niepoczeiwy już o czémś wiesz. Przyznaj się! zawołał żywiój.

— A jakże, n. panie! dosyć obojętnie począł starosta. Wiem, że w ciągu samotnej przechadzki na pańskiej drodze trafiła się chata, żeś w. kr. mość zaszedł do niej spocząć i wody się napić, że ją podala piękna jak Hebe Ukrainka, i że jej obraz ntkwil w pamięci królewskiej.

Uśmiechnął się Stanisław August.

— Czy już o tém plotą? czy już wiedzą? Toby było fatalne! Zaprzecz temu, starosto. To nie ma sensu. Nie chcę, aby o tém mówiono.

— Zabronić i przeszkodzić trudno, ale nie ma co dbać o to, rzekł starosta. Pomiędzy królem a dziewczką ukraińską przestrzeń tak wielka, że nikt w. kr.

mości nawet o fantazyc nie posądzi. Ludzie pogadają i zaprzestaną.

Spojrzał na króla szydersko.

— Widziałeś ją, panie starosto? zapytał ciego Stanisław: to istne cudo, to kwiat téj bujnej ziemi tak osobiwy, tak nadzwyczaj piękny, tak czarujący.

— Jeszczem jój nie widział, aleu ciekawy bardzo, mówił starosta. Domyślam się jednak, że zmdzonemu n. panu świeżość i młodość starczyła za piękność istotną, bo w prostéj dziewczynie zkądby się znowu wziąć miała taka krasa?

Król podniósł się na krzesło i pochylił ku mówiącemu.

— Ale waćpan nie masz pojęcia! zawołał z ogniem. Nie chlopska to piękność, choć silna i bujna. Piękność posagu greckiego. Egzaminowałem okiem znawcy wszystkie kształty. Najszlachetniejsza w świecie krew; nóżka, powiadam ci, maluśka, drobna, rączki przedziwnych kształtów, kibić zachwycająca, popiersie bogini, a co za wyraz w tych oczach!

Starosta śmiać się począł.

— I w dodatku lat piętnaście.

— Mylisz się, dziewiętnasty zaczęła. Pytałem o to, choć nie wygląda na szesnaście. Snadź się tu późno i powoli rozwija to plemię, mówił król z zajęciem wielkiem.

— A głupiutkie to być musi, wtrącił starosta.

— Ani odrobinę nie głupsze niż nasze panie, przerwał Stanisław August. Owszem spryt z oczu jój patrzy, na czole rozum. Nie umie po francuzku, nie czytała Voltaire'a, ale ówby sam starszek fernejski zachwycił się tą perłą ukraińską.

Starosta śmiał się coraz głośniej.

— Prawda, masz słuszość, począł król: sam to czuję, śmiesznym się staję z tém moim uwielbieniem dla piękności, alem się urodził artystą. Nie mogę chłodno patrzeć na arcydzieła Arcymistrza, na twór bożej ręki.

-- Czy ją weźmiemy z sobą do Warszawy? spytał starosta niedbale: boć dla samego Bacciarellegoby się przydała jako model do obrazu, i w mieście prędkoby się nksztaliła. A kto wie, jakieby ją tam szczęście spotkać mogło! Wydaćby ją tylko trzeba za jakiego poezciwego gapia i męża wysłać do Konstantynopola.

— Nie żartuj! rzekł król: lepszego losu jest warta, a zdaje mi się, że żadnego i najświetniejszego nie przyjmie. Chcę, byś ją zobaczył. Pewien jestem twój dyskrecyi, pójdziesz tam ze mną jutro.

— Za ten zaszczyt mocno jestem wdzięczen, odpowiedział starosta. Ale mąż na mnie także niezyni wrążenie! W. kr. mość nie będziesz zazdrosnym?

Król zamilkł chwilę, jakby nie słuchał lub nie słyszał. Zadumał się.

— Ona budzi we mnie zajęcie wcale innego rodzaju, niż sądzisz, rzekł. To fenomen do obserwacyi.

— A, a! śmiał się gość królewski.

Stanisław August wstał z krzesła.

— Nie ma większej niewoli nad kajdany panowania, zawołał jakby sam do siebie. Otoczeni jesteśmy szpiegami, krokn swobodnie uczynić nie można. To okropne, to nudne, to niecznośne!

— Abdykujmy, rzekł starosta.

Melancholicznie król nań spojrzał.

— Dawno się z tą myślą noszę, odparł wzdychając. Wyjechać do Włoch i tam pod tym pięknym klimatem

tem, w ciszy, zajmując się sztuką, uwielbiając arcydziela, dokończyć skolatanego żywota. Toby był raj.

— Którybyś w. kr. mość z panią generalową siostrą swoją, podzielać musiał, szepnął starosta szydersko.

Wspomnienie generalowej zdalo się króla wytrzeźwiać.

— Niewątpliwie, dodał sucho: uczucia i obowiązki, jakie mam dla niej, naruszone być nie mogą.

— A piękna Bondarywna? niedosłyszany, pełnym sarkazmem szeptem wtrącił starosta.

Na to nie było odpowiedzi. Król był zamyślony.

— Co to za szkoda — odezwał się — że pod ręką nie mam nikogo! Chciałbym ją malować kazać. Uczyni mi tę przysługę, nieznacznie postaraj się sprowadzić Pierscha. Maluje właśnie w Wiśniowen kopie z tych ogromnych mazanin, wystawiających historię Maryny. Cesarzowa się o nich od kogoś dowiedziała i mieć je zapragnęła.

Ruszył ramionami.

— Historycznie to coś warto, ale malowanie, pożałuj Boże! dodał król. Piersch mógłby tę robotę na jakie dni kilka porzucić i odmalować mi tę śliczną Ukrainkę. Takich twarzy mało jest na świecie, a wprędce to zwiędnie. Niechby choć na płótnie pamięć po niej została.

— O Pierscha najłatwiej, rzekł Szydłowski. Powiedzieć pani marszałkowej, każe go pod ciupasem dostawić natychmiast, bo nie ma nic do odmówienia w. kr. mości...

Z pewnym przekąsem wyrzekł te wyrazy starosta, król bystro nań spojrzał i przekąsu nie chciał zrozumieć, dodając prędko:

— Kochana marszałkowa w istocie jest najmiłą

z siostrzenie moich, ale niemniej kobietą. Nie wytrzyma, żeby o tém nie powiedziała komu na ucho, a tego ja nie chcę...

Szydłowski się nśmieczał.

— Płerscha dla samych tabakierek z portretami, które w. kr. mość tak hojnie rozdajesz, sprowadzićby należało, więc podejrzenia nie będzie. Zobaczy wypadkiem piękną Ukrainkę, i jako malarz, zdejmie sobie jej kouterfekt na wzór kochanki Pigmaliona...

Zadumany król nie odpowiedział nic... a starosta sądząc, że się rozmowa skończyła, wstał z kanapki; pilno mu było wrócić do kieliszka i rozmowy, ziewnął bez ceremonii.

— Cóż to ci tak pilno? spytał król chłodno.

Starosta usiadł znowu, ale głowę podparł na rękę, jakby był bardzo zmęczony.

Obaj razem westchnęli i spojrzeli sobie w oczy. Poniatowski wzdrygnął się niby od dreszczu—wieczór wiosenny był dość chłodny—i otniając się szlafrokiem, padł na krzesło.

— Okropne życie! począł półgłosem. Panowanie ma chwile mile i upajające, to prawda, ale je drogo opłacać potrzeba. Wierzaj mi, mój drogi, na bok odłożywszy ambicję, ani warto ono tego, co się za nie płaci. Pannujemy, ale niewolnikami jesteśmy; ani dnia ani godziny nie mamy swobodnej. Wymagania, obowiązki, zwyczaje, żelazną ściskają obręczą. Uśmieczać się musimy, gdy się najbardziej chce płakać; całować, gdyśmy nderżyć powinni; a dokola fałsz, obluda, pochlebstwo...

— Stare dzieje, przerwał ziewając znown Szydłowski: nie można, gdy się zechce, pójść *incognito* do pięknej Bondarywny...

Król się rozśmiał, ale jakby z przymusem i dla uznania dowcipu pana starosty...

— Proszę cię jutro ze mną... ale we dwóch *solo basso*, we dwóch tylko, będziesz mi adjutantował, pójdziemy po obiedzie. Nikomu o tém ani słowa... A teraz—dobranoc.

Szydłowski wstał żywo, sklonił się nisko, i daleko śpieszniejszym krokiem podążył do drzwi, niż wprzód od nich do kanapki. Król już dzwonił na starostę piaseczyńskiego.

Szydłowski nie zastał nikogo w pokojach. Wieczera była skończona, trzech tylko opóźnionych graczy, a między nimi podkanclerzy, grało jeszcze w billard i nie nważało, gdy się przesunął, tak swą grą byli zajęci.

Starosta mieszkał z innymi w nowój oficynie, w której miał appartamencieik, jak na Kaniów, bardzo przyprzwoity. Stał obok niego generał Komarzewski. Gdy Szydłowski do swojego wszedł pokoju, zapukał do niego przez ścianę.

Kaszlnięciem mu odpowiedziano. Ściany były drewniane i cienkie, tak, że rozmawiać przez nie wybornie było można.

— Czy do snu, generale?

— Gdzież tam! listy jeszcze do pisania.

— Mam dwa słowa...

— Proszę.

Szydłowski zawrócił się w korytarzu, i otworzywszy drzwi, zajrzał do Komarzewskiego, który nad stołem papierami zarzuconym już siedział. Dwie świece woskowe paliły się na nim i oświecały silnie piękną, myślącą i pogodną twarz generała.

— *Quid novi fert Africa?* śmiejąc się zapytał Komarzewski. Czy co przyszło z Kijowa?



— O niczém nie wiem, odparł starosta; ale mi się was chciał spytać, co to królowi? Zajechała mu w głowę jakaś piękność ukraińska. Proszę cię!

I począł się śmiać serdecznie, trzęsąc ramionami.

— A! a! cóż dziwnego? Jaby mi się już w starąj pomylaczce zakochał z nudów, siedząc tu na tym niepartykularzu, ale istnój pustyni. Król jest rzeczywiście godzien politowania, wiele mu przebaczyć należy, a przysięgam: artysta! artysta! To jego natura. Dobry i rozumny, nasz pan urodził się na malarza lub rzeźbiarza... powołanie chybiło. Wszędzie widzi piękność naprzód, a przez nią dopiero i po niej resztę. Cześć piękna stanowi jego życie.

— A szczególnie cześć piękna niewiasty, dodał Szydłowski.

— Bo kobieta jest na ziemi najwyższém uosobieniem piękności, rzekł generał.

— Na nieszczęście równie go prędko piękność męży, jak zapala.

— Inaczej być nie może, tłumaczył Komarzewski. Odkrywa w niej makulę i — cześć się zmienia w politowanie; a któraż piękność jest doskonałą? Jeśli cielesny wdzięk bez wady i plany, to duszy braknie; gdy dusza promienieje, ciało jej nie odpowiada; wreszcie oboje prędko starzeją, bo się człowiek psuje, i uwielbienie ustać musi.

— Tej teorii musiałeś się od angielskich filozofów nauczyć generale, począł śmiejąc się Szydłowski.

— Po trosze, nie zapieram się tego.

— Ale, nie marnując czasu, któż u kaduka podsta-  
wił tę Bondarywnę?

Komarzewski ostro spojrział, i papiery, które machinalnie przewracał, położył na stole.



— Ja nie wiem, pytajcie o to Ryxa.

— Śmiech mię bierze, szepnął starosta: król jak młodziak się nosi. Począł mi ją opisywać tak, że m ledwie nie parsknął. Stary piec... dyabeł w nim pali.

— A! mój starosto, dajcież mu pokój. Kto z nas bez winy, niech kamieniem rzuci. Czémżeby życie było bez kobiety? Jak można mieć za złe umęczonemu panu, że szuka jakiegós osłody i rozrywki? A wy? a ja? a my wszyscy? czyśmy lepsi?

— Tak, tak, tylko że na nas nie patrzą, a jego to śmiechem okrywa, jeśli nie gorzej, zawołał Szydłowski. Wicie, że ja go kocham; gdyby nie był królem i go-dziło się, powiedziałbym, że m jego przyjacielem. Ży-eieby m za niego dał. W téj chwili, mój generale, gdy tyle oczu patrzy, gdy szpiegów pełno...

Popatrzeni na siebie. Szydłowski się kręcił na pięcie.

— Dobranoc.

I tak rozmowa została przerwana.

W Kaniowie wprawdzie dzień urzędownie kończył się na pokojach około dziesiątej, lecz po odejściu kró-ka, gdy wszyscy byli swobodni, zaczynały się najeczę-sciej odwiedziny po dworzech, oficynach i kwaterach, wieczera, gra, podkurki, rozmowy, schadzki. W tym dniu mniej jeszcze pilno było do snu wszystkim, gdyż pożar w miasteczku obficie zasilal rozmowy. Było oprócz tego wiele do opowiadania z listów, które od-bierano z Kijowa, o tamtejszych przyjęciach, fetach, darach i rozmaitych odznaczeniach, z których jedni się cieszyli niepomieranie, drudzy gryzli niemi bez miary.

W mieszkaniu pani marszałkowej świeciło się szcze-gólniej długo w oknach, wchodziły i wychodziły ztam-tąd różne postaci, a piękna pani, mimo zmęczenia umysłu i oczu, siadła jeszcze list pisać do matki, która z ks.

Renaud'em i całym swym dworem odbywała naówczas pielgrzymkę do źródeł Vanchazy, i część oddawała ciciom Petrarki i Lanry. Był to wiek, który Heloizę i Abeillarda, Lanrę i Petrarke, wszystkich wiernych kochanków, nadzwyczajném uwielbieniem czeił i sławił dla tego może, iż sam wiernym zadużem uczciw być nie miał, i zuieniał affekta swe, jak suknie dworskie, codzień prawie.

W listach swoich do matki, pani marszałkowa opisywała intryżki kaniowskie, a matka odplacała się jej wrażeniami podróży. W jednych i drugich pełno było czulości dla króla, którego kosztem i wojewodzina podolska leczyła się powietrzem południowej Francyi, i pani Mniszechowa stroiła się w Kaniowie.

List był już do połowy napisany, gdy drzwi się otworzyły powoli, dyskretnie, makata osłaniająca je podniosła się i twarz kobieca, zwiędła, żółta, zmęczona, ale ślady niepospolitej piękności nosząca jeszcze na sobie, ukazała się uśmiechnięta.

— A co tam? spytała od stołu marszałkowa.

— Paniuńcin, hrabino, słoweczko, ale bardzo, bardzo ważne, zaczęła kobieta, która się zbliżyła do stołu.

Strój jej i postawa zdradzały powiernicę, jedną z tych wszędobylskich dworek, które paniom swym służą do wszystkich spraw, wiedzą o najtajemniejszych, i stają się do życia niezbędnymi, a milczeć umieją.

— Cóż tam moja Grzybowska? co tam?

I położyła marszałkowa pióro, dłońmi białemi uciskając skronie.

— Taka bo jestem zmęczona! zawolala.

— O czémś się dowiedziałam, za cobyś była starostę piaseczyńskiego pocałowała nawet, gdyby nie czuć było od niego tabaki,

— Ale moja Grzybosiń, zkadże wiesz, że od niego czuć tabakę, jeżeliś się mu do siebie zbliżyć nie dała?

Grzybosiń śmiać się bardzo zaczęła; pochlebiali jej to podejrzenie.

— Co tam, proszę pani marszałkowej, już co między nami było to było, mniejsza o to, ale wiem, czém pani może n. panu taką uczynić przyjemność, iż do prawdy nie będzie miał do odmówienia.

Marszałkowa nagle zerwała się z krzesła i poskoczyła do powiernicy.

— Mów, mów! cóż takiego? co?

— N. pan bardzo sobie życzy Plerscha, aby mu tę dziewczynę odnalował. Plerscha pod jakimś pozorem sprowadzić tu potrzeba i uczynić mu siurpryzę.

Marszałkowa w ręce klasnęła.

— Kto ci to mówił?

— Ryx, pocziwy Ryx.

— A, to doskonale! Natychmiast piszę do Wiśniowca; niech przyjdzie Zbąski i niech na całą noc kozaka wyprawi, aby nim Plerscha zaraz przywieźli. Posadzę go tu u siebie, sprowadzimy dziewczynę, odmaluje ją prędko, a ja królowi obraz w komnacie postawię. Posłać po Zbąskiego natychmiast! poczęła, siadając do stolika. Bóg ci zapłaci, Grzybosiń. Myśl szczęśliwa.

Wtém zapukano do drzwi.

— Cóż znowu o tój porze? ozwała się Mniszechowa, a Grzybosiń nslużna poszła do drzwi zobaczyć, kto się tak późno meldował.

Był to podkancelerzy, człowiek pracowity, dworak pilny, zresztą słynny z tego, że nudził wszystkich, zbierając materyały do dyaryusza podróży.

Małeńkie jego oczka błysnęły, sięgając w głąb pokoju.

— Submittuję się i przepraszam nieskończenie, stokrotnie przepraszam, tysiącnie!

I wszedł.

Marszałkowa spoważniała, a Grzybosią powoli wysunęła się za makaty i znikła.

— Zabrakło nam portretów j. kr. mości — odezwał się, — a tu jeszcze mamy kilku dygnitarzy, których i tabakierkami, i portretami ozdobić przyjdzie, bo już orderzy mają. Potrzebujemy malarza, pani marszałkowo dobrodziejko. Podobno Piersch jest w Wiśniowen, czyby go tu sprowadzić nie można?

Wzrokiem bystrym przeszła go pani Mniszechowa; Plater ani mrugnął... zażywał tabakę.

— Niepodobieństwo, rzekła: Piersch chorey.

— Cóż mu jest? Imu? odparł widocznie zafrasowany podkanclerzy.

— Róży dostał.

— Proszę! róży? ale jakże mógł dostać róży, gdy nam jest potrzebny?

Podkanclerzy zamyslił się.

— Może już ozdrowiał.

— Dopiero zachorował. Wczoraj miałam list z Wiśniowca... leży w gorączce.

— Zkądże wziąć innego? chyba z Warszawy? Nim przyjdzie, nim wymaluje, to się wszyscy rozjadą.

— Ale bo mi się zdaje, że gdyby nawet przybył i siadł do roboty, mimo pośpiechu nie wydolałby jej pewnie.

— Gdyby tylko był! a no, jużbyśmy rady sobie dali. Bo, widzi pani marszałkowa, portrety te... portrety tylko poprawek potrzebują.

Pani Mniszechowa spojrziała na swe białe ręce, które z widocznym zuiciierpliwiwieniem wyciągała i chowała, bawiąc się niemi.

— Która godzina, panie podkancelerzy?

— Pani mi przypomina, że niegrzeczny i niedyskretny, rzekł klaniając się Plater; ale służba królewska...

— A! ja to bardzo dobrze rozumiem. Cóż? żaluję, że wam pomódz nie mogę. Plersch do portretów ma wiele zdolności, szczególniej do kobiecych. Dla fantazyi kazalam um raz piękną chłopiankę malować, i tak mi ją na boginię Florę wystroił...

Plater spojrział przestraszony i o krok się cofnął.

— Wielka szkoda, że chory, dodała prędko marszałkowa. Jak tylko wyzdrowieje, zaraz um każe przyjechać.

— Mnsztarda po obiedzie, szepnął Plater.

I zniżywszy się do ukłonu, wyciągniętą mu rękę z respektem ucałował. Miał minę pomieszaną.

— Albo już wie—rzekł do siebie w progn—albo na swoją rękę chce to zrobić, lub... dziwnie się rzeczy składają. Dostyć, że umie się nigdy nie powodzi.

Dobrze już po północy było, gdy dym nad zgłiszczami spalonych kramów unosił się jeszcze, a tuż pogorzeley na gołej ziemi slali sobie barlogi. Światła na wzgórzu w królewskim pałacyku i oficynach gasnąć poczęły, i Kaniów nadedniem do snu się ułożył. Tylko głosy stróżów, wołających *werda!* i bijących w grzechotki, a pilnujących resztek ognia, długo słychać było, i rzenie koni po stajniach, i naszczekiwanie psów około domówstw, i pianie kogutów po chatach.

Rodzina Bondarów, mieszkająca na chutorze nad spaską drogą od lat jakich kilkunastu, była dla miejscowych nawet i sąsiadów po trosze zagadką.

Stary Sydor Bondar, jak mówiono, przywędrował tu był pieszo, o kiju, bodaj z Sieczy zaporozkiej, chociaż o tém i o całej swój przeszłości milczał nparcie. Trzos miał dobrze nabity różnym groszem, w którym nieznanomych jakichś złotych pieniędzy siła było. Zkąd był rodem i gdzie dawniejsze lata przeżył, nikt się od niego dowiedzieć nie mógł, a mało też z kim przestawał. Wiedzieli tylko ludzie, że nie tylko naddnieprowe okolice, Podole, Wołyń, ale i Turceczyznę, i Krym, i dzikie pola, i wszystkie szlaki, głęboko na Rusi i w Polsce doskonale znał. Człek bywały, ale mu się już naówczas spokoju chciało i sadyby sobie szukał, gdzieby osiąść. Koło Kaniowa mu się podobało; począł okolicę obchodzić, a u ludzi przepytować. Stał wówczas chutor nad Spasem niemal pusty. Nikt na Ukrainie w owe lata bardzo z pochodzenia przybyszów rachunku nie słuchał, pústěj ziemi było wiele. Stały po gościńcach wszędy pale z powbijanemi w nie kolkami, oznaczające, ile gdzie na pańskich obszarach dawano lat swobodnych nowym osadnikom. Ziemia była tania, ludzi mało. Mógł Sydor wziąć tam ileby był zapragnął bez pieniędzy, ale kupić wołał, niż potém odslugiwać. Ściągało się tam wówczas wszelkiego narodu mnóztwo, a najwięcej takich, którym gdzieindziej było ciasno, niewygodnie i nieuilo, gdy w ich przeszłość bliżej wglądano. Gdy Sydor zjawił się w okolicy, zaraz mu chutor stręczyć zaczęto, o który się nikt jakoś nie kusił, bo pracy koło niego wiele było potrzeba. Chata stała pústkami, odrapana i licha, ogród był zapuszczony, pole bodiakami zarastało. Za niewielkie

pieniądze nabył przybłęda szmat ziemi znaczny, który tylko ręki człowieka się dopraszał. Zapłacił gotowym groszem przed sądem, przy świadkach i papier sobie kazał dać jak należy, aby się do niego uikt nie czeptał. Nie go to nie zrażało, że brał zdziezale pole i pustkę; ludzie ciekawie patrzali, co to będzie, sądząc, że się z grosza wyszeptał, ale się omylili.

Ledwie mohorycz zapiwszy, Sydor się wziął do dzieła. Był to naówczas mężczyzna jak dąb silny, zdrowy, barezysty, wzrosły, niepiękny, ale gdyś mu w oczy spojrzał, widać w nich było, że tam w nim coś mieszkało, co się nie lękało nikogo i niczego. Sydor chętniej milczał i słuchał, niż gadał; wołał pracować, niż baraszkować, z ludźmi się wdawał mało, a zaczepiać go nie było bezpiecznie, bo sobie bezkarnie ani słowa powiedzieć, ani figla wypłatać nie dał. Zrobiono mu spór o kilka zagonów na granicy, załatwił go zaraz, a gdy chciało odnowić, aby z niego korzystać, napastujących drągiem potłukł, stanawszy na swój miedzy, tak, że się parę niedziel lizać musieli. I było potem cicho, spokojnie i zgodnie, nikt mu już w drogę nie wchodził. Na cerkiew, dla bractwa, do skarbowy w czasie odpustu grosza nie żalował; gdy trzeba było zapieć, stawiał wódkę i miód i co kto chciał, aby było w bród, ale sam był trzeźwy.

Zaraz po kupieniu chutoru, dobrał sobie parobka, którego zwano „Krywonogim,” bo miał w istocie nogi powykręcane i wyglądał karłowato, ale do pracy był jedyny. Z Krywonogim jak poczeli gospodarować, najprzód koło chaty i obejścia bić koły, pleść ploty, a lepić, a ciosać, stały izby najpiękniejsze na okolicę w bardzo prędkim czasie. Wzięli się potem do pola. Na jarmarku na Preczystą, kupił od razu Sydor sześć



wolów młodych, siwych jak jeden, plug, brouy, radla, ale jak się okazało, sam z plugiem chodzić nie umiał. Pierwszych dni, gdy Krywonogi z plugiem wyjechał, poszedł za nim i chodził cały dzień podglądając, jak plug prowadzić, unosić i kierować było potrzeba, jak głęboko zapuszczać i jak skiby składać. Drugiego dnia próbował sam, plug złamał, bo się z nim obejść nie umiał, a ziemia zaschła była i dawno niernszana. Skiby jak skały się odwalaly. Więc do kowala poszli i do cieśli. Trzeciego dnia już orał, a w tydzień mu się dziwowali, i Krywonogi już tylko poganiał. Pole u niego na nowinę wyglądało, tak było zapuszczone. Przez bodiaki jak przez las ledwie się było można przecisnąć.

Pierwszego roku Sydor pracował jak wół, nie do-  
sypiając, nie dojadając, i Krywonogę tak zamęczył, że się w końcu położył i musiał kilka tygodni wydychy-  
wać, choć mu wstyd było. Okazało się, że nie chcąc się dać wyprzedzić, parobek się ochwacił.

W rok chłutoru poznać nie było można, tak wyglądał pięknie i schludnie. Pocięta była zając, ale mało tam komu drzwi stały otworem. Gości Sydor nie lubił, sam też u nikogo nie bywał.

Jakoś jesienią drugiego roku, Sydor znikł nagle, na gospodarstwie zostawiwszy Krywonogę.

Dopytywali ciekawi w szynku parobka, co się z nim stało; ale ten i po pijanemu nawet nie powiedzieć nie umiał.

— *Piszou ta i hodi*, odpowiadał ciągle: *czort jeho znaje!*

Pod niebytność Sydora tak się jednak Krywonogi pilnował, że się ani razu nie spił, co się w innych czasach trafiało, a okolo chaty wartował jak koło ko-



lebki dziecięcia. Wygadał się z tém, że z Sydorem nie ma żartu i że się go lęka.

W kilka tygodni zjawił się napowrót sam gospodarz, wozem niby czarnaackim, naladowanym, na którym młoda kobieta siedziała. Przywiózł sobie żonę. Zkąd? nikt nie wiedział.

Kobieta była młoda, piękna, dorodnego wzrostu, śmiała jak on, zdrowa i silna, a snadź z dostatniej chaty, bo siła z sobą koźnychów, świt, namitek, ręczników nawiozła i kilka bodni było na wozie. Gdy pierwszy raz do cerkwi szła w bekieszy granatowej, czarnemi barankami krymskimi wskroś podbitej, w żółtych bótach safianowych, w koralach aż po pas, zabiegali jej drogę ludzie, aby się na nią uapatrzyć, ale ona ani spojrzała na kogo.

Poczęło się tedy w chacie na chutorze inne życie, wzięto dziewczkę do pomocy, został Krywonogi, sierotkę chłopca do siebie przygarnął Sydor, i nie tylko swoją rolę zasiał, ale począł gruntu najmować, uprawiać, i rozbogacał okrutnie. Życie się jednak nie zmieniło wcale. Jakim był, takim został. W niespełna rok narodziła się córka; sprawiono chrzciny jak u wielkich panów: proszeni i nieproszeni szli pić czerpakiem z beczek, które Sydor kazał postawić przed chatą i w izbie.

Jadła było dostatek, ogórków kwaszonych bez miary. Ludzie się potem po drogach walali, tak ich strasznie popoił. Trzy dni trwało hulanie, a czwartego już się znów chata zamknęła.

Dzieci więcej potem nie było, tylko ta córka jedyna. Ale też ją hodowali i pieścili, jak jedynaczkę. Matka na chwilę nie spuściła z oczu, ojciec na rękach nosił, byle czasu miał, a lubowali się dzieckiem tak, że

wieczory całe oboje na ziemi siedząc, jak dzieci też z nićm się bawili.

I wyrosło na taką piękność, że oczu od Natałki oderwać nie było można. A że z nią ciągle, to ojciec, to matka jak ze starą gadali, wprędce jej swojego rozumu naleli, że w latach dziesięciu tyle co i oni wiedziała i umiała. Już się na nią mogli spuścić, i klucze oddać, i dom zostawić. Ale pracować wiele nie dawali dziecku, a hodowało się jak pańskie, nie męcząc się wcale. Nie dozwolali jej do żadnej cięższej roboty się chwycić, pieśni uczyli, wianki zносили, z igłą tylko i krosnami poznać się dali. Szczególniej szyć koszule i ręczniki lubiła, i po całych dniach siedziała z niemi w okienku, przyśpiewując. Żywa była, wesola, ale dumna jak królewna i przystąpić do siebie niebardzo dawała komu. Czasem do niej dziewczęta szły z miasteczka. Rada się z niemi zabawiała, między niemi zawsze réj wodząc, inaczej nie rozumiała zabawy.

I tak jak trzcina do góry wyrosła na cudowisko ludziom, a na mękę parobkom; wszyscy się w niej na zabój kochali. Więc gdy z matką do cerkwi szła, roje się za nią ciągnęły. Przystęp był trudny i do matki, i do córki. Natałka nie zawsze nawet na dobre słowo odpowiedzieć chciała. Do tańca nie chodziły nigdy, ani do karczmy. Sydor też, chyba z mnisu, dla mohoryczu, do szynku wstąpił; bo miał wszystko w domu u siebie, czego dusza zapragnęła. Kolacza białego nigdy na stole nie brakło.

Pytano niejednen raz Sydora, co myśli z córką, gdy dorosła? Usta tylko wykrzywił na to, niechętnie odpowiadając.

— Żeby tyle było kłopotu! mruczał. Nie pilno nam ani jej, a lada przyrnaka do chaty nie weźmę. Warta

Natalka choć bojara, ba i szlacheica, bo i w bodni nie-jeden się tam czerwonic dla niej znaleźć, i chutor coś wart, a najwięcej ona sama.

Ojcowie parobków najbogatsi, przyniłałi się do Sydora; pozbywał się wszystkich.

— Będzie na to czas; nie pilno.

Tymczasem Natalka rozkwitała jak polny mak, świeża i hoża.

Mało kto ją znał, żeby o niej coś powiedzieć mógł, jaką była; a no lice mówiło krasne, oczy czarne, usta dumnie uśniczebnięte, pańska postawa, śmiałość kozacza, że tam lada komu się porwać nie godziło. Zbywała często śmiechem, częściej milczeniem. Od niejednego odwróciła się plecami, nawet nań nie spojrzawszy. Bnta była ojcowska i matczyzna, bo i stara do-brala się do Sydora, a niebardzo z nią było łatwo się dogadać a rozmówić.

Tą dumą uarobili sobie nieprzyjaciół, i powstało gadania wiele. Nikt o Sydorze więcej nie wiedział nad to, na co patrzano od czasu, jak na chutorze osiadł; poczęli zmyślać na niego niestworzone rzeczy. Zazdrość w powietrzu chwytła byle co i buduje misternie, jak pajak, który ze swych wnętrzności nie zdradliwą wyciąga. Poczęły tedy dziwne wieści chodzić o Sydorze, a że ludzie są łatwowierni, i lada co pochwyciwszy, urabiają potem z tego dziwolagi, więc całą historję Sydora stworzono ze złości ku niemu za tę dumę, którą się od ludzi oddzielał. Powiadano sobie do ucha, że nie tylko w Sieży był i soтника tam urząd piastował, lecz że z innem talałajstwem kozaczem po drogach kupców rozbijał, i że z tego takie skarby zebrał. Drudzy twierdzili, że i żonę z bogatęj chaty gwałtem uprowadził, rodziców pomordowawszy i spaliwszy dla niepoznaki

domowstwo. Inni utrzymywali, że cerkwie i kościoły rabował, że ze skarbon zabierał grosz święty, że był i teraz przewódcą jakichś szajek, których starszyzna do niego po nocach na rady przybywała i u niego miała składy w loszku pod chatą wykopanym. Głośno jednak strzegł się każdy słowa przeciw niemu powiedzieć, bo z Sydorem nie było żartów: ubićby był gotów. A pomimo że go tak i rozbójnikiem robiono, i lotrem ostatnim, gdyby który z tych, co pletli te baśni, mógł był syna z Natalką zaswatać, uważałby się był za najszczęśliwszego. O bogactwach bowiem Sydora Bondara przesadzone miano pojęcie, i pewni byli, że półkorcówką dukaty mierzy. Tylko że jej u nikogo pożycząć nie potrzebował, więc jak w bajce owiej, do smoly na dnie żaden zdrażliwy nie łgał czerwonic.

Czy kiedy w istocie zbójem był i na dwory napadał, trudno się było przekonać ludziom; o tem tylko wiedzieli bardzo, iż od czasu, jak osiadł na chutorze nad Spasem, nie mu zarzucić nie było podobna, chyba że się niekiedy z domem oddalał i nie wiedzieć gdzie znikał na czas, że w istocie nocami do niego przybywali konni, z którymi w alkierzu siadywał do rana, a o świcie odjeżdżali. Ciekawi podpatrywali przez okienka, i konie w podwórzu widywali pouwiązywane, i ludzi wąsatych przy kubkach siedzących z Sydorem.

Na cerkwie, na ubogich, Bondar był aż nadto hojny. Niejednego poratował w nieszczęściu i pożyczył, niejednen też mu potem zawdzięczył tem, że od niego uciekał, krył się i potwarzami obrzucał. Sydor, gdy postrzegł za płot uciekającego dłużnika, śmiał się tylko i lukał na postrach, ale się ani mścił, ani dokuczał. Harda jakaś mieszkala w nim dusza, a po nim tę dumę i butę żona wzięła i córka.

Najlepszym dowodem jego dobrego serca był ten chłopak sierotka, którego do chaty przygarnął. Walalo się to niebożátko po Kaniowie, ho matka była go odumiarła, a ojca nie miał, przynajmniej nie wiadziáno o nim za życia biednej kobiety, która z sobą przyniosła w placheie dziecinę, i z nią jak wyrobnica pracowała, aby wyżywić siebie i syna.

Gdy go matka odumiarła, chłopak miał lat z siedm, w domu się to jeszcze na nie przydać nie mogło, chyba gęsi paść. W miasteczku sierotka Maksymek chodził od drzwi do drzwi, a litościwe dusze po kawalku suchego chleba mu wyrzucały. Gdy u której gospodyni ostyglęj strawy zostało co w garnku, czasem tę resztkę z łyżką wyniosła dla sieroty. Na zimę łachmanami po śmieciaskach zbieranemi okrywało się to biedactwo, a często z psami o kość waleczyć musiało.

Sydor go raz najrzal pod szynkiem n ściany siedzącego na słońcu i grzejącego zęby. Litość go wzięła: kazał mu za sobą do chaty iść na chutor. Maksymek się obawiał, ale był głodny i bosc nogi marzły — posłuchał. Tu, gdy go nakarmiono, drapał, bo po cygańsku był do swobody i włóczęgi nawykły. Niemaló z nim Sydor biedy zażył, póki go do posłuszeństwa, pracy, porządku i do jednego kąta nie nalamał. Było to wkrótce po ożenieniu jego. Chłopak się w domu zdał; wzięła się do niego i żona Sydorowa, okryto go, przyodziano, i Maksym się w końcu do chutoru przywiązał, do posługi dał się wzwycaić. Więcej to było sprawą kobiety niż Sydora.

Choć go z tego zdzieżenia wyrwano i powoli oblaśkawiono, pierwsze lata życia zostawiły na nim i w nim niezatarte piętno. Zawsze w nim było coś dzikiego,

pierzchliwego, niemal zwierzęcego. Chłopak nie był głupi wcale, ale instynktu więcej miał jeszcze niż rozumu. Sam czasem nie wiedział, co i dla czego czyni; pechała go jego natura, do rządzenia sobą nawykła. Chłopakiem jeszcze małym bywało przed chatę wyszedłszy wśród ciszy nocnej, słyszał, i czuł, i zgadywał, czego nikt ani dopatrzeć, ani się domyślić, ani uchem pochwycić nie mógł. Ludzi, rzekłbyś, węchem, nie patrząc na nich, rozróżniał, do jednych się garnąc, od drugich stroniąc uparcie.

Z Krywonogim, takim mrukiem jak i on, zawiązała się przyjaźń wielka. Spali razem na jednym barłogu, a Krywonogi w zimno świtę z siebie zdjawszy, nią go otulał. Rozmawiali z sobą w osobliwszy sposób, na co Sydor i Sydorowa nieraz z ciekawością się z za węgła spoglądali. Maksym nie nie gadał, Krywonogi też, a mimo to rozmnieśli się i bawili jak nie można lepiej. Patrzali sobie w oczy, kiwali głowami, Krywonogi gładził chłopca, chłopiec się przytulał, rękami machali, powieki mrużyli, czasem który coś niewyraźnie mruknął, i tak im w niedziele całe schodziły godziny. Zdala od siebie, gdy któremu z nich coś było potrzeba, dosyć było huknąć i rękę podnieść, drugi już wiedział co robić. Krywonogi kradł owoce na targu dla Maksyma, a Maksymek raz, gdy w szynku chłopci napadli parobka, na ratunek przebiegłszy, nie mając siły stanąć w obronie piastuna, ogromnego draba, co go dusił, pokasał.

Wyrósł Maksymek, niepodobny do innych parobków. W dzieciństwie cherlawy, jak począł potem się dźwigać od ziemi, w oczach zdaje się rósł i rozrastał. Twarz mu się pogięta wyprostowała i wypełniła, i zro-

bił się piękny, ale w oczach mu zostało coś strasznego a gdy go do gniewu pobudzono, zębami klapał. Wejrzeniu jego trudno było dotrzymać, piekło jak ogień.

Nie gadał chętnie, słuchał cierpliwie, tak jak i Sydor. Siły mu zkałdeś potem przybyło, że strach było spojrzeć, gdy się do czego wziął. Konia dzikiego, którego Bondar kupił w Balcie od Tatara, gdy mu się opierał, chwycił za czub nad uszami i na ziemię powalił. Praca go nie kosztowała; zadumany, robił, nie myśląc, a połudenek i spoczynek przypominać mu było potrzeba, i to czasem nieraz. Potem na ziemię padł, nie patrząc gdzie, i spał jak kamień. Zimna nie czuł, gorąco mu nie wadziło. Gdy zaczął dorastać, dopiero się Sydor przekonał, co to za nieoszacowany skarb ze śmietniska ulicznego zagarnął, sam nie wiedząc na co to wyrośnię.

On i Krywonogi cudów dokazywali. Chłopak już był otargany dobrze i przyswojony dobrze, gdy Natalka na świat przyszła; więc dziecko rosło na oczach jego i na rękach prawie, bo wieczorami wszyscy bawili jedynaczkę i Maksymek też z ochotą wielką. Przyjaźń się zawiązała niemal taka jak z Krywonogim, tylko innego rodzaju. Z tym Maksym był jak z zawojowanym i oddanym sobie, siadał mu na plecy, szczypał go, dokuczał mu, a Krywonogi rad wszystkiemu, śmiał się. Z Natalką obchodził się chłopak jakby z czemś świętym i osobliwym, przed czem pokłony bić tylko a w prochu leżeć trzeba było. Gdy miał ją na ręce wziąć, biegł do krynicy się umywać, a choć kapryśne dziecko włosy mu z głowy wyrывało, tak, że w oczach łzy z bólu stawały, śmiał się tylko i głowę poddawał.

I gdy Natalka wyrosła, nie zmieniło się nic. Ona dla niego była panią, on niewolnikiem. Gdy raz w czerw-



nój chuście na wygon dziewczynka wybiegła, a krowa cudza napadła na nią i rogami przebość chciała, Maksym rzucił się przed nią i rogiem w bok dostał, tak, że myślano, iż nie przeżyje. Zaniósł go krywonogi do szopki na rękach, płacząc, obwiązali, przybiegła i Natalka; Maksym się uśmiechał, patrząc na nią, choć co chwila mdlał z boleści.

Dziewczyzna popsuta trochę, wiedziała dobrze, iż miała, w nim niewolnika; a gdy się jej czego zachciało, dosyć było skinąć, aby Maksym poleciał i spełnił rozkaz, choć najdziwaczniejszy. Gdy Natalka śpiewała, zasluchiwał się nieraz tak, że od Sydora po plecach dostał hatem bo Bondar był dla niego surowy. W głowie mu powstać nie mogło, ażeby się w Natalee zakochał, ho sierotę był, i oprócz jednej świty wysłużonej na grzbiecie, nie miał, ani domu, ani łomu, a Bondarywna i rodzice najzamożniejszymi pomiatali.

I Natalka też z tego jego halwochwalstwa śmiała się tylko; a choć był parohuk urodziwy i choć go lubiła, wyżej daleko patrzała. Dobrym jej był tylko na sługę.

Nazajutrz rano po pożarze, Sydor siedział w jednej koszuli na przyzbie i fajkę pykał. Słońce wiosenne zaczynało dogrzewać, w stepie się ruszało wszystko; Krywonogi stary i Maksym wyszli byli z radłami na pole, ho siał czas było. Na chutorze został sam stary z żoną, z Natalką i z najmuitką. Myślał, poglądając na wzgórza, zaszepiony, i wdychał. Przed nim, to się mu w oczy wpatrując, to po polach się rozglądając, wyprostowany, stary, kudłaty i brzydki, do wilka podobny pies, Zahój, coś wietrzył.

Kiedy niekiedy szczeeknął i urwał, na pana oczy zwrócił pytając i młczał znówu. W miasteczku w dzwo-



ny u Bazylianów bito na jakieś nabożeństwo. Nicopodał wozy turkotaly, z sąsiednich wsi na targ zdążając do miasteczka.

Aż w progu chaty stara Sydorowa się ukazała i spojrzała na męża.

— Co tobie stary? czego sumnjesz?

— Albo nie ma czego? mrknął, fajkę rzucając, Bondar. Ta to bieda!

Wskazał w stronę miasta.

— Po co to tu najechało? Pokoju od nich nie ma. A włóczą się, a ludzi niepokoją, a wszędzie ich pełno.

— A co oni tobie wadzą? spytała stara.

— Pewnie że wadzą, odparł Sydor. Już i na nasz chutor drogę znaleźli. Zaświeciło im tu piękne liezko. Czorthy ich brał!

— Cyt, milez! zawołała oglądając się kobieta: a toć król był. Posłyszalby kto, co pleciesz, pomyśleliby, że na niego. A co to szkodzi, że się pańskie oczy na naszym dziecku poradują. Człek niemłody...

Sydor spojrzał i minę zrobił dziwną.

— Oni nie starzeją nigdy! zanurczał. Co ty stara znasz? co ty wiesz? Mnie pytaj. Nikt ich lepić nie zaznał odemnie. Król? a choćby i król! ja tu królem w mojej chacie; nie potrzebuję honoru i fraszku. Nie dla nich moja detyna! A tu się jej jeszcze w głowie może zawrócić.

Bondarowa zamilkła.

— Na pohybel im! Trzeba, żeby się i tu weisnęli... Teraz pokoju od nich nie będzie, a Natalka...

— Co ty już i na nią się sierdzisz! przerwała kobieta.

— Taż to moja jedyna, nie pleć, babo! zawołał stary. Sierdzić się na nią nie mogę—a no! strach mię

ogarnia. Czuję, że się jój w głupiej głowinie przewróciło; ona myśleć gotowa, że z niej królową zrobią. Albo ja to nie wiem, ile było takich królowych za jego panowania? Boże chroń, trzeba temu drzwi zamknąć, choć uciekać.

Bondarowa rękę mu położyła na ramieniu.

— Cyt, cyt, stary, nie szalój, niechaj się dziecko zabawi. Mamy na nią oko, krokn od siebie nie puścimy, złego jój uczynić nie damy, a drzwi zamykać przed królem nie godzi się.

Pokiwiała głową.

Sydor miał brew namarszczoną i lice chmurne, oczy w ziemię wlepił i milczał.

— Są między nimi źli ludzie, ale jest i dobrych wiele, dodała stara.

Sydor się z przyzby zerwał nagle, i jakby oburzony pięść ścisnąwszy, krzyknął:

— Ani jednego! ani jednego!

Chwila milczenia była; pies szczeknął, ku Kaniowu zwróciwszy głowę.

— Hody! hody! po ciehu zbliżywszy się do Sydora poczęła kobieta. Na co tobie stare rany rozkrwawiać?

Stary nie słuchał i mówił jakby sam do siebie:

— Pod ziemię się od nich nie skryć! Uciekłem za kraj, siermięgam wdział, języka zapomniał, nazwiska zbył, rodziny się zaparł... myślałem, że spokój kupię... Po trzydziestu latach mnie znaleźli.

Oczy mu się zaiskrzyły. Stara zdawała się przestraszona, zwłaszcza że niedaleko chód i jakąś mowę słychać było.

— Sydor milcz! zawołała nakazująco: milcz! A mąż kto, choćby Natalka, choćby Maksym, albo Krywonogi dosłyszysz, co pomyśłą? Zapomniałeś, że tyś już

nowy człowiek, i że z tamtego, co było, nie nie pozostało, utopione wszystko.

— Oprócz gniewu i pomsty! zamruczał Sydor. Z serca wyrwać, co w nim uwieczło, nie można. Milez, babo! Gdy na nich patrzę, kipi we mnie!

— Cyt! poczęła kobieta, klepiąc go po ramieniu: na rany Chrystusa Zbawiciela, milez! co tobie? W step idź, jeżeli na ciebie chandra znówu napadła, niech ci to przejdzie.

I przeżegnała go trzy razy krzyżem prędko.

— Milez... słyszę, ktoś idzie.

Sydor się obejrzał i padł na przyzbę, obie ręce podstawując pod brodę.

Zabój miał głowę obróconą ku gościńcowi spaskiemu i szezeł krótkim, nrywanyim głosem. Nagle zerwał się, najeżył, rozkraczył i njadać zaczął z niezmierną zajadłością.

Trzy postaci, idące od Kaniowa, ukazały się nad płotem z ziemi i gnoju, który podwórko opasywał. Widać było dwa kapelusze, złotemi galonami obszyte, dwie peruki upuklowane, dwie suknie szyte srebrem i dwie galki od lasek, z rękami w żółtych rękawieczkach.

Pomiędzy nimi w pośrodku, w kapelusiku z piórem na ramnej fryzurze, z parasolikiem w ręku, szła dama pięknej, ale bladej twarzy, w długich po łokieć rękawieczkach, z woreczkiem na paluszku zawieszonym.

Trzy te figury zatrzymały się za płotem i bramą, i zdawały się czekać, żeby albo pies szezeł przestał, albo ktoś z gospodarzy otworzył i Zaboja odwołał.

Dwaj ichnoście towarzyszący damie, spoglądali na siebie, widocznie jeden na drugiego składając inicyatywę wystąpienia względem zagniewanego psa i obojętnych gospodarzy.

Sydor choć widział, co się działo za plotem, wcale się ruszać nie myślał; stara nawet ręce założyła, żeby sobie nadać obojętną postawę — ale jej chciało się wiece wyjść naprzeciw gości.

Szczekanie psa wywabilo snadź Natalkę do okna; dziewczę już było strojne w kwiatki, zaczesane, w koralach. Odsunęło okno, wystawiło główkę, zobaczyło stojących i zawołało na ojca:

— Bat'ku, a toć państwo czekają tam! Czy to nasza chata taka uboga, że się gości okazywać będzie? Matnin, a toć otworzyć i zaprosić, albo nie... *Bihme...* sama pójdę wrota im otworzyć i głupiego Zahoja odpędzić.

Mileząc, Sydor odwróciwszy się do niej, palcem jej pogroził.

— E! ty stary chandaro! szepnęła z mizgiem do ojca śliczna Bondarywna: co ty dziś na was namotał? Idź, otwórz, bo ja każę, bat'ku, ja każę... powtórzyło dziewczę. Nie bój się, nie wezmą mię przecież, a oczyma nie zjedzą. Uroku się nie boję, a tyle mojego, co się z nimi szczebiocąc zahawie, bat'ku. Nie godzi się ludziom drzwi zamykać.

Matka ze zwróconą głową słuchała, radując się widocznie szczebiotaniu dziecka, i trymfując poglądając na pochmurnego męża.

Wtém od wrot dal się słyszeć głos jednego z mężczyzn:

— Prosimy otworzyć i psa zamknąć!

Sydor jakby się namyslił, wstał wzdychając, powoli podszedł do plotu, psa nogą kopnął, aż Zahój pod chlew piszcząc i skowycząc się schował, i stanął naprzeciw gości. Zmierzył ich oczyma ciekawemi, ale

nasrożonemi, i zdawał się czekać, by mu się opowiedzieli.

Kobieta odezwała się głosem pieszczonym:

— Pozwolisz nam, dobry człowieku, chwileczkę odpocząć pod twoim gościnnym dachem.

Sydor nie mówiąc, wrota popelnał i ręką na podwórze wskazał.

Weszli, bojaźliwie w stronę psa poglądając, który pod chlewkiem wprawdzie siedział, ale nie mogąc być obojętnym, głowę wystawiał i coraz to zaburzał gniewnie.

Najprzód, najsmielsza pono, wsunęła się powoli piękna pani, podnosząc suknię i patrząc pod nóżki, aby trzewiczki na korkach nie tknęły czego nieczystego. Za nią podżyły szedł mężczyzna, z twarzą ciekawą, niemłą, dziwną, żółtą i bladą. Drugi, który szedł za nim, wyglądał też tak, że raz nań spojrzawszy, drugi raz już oczu podnieść się nie chciało. Nie było co z niego wyczytać; komparsa miał postać, krył się też z tyłu.

Byli to towarzysze, których sobie ciekawa pani marszałkowa dobrała do wycieczki. Oczy jej biegły już, wyprzedzając nóżki, ku charcie, a właśnie w progu jej stała piękna Natalka, wystrojona, w białej, sztytej koszuli, w koralach, w żółtych bóciakach, i chępiła się swą krasą. Ojciec, postrzegłszy ją, pobladł i wstrząsnął się. Oczu z niej nie spuszczał, szła pani marszałkowa.

— *Cher général!* odezwała się do jednego z towarzyszy: *mais c'est une beauté rustique, mais elle est d'une originalité charmante avec ce costume de théâtre! Mais elle est belle! admirable!*

General żółty nie przeczył; wszyscy pożerali ją oczyma, a dziewczę doskonale o tém wiedząc, pyszniło się jak paw, prostowało i zdawało mówić całą postawą:

— Patrzcie, nwielibiajcie, taką mnie Pan Bóg stworzył, jestem krasawica!

— Moje dziecko! szepnęła marszałkowa, zbliżając się: jakże ci na imię?

Dziewczę dało poczekać na odpowiedź, ramiona się poruszyły niceo, usteczka uśmiecchnęły:

— Natałka.

Ojciec stał nieopodal ze ściśniętymi mimowolnie pięściami, które trzymał siłą przy sobie, usta miał zagryzione i wzrok niespokojny. Stara Bondarowa patrzyła na dziecko, dumniejąc nim.

Panowie, towarzyszący marszałkowej, coś mruzczeni do siebie. Wtém jeden z nich przypadkiem okiem rzucił na drogę, i jakby przestraszony zawołał po cichu:

— Król z Szydłowskim!

— Król! powtórzył drugi.

— Król! niespokojnie zawołała marszałkowa: ale ja nie chcę, ażeby mnie tu zastał, ani panów! Za nie! za nie!

I podbiegła, ręce składając, do Sydorowój.

— Moja kochana! rzekła weiskając w jej dłoń dukata, który gospodyni odepchnęła z respektem: moja doba! schowaj nas gdzie chcesz, w alkierzu, gdziekolwiek, byleby nie śmierdziało bardzo. Nie chcę, aby mnie tu widziano. Proszę cię, zaklinam!

I nie czekając pozwolenia, marszałkowa z obawy, aby jej nie zobaczono, rzuciła się, omijając śmiejącą się Natałkę, do chaty, i drzwi za sobą i towarzyszanami

zaprzeczyć kazala. Sydorowa poszła z nią, stary Bondar ironicznie usta skrzywił, Natałka rączką bielszą niż u prostej dziewczyny być powinna, poprawiła korali i włosów, a wtém już i głośna rozmowa slyszeć się dala na drodze. Natałka pokraśniała, Bondar pobladł.

— *Korol!* szepnęło dziewczę widocznie uradowane: *korol!*

Co między ściśniętymi zębami zamruczało w ustach Sydora, nikt nie posłyszał. Blysneły mu oczy, na córkę spojrzal prawie guiewnie, i ku wrotom kroczyć poczał.

Natałka stanęła — zalotnica nieuczona — w takićj postawie, jakby ją malarz sam ułożył. Wzrok niby obojętny puściła na stopy, usteczka różowe podniosły się nad ząbkami białemi, i piosenka ukraińska wyleciała z nich jak skowronek bujać w powietrzu.

Król z Szydłowskim stał we wrotach; piosenka do uszu ich zaleciała, zatrzymali się, słuchając. Z tego miejsca widać im było profil dziewczęcia, malujący się ciekawo na bielszćj ścianie chaty. Czyste rysy jćj twarzyczki jakby mistrz w szczęśliwćj chwili stworzył. Nie wiejskiém wydała się im dziewczęciem, ale przebraną panią.

Natałka wiedziała i czuła o przybywających, lecz się ani obejrzała na nich. Można przysiądz było, że o czém inném dumala, choć twarz się paliła, a z blizka patrząc, dojrzeć było można konwulsyjne ustek drganie.

Szydłowski, jeden z największych znawców piękności niewieścićj, który sobie pozwalał przez drogę z króla żartować, stał zdumiony. Król miał minę ubłogosławionego, lice mu promieniało radością. Spo-



zierał na towarzysza, i prędko wzrokiem powracał do cudnego zjawiska.

— A co, panie starosto? odczuwał się po chwili.

Pan starosta milczał, oczom nie wierzył.

— A co, kochany mój? a co? powtórzył król.

Szydłowskiemu z piersi się wyrwało niezwyczajne mu westchnienie.

— Ale ba! zawolał: to figle! To nie może być koczka, to przebranego coś! To artystka z teatru, czy kat już wie, co takiego.

— No, to chodźże i przypatrz się jej z bliska.

We wrotach stał milczący Sydor, który głowę, jakby przymuszony, nieco sklonił przed królem.

Stanisław August, który rad był kokietować z każdym i ująć sobie nawet prostego kozaka, uśmiechnął mu się i ręką go powitał.

— Jak się masz?... spytał łagodnie — jak się masz?

Sydor coś mruknął.

Wtém pies nowych gości zobaczywszy, rwał się ku nim ze złością wielką, ale Szydłowski wprost z laseczką cienką wystąpił przeciwko niemu, i tak mu jakoś za imponował, że Zabój się cofnął, mruczając.

Król powoli wszedł się na podwórkę.

Natałka niby nie widząc go, nie wiedząc niby, ciągle patrzyła w stęp i nocyła. Głosik srebrny, choć niemierny, brzmiał ptasim wdziękiem młodości.

Powoli, aby nie spłoszyć, przybliżył się król do pięknej dziewczyny.

— *Dobry den, krasawico!* rzekł miłuchnym głosem.

Natałka odwróciła główkę i zarumienila się. Spojrzała niby przelećka po sobie, spuściła oczęta skromnie,



i odpowiedziała coś niewyraźnie, cofając się ku drzwiom chaty.

— Tylko nam nie uciekaj, bo my pogonimy za tobą! rzekł król.

— A czegożbym ja miała uciekać? rozśmiało się ośmielone dziewczę, i czarne oczy, ocienione rzęsami długimi, zwróciło z natchnieniem na króla.

Starosta miełnicki niemy, z niezniciernym zajęciem przypatrywał się tej scenie. Król z razu jakby chciał przed chatą nsiąść, obejrzał się, miejsca szukając; ale złośliwe dziewczę, może na przekorę tym, co do chaty uciekli, drzwi otworzyło, zapraszając do wnętrza. Uśmiechnęło się, śmiech dusząc w sobie.

Król z ostrożnością przestąpił próg, za nim wszedł Szydłowski, po nich Natałka, wzrokiem tylko zmierzyszy zasępionego ojca.

Gdy się to działo w pierwszych drzwiach, od alkierza drugie zatarasowywano.

W szesnupłej izdebce skryła się, nie chcąc tu być znalezioną, marszałkowa z towarzyszymi; szelest jej sukni atlasowej slychać jeszcze było, gdy król wchodził, ale nie doszedł on uszu jego.

Dziewczę fartuszkien ścieralo ławę dla najj. pana, i gdy król miejsce zajął, stanęło przed nim, założywszy ręce, nie obawiając się wzroku, nie sromając tém, że ją ci dwaj panowie pożerali oczyma.

W kącie pod piecem niepostrzeżona stała Sydorowa w odwodzie i na straży.

Sydor, aby na niemiłych mu gości nie patrzeć, został w podwórzu, ręce w tył założywszy. I on teraz zamyślony patrzył w stęp, w dał, w niebo, lecz tak był zasępiiony, tak gniewny widocznie, jakby ten honor odwiedziny królewskiej stał mu za truciźną. Niekiedy dochło-

dzily go głosy przez otwarte okno chaty, a ile razy Natalka się ozwała, wstrząsał się cały z hamowanego próżno guiewu. To znowno zaniknięte usta otwierały się na pół, i szybko pomruczawszy niezrozumiale słowa jakieś, zapierały.

W ehacie scena była bardzo ożywiona. Król wyprostowany, jakby odnudzony jakimś niezuciem nowém, siedział na ławie, w jedną rękę trzymając kapełusz i laskę, drugą, białą, pieszczoną, pulchną rękę, którą wszyscy całować byli zwykli, położywszy na stole. Oczy trzymał wlepione w piękne dziewczę, i śmiał się jój oczyma. W wejrzeniu było coś tęsknego, rozmiłowanego, coś pożądliwego, dziwnie odbijającego od dojrzałego wieku jego królewskiej mości.

Szydlowski zimny, rozbierał ze świadomością wszystkich tajemnic świata i życia fenomen niewieści, jaki miał przed sobą. Dla niego było to coś niepojętego, co go więcej dziwiło niż nęciło — studyum teratologiczne. Niekiedy głową potrzasał, a z pod oka poglądał na najjaśniejszego. i żal i litość śmiała mu się w ust kątka ironicznie ściągniętym.

Natalka wprowadziwszy gości do chaty, sama się od nich cofnęła nieco umyślnie, zajęła obronne stanowisko przy piecu, ale dała się uwielbiać, nie uciekała weale, i widocznie niło jój było, że król tak za nią wzrokiem goni. Chciała być piękną, pragnęła go oczarować; czarne źrenice wpila w swą ofiarę, i cieszyło ją, gdy spostrzegła, że ich ognia wytrzymać nie może. Król niemal tak stawał się pokornym i biednym, jak sierota Maksym. Wzdychał stary i wyżyty pieszczoch, który na najpiękniejszych pań dworn wzroki był nieczuły. Kozacka dziewczka miała dla niego powab czegoś dziwnie nowego.

Spoglądali na siebie z Szydłowskim i mówili oczyma. Starosta uznawał się za zwyciężonego.

Natalka, jak Sydor jej ojciec, który w gniewie i poruszeniu wielkim nigdy innego języka niż polski nie używał, mówiła też nim dobrze; rozmowa zawiązała się, jak pospolicie naówczas na Rusi, obu językami razem, pomieszaniem z sobą. Jeszcze się były nie pokłóciły i żyły w zgodzie braterskiej.

— Cóż, moja śliczna panno! odezwał się król: jakże wam tu życie płynie?

Matka z przestrachem spojrzała na dziecko, jak też sobie da rady z rozmową.

Natalka weale się nie strwożyła.

Za drzwiami alkierza słuchano pilnie. Otwór okrągły od kołka dozwalał pani Mniszechowej nawet okiem ciekawym badać króla, którego miała przed sobą.

— A cóż? a cóż? poczęła śmiało Bondarywna, ręce w tył złożywszy i główką pokręcając, jak ptaszki, gdy są w dobrym humorze. Nasze życie, jak nie potrzeba lepszego. Królby go mógł zazdrościć.

— O, pewnie! wtrącił Poniatowski.

Dziewczę zerknęło nań, i nieuleknione mówiło dalej:

— Chwalić Boga i was, naszego pana, teraz na Ukrainie spokój, rola czarna dobrze rodzi, grad nie bije, susza nie wypala, chleba mamy... czego więc pragnąć?

— No, a jak przyjdzie jesień — dodał król — obżynki, zabawy wiejskie, tańce, ładne chłopcy...

Natalka oczy spuściła, jedną rękę dobyte z za siebie i poczęła nią męczyć fartuszek kołnierza.

— E, co ma być! mruknęła; my tam nie żyjemy z tutejszymi ludźmi. Obżynki i nas ciche, a cała za-

bawa, gdy się wyśpicwa; u nas dla chłopców wrota zaparte.

— U nas wara komu postać! dorzuciła Sydorowa: mój stary ludzi nie lubi.

— Ale młodym się zabawić, poruszać, i poskakać, i pośmiać potrzeba, rzekł król.

— Chwalić Boga, moja donia natury téj nie ma, mówiła za córkę Sydorowa. My donia siedzieć lubimy, i niełatwo się z kim wdajemy.

Machnęła ręką. Natalka mlezała, ale z królem rozmawiała oczyma ogniście. Widocznie majestat pański i uśmiech ujmujący chwyciły ją za serce; rola może Bóg wie co. Król! jakież to słowo, pełne znaczenia dla prostego dziewczęcia, które w swój krasie po biblijnem sądziło się godnym tronu, gdyby owa pokłosnica szczęśliwa.

— A jakże dni płyną? zapytał król łagodnie. Nie nudno wam?

— Jest dużo do roboty, odparła Natalka; bo ja ogród i kwiatki hardzo lubię.

— I sama jesteś jak kwiatek! szepnął stary księciem, wzdychając.

Z radości dziewczę się zarumienilo. Szydłowski, który oczy napast, rozmowy nie hardzo był ciekaw, a królowi, wiedział, że tém dogodzi— wstał z krzeselka i powoli wysunął się za drzwi. Mrugnął od progu na matkę, ażeby za nim wyszła, przekonany, że sam na sam z Natalką rozmowa pójdzie rażniej najj. paun; lecz Sydorowa tego zrozumieć nie chciała i nie ruszyła się z pod pieca.

Natalka nieco po jego wyjściu śmielszą się stała. Od pieca postąpiła kroków parę. Król dał znak, ażeby

przybliżyła się ku niemu. Szukał czegoś w kieszeni. Dziewczę oparło się rączką jedną o stół i pochyliło nieco. Poniatowski popatrzał na tę rękę mało co opaloną, pięknego kształtu, czystą, niewielką, i oczu od niej oderwać nie mógł. Zkąd taka ręka wzięła się w pokoleniu, co pracowało od wieka?

Wszystko w niej było tajemnicą.

— Powiedzieć mi — rozpoczął po chwili — czyście wy tutejsi?

Sydorowa i córka jej potrzęsły głowami.

— A zkąd? spytał gość.

Kobiety spojrzały po sobie i zamilkły.

— My nie tutejsze... poczęła Natalka, która ręki nie mogąc utrzymać w spokoju, to fartuszek męczyła, to stół skrobala bezmyślnie. Ojciec tu przywędrował z daleka, ale to nie nasza rzecz pytać, zkąd? kiedy nam o tém nie mówi. My nie wiemy. Jam się tu rodziła i Dniepr kochem jak ojca.

— A!... uśmiechnął się król. I pewniebyś krasawico całe życie pragnęła zostać nad jego brzegami?

Dziewczyzna westchnęła.

— Albo to dola nasza? poczęła śmiało. My to wiemy z pieśni, że gdy wybije godzina, biorą nas od rodzonych, od ojca i matki, a niewolnica musi iść gdzie ją nowy pan prowadzi.

Wyniówła to z pewną smutną egzaltacją, tak, że król mocno się zadumał.

— *Où le sentiment rat-il se nicher?* zapytał w duchu sam siebie po francuzku, bo gdy myślał i mówił sam z sobą, innego języka nie używał.

Natalka spoglądała nań i uśmiechała się. Stary był oczarowany, czuł, że mu tu nazbyt długo pozostać nie wypada, a oderwać się nie mógł od tej czar-

dziejki. Ona tak ciekawie rozpatrywała się w króla, jak on w nią. W oko jej wpadła ręka pańska, jakby z kości słoniowej utoczona, i pytała w duchu siebie: „Jak mężczyzna może mieć taką rękę niewieścią?” Gdyby go знаła lepiej, mogłaby była zapytać jeszcze: „Jak mąż może mieć takie serce kobiece?”

Żaden szczegół stroju nie uszedł jej wejrzenia, żaden pęknięty bielizny peruki. Rzeczłaby, że chciała odgadnąć myśl, co pod tym czołem białym w tej chwili się wila.

Król był zakłopotany. Drugą ręką od dawna szukał czegoś w kieszeni, i nareszcie dobył sznur koralu — już drugi — i położył go przed Natalką na stole.

Dziewczę popatrzało nań, ręką wzięło za te, które miało na szyi, potrząsając nimi, jakby powiedzieć chciało: „Mam ich dosyć,” jakby dawało zrozumieć, że się czegoś innego spodziewało.

— Nie zawadzi i ten drugi sznur na pamiątkę.

Sydorowa szeptała:

— W ręce króla pocałuj i podziękuj.

— A pewnie, że dziękuję... odezwalo się dziewczę z jakąś dumą. Ale po co mnie te dary? Ja tego nie potrzebuję. Wy jesteście królem, kolo was się tam dużo takich zwiija, co są na to lakoni, a Natalka Bondarywna ma tego dosyć, o! aż nadto! Do kogo się tu stroić, kiedy chyba Zabój i stary Krywonogi mnie zobaczy.

Ruszyła ramionami.

Nagle myśl jej przyszła jakaś. Pobieгла do hodni zamkniętej, która stała w kącie, otworzyła ją pośpiesznie, rzuciła pokrywę na ziemię i kożuch, co był na wierzchu, dobyła chustę zawiązaną, i przybiegłszy do

króla, rozplątała ją na stole, patrząc nań, jakby go zdunnieć chciała.

Chusta pełna była jakichś klejnotów, razem zsypanych, jak garniec grochu. Sznury koralu, bursztynu, krzyżyki, medale złote, pierścienie staroświeckie, naszyjniki bogate, kolce z kamieniami, wszystkiego tam było pełno.

W istocie zdziwiony król spojrzal i zawstydzil się swego ubożego sznurka koralu; twarz mu pokraśniała. Niejedna z bogatych pań jego dworu nie miała tyle i tak drogich rzeczy.

Zkąd się to mogło wziąć w tej chacie kozaczęj na chutorze?

Król patrzył długo i myślał. Spocępniał nawet. Mimowolnie przyszło mu na myśl, że taki zamożny, choć prosty kozak, niełatwoby był wszelkić pokusie przystępny.

Machinalnie wśród tego mnóstwa błyskotek, król spostrzegłszy pierścień staroświecki z krwawnikiem, ujął go i do światła obróciwszy, zobaczył na nim herb Dębno.

Sydlorowa w czasie tej sceny pobladła była, i niepokojna zbliżyła się do stołu. Gdy król pierścień wrzucił nazad w chustkę, pośpieszyła ją co prędzej związać, gniewnie prawie rzuciwszy okiem na córkę, i co rychlęj chustkę do bodni nazad odniosła.

— Zkądże to takie precyoza?... zapytał król po ciem.

— E, co tam dziwnego! szybko zaczęła Bondarowa. Zwyczajnie na Ukrainie... po jarmarkach u Żydzisków wszystkiego dostać można, a Sydlor ciekawy i dla córki to lat dwadzieścia zbierał może.

Król pokręcił głową. Natalka tymczasem jego sznur



korali, stanawszy przed ścianą, na której był kawalek zwierciadła, przywiązywała sobie pod szyją.

— Oczywista rzecz — po cichu dodał Poniatowski — że moje korale dla takiej krasawicy bogatej nie przystały. Chodźże tu, moja panno!

W głosie króla slychać było drżenie. Na piątym palcu lewój ręki miał pierścionek z soliterem, pamiątkę, nie wiem już czyją. Zdjął go powoli, popatrzał nań, westchnął. Natalka śmiało do niego przystąpiła.

— Rękę mi daj waćpanna! rzekł głosem drżącym.

Pierścionek błyskał jak oko szatana i iskrzył się do niej. Sama nie wiedząc co czyni, Natalka przyklekła przed królem, który na palec włożył jej solitera.

Z blizka tak spojrzeli sobie oko w oko. Pobladał stary, wzruszony; dziewczęę pokraśniało.

— Jam stary — rzekł Poniatowski żywo — mógłbym być ojcem twoim, więc mi wolno...

I nie pytając o pozwolenie, schylił się, na czole dziewczyny składając weale nie rodzicielski pocałunek. Natalki twarz jakby krwią się oblała, chwyciła gwałtownie rękę pana i przycisnęła do niej usta gorące.

W tej chwili twarz królewska zmieniła się jakby czarem; wystąpił rumieniec na nią. Zaczął drżeć, powstał z ławy, oczyma obląkanemi potoczył po izbie, jakby przeciwko sobie samemu szukając ratunku. Dziewczę jeszcze jego białą rękę trzymało.

Z lekka wyrwał ją król, patrząc na nią, i szepnął cicho:

— Do widzenia.

Ale głosu mu prawie brakło. Dziewczę spojrzało mu w oczy.



— Starosto! odczywał się Poniatowski głośniej, jakby wzywał ratunku.

Szydłowski się pokazał w progu, a Natalka powoli nastąpiła. Sydorowa stała pod piecem ciągle, oczyma wodząc przestraszonemi, bo się lękała wzroku męża.

Król żegnał się już i wychodził z chaty, nie mogąc znaleźć do drzwi drogi, tak był pomieszany. Dziewczę szło za nim.

Przez dziurkę we drzwiach, pani Mniszechowa, przytłumiona do nich, widziała wszystko.

Gdy król wyszedł na świeże powietrze, odetchnął, był milezący i zamysłony. U progu stał Sydor z założonemi rękami; do niego się obrócił.

— Bóg zapłać za gościnę! rzekł. A jeślibyście czego od króla waszego żądali, powiedziecie, uczyni to chętnie.

Kozak jakby się lękał za uadto powiedzieć, głową tylko potrząsł i ust nie otworzył, a Poniatowski też nie czekając odpowiedzi, spojrzawszy na zegarek, który miał w guzika na rękawie, zawołał:

— Kresy z Warszawy nadejść musiały. Szydłowski, pośpieszajmy.

Krok w krok za nimi idąc Sydor i naszczekujący pies, odprowadzili ich aż do wrot, które kozak z taką siłą zatrzasał, że się w kawalki rozleciały, ale nikt nie zważał na to.

Postal Bondar chwilę, patrząc na odchodzących, i na podwórzu powrócił.

W chacie z alkierza właśnie się dobywała po przydługiej niewoli pani Mniszechowa, otrząsając suknię ponieżytą. Dwaj satellici jój opatrywali fraki i poprawiali fryzury.

Oprócz siostrzenicy królewskiej, nikt sceny z Bondarywną nie widział, nikt rozmowy nie słyszał.

Pod wrażeniem jęj wybiegła z chaty marszałkowa, zarumieniona, ożywiona wielce. W przechodzie popatrzała z zajęciem na Natalkę, która w sobie cała, mało na nią zwracała uwagi, — i pośpieszyła ku wrotom.

Sydor nawet na nich nie spojrział, padł zaraz na przyzbę, podparł się na rękę i dumał. Natalka stała pod piecem, przyglądając się pierścionkowi na palcu. Obracała go różnie do światła... błyszczał jęj jak królewskie wejrzenie.

Matka się do nięj zbliżyła po ciem.

— A co baćko powie? szepnęła.

Jakby przebudzona Natalka, z przestraceniem na nią popatrzała.

— Zrzucć i schowaj! rzekła stara.

— O, nigdy w świecie! nigdy! gorąco odparła dziewczyna. Król mi go włożył na palec! Nigdy!

— Ojciec ci go razem z palcem wyrwać gotów! zawołała matka przelekła.

Natalka się zamysliła, i wnet rozdarszy fartuch, paskiem białego płótna mileząc palec obwinęła.

— Ja z nim umrę! szepnęła po rusku, i nie wiedzieć dla czego, lzy się jęj z oczu puściły. Siadła pod piecem i płakała długo, a Sydor sumował przed chatą, a matka dumiała, stojąc u ognia i brodę podpartszy na rękę, ani widziała, jak szumowiny z garnków w ogień sycząc płynęły.

---

Za panowania Stanisława Augusta, szambelanów jego kr. mości było więcej niż wszelkich innych dworskich dygnitarzy. Tym samym tytułem król obdarzał wielu niewynagajających biedaków, co się do niego po jakieś odznaczenie cisnęli. Czynnych szambelanów było przy nim kilku, a honorowi siedzieli po wsiach, nasycając się kopertą.

Miło było szambelanem się zwać i klucz nosić, choć nie nie otwierał. Za przybyciem do stolicy, ułatwiał to przystęp do najj. pana i pewne stosunki.

W sąsiedztwie Wiśniowca mieszkał jeden taki szambelan *in partibus*, pan Koronat Ostoja Rzesiński.

Był to stary kawaler, człowiek majątny, a że wiecej nie grosza żadnym magnatom pożyczał często po kilka tysięcy złotych, więc pan marszałek Mniszech, wdzięczny za jedną taką przysługę, szambelanem go kreował.

Rzesiński był niezmierniej ambicyi człowiekiem. Do szambelaniaństwa brakło mu orderu, a choć mu się to na nie nie zdało, aspirował też choćby do drażkowej kasztelanii.

Dla czego jęj pragnął, co mu przyszło z szambelaniaństwa, na co mu był order, tego pewnie jasno sam sobie nie umiał wytłómaczyć; lecz rozbudzona ambicya pchała go w tym kierunku.

Z początku robiło się to — dla koperty; później — dla nagrobka. Dobrze było choć na kamieniu w kościele stawieć się jako Koronat Ostoja z Rzesina na Walech Krasnych Rzesińskim, Szambelanem J. K. Mości, S. Stanisława Kawalerem i — ewentualnie — Kasztelanem jakimś tam. Dochodów z kasztelanii nie potrzebował, miał bowiem więcej daleko, niż zjeść, wypić, wyczęstować nawet zdołał; lecz są w człowieku

niebezpieczne żyłki, które gdy raz drgać zaczną, już mu do grobu spoczyku nie dają.

Rzesiński w obec wielkich układając się do niesłychanej pokory, bo marszałka w łokieć całował, z niższymi się dał niepomieranie. Z szambelaństwa jego jakoś się uśmiechano; potrzeba mu było więcej daleko...

— Bądź co bądź, na swoim postawie! mówił sam do siebie. Niech kosztuje co chce! niech...

Nie kończył.

Dowiedziawszy się, że król miał być w Kaniowie, Rzesiński spać nie mógł.

— Tandem do Kaniowa, trzeba submittować się majestatowi! nieodmiennie powtarzał sobie.

Napisał o tém do Muiszela, ale marszałka w domu nie było, bo albo w Kijowie, albo w Kaniowie przesiadywał.

— Marszałek zbyt zajęty — rzekł w duchu — a moją dobrodziejką marszałkówną, na téj polegać mogę; do niej się udać potrzeba. Na Święty Jan potrzebują, jak mi mówił rzadea, trzech tysięcy czerwonych złotych; pożyczę im cztery i to na pięć procentów! A musi mi ułatwić to, ażeby order dostał. Wszyscy go już mają! gorszym mam być od drugich? Kpi ze mnie lada S... albo M.... Choćby mię to nie wiem ile kosztować miało... choćby głupstwo musiał uczynić — na swoim postawie!

Pięścią w stolik uderzył, i list stylizował dwa dni do marszałkówny, assumpt biorąc z tego, iż trzy tysiące czerwonych złotych na Św. Jan dać obiecywał. Szło o to, aby zrzęcznie dać uczuć marszałkówny, czém mu odslużyć może.

List zawierał interes, insynuacja nieściła się w *post scriptum*. Na nie wysilił się pan Ostoja Rzesiński,

wyrażając, iż mu do szczęścia potrzeba téj oznaki łaski pańskiej.

List dwa razy przepisany, z powodu, iż raz na nim żyda zrobił, a drugi raz omyłkę, której brzytwą wy-skrobać nie mógł, bo aż dziurę w papierze wyrwał — zapieczętował sygnetem rodzinnym Rześniński i wyprawił przez hajduka.

Oczekiwanie było długie i utrapione. Hajduk w ostatku powrócił z tak nieczytelną karteczką pani Mniszchowej, iż Rześniński jęj ani wydecyfrować, ani zrozumieć nie mógł. W dodatku pani marszałkowa, zapomniawszy się, połowę tego liściku napisała po francuzku, a szambelan Rześniński z tego języka oprócz *mąsje* i *adje*, nie rozumiał.

Czy mu obiecywała, czy odmawiała, czy odkładała, odgadnąć było niepodobna. Z listem poszedł do proboszcza, który reputowany był jako człowiek uczony. Ten włożył okulary, dostał dykeyonarz Troca ku pomocy, silili się dwa dni, i sumienny duchowny z westchnieniem przyznać musiał, iż grube ma wątpliwości co do znaczenia listu. Niektóre wyrazy, przez marszałkową rzucane na papier bez ceremonij ortograficznych, w ogromnym Trocu się nie znalazły.

Rześniński gorączki dostał. Myślał noc całą.

— Ale czego tu sobie głowę łamać? rzekł nadejściem — po co? Korona z głowy nie spadnie, choćby mię w tym zamęcie kaniowskiem nieszczególnie przyjęto. Jako szambelan do króla się docisnę, marszałkowa dla summy świętojańskiej widzieć się ze mną musi, tam się wszystko wyjaśni i rozwiąże. Przez posły wiłk nie tyje.

*Dictum, factum!* — Nazajutrz musztardowy koczyk sposobiono do drogi, najlepsze konie i liberyę nową.

Dla prozopopei na wózku węgierskim jechało pachole, *culgo* zwane kneheikiem. Na koźle koczła Jerzy, lokaj, który tę jedną miał wadę, że pił dużo, i napiwszy się, spał jak kamień, jechał w liberyi i płaszczu paradnym. Do trzosa szambelan na nieprzewidziane wydatki włożył najprzód trzysta czerwonych złotych, potem dołożył dwieście, a na ostatku zmienił go na szkatułkę, którą w nogach w powozie postawiono, i zabrał w niej tysiąc.

Mówiono mu coś o staroście piaseczyńskim, że i przez niego się takie interesa robily; więc gdyby zawiodła marszałkowa...

Rzesiński chrząkaniem kończył.

Gdy się to działo, szambelan miał lat z okładem pięćdziesiąt i nie był wcale zakonserwowany. Chętnie całe życie, w tym wieku był już nieco pochyłony, trochę pomarszczony, na lewe oko nie dowidział i na lewe ucho nie dosłyszał. Sapka go też jakaś męczyła, niepowabny był — lecz wszystko wąż śliczny naprawiał.

Wąż ten szambelana był po części jego niepowodzenia przyczyną. Był to wąż, którym Rzesiński się chlubił całe życie, dopóki nie dostał szambelaństwa, wąż, jakiego nikt nie miał, wąż, okręcać się dający dwa razy za ucho, bujny, równy, wspinały, pyszny. Gdyby nie żał po tym przyjacielu młodości, szambelanby się był dawno przebrał po francuzku — wiedział o tem dobrze, że toby mu było niesłychanie do kresewitywy pomogło. Król Stanisław August stroju polskiego nie lubił, miał go za barbarzyński; szambelani w tym ubiorze musieli się chować po kątach. Rzesiński po francuzku był daleko więcej wart, ale z owym wężem, który miał sławę ogólną, który był znany, można po-

wiedzieć, historyczny, rozstać się... ciężko mi było. Złożyłby go na ofiarę mamonie, lecz chyba za kasztełański drażek.

Tymczasem z pewną czcią się z nim obchodził.

Droga z Wałów Krasnych do Kaniowa dosyć poszła szczęśliwie. Rozbijano wówczas na gościńcu i parę się przypadków trafiło, lecz koczyk szambelana uniknął nieprzyjemnego spotkania, a z nim i szkatulka.

W Kaniowie u chłopca na przedmieściu musiał się szambelan pomieścić, koczyk na podwórzu, konie przy żłobie z worowiną na drążkach.

Zajęte były stajnie, chlewy, budy, domki, chaty, i Rzeziński się za szczęśliwego nważał, że mu w głównej izbie tlomok rozpakować dozwolono i siana przynieść na pościel. Wprawdzie dwoje dzieci małych było w chacie, a dwoje gorszych nad nie wyrostków, wprawdzie myszy pod poduszką nocą odbywały sejmiki — lecz czegoż się dla miłości koperty i nagrobka nie znieść!

Nazajutrz po przybyciu, z wąsem do parady, karabelą u pasa, w nowym kontuszu i żupanie, poszedł szambelan do marszałkowskiej; a trafiło się tak dziwnie, osobliwie jakoś niespodzianie szczęśliwie, że do dworku, zajmowanego przez nią, dochodził właśnie, gdy pani Mniszechowa towarzyszków swój wycieczki posławszy po drodze, sama jedna biegła przemienić strój ramy.

Niezmiernie przejęta jeszcze tém, co widziała i słyszała, szła pani Mniszechowa zamysłona, nie patrząc i nie widząc nic, gdy szambelan, który czapkę zdjął o staję, zbliżył się, nisko się klaniając.

Lecz uklonił się tak nisko, że spostrzegłszy przed sobą tylko głowę i część pleców, pani go poznać nie



mogła i nastraszyła się. Dopiero go sobie po wąsach przypomniła.

— A, szambelan! zawołała: jakże się pan ma? co pan tu robi?... Proszę! i pan w Kaniowie!

Nicco przekąsu było w tém: „i pan w Kaniowie,” lecz szambelan był w tém położeniu, że wszystko pomylił. Pani marszałkowa zatrzymała się, nie wiedząc co jej przyszło do głowy. Trudno, tyle mając do czynienia, wśród takiego zamętu, bawić się z panem Rzesińskim, niemniejącym po francuzku i mającym śmieszne wąsy. Było to w tradycjach wiśniowieckich, że szambelan na pokoje i do stołu przychodził, lecz się z nim nie zabawiano, a interesa z nim odbywały się albo przez plenipotentą, albo przez Grzybosię.

Grzybosia była jakby stworzona dla szambelana; miała nawet jakiś czas nadzieję... ale... rozchwiało się to.

Po obiedzie w Wiśniowie, Rzesiński zwykle chodził do Grzybowskićj, i na gawędę przy dobrej kawie czas u niej spędzał. Robił jej małe podarunczki, a Grzybosia mu się podejmowała interesów u marszałkowćj. Na prawdę, jej może był winien przypilnowanie tego szambelaństwa.

Marszałkowćj było pilno, bardzo pilno; ale nie chciała zrazić szlachcica, który na Święty Jan miał dać kilka tysięcy czerwonych złotych.

— A, mój drogi panie szambelanie! odezwiała się z trwogą, oglądając się i niecierpliwie poprawując stroju: mój szambelanie najdroższy! jeżeli macie jakie interesa, czego się domyślam, zaklinam cię, przez Grzybosię! Technąć, zjeść czasu nie mam! upadam, czuję się chora!



— Pani marszałkowo dobrodziejko! poczał żywo Rzeșiński: w łasec jěj nadzieja moja. Z nadzieją tu przybywam... interes życia lub śmierci... ostatni... jedyny... na sercu mi leżący mam...

Marszałkowa się przestraszyła. Szlachciec był potrzebny; uśmiechnęła mu się i małą rączkę podała.

— Kochany szambelanie! ja i mój mąż zrobimy wszystko, wszystko, co tylko można, ale mówcie z Grzybosią; ona mi przyponmi, ona dopilnuje; ja tyle, tyle swoich i cudzych rzeczy mam na głowie!...

Spojrzał jěj w oczy; uśmiechała mu się wielce łaskawie.

— Więc słucham rozkazów. Pomówię z panną Grzybowską; ale łasec jěj siebie polecam. O najdroższą rzecz, o honor mój chodzi.

I czapkę ująwszy obróć, szambelan przycisnął ją do piersi, oczy wznosząc ku niebu. Gdy je znowu ku ziemi spuścił, pani marszałkowej już nie było, tylko kraj jěj szaty mignął mu we drzwiach, które się przed nosem jego zamknęły.

Wyszukać pannę Grzybowską było zadaniem chwili. W pół godziny, odprawiony razy kilka przez niedosyć grzeczne sługi, szambelan się dobił do pokoiku stariej swjej znajomej.

Mocno ją przybyciem swém zawstydził, gdyż była nienubrana i bez fryzury; wygiądała tego dnia okropnie, a pokój, w którym klientów przyjmować była zmuszona, tak był pełen i zastawiony pudełkami różnego kalibru, iż ani w nim sięść, ani wygodnie się rozmówić nie było podobna. Już miała wypełnać natręta pauna Grzybowska, gdy po wąsach poznała swojego starego znajomego i przyjaciela.

— Niechże się pani ze mną; nie żenuje! zawołał

szambelan. Pani marszałkowa mnie tu przysyła; mam bardzo coś ważnego do zakomunikowania. Na miłosierdzie boże, wysłuchaj mnie pani; umyślnie przybyłem z temi do Kaniowa.

— Ale gdzież? jak? ani sięś, ani się obrócić! Pan nie wiesz, co się tu dzieje. Do góry nogami wszystko!

— Nicci się dzieje co chce! przerwał szambelan— a pani musisz mnie wysłuchać.

Szambelan tak jakoś wymownie spojrział, tak blagajaco, że Grzybosią na łóżku siadła zrezygnowana, a jedyny stolec wskazała panu Rzesińskiemu, zdjawszy z niego jakieś graty, które rzuciła na ziemię.

— Siadajże pan... już Rózia pójdzie panią ubierać... i mów, słucham.

Szambelan się obejrzał, przysunął, począł szeptać coś do ucha. Grzybowska z miną protektorki słuchała; nagle czolo się jej zaczęło rozpromieniać, oczy błysły, w dłonie klasnęła i podskoczyła na łóżku.

— Pan jesteś w istocie szczęśliwym człowiekiem, rzekła: boś przybył w taką godzinę!

Szambelan aż się uśmiechnął.

— Wszystko możesz mieć, co chcesz!

— Wszystko! zawołał uszczęśliwiony Rzesiński.

— Wszystko... Ale, ale—dodała, patrząc mu w oczy Grzybowska—nim kto tego szczęścia nie pochwyci, należy się decydować prędko.

— Na co? na co? podchwycił szambelan.

Panna Grzybowska nagle spoważniała. Pierścionek, który miała na palen, zaczęła obracać. Namysłala się widocznie, jak powiedzieć, o co chodziło.

— Potrzeba się ożenić, panie szambelanie! wziąć żonę piękną jak anioł... no...

Rzesiński spojrział trochę wylekły.

— Nie rozumiem, bąknął; jak mi Bóg miły, nie rozumiem.

— E, co ja będę w bawelnę obwijala! zawołała Grzybowska. Jest pewna osoba, która się królowi podobala... podobno nie szlachcianka, pono nieosobliwego wychowania, ale nadzwyczajnej piękności. Gdybyś się pan z nią ożenił, będziesz przez nią miał i Św. Stanisława, i Orla, i kasztelanę...

Szambelan osłupiał.

— Tak, tak! szepnął jakby sam do siebie: mogę mieć wszystko, ale...

Grzybowska oczyma odpowiedziała.

— Dyabła sprawa! trac czoło i wąża targając, rzekł szambelan. To potrzebuje namysłu.

— A tymczasem ją kto inny pochwyci! zawołała Grzybowska. Zmiluj się, panie szambelanie, co tu się namyslać! Albo to co tak osobliwszego? Chleb powszedni! My to najlepiej wiemy, co żyjemy na dworze, iż się ludzie dla siebie nie żenią. Zresztą, gdyby to szło o kogo innego... ale dla naszego drogiego króla!

— To prawda, dla króla! powtórzył szambelan: jest racya!

— A ja panu powiem więcej, szepnęła Grzybowska: że to tylko pozory będą. Król stary, to stworzenie młode, on jeno dla oczu i dla niewinnej rozrywki mógłby pragnąć ją widywać. Nie w tém zlego...

— Gadaniny!... rzekł szambelan.

— A na kogoż nie gadają! ramionami ruszając, rzekła Grzybowska. Na to zważać nie należy. Spojrzawszy na pana, zaraz mi to na myśl przyszło. Kandydatów będzie mnóstwo... ja to dla pana uczynić mogę, że mu pierwszeństwo dane będzie.

Szambelan się skłonił, lecz irasobliwie spoglądał.

Grzybowska wstała z łóżka.

— Nie mam czasu, zawołała: możesz się pan namyśleć... ja muszę biec do mojej marszałkowej.

To mówiąc, Grzybosią zakręciła się... szambelan jeszcze stał.

— Do zobaczenia, rzekła: przyjdź pan wieczorem... muszę iść...

I wyrwała się żwawo przez sić do swej pani. Biegła tak, jakby ją co gonilo, i śmiała się sama do siebie.

Marszałkowa siedziała, ubierając się do obiadu, przed zwierciadłem. Fryzura już była gotowa. Róża suknię trzymała; Grzybosią jej z rąk ją wyrwała.

— Idź, ja już resztę zrobię sama.

Ledwie się drzwi za wychodzącą zamknęły, Grzybosią zawołała, nie mogąc wytrzymać:

— Paniuńcin! ze złotą myślą biegnę. Jak Boga kocham, warta jestem medalu złotego jak jaki Poczebuti lub Kopezyński. Szambelana ożenimy z Bondarywną, i pójdzie sobie na wieś, a ona do Warszawy!...

Marszałkowa aż krzyknęła z podziwu.

— Co ci się dzieje?

— A dla czegożby nie? Dla orderu zrobi co mu każą. Ożeniłby się nawet ze mną, słowo pani daję!

— Tak, ale nie z prostą dziewczką ukraińską!

— Która się królowi podobala, dodała panna Grzybowska.

I po eichu dokończyła:

— A ta wielka pani, co ją to Boscamp wywiózł z Konstantynopola, cóż miała więcej nad cudowne czarne oczy? Jak Boga kocham, to najlepsze szlachectwo. Rączka i nóżka stanie za wychowanie, uśmiech za dowcip, a stanik za rozum...

Marszałkowa westchnęła i uśmiechnęła się razem.

— Na nezeiwość, masz rację, Grzybosiu.

— Alboż nie tak na świecie? paplala stara panna, podając suknię pani. Będzie Bondarywna taką szambelanową co się zowie, i ludzie dla niej poszaleją! Nauczy się siedzieć, krygować się, nsteczka sznurować, główką kręcić, i to jój starczy... byle czarne oczka nie zgasły...

— Byle ona za niego poszła...

— A co on ją obelodzi? zawolala Grzybowska, ciągle szybko papląc, mimo że w ustach kilka szpilek trzymała. Dziewczyzna, słysząc, rozumna.

— O, nieglapia! powtórzyła pani Mniszeliowa.

— Ale zkadże ci ta myśl?

— Albo ja wiem! dodała, śmiejąc się, a ciągle spinając suknię, zręczna Grzybosią. Wyrażne natelnienie... jak błyskawica mi to zaświeciło i wnet przybiegłam.

— Mówiłaś mi?

— Ogólnie, ale nie wie o kim. Reszta należy do pani. I ja się też przydam na coś, dodała dumnie. Królowi, gdy o czém zamarzy, żadna ofiara nie ciężka; a co go to kosztować będzie dać krzyż i kasztelanie taką, której na świecie nie ma.

Rozmowa w jakiś szept cichy się zmieniła.

Szambelan tymczasem powracał do domu, a raczęj do chaty, bo tego dnia królowi przedstawić się nie mógł. Szedł tak zamyślony, że nie przed sobą nie widział. Spadło to na niego niespodzianie, dziwnie, i nie mógł jeszcze po propozycyi Grzybowskićj przyjść do siebie.

Rzesiński stanu małżeńskiego w ogóle nie był zwoleńnikiem, unikał go przez całe życie; zdalo mu się, że murze spokojnie z kopertą i nagrobkiem, nie dopuściwszy, aby mu kto w domu bróździł i dzielił z nim wła-

dzę. Nagle zmieniło się wszystko; miał się, musiał się ożenić, i to w tak osobliwych warunkach!

Myślał głęboko, wzdychał ciężko i pot z czoła ocierał.

„Tandem, awantura babilońska!” powtarzał wedle zwyczaju, gdyż u niego awanturą babilońską zwało się wszystko dziwne i niespodziane.

Z jednej strony były owe nader drażliwe warunki, z drugiej tytuł kawalera orderu i kasztelania.

— Te szelmy się powściekają z zazdrości! mówią do siebie. Będą plekli, ale będą się jedli z zawiści. \*Co oni mogą wiedzieć: jak, kiedy, dla czego się ożeniłem? A mozem się zakochać... albo to, albo owo... co komu do tego! A przywilej czarno na białym, to fakt. I ja podpisuję się...

To mu się uśmiechało.

Wracając do domu, całe musiał miasteczko przechodzić. Była to chwila, gdy w nim największy ruch panował. Jak w stolicy, krążyły karety, konni na dzielnych uwijali się wierzchowcach, gwardyacy i kawalerya narodowa. Niektórzy dygnitarze pieszo też w orderach szli na królewskie pokoje, inni wyglądali z okien karek.

Szambelan na bok nieco ustąpiwszy, patrzył.

— Jutro i ja takim być mogę, mówił w duchu. Alboż nie? A wstęga mi będzie tak dobrze do twarzy, jak i tym.

Wtém zapatrzywszy się przed siebie, nie postrzegł, jak go z boku idący słasznego wzrostu drab potrafił. Ten także z ironicznym uśmiechem przyglądał się jadącemu i idącemu.

Był to Sydor Bondar, który sam nie wiedząc czego,

w jednćj koszuli, bótach i choloszniach, podpasany pasem zielonym, w baranićj czapce, z fajką w zębach, chodził po miasteczku i wzrok nasyczał nienawistnym sobie widokiem.

Szambelan obrażony nieźmiernie, że go takie jakieś potrąciło chłopisko, ofuknął go. Sydor nań spojrział z góry, pogardliwie.

— Co to ty jakiś, nie widzisz, że ja idę? gdzie masz oczy? krzyknął Rześniński.

Sydor stanął. Zapalały mu źrenice złowrogim ogniem i odezwał się czysto po polsku:

— A tyś gdzie swoje podział?

W szambelanie zakipiało.

— Patrzcie go, ryzma jakiegoś! poczał głosem drżącym. Chłopisko to śnie jeszcze...

Sydor poczał się śmiać. Śniecieh to był niezdrowy, straszny, przejmujący; dźwięczało w nim groźbą i wzgardą. Szcześnie nikogo w pobliżu nie było. Bondar pięścią pogroził.

— Ej, wy! zawołał: ej, wy! Wam to wolno wszystko, a nam tylko z drogi ustępować przed wami. Dlatego, żem ja w koszuli, a ty w atlasie, ma ci być dopuszczono pechać i lajać, mnie milczeć! A wieszże ty, ktom ja?

— Cham! zawołał szambelan w gniewie.

Sydorowi twarz zapłonęła krwią, i znówu na tego chud rlawego popatrzawszy szlachcica, śniał się, aż mu ramiona się trzęsły.

Szambelan żałował, że go zaczepił, ale odejść nie mógł. Wstyd mu było pobitym uchodzić.

— Nie widziałeś nune nigdy na oczy — poczał nagle Sydor, zbliżywszy się — i pewnie drugi raz mnie nie zo-



haeczysz. Otoż ci powiem, ty... jakiś... żem taki dobry szlachcie jak ty, a może i lepszy.

Pięścią mu pod nosem pogroził i oddalił się śpiesznie.

I polszczyzna, i mowa, i luta zdawały się w istocie dowodzić szlachcie; ale strój i postawa chłopowi przystały chyła.

Rzeziński stał długo, nim ochłonął, i patrzył za odchodzącym. Sydor się już na niego nie obejrzał.

— Cóż to u dyaska za tajemnica! szepnął po cichu. W złą godzinę z domu ruszyłem. Grzybowska mnie żeni dla królewskiej zabawki. Chłop mnie popycha i łaje, dowodząc, że szlachcie. Marszałkowa dołrego słowa mi nie dała i ogonem od sukni pożegnała. Było po co jechać do tego Kaniowa, koniska męczyć, kości stare trząść i tyle pieniędzy puścić w drogę!

Dumał tak jeszcze, gdy obok głos posłyszał:

— A co tu szambelanie robisz?

Złakł się i za czapkę instynktowo pochwycił. Głos był pański. Obejrzał się: przed nim stał starosta mielnicki, podparty na lasce.

Znał go z Wiśniowca, i miał to szczęście, że się z jego wásów nieustannie Szydłowski naśmiewał. Byli razem u Mniszechów w słotną porę dui kilka, i wasy Rzezińskiego za zabawkę służyły.

— Co asindziej tu robisz? powtórzył starosta.

— Ja?...

Rzeziński spowiadać się nie mógł i nie chciał.

— Po drodze, po drodze... bąknął.

— Dokądże? do Kijowa chyba? do księcia Potemkina? z wasami! szydersko rzekł Szydłowski. Zdrada kraju, takie piękne wasy z niego wywozić.

— A kiedy ich doma nie szacują, odparł żartobli-



wie szambelan. Gdzieindziej jużbym za nie dostał co... jaką dystynkeję... a u nas...

Dokończył ruszeniem ramion.

— Szambelsiu kochany, masz słuszość. U nas rodzimych talentów cenić nie umieją. Było prawo, że kto dał krajowi dwunastu synów, dostawał starostwo, jako *panis bene merentium*, a kto się takich wásów dohodował, też coś wart.

Szambelan swoje pokręcił.

— Panie starosto—rzekł—polecam się jego protekcyi.

— Za powrotem do Warszawy—dodał Szydłowski—musimy wskrzesić Rzeczpospolitą Babińską, a jegomości w niej niezyniny wielkim Wąsowniczym.

To mówiąc, skłonił się, i śmiejąc się jeszcze, poszedł dalej, a Rzeziński do chaty.

---

Stary pałac w Wiśniowen był prawdziwie pańską rezydencyą, pełną odwiecznych pamiątek i mogącą do siebie szczęśliwego posiadacza przywiązać. Wspomnienia w nim spotykały się na każdym kroku, chlubne dla rodziny, smutne razem, ale o potędze świadczące. Wszystko, czego mógł żądać magnat, mieszkający na wsi, posiadał Wiśniowiec: obrazy, bibliotekę, sale ogromne, teatrzyk nawet, niegdyś urządzony na przyjazd najj. pana. Były pokoje dla małego towarzystwa i na przyjęcie choćby pamiątecz.

Mimo to już od dwóch pokoleń Wiśniowiec był nieco zaniedbany. Utrzymanie gmachu, służby przy nim, stosownego dworu, wymagało zbyt wiele, a państwo marszałkowstwo nie w najlepszych byli interesach.

Któż w kraju naówczas inaczej gospodarował? Wydawano ogromnie, nad siłę, robiono długi, a starając się dawny blask utrzymać, pożyczano u jednych, by oddać drugim, frymarczono dobrami, sprzedawano i zastawiano folwarki.

Państwo marszałkowsko, a szczególnie sama pani, choć nowy i wspaniały park zakłada w Łozach, nieopodal od Wiśniowca, choć czasem tam na willegiaturze, zabrawszy z sobą parę osób z Warszawy, bawiła po kilka miesięcy, pijąc przywieszzone sobie spaaskie i pyrmonekie wody,—wzdychała, żaląc się na ten ciężki Wiśniowiec, i pragnęła go z kim na inne dobra zamienić. Była o tém mowa parę razy, myślał o nim Szczęsny Potocki, chwiała się to, chwiała i rozechwiała.

Zamek stał najeczęściej pustkami, ale go jako tako utrzymywano. Burgrabia, kilku starych sług i kilku stróżów chodziło około pokojów.

Nie smutniejszego nad taką pustkę, przeznaczoną dla ludzi, a zamieszkiwaną przez pajaki.

W jednej z górnych sal znajdowały się owe sławne obrazy z życia carowej Maryny, żony Dymitra Samozwańca. Cesarzowa się o nich jakimś sposobem dowiedziała i zażądała kopij od Mniszechów. Pani Mniszechowa, która się spodziewała za to dostać order Św. Katarzyny (dostała go w istocie w Kaniowie na statku), natychmiast wysłała do Warszawy, aby Plersch sprowadzić i kopiowanie mu polecić.

Plersch musiał być posłuszny. Znano go już naówczas z talentu; w Warszawie miał roboty dosyć, wołałby był pozostać w mieście, lecz odmówić Mniszechom, było to narazić się najj. panu i wyrzec roboty, jaką on mógł dać w przyszłości.

Plersch był sierotą, człowiekiem skromnym, cichym,

kochającym sztukę, niechęcącym się narazić nikomu. Za te kopie spodziewał się trochę grosza, który nie był do pogardzenia; nśmiechało mu się kawał kraju zobaczyć,—stawił się więc na rozkazy pani marszałkowej.

Dziwnie naówczas było położenie takiego artysty w kraju. Mógł on mieć talent niepośledni; lecz pierwszy z zagranicy przybyły z imieniem włoskiem, francuskim lub niemieckim, otrzymywał przed nim pierwszeństwo, a jeśli miał kawalerską postawę, wymowę, po francuzku szczebiotał i w salonie znaleźć się umiał, mógł być pewien sławy, grosza i wziętości. Domowy artysta, na którym coś zawsze łukowatego ciążyło, był używany, ale żyć musiał w niższych kółkach, a do wyższych nieznajdował przystępu. Sądzone go ostro. Król miał ten przesąd co inni; wołał cudzoziemców. Pierschowi się dostawały kopie, jakie takie wynagrodzenie i ledwie znośna grzeczność, dumna, jak względem sługi.

Piersch niewiele wymagał, ale z ubożego chłopięcia wyszedłszy na artystę, skazany był na Tantalowe cierpienia. Stykał się z wytwornym, wesołym, zalotnym, płochem i poukładanym szariatem, do którego dobieść się nie mógł.

Było to niepodobieństwem. Piersch nie miał powierchowości, mówił mało i nieśmiało, był błady, ospowaty, a myślał i marzył tylko o sztuce. Pomimo tego, były chwile w jego życiu, w których go ogarniała tęsknota. On nie pokosztował nigdy nie, ani tych piękności, które malował, ani tego wesela, na które patrzył, ani tego szmeru a pieśni słowa, które dochodziły do jego uszu, jak zapach kwiatów wiosenny, przepełnione miłością i gorączką pragnień. Nieraz, gdy śliczną a strojną malował panię, w całym blasku wdzięków

dziewieczeli, a w pracowni jego, w oczach jego, adoratorowie otaczali ją koleni i szeptali słodko do uszka i z oczu miód pili jak pszczoły; gdy biała pierś wygorzowana, spoczywająca w koronek puchu, podnosiła się, miłosnemi szepty poruszona; gdy się potajemnie ręce ścisnęły,—biedny artysta spuszczał oczy, aby nie widzieć, uszyby był zatknięt, aby nie słyszeć, myślącby chciał zapomnieć, aby się nie domyślać. Napróżno: szmer, śmiech, słowa, barwy prześladowały go na jawie i we śnie. Wszyscy mieli chwilki szczęścia, błyskanie rozkoszy, tylko on nie.

Niktby po nim nie poznał z powierzchowności, że śniał pragnieniem sięgnąć po owoc zakazany. Na pozor oczy jego nie nie mówiły, przysięgałbyś, że nie nie słyszał i nie rozumiał, tak był zajęty swemi farbami i paletą; lecz co się w nim działo, on jeden wiedział tylko...

Smutne to życie było, nawet w Warszawie. Cały dzień, póki jasno, przy sztaludze; zamknięwszy pracownię, musiał iść do kawiarni lub garkuchni i tam stać na niedorzeczności. Niekiedy trafiały się dobrotliwe do szlachty uboższej albo mieszczań zaproszenia z liłościami. Naówczas myśleć trzeba było o fraku, o sprzączkach do trzewików, o świeżych żabotach i mankietach karbowanych, o które nie zawsze bywało łatwo, a potem, przyszedłszy do łaskawych gospodarstwa, w kątku cicho przesiedzieć wieczór samemu.

Płersch był młody i czuł tę nieszczęsną potrzebę kochania, która jest młodości darem i plagą, ale kochać kogo nie było... Ktoby chciał malarza? chyba subretka-emerytka wielkiej pani, z rozpaczą po ostatniej jakiejś zdradzie kasztelanica.

Płersch nie mając rodziny, nie mogąc się przywią-

zné do nikogo, bo nikt go nie chciał, bawił się pudlem, którego wziął za przyjaciela.

Pudel się *Ami* nazywał, patrzył mu w oczy, rozporny był bardzo, niekiedy szkodę robił w farbach, ale zmyślny i posłuszny, płacił za nią zabawnemi figlami i przywiązaniem namiętném do pana.

Po całych dniach pudel patrzył w oczy Plerschowi, a malarz się do niego nśmiechał; niekiedy rozmawiali na miği i rozumieli się bardzo dobrze.

Gdy pani marszałkowa kazala przywolać do siebie Plerscha, zapinała właśnie bransoletkę ze szmaragdem na białej rączce.

— Mój panie Plersch, odezwala się do niego, nie spoglądając na niego nawet: proszę cię, bądź tak dobry, wybierz się zaraz do Wiśniowea. Trochę daleko, ale mieć tam będziesz wszelkie wygody. Cesarzowa chce mieć kopie tych obrazów Maryny... pan pewnie słyszałeś o nich? Nie są to areydziała, tylko rzeczy ciekawe; trzeba je w téj samėj wielkości przekopiować, to dla pana będzie zabawką. O cenę się ułożymy. Król, mój wnj, życzy sobie tego. Proszę tylko pana, żeby to było pięknie zrobione, choćby nawet piękniej od oryginału, to nie nie szkodzi. Na drogę pann damy pieniądze i furmankę do Wiśniowea. Trzeba wszystko wziąć, płótno, farby, bo tam nie nie dostanie, często nawet poczeiwego świeczka. Ale znouu Wiśniowea niech się pan nie obawia. Rządca bardzo uczciwy i porządny człowiek; u niego się pan będziesz stolał. Usługę pann dadzą, i pokój na mieszkanie, i do roboty salę na górze.

Potok ten słów bez przerwy toczył się z nst pani marszałkowej, i dopiero wypowiedziawszy wszystko, na Plerscha spojrzęła.

Malarz stał nieopodal od progu i słuchał.

— Rozumie mnie pan Piersch?

— Tak jest, pani marszałkowo, tak ale...

— Achl kochany panie Piersch, żadnego „ale”... ja tego nie lubię, pan wie, żadnego „ale”. Ja to muszę mieć koniecznie i prędko.

— Ale—rzekł mimo zakazu Piersch—takich wielkich płócien gotowych nie znajduję, grantować je masz, a nim wyschną... na mokrych malować niepodobna... więc to przy najlepszej chęci potrwa...

— Ale ja słuchać tego nie chcę! Miałby pan sobie na mokrych, niech co chce będzie, cesarzowa czekać nie może, ani ja. Co się tyczy wynagrodzenia... widzi pan, to są kopie... więc czy od wielkości, czy od czasu, czy jak tam pan zechce się ułożyć, ale bardzo drogo ja nie mogę zapłacić. Kopie...

— Spuszczam się na cenę, jaką najj. pan, który jest znawcą, oznaczy.

— Bardzo dobrze. Na drogę dwadzieścia czerwonych złotych. Kiedy pan wyjedzie?

— Mnszę się wybrać.

— Po co się wybierać? Artysta! żeby artysta się potrzebował przygotowywać do drogi, jak my niezmęczliwe kobiety! Węzelek, flomoczek, skrzyneczka z farbami i po wszystkiem.

Piersch się uśmiechnął. Marszałkowa na niego spojrzała.

— Ale już mi się pan nie sprzeciwiaj, proszę, bardzo proszę.

Była to godzina, gdy pani marszałkowa miała do zamku jechać na obiad. Król, który wracał od prymasa, wstąpił, aby ją zabrać z sobą. Wszedł i zastał Pierscha. Zaraz mu na myśl przyszły obrazy.

— A cóż, jedziesz, mój Piersch?

Artysta się sklonił.

— Do usług, najj. panie.

— Bardzo się cieszę. Z jego talentem... rzekł zawsze grzeczny pan — z jego talentem będzie to wykonane znakomicie. Obrazy nieszczerólnie, ale historyja. Kto wie, może współczesne.

— Pan Piersch z oznaczeniem ceny przystał na to, co najj. pan osądzi, rzekła pani Mniszechowa.

Król się uśmiechnął; pochlebialo mu to.

— Tak, dobrze, cenę postanowię, a niech marszałkowa będzie pewna, wysoką, i do niej dodam sto czerwonych złotych od siebie.

Wyciągnął rękę białą, w mankietkach świeżych. Piersch ją pocałował. Miękką była jak erdretonowa poduszczyka, usta w nią tonęły.

I we dni pięć furmarka z pałacu Mniszechów, która przywiozła do Warszawy jakieś apteczkowe zapasy, zaslana kilinikiem, zaprzężona trzema konikami, z woźnicą w siermiędze, z kaptrem na koźle, z pisarzem prowentowym panem Marcellim Strzałką, zajęchała po artystę do jego mieszkania na Nowy Świat.

Nadzwyczaj było trudno wpakować na wózek wszystkie przybory. Siedzenie wypchane, na którym się trzymać musieli obok siebie Piersch i Strzałka, stało się przez to straszliwie niewygodnem, lecz, tak pani zadysponowała.

Strzałka był wesolym towarzyszem, i rozmarzony Warszawą, przez całą drogę paplał. Nie znudził się więc malarz, a że pogoda sprzyjała, parę tylko razy trochę zmokli, gdy ich deszcz daleko od karezem pochwycił.

Wiśniowice ogromnemi murami zaimponował malarzowi, ale pustką czuć go było, w jednych pokojach sterczących, w drugich jakąś nieodgadnioną nosem przeszłością z zapachów i smrodów złożoną. Kosztowne



meble w kapkach, okiennice na pół pozamykane, cisza, smutek, śmierć, rozlegające się wśród milczenia kroki idących, przejęły dreszczem Pierscha. W tych murach miał przeżyć nie wiedzieć ile miesięcy, sam na sam z płótnami, myślami i umarłą przeszłością.

Pokazano mu oryginały. Przeraził się ich wielkością i zapuszczeniem.

Pomimo naglącego listu do rządy i zapewnień, że wszystko mieć będzie co zechce w Wiśniowcu, Piersch o najmniejszą rzecz wależyć musiał.

Rządca był szlachcic sygnetowy i lekce sobie wazył jakiegoś szoldrę, mieszczaucha, do tego niby coś naksztalt rzemieślnika. Nierychło do ładu z sobą przyszli. Pan Pluszczyński miał córkę, o którą się obawiał, i drugą ułodą żonę, o którą był zazdrosny; więc malarza do domu nie wpuścił.

Warszawiak także wydawał mu się tęp niebezpieczniejszym, że on sam ciągle po Wiśniowiecczyźnie jeżdżąc, to do Krzemieńca, to do Dubna, gościem bywał tylko w domu. Pierschowi więc zimne jedzenie noszono do palacu, gdzie pracował, i nie zapraszano go weale.

Nie było w istocie niebezpieczeństwa żadnego, — gdyż druga żona pana rządy Pluszczyńskiego, wzięta z frauceymeru pani marszałkowej, grająca na gitarze i śpiewająca teksty światowe, nosząca kokardy pomarańczowe, weale już piękną nie była, a córka blada i chorowita, kwaśna i durna, także nie zacięłaby nawet Pierscha, ale strzeżonego pan Bóg strzeże! Piersch je widywał z daleka, w kościele; w niedzielę go zapraszano na podwieczorki, nie zawiązały się jednak żadne stosunki.

W górnej sali, jednej z najświetlejszych, zaczęła



się praca około tych olbrzymich płócien, które Plersch powyciągał z ciemności. Nim zrobiono ramy, nim płótno się wyciągnęło i zagruntowało z pomocą dwóch chłopców, nim wyschło, nim potem rysunek stanął, upłynęło czasu dużo. Na nudy było go aż nadto.

Najczęściej w całym pałacu, we dnie, oprócz malarza i chłopca, który spał gdzieś za parawanem, nie było nikogo. Cisza była okrutna i przerażająca. Na dole pałac zamykano, ale we drzwiach sal i pokoiów sterczały klucze; Plersch więc mógł chodzić sobie po nich i przypatrywać się tej wspaniałości, na nie nikomu nieprzydatnej. Stare zegary, wskazujące wiecznie jedną godzinę, poosłaniane zwierciadła, zapylone stoliki, napisy hrylantami na szybach u okien powyrzynane przez wesółych paniczów,—wszystko to Plersch znalazł na pamięć. Czasem siwy, stary sługa, Damian Korytkowski, opowiadał mu tradycje pałacowe; czasem Plersch chodził i dumaniem sale zapelniał; niekiedy przed portretami pięknych, nieniechanych pań, które dawno w proch się rozsypały w grobie, marzył o ich życiu.

Nudy były rozgorączkownujące; Plerschowi niekiedy chciało się rzucić wszystko, wyrzec się stu dukatów króla i zapłaty pani marszałkowej, a pieszko uchodzić do Warszawy. Na przechadzkach wieczornych spotykał tylko wołyńskich włościan, z którymi rozmowy nie mógł nawet zawiązać, w miasteczku oprócz zdyszanych bieganiną Żydów nie było nikogo do towarzystwa; ksiądz kanonik miał go za faruazona i przestawać z nim nie chciał: słowem, pracą tylko żyć przyszło. Plersch zapamiętał, zajadle, od rana do mroku pracował, aby prędzej się zbyć tego utrapienia, lecz końca ani było widać.

W zimie dni krótkie położenie to pogorszyły, w sali od zimna ręce kostniały, noce były nie do przespania.

Plersch wymizerniał, schudł, i myślał już, że zachoruje, gdy wiosna nadeszła. To go nieco ożywiło, a dni też dłuższe dozwalały choć nadzieję końca dojrzeć w oddaleniu.

Jednego dnia męczył się właśnie artysta nad jakąś delią, która w oryginale jednym platem ciemnym wyglądała, a w kopii choć trochę się posądować musiała, gdy szybkie kroki na wschodach, a potem w korytarzu słyszeć się dały.

Rzadko bardzo miewał czyje odwiedziny, biedny, zamęczony artysta. Pluszczyński stronił od niego, a on się mu nie nawijał. Zdziwilo więc go moeno to wejście czyjeś niespodziane i zafrasowało nieco, bo z powodu chłodu wiosennego w sali, siedział w kożusku, w starych kaloszach, z szyją obwiązaną chustką wytartą, i na przyjęcie wizyty weale nie był przygotowany.

Wtém się drzwi otworzyły i rządea wszedł żywo, trzymając w ręku jakieś papiery. Plersch wstał, obwijając się kożuszną, a nie rzucając palety.

Sklonili się sobie z daleka.

— Proszę pana, tu jest list od samój j. w. marszałkowej hrabiny do pana, odezwał się rządea nieco uprzejmiej niż zwykle. Jasnie pani hrabina pisała i do mnie.

— O cóż to idzie? zapytał Plersch, list odpieczętowując.

— A niech-no pan przeczyta.

Na kawalku papieru, literami dużemi, stały następujące, niewyraźnie dosyć nakreślone wyrazy:

„Kochany panie Plersch!

„Jesteś mi tu pan poczebny (*sic*), proszę nie tracąc ani momentu (*sic*), zaraz przyjeżdżać (*sic*) do Kaniowa. Rzeka (*sic*) da konie. Czekam pana nieodmiennie.”

List był cyfrą podpisany; pośpiech tłumaczył omyłki. Na kopercie stało: *Monsieur Plerche*. Wielkim panom uchodziło nijać się z ortografią i przekręcać nazwiska.

Pluszczyński spojrział na malarza, którego lice się zarumienilo. Carowa Maryna i jej orszak tak mu były dojadły, iżby był na Tatarszczyznę pojechał, byle z tej stęchlizny się wyzwolić i świeżem odetchnąć powietrzem.

— Cóż pan na to?

— A no, jadę.

— Dokąd?

— Jużci do Kaniowa!

— A tak, i przyznam się, że panu zazdroszczę, do dal rządea. Ludzie się o to szczęście dobijają, które pana spotyka. To się tam pan napatrzy!

Plerch ruszył ramionami i wesolo się uśmiechnął.

— Kiedy konie będą gotowe?

— Już jedne wyszły na przecprząż, bo pan sobie po pańsku pojedzie. Za godzinę, dwie—upakuj się tylko:—można jechać.

Plerch w ręce klasnął i podskoczył.

— Nicch pan do nas na obiad przyjdzie, bo jest co do pogadania, rzekł udobruchany Pluszczyński. Kieliszek wina przed podróżą nie zawadzi.

— O którą?

— Kolo pierwszój waza na stole.

Po wyjściu rządey wziął się artysta do swoich tłumoczków i z pomocą chłopca upakował się bardzo prędko; nie miał zbyt wiele do układania. Farby z palety zrzucił, pożegnał się z carową Maryną, i przybrany jak na drogę, zbiegł, zamykając za sobą, a tak nu

było rażno, że nie szanując ciszy pałacowej, świstał i śpiewał, przebiegając korytarze.

Na folwarku oczekiwano go z obiadem, kobiety postrojone i w krygach naśladujące panią marszałkową, rządcą w taratatec, zupa na stole i butelka wina przed gospodarzem.

Plersch, co nigdy nie miewał dowiecipu, stał się tego dnia zabawnym i pełnym najlepszego humoru. Pannie i pani wydał się niezgorzdej, aż pożałowały, że z nim bliższej nie zrobiły znajomości. Przy kawie się odkryło, że grał weale dobrze na gitarze. Ale koniec już stały przed gankiem, tłomoczki były na bryczec, Pluszczyński zapytał tylko, czy farby wziął z sobą?

— A jakżeby się malarz bez nich ruszył? odparł Plersch.

W ganku Pluszczyński zamruczał, żeby mu też tam dał dobre słowo przed panią marszałkową—i konięta poklusowały.

W podróży dla znudzonego artysty wszystko było nowém i zabawném; cisnęły mu się obrazów motywa co chwila: młodyce krasne, parobki jak dęby, starcy i liniey z brodami do pasa, w ostatku krajobraz ten majowy, wiosenny, co się dopiero do życia ubiera, w listki stroi i gładziennigdzie kwiatki sobie czepia do fartuszków, i niebo, po którym obłoczki złote latają, jak piosenki, i pola zielone, jak kobierce, a w dolinach w cieniu szare chaty, ze wstęgą dymu nad dachem.

Witał się Plersch z bocianami nawet, które do niego klekotały, rozumiał doskonale skowronka, zdawało mu się, że z jaskółką był od dawna w przyjaźni.

Bryczka, którą mu pan Pluszczyński dał na drogę, więcej obrachowana na trwałość niż na wygodę, roz-

trzęsła mn kości, ale nią szczęśliwie dobił do Kaniewa. W instrukcyi, danój rządey, stało, ażeby pan Plersch po przybyciu nie pokazywał się nikomu i zajechał wprost do dworku Zamysłowskich, gdzie na niego czekać miało mieszkanie. Tam przybywszy, powinien był dać znać o sobie.

O dworku Zamysłowskich, bardzo zręczny chłopak, dodany malarzowi do posługi, dowiedział się po drodze. Stał on na uboczu, otoczony ogrodem, i wyglądał staro i szaro, lecz w Kaniowie naówczas szczęśliwym był kto dach znalazł.

Gdy oznajmiono o przybyciu oczekiwanego malarza, otworzyły się wrota, wpuszczono bryczkę w dziedziniec, zamknięto znów drogim wjazd, jakiś jegoś w kapocie wskazał mieszkanie na górze. Nie było to piętérko, szkoda mówić, ale—górką. Prowadziły na nią wschodki ciemne, a składała się z dwóch izb. W jednej z nich było dosyć jasno; w drugiej tylko gdy drzwi pierwszój stały otworem, bezpiecznie się można było obrócić.

Plersch się rozgospodarował najprzód tak, że siana przyniesie kazał i położył spać, resztę losowi zostawiając.

Dziwiło go nieco, iż z taką jakąś tajemnicą go wprowadzono tutaj i wychodzić zakazano. Radby był znajomych subalteruów z dworu króla zobaczyć, lecz tak był zmęczony, iż zasnął sprawę.

Gdy się obudził, chłopiec mu oznajmił, że ze dworu od marszałkowej jeść przynieśli i parę butelek wina, i że o godzinie jedenastój w nocy miał otrzymać posłuchanie.

Biednemu malarzowi w głowie się to pomieścić nie mogło. Ubrał się i wyczekiwał tej późnój godziny, gubiąc się w najdziwniejszych domysłach. Z górką

dworku Zmysłowskich nawet na miasteczko wyjrzeć nie mógł, bo drzewa i budowle, niegrzecznie tyłami poobracane do dworku, wszystko mu zasłaniały.

Zegarzek jego wskazywał jedenastą, gdy nadszedł służący, który go miał zaprowadzić do pani Mniszechowej. Wieczór był piękny mloděj wiosny, chmury komarów na pogodę zwijały się w powietrzu, miasteczko było na pozór uspięte, lecz sen jego mieszkańców nie przeszkadzał przybyszom pomszać się jeszcze, i w oknach wielu światła widać było rześiste.

Plersch szedł za służącym, który go do dworu wprowadziwszy, sam przodem pobiegł oznajmić, i drzwi mu do saloniku otworzył.

Pani marszałkowa, nie potrzebując się ceremoniować z takim skromnym człowiekiem jak Plersch, była na wpół rozbraja. Miała lekki szłafroczek na sobie, pątynki na nóżkach, bo ją trzewiki cisnęły, chustkę od nosa w ręku i wachlarzyk. W pokoju było nieco gorąco.

— Bardzo pani dziękuję, że przyjechałaś, odezwała się, podchodząc ku niemu. Miałam do pana interes.

Tu się zatrzymała nieco; jakoś trudno było powiedzieć, o co chodziło.

— Potrzebuję mieć portret, ale bardzo, bardzo ładny i bardzo prędko.

— Pani marszałkowej? spytał Plersch.

— Ale broń Boże! rozśmiała się z urazą pewną: mnie już Lampi i Bacciarelli malował, mam tego dosyć, nigdy w życiu do portretu siedzieć nie będę. Portret bardzo ładnej osóhki, mloděj, ale prostěj chłopki...

Plersch zdziwiony spojrzął; chciał spytać, na co się miał ten portret przydać? ale przez uszanowanie się wstrzymał.

— Czasem się i chłopianki trafiają ładne. Pan ją odmaluje czy jako pasterkę, czy jak tam będziesz uważał, ale żeby była podobna, i piękna, i w jakiś sposób... pan rozumie...

— Gdy zobaczę oryginał...

— A! rozśmiała się pani Mniszechowa: tylko się pan mi w niej nie zakochaj, bo nie wolno.

— Wiem, nam to nie wolno, szepnął Plerseh: rzecz wiadoma.

Zinierzyla go okiem pani i siadła.

— Weź pan krzeselko, rzekła.

Plerseh podziękował, ale stał.

— Kiedy mam rozpocząć i gdzie?

— Otoż to są właśnie trudności, które ja się będąc starała jutro załatwić. Postaramy się, abyś pan mógł jak najprędzej rozpocząć, jak najprędzej. Gdzie? albo we dworku na górze, albo u mnie, ale to musi być w wielkim sekrecie, nikt o tym wiedzieć nie ma—rozumie pan? nikt. Jest to siurpryza. Dla tego proszę, abyś się pan nigdzie tu nie pokazywał, boby mogli odgadnąć, a naówczas wszystko przepadło. Za portret i za fatygę zapłacę jak pan zechce.

Usłyszawszy „za fatygę,” Plerseh oczy spuścił; jakos mu się zrobiło przykro.

— Czy pan mnie tylko dobrze zrozumiał? zapytała marszałkowa.

— Myślę, że spaniętalem wszystko, odpowiedział Plerseh: bo zrozumieć dosyć trudno.

— To dosyć gdy pan spanięta, o co proszę.

Rzuciwszy okiem na artystę i postrzegłszy chmurne oblicze, pani Mniszechowa znała za właściwe, w interesie obrazu, trochę rozdobruchać artystę, i dodała łagodniej:



— Niech pan się upomni, ażeby mu na niczem nie zbywało... bardzoby mi było przykro. Dalał dyspozycję, aby panu przynoszono co tylko potrzeba.

Jeszcze słów kilka o Marynie i obrazach wyszepnawszy, na co Piersch chłodno odpowiedział, pani marszałkowa spojrzala na zegarek, zadzwoniła na służącego, i kazala, życząc dobrej nocy malarzowi, odprowadzić go do jego dworku.

Pocziwy Piersch poszedł posłuszny. Cieszył się bardzo, że będzie piękną malował dziewczynę; serce mu bilo.

— Nigdy w życiu pięknego, młodego nie malował dziewczęcia, chyba z obrazu. Ręka mi się będzie trzęsła, a oczy mgłą zachodziły, ale co za szczęście mieć taki wzór przed sobą!

I cały wieczór przemarzyło sobie, jaką jej nada, o stroju, o świetle i o tém, jak się będzie znajdował w obec tego tajemniczego wzorn. Rad był odgadnąć, co to wszystko znaczy? Szarzało ledwie na dworze, gdy już był na nogach.

Od czasu, jak mu się goście wnieśli do chaty, Sydor chodził jak struty. Żona, gdy go takim widywała, a trafiło się to nieraz i dawniej, nauczona doświadczeniem, nie próbowała go nawet rozweselić, zostawiała to czasowi i udawała, że nie widzi i nie rozumie. Jeśli w złém usposobieniu wprost ją zaczepił, naówczas stawiała mu oko w oko, nie darowała słowa, opornie przy swoim się trzymała, i walka zwykle tém się kończyła, że Sydor uszedł lub zamilczał.

Tym razem na straszniejszą się zdawało zausieć burzę niż kiedykolwiek. Sydorowa była niespokojna, czuła, że miał powody do gniewu, rzucała więc kiedy niekiedy słówkiem łagodzącem.



W starym kipiało i gotowało się wszystko. Nie rozumiał, gdy do niego mówiono, po całych dniach błądził po chacie, po ogrodzie, po obejściu, bez celu. Zabój włóczył się za nim. Natalka, którą tak kochał, nie odbierała nawet odpowiedzi na pytania; co spojrzał na nią, to oczy odwracał.

Na polu, które się za chłutorem ciągnęło, stał, nie wiedząc jak, z lasów chyba dawnych ocalony, stary, wypróchniały dąb. Pod dębem było siedzenie. Niekiedy tam z wołnami odpoczywano.

Wieczorem jednego dnia, Sydor jakby chciał z chaty uciec, poszedł pod dąb i siadł. Na wieczercę posłała Sydorowa zawołać go, ale Maksymowi odpowiedział tylko:

— *Idy k'ezortu!*

Bondarowa zapaskę podjąwszy i bóty wdziawszy, poszła sama. Zastala go na kępie pod dębem, z głową w dłoniach.

— Sydor, co tobie jest? zawołała podchodząc. Gadaj, z sereu zrzuc.

Podniósł głowę.

— A co tobie do tego, co mi jest? Może mnierać chce, albo co; może się chce na tym dębie chwiesić. Kto mnie ma rozkazywać? Sumować mi wolno.

— Nieprawda, odparła kobieta: gdybyś ty na świecie sam jeden był, a nie miał ani żony, ani dziecka, tobyś się tylko z Panem Bogiem rachował; a tak to i ze mną trzeba. Co tobie jest?

— Mętno na daszy, odparł Sydor. Nie pytaj, babo, jeżeli oczu nie masz...

— Gadaj, to mi otworzysz oczy, bo nie widzę.

— Ślepa jesteś, tak, ślepa; co z tobą gadać? tyś głucha.

— Tak i głupia, dodała ze śmiechem kobieta, ręce na piersi zakładając.

— Samaś rzekła! zawołał Sydor. Licho ich tutaj naniósło! Pokojuśmy pozbyli, a tobie i Natalee z tém dobrze. Tu szatan nam ich naprowadził. Nam złąd tylko nieckać, ale dokąd? dokąd? Co z wami gadać? matka i córka poszalały!

— Praw, praw, cóż daléj? zapytała Sydorowa. Ja będę słuchała cierpliwie, niech się wszystko z ciebie wyleje, co się w tobie nazbierało.

— I lody! zawołał Sydor: ruszaj odemnie!

— Nie pójdę — odparła stara. Cóż się stało ztego, że się dziewczę podobało królowi, że się na nią popatrzy, że się Natałka podobuje swoją krasą?... Tyle jéj. Niedługo tego będzie, zniknie ona prędko. Zazdrościsz dziewczynie szczęścia... a może się Lach trafi, i weźmie ją, i panię z niéj zrobi... albowy to było złe?

Sydor się aż wstrząsł.

— Tak, wam obu się tego chce! Wielkie szczęście, z poezwój dziewczki robią taką kobietę jak one wszystkie. A na co mi to państwo dla dziecka? Niech nas Bóg od tego bioni... Wołałbym ją widzieć na marach.

Sydorowa dlonią usta mu zatknęła.

— Milcz, żebyś w złą nie powiedział godzinę, ty stary!

Z gniewu Bondarowa zawrzała.

— Ty, ty, stary! krzyknęła: dzieckobys wołał widzieć na marach, dla tego, żeś ty zgrzeszył i żeś się masiał, głowę ratując, w karmię przebac. Ja ciebie znam, ja w tobie czytam, ja rozanem ciebie. Ty ich

nienawidzisz, choć to twoja krew, dla tego, żeś się ty krwią umazal.

Sydor zerwał się, ręce obie wyciągnął groźnie, jakby się chciał rzucić na żonę.

— Dosyć tego, stara, milez! Czort z wami! Ja wam rady nie dam, ja dziecka nie wyratuję, gdy je matka gabić chce, ale oczy moje na to patrzeć nie będą.

To mówiąc, wstał, i nie oglądając się już na Sydorową, która jak wkuta w ziemię nieruchoma stała, poszedł w pole.

Pogoniła za nim oczyma, nie nawołując. Szedł powoli, zataczając się, rękę czasem podnosząc do czoła, jakby z niego pot ocierał, przystając i przyśpieszając kroku. W mroku wieczornym Bondarowa widziała go, jak się tak powłókł w pole i w końcu z oczu jej zniknął. Zwrócona w tę stronę, w którą go odchodzącego widziała, chwilę jeszcze stała tak stara, przeżegnała za nim drogę i powoli powłokła się do chaty zadumana. Wróciwszy do domu, podała wieszak, nie mówiąc.

— A ojeccc? spytała Natalka.

— Poszedł na Sicz, odparła cicho Bondarowa. Nie rychło go obaczymy, ale powróci.

I poglądziła ją pod brodę. Natalka się zamysliła smutnie.

— Posłaćby za nim... rzekła.

— Nie trzeba, nie powróci on, aż tu nie stanie nikogo obcego. Niechaj lepiej tam samuje, niż ma tu biedy narobić. Zna on siebie: a nażby się nie wstrzymał i ubił którego!

Natalka ręce zaiamała i umilkła. Matka uspokajając ją, mówiła długo, po cichu, i obie wreszcie zdawały

się nie widzieć w tém nie strasznego, że się Sydor oddał. Wielki ciężar spadł im z serca.

Późno w noc jeszcze mówiły po cichu, a Maksym z Krywonogim, także nie śpiąc, naradzali się, bo coś dosłyszeli, a wiele odgadli, i Maksym się zafrasował mocno.

— Kiedy on już na to patrzeć nie chciał, co się u nas dzieje — rzekł — to biedaż nam. I uderzył się w piersi.—Ale my tu malowani nie będziemy, a czy trzeba mieć i skarbu bronić, aby nam go te złodzieje nie wzięli. Prawda, Krywonogi?

Obyczajem ludu parobek odpowiedział:

— A cóż!

Tak noc ta przeszła na chutorze. Nad rankiem postrzegli, że i psa nie było, bo w się noce, tropem powiół za panem.

Maksym z Krywonogim namówili się, żeby jeden z nich zawsze przy domu zostawał, a parobek zdał to na młodszeo. Maksym więc nie poszedł tego dnia w pole. Zresztą nie zmieniło się nic. Natalka zasnęła w dzień, a Sydorowa wstała raniiej niż zwykle, i dziewczkę napędziwszy do roboty, sama też się wzięła do krów i do knehni.

Dzień, co się chmurnym obiecywał, ku porankowi wyjaśniać się zaczął. Mgły wiatr pędził na step, i szły, dołem się wlokąc, a po nad niemi czysty lazur niebios się odsłaniał. Rosa spadła jakby deszcz na zasiewy, i wszystko nią odżyło. Skowronki dzwoniły w górze, boćiany z wyciągniętymi nogami sunęły na moczary, zajęce z podniesionemi uszami wartowały na miedzach, po płotach skrzeczały sroki, trzepiąc skrzydłami, a górą, ledwie dojrzyć okiem, jaskółki się zwijały jak tańczonice w sali balowej.

Słońce się właśnie nad mgłą uniosłszy, złośliwo chlutor, gdy we wrotach ukazała się postać kobieca, sama jedna. Było to coś pańskiego, a przecię nie żadna pani, ale jakby wykrzywiony cień dworskiej damy. Strój przypominał elegantki, ale był nłożony jakby na przedrzeźnianie; a z pod kapelusika wyglądała twarz żółta, wymęczona, z czarnemi, żywemi oczyma, które biegały dokola.

Zawahawszy się nieco, przybyła popchnęła wrotkę, i rozglądając się, weszła. Sydorowa właśnie stała w progu i ciekawie się przypatrywała. Jeszcze słowa nie rzekłszy, uśmiechała się jej wchodząca pani.

— Wszak pani Bondarowa? zapytała.

— Co za pani? Bondarowa, ale nie pani! odparła, z równą ciekawością wpatrując się w zbliżającą Sydorową.

Przez okno ciekawa Natalka szybko wystawiła głowę, głos posłyszawszy. Jeszcze była nieczesana; czarne, bujne, rozrzucone na ramiona włosy, okrywały ją całą. Z pośrodku tych kędziurów biała, pieszczona twarzyczka śmiała się jak róża na aksamitach. Ale widzenie to trwało chwilkę i znikło.

Przez tę chwilę miała czas się mu przypatrzeć przybyła jejmość, i uśmiechnąwszy się, przystąpiła, uprzejmie się wdzięcząc, do Sydorowej.

— Ja z jejmością mam pomówić na osobności... Potrzeba — szepnęła, i spostrzegłszy jakąś obawę w twarzy starszej kobiety, dodała ciszej: — Ja tu nie od siebie przychodzę, ale od téj wielkiej pani, która była u was niedawno, gdy król był. Jest to bliska krewna królewska, ona wam bardzo dobrze życzy.

I głową kiwnęła znacząco.

Sydorowa ani się do rozmowy śpieszyła, ani jej odmawiała.

— A no, to siądźmy gdzie i gadajmy, odpowiedziała po krótkim milczeniu.

Przybyła, w której łatwo się Grzybowskićj domyślić, usiadła na przyzbie, chustkę podłożywszy pod siebie. Sydorowa przysunęła się do niej.

— Was wielkie szczęście spotkało! poczęła Grzybosią: wielkie szczęście. Dziecko wasze królowi w oczy wpadło.

— Ja to wiem, z powagą odparła matka; ale czy to szczęście, czy niedola, to jeszcze nie wiadomo.

— A! wielkie szczęście! dodała szybko posłanka. Czy to wy tego nie rozumiecie? Król taki dobry pan, onby nieczyjś niedoli przyczyną być nie chciał. Nie złego od was nikt nie żąda, chowaj Boże! Dziewczyna za mąż wyjść może tak, jak się wam nigdy nie śniło... za możnego pana.

Sydorowa milezała, ale po chwili głową potrząsała.

— Ale to tam jeszcze do tego daleko; wy się namyślicie, a waszćj córce gwałtu nikt nie zada, jak wola wasza. Ja do was dziś z czém inném przyszedłam, w czém już, Bóg widzi, i cienia złego nie ma.

— No, to mówcie.

— Królowi się podobalo liezko; trzeba je na płótnie odmalować, ażeby o niem nie zapomnieli.

Sydorowa popatrzała na nią przestraszona i zalamala ręce.

— A godziź się to? zawolała. Toć to tylko Świętych Pańskich malują, a nas grzesznych...

— Moja jejmość, to u was na wsi takie obyczaje... rzekła Grzybosią — u nas inaczej. Mało nie codziennie malują pięknych i brzydkich, aby po nich na świecie

pamiętka została. Żadnego w tém grzechu nie ma. Najrzałam tylko waszą córkę przez okno: warta tego przecię, żeby z nięj malarz zdjął obrazek.

— Aby grzechu nie było... mruknęła stara.

— Spytajcież księdza, on wam poświadczy, jeśli mnie nie wierzyćcie.

Zamyślona Sydorowa nie odpowiedziała już nie.

— Malarz przyjechał — dodała Grzybowska — wszystko przygotowane; namówcie córkę, albo mnie z nią się dajcie rozmówić; przyjdziecie na jaką godzinę, i rzecz będzie skończona.

— Dziecku samemu ani na krok nie dam stąpić... Jeżeli będzie potrzeba, sama z nią pójdę, albo inaczej nie.

— Zrobicie, jak się wam podoba. A teraz — dodała wstając Grzybowska — jeszcze was o to proszę, abym waszą córkę zobaczyć mogła. Wszyscy mówią jak o endzie, a jam ledwie ją najrzała; niechże wiem, jak wygląda.

Sydorowa, niby tych wyrazów nie słysząc, głęboko się zamyśliła. Prościej kobiecie, jak jęj córec, zawracało się w głowie. Magiczny ten wyraz „król” śnił się im obu. Miarkowała Bondarowa, że jużież królowęj z córki nie uczyni, ale rozumiała to, że ją na stopniach tronu postawić może, i panią, wielką panią robi. Zdawało jęj się, że gdyby tak córkę za mąż wydała, wówczas i mążby się przeblagał, i wszystkoby było dobrze, a Natałka jeśli nie królową, to królewską zostawszy protegowaną, zaszłaby tak wysoko, jak nigdy nie sięgnęła nadziejami, nawet we śnie.

Nachodzenie ciągle na chatę coraz nowych ludzi, zajęcie nimi wszystkich, wbiło ją w to przekonanie, że rzecz była nie na żarty. Od nięj więc zależało po-



prowadzić tę sprawę i doprowadzić do końca. Wiedziała, że Natalka o starym królu marzyła, dumną i szczęśliwą się czując, iż na nią okiem rzucił, że na wszystko zgodzić się gotowa. Starój więc Bondarowój śniło się, że ma losy przyszłe w rękę i że energicznie sobie postąpić powinna. Grzybowska wydała się jej godną zafamii; przychodziła zresztą od krewnej króla, a ta krewna nie była widać przeciwna szczęściu najj. pana. Pomyślała więc Bondarowa, i nagle wskazała Grzybowskię miejsce na przyzbie. Grzybosię podłożyła chustkę i siadła, Bondarowa nachyliła się jej do ucha.

— Mówiliście, żeby moją dziewczkę wydać za szlachcica, prawda? A czemu nie? Ja wam coś powiem, że się zadziwicie, ale mi na krzyż przysięgnijcie, że nie powiecie nikomu.

I dobytek mosiężny krzyżyk z pod koznali, na który Grzybowska spozrzęła z jakąś trwogą, zawahawszy się.

— Pewnie, że nikomu nie powiem, tylko temu, komu to będzie wiedzieć potrzeba, i kto nam szkody nie zrobi — odczwała się, do krzyżyka sięgając, Grzybosię.

Bondarowa nie bardzo zważała na restrykcyę, tak była sprawą zajęta, i poczęła szeptać do ucha przybyłej:

— Ja jestem gospodarska córka, Kozaczka, to prawda, ale mój Sydor... mój Sydor Lach i szlachcic; ja to dobrze wiem, że moja Natalka przez niego szlachcianka. Co zbroił, to ja nie wiem, ale na Zaporozie zbiegł i długo tam żył, a nierychło mu się zatęskniło do spokojniejszego życia i nimie zaswatał, bo chciał z Lachami na wiek wieków zerwać. Mnie to



zawsze po głowie chodziło, żeby donię swoją wydać za szlachcica...

Tu zniżyła głos jeszcze.

— A czego jęj do tego brak? Szlachcianka jest, krasa szlachecka, rozum... no, i grosza po nięj weźmie kto się z nią ożeni, więcęj niż się spodziewa. Lndzie na nas plotą, że my czerwonce półkorcówką mierzym — to bajka; a no, garneami, to może. Mój coś z sobą z domu przyniósł, a na Siezy też mu się wiodło. I chntor coś wart, i klejnotów się znajdzie, nie tyle, ile ona przed królem pokazywała.

Tryumfująco wypowiedziawszy to, spojrzala Bondarowa na Grzybowską, która słuchając, pobladła i zaniast się tēm nradować, zafrasowała. Widać to było na twarzy.

W istocie, z ubogą dziewczką kozacką daleko łatwiej było, niż z taką niby szlachcianką, a do tego posażną.

— Choćby się z nią i tęgi jaki pan ożenił, to mu dziewczka wstydu nie zrobi. A że szlachcianka, no, gdyby potrzeba dowodu, toć ja wiem, gdzie Sydorowe papiery, pod przysięgą to i pokazać mogę.

To potajemnie szlachectwo człowieka, który się na Siezy ukrywać nmsiał, także niemile było trwożliwej Grzybosi. Wystawiała w nini sobie zbrodniarza i nie bez przyczyny; a ten, kto raz popelnil kryminał, mógł dla ocalenia kochanego dziecka ważyć się i na drugi.

Widząc ją nileżącą i zafrasowaną, Sydorowa do-  
dała jeszcze:

— A macieź jnż dla nięj męza upatrzonego?

— Znalazłby się — szepnęła Grzybowska — ale na to czas. Ten, o którym myślałam, niemłody człek.

— Bardzo starego nie można jój dać — odezwiała się Sydorowa — aby ludzi nie śmieszyć.

— W średnim wieku, bogaty pan, a człowiek prosty i pokorny, i urzędnik ze dworu królewskiego.

— Niechaj, niechaj, zobaczymy! zawołała Bondarowa: trzeba, żeby przy królu był, aby i ona była przy nim, i żeby król mógł na nią popatrzeć. Ja do wszystkiego Natalkę przygotowuję; a wasz stary pan niechaj tu sam albo z wami przyjdzie, abyśmy go obejrżeli. Kota w worku nie kupują.

Grzybowska, która sądziła, że tu rój wodzić będzie, wzięta tak obcesowo przez Bondarową, stała się wielce milezącą; odwaga ją odeszła ze zdomienia. Wstała, chcąc odejść, zapomniawszy nawet, że Natalkę widzieć chciała. Nie potrzebowała się o to drugi raz upominać, bo piękne dziewczę, które obcą najrzadło, prędko zawiązało kosy, dokończyło ubrania i po świątecznemu strojne wystąpiło przed chatę.

Grzybowska nim odeszła, mogła więc stanąć i z uwagą się jój przypatrzeć. W oknie wydała się jój już piękną; teraz dopiero przekonywała się, że ta piękność jój nie tylko w twarzyzece młodej, ale w całej równo rozlana była postaci. Stara panna, która u pani podskarbinsy Kossowskićj i u dwóch najsłynniejszych wdziękani pań dworu ówczesnego bywała w usługach i znała się na doskonałości wdzięków kobiecych jak jubiler na brylantach, zdumiała się Natalce. Na ustach jój słowa zamarły.

Przemówiła do Natalki krótko, i oddaliła się zamysłona.

— Héj, héj! rzekła do siebie: fraszka Wittowa... Broń Boże się do Warszawy dostanie, a w atlasy i koronki przystroi, zagasi wszystkie. Tylko — dodała

ciszć — Bóg to jeszcze wie, czy to, co takie piękne w zgrzebnój koszuli, równie się wdzięcznym okaże w batystach.

Od wrot zawróciła się jeszcze Grzybowska, bo w pośpiechu i obalaniuucniu tém zapomniiała prawie o rzeczy najważniejszej: o umowie, kiedy malować się ma przyjść dziewczyna.

Na rano następujący oznaczono czas, a że się lekano, aby kto nie wytropił Sydorowej z córką po drodze do dworku Zamysłowskich, miały jak dzień ogrodami po za miasteczkiem przejść, unikając ludzkich oczu. Bondarowa przyrzekła, że przyjdą, i zapewniła, że dworek i drogę do niego najlepszą, za plotami zna doskonale. Co się tyczyło Natalki, tę brała na siebie.

Tak niespodziewanie szczęśliwie wykonawszy co poleconego miała, stara panna pośpieszyła do miasteczka. Jednakże poufne zwierzenie się Sydorowej po głowie jej chodziło. Te garnce dukatów i klejnoty, to szlachectwo i skryta nieczka człowieka, który się wyrzekł stanu i nazwiska, jakąś nabawiały ją trwogą. Sprawa z Bondarywną zdawała się jej niekończenie trudniejszą niż wprzód, gdy o niczem nie wiedziała.

Z temi myślami wróciła do domu, gdy pani marszałkowa jeszcze w łóżku leżąc, dzwoniła o czekoladę.

Dnia poprzedzającego wieczór się był za długo przeciągnął. Zaledwie mając czas z siebie płaszczyk i kapelusz zrzucić, Grzybosia sama wzięła filiżankę na srebrnej tacy i weszła z nią do sypialni.

Marszałkowa już się nieco niecierpliwiła; podniosła była zicloną kotarę kitajkową, osłaniającą łóżko, i piękna jej rączka biała jeszcze na dzwonku spoczy-

wała. Obok niego widać było zgaszoną świecę, otwartą książkę i rozpieczętowany list. Na dywaniku przed łóżkiem stała para pantofelków, prześliczna.

Na głowie miała marszałkowa ranny czepek, nieponiemych rozmiarów, nieco pomięty, ale cały w szlarkach i koronkach. Z pod niego wysuwały się włosy w nieładzie.

— A! to ty? Jak to! już powróciłaś, Grzybosin? Już chciałam się gniewać; myślałam, że Różia...

— Wróciłam przed chwilą i z rapportami przychodzę.

— Nim opowiesz — niecierpliwie odezwała się marszałkowa — chcę wiedzieć skutek. Da się malować?

— A! raniionani ruszając i śmiejąc się poczęła Grzybowska: da z sobą zrobić, co tylko zechce, tak jój i matce król w głowę zajechał. Da się malować, byle to nie grzech był.

I stara panna za głowę się pochwyciła.

Pani marszałkowej jedna jakaś dziwna myśl przyszła do głowy, bardzo naturalna pod owe czasy.

— Co? pewnie dziewczyna miała już kochanka...

— Nie, o tém nie wiem nic, ale moja paniuścin, czyżby król miał zważać na to? Prawda, mężczyźni są czasem tak śmieszni! Ale to wcale co innego. W tym domu jest jakaś tajemnica.

Obejrzała się Grzybosia, i zwiesiła się nad łóżkiem pani.

— To nie jest żadna Kozaczka, ale szlachcianka. Ojciec jój niegdyś na Siez zbiegł i tai się z tém, bo snadź coś zbroić musiał. Matka prosta kobieta, ale ambitna. Mówiła mi, że u nich dukaty garncami mierzyć nie nowina.

Pani Mniszechowej na myśl mimowolnie Ś. Jan przyszedł. Westchnęła.

— Cóż bo znown prawisz, Grzybosin!

Ale w téj chwili przyszły jéj na myśl klejnoty widziane i zadumała się mocno.

Grzybosią szanowała zamyślenie.

— Cóż mi więcéj powiesz? spytała pani.

— Dziewczynę widziałam... istne endo! Kozacka krew znieszczana ze szlachecką, wydała tę piękną istotę. A tak to patrzy, a takie to śmiało i wesołe, jakby czuło przyszełe losy swoje.

— Przyszłe losy! szepnęła z uśmiechem ironicznym pani Mniszechowa.

Ruszyła rannionami.

— Wspomniałam o małżeństwie. Stara nie jest od tego, zrozumiała mię od słowa, byle mąż nie był nazbyt odrażliwy i niepokażny. Słowem, idzie jak z płatka.

— A ojciec, ten straszny drab, pomuro patrzący?

— Nie ma go ani śladu, odparła Grzybowska. Tam widzę rząd w dobrych rękach, a ów dawny szlachcie zawojowany przez babę.

Wśród téj rozmowy głos pana marszałka Mniszcha, który osobno mieszkał, dał się słyszeć w sieni. Pani marszałkowa poprawiła czepeczkę i skinęła, kołdrą się okrywając, na Grzybowską:

— Proszę cię, rób co chcesz, ale mi nie odchodź z pokoju. Słyszę głos marszałka; nie lubię jego czułości. Choćby ci wyjść wypadalo, zostań, póki on tu będzie.

W istocie, drzwi się otworzyły i marszałek już ubrany, w rannym stroju, z kapeluszem i laską w ręku, z gwiazdą u boku, wsunął się do pokoju, pozdra-

wiając żonę, która dłonią po czole posunęła, skarżąc się przy powitaniu na migrenę.

Pomimo to usiadł na taborecie przy łóżku, i spojrział na kręcącą się u toalety Grzybosię, jakby się jęć chciał pozbyć, i coś szeptać począł.

— Mów głośno, nie żenuj się, odparła żona. Grzybowska wie o wszystkich, ja dla niej sekretów nie mam, to moja najlepsza przyjaciółka.

— Od Szydłowskiego się dopiero dziś dowiedziałem o fantazyi pańskiej, rzekł Mniszech, i ramionami ruszył, łaskę do ust podniósł i nią uśmiech stłumił. Wiesz ty o tém?

Pani marszałkowa głową dała znak potwierdzający.

— Nie wiem, czy my się z tego cieszyć mamy, czy smucić, odparł Mniszech. *Entre nous*, to przelotne uniesienie znudzonego i zaęczonego człowieka. Ale co powie na to generalowa?

— Nie będzie wcale wiedziała o tém, jak o wieh innych, odparła pani Mniszechowa. Jesteś dla króla za surowy; przy jego zgryzotach, utrapieniach, żeby mu też najmniejszą za złe brać rozrywkę. Kochany wuj jest artystą, czei piękność.

— Choćby dziką różę, wykwitłą pod plotem.

— Chociażby! mówiła marszałkowa. Nie róbcie z tego wielkiej rzeczy, nie mówcie wiele, udawajcie, że nie widzicie.

— Co do mnie — rzekł Mniszech — ja się zupełnie w to wdawać nie myślę i ignoruję; ale dosyć, żeby o tém wiedział starosta miełnicki, cały świat się o tém dowie. Będzie królowi dopomagał i króla wyśmiewał, a w ostatku siostrze doniesie. Żał mi króla. Ale jeśli ty wiesz, powiedz mi, co to jest?

Grzybowska stojąca przy toalecie, odwróciła się i poufale głos zabrała.

— Ja panni hrabiemu powiem. Jest to bardzo młode dziewczę, proste, nieokrzeseane, ale mogące głowę zawrócić pięknoscia, więcj nic.

— Ja bylam przypadkiem... ukryta — dodała pani — gdy król tam byl. Nigdy go tak odmłodzo-  
nym nie widziala. Biedny król! Dajecie mu choć po-  
marzyć troche, aby o rzeczywistosci zapomniat.

— *Pardon*, odezwat się Mniszech: nie zgadzam się na to. Król nie powinien o niej zapominać nigdy. W téj chwili jest ona tak ważną, tak stanowczą dla nas, iż grzechemby bylo, ażeby ją dla jakiejś fantazyi poświęcał. Potemkina mamy calkowicie za sobą, niemal cały dwór kijowski najj. pan oczarował, zyskał sobie; należy z tego korzystać. Któż wie? uda się może dla księcia Stanisława następstwo na tron, zmieniony w dziedziczny, wyrobić. Wojna z Turcyą jest nieuchronna, my pójdziemy na nią i przypuszczeni będziemy do łupn. Moldawia, Wołoszczyzna mogą rozszerzyć granice Rzeczypospolitej...

— Ach! jaki ty jesteś mndny z tą swoją polityką! odczuwała się pani, niecierpliwie kołdrę szarpiąc na sobie. *Qu'est-ce que cela me fait* wasza Moldawia? Król właśnie rozerwać się musi, aby wyszedł z apatyi, w jaką popada. *Pour cela il n'y a qu'une fantaisie pareille, c'est le seul remède.* Ożywi się, życie mu się uśmiechnie. Ten biedny król!...

I szepnęła do ucha mężowi:

— Ja to wszystko wezmę w ręce, przez Grzybosię... *vous comprenez, nous en aurons le bénéfice.* Królowi trzeba się starać być potrzebnym... *c'est mon système.*



Roześmiał się pan marszałek. Spojrzał parę razy na Grzybozię, czy nie odejdzie przecie, ale stara panna, posłuszna rozkazowi, siedziała już i coś robiła kolo porwanych koronek, a marszałkowa zdawała się nie odgadywać myśli męża.

— Mój drogi! rzekła w końcu: idźże ty sobie... ja się muszę ubrać co, przedź; mam tysiąc rzeczy do zrobienia rano.

— A, a! odparł Mniszech, wstając powoli: dosyć, że my z sobą po całych tygodniach jak obcy, ledwie się na pokojach spotkać możemy na chwilę.

— I tak być powinno... szepnęła żona — bo inaczej za prędkobym ci się sprzykrzyła, a tego sobie nie życzę.

— De Ligne dziś przyjeżdża — odczuwał się Mniszech — a z nim najlepsze na nudy lekarstwo.

To mówiąc, obrócił się na pięcie, od ust żonie przesłał jeszcze całusa, i z westchnieniem wyszedł z pokoju, którego drzwi natychmiast na klucz się zamknęły. Miano przystąpić do tajemniczój restauracyi wdzięków, do bielidel, pomad i różn, które świadków nie dopuszczały.

---

Piersch, który przez cały dzień siedział w niewoli na górze, ranek spędził na porządkowaniu improwizowanej pracowni swojej, tak, ażeby nieznaną piękność mogła przyjąć i gościć. Postarał się o nicodbite sprzęty, z deszczek zbić kazał jaką taką sztalugę, naciągnął płótno, dobył farby z pęcherzami, wybrał pendzle, zastrugał węgiel. Dla swego wzoru z dołu od



Zamysłowski wyprosił krzeselko, bo dla siebie miał tylko dwa stolki. Wszystkie graty swoje do drugiego pokoju powynosił i ubrany czekał.

Ale przez cały dzień, oprócz sługi, co mu spóźniony i ostygły obiad przyniósł, nie widział nikogo. Wieczorem dano znać, że nazajutrz rano wzór przyjdzie, że może i marszałkowa także się do niego przekradnie, bo chciałaby pokierować portretem. Snadź nie dowierzała gustowi biednego malarza.

Wszystko było więc w gotowości, a wyobraźnia artysty pracowała niezmordowanie nad wytworzeniem sobie wzoru tego tajemniczego portretu. Blondynka czy brunetka? słuszną czy małą i zręczną jak myszka? królowa czy subretka?

Subretek Piersch nie lubił. Te śliczne buziaczki z dwoma dolkami na policzkach różowych, z dolkiem na bródcę, z zadartym nosem małym, ze śmiejącymi się oczyma, nie zdawały mu się godnymi jego penszla. Wolał piękności klasyczne, rysów greckiego posagu, z oczyma tajemniczo pełnymi, z uśmiechem, w którym gorczył się żeni z rozkoszą, pioluny i ambrozye. Wystawiał więc sobie swój wzór na kształt tych postaci idealnych, które tak wielił.

Potem mu na myśl przychodziło, że to być miała prosta dziewczyna, w której oczach tęsknica postać nie mogła, ani ów wyraz tragiczny, której usta śmiać się nie umiały półuśmiechem ironii, bólu i słodyczy. Jedy-  
nym ratunkiem było w takim razie, wziąć rysy tego żywego posagu i z ich tematu stworzyć ideał, któryby był podobny do wzoru, a stokroć wyższy od niego. Wszak z Wenery Medycejskiej i Apollina robił karykatury udatne; czemużby z blawatka polnego nie miał świętojańskiego wysnuć kwiatu? Piersch rozumiał to

dobrze, że w każdym typie jest tysiąc jego odmian zawartych, od poczwary począwszy, do bóstwa.

Pilno mu było zobaczyć dziewczyńę, rozpocząć malowidło. Nie przyznawał się do tego nawet przed samym sobą; ale jeżeli to miała być piękność zachwycająca, dla czegożby nie przedłużył malowania portretu, aby się na nią patrzeć, patrzeć i upić aż do szalu. Taki szal wewnętrzny, skryty, był w jego życiu jedyną rozkoszą dozwoloną.

Mówił sobie, że każe jęj patrzeć w oczy... malarzowi... i że ze wzroku tego na długo zaczerpnie życia. Któż wie! może ich samych zostawia, może potrafi zawiązać rozumowę, może...

Myśl puszczała się jak dziki koń po stepie. Plersch tęp tylko żył. Raniuteńko wstał. Serce mu biło, nie wiedzieć czego. Zszedłszy na dół, zobaczył w oknie u Zamysłowskich wykwitłą różę miesięczną i — ukradł ją, aby sobie popielaty frak nią przystroić. Żaboty ponięte w łonoku sam odechnął, mankiety były fantastycznie powyciągane, ręce umyte z kokieterią. Pończochy włożył jedwabne, z klinami *à jour*, trzewiki ze sprzączkami stalowymi, u kamizelki dewizki zdołała wielka galka koralowa jak dorodna wiśnia, a guziki jęj były wprowadzić szklane, ale ze szkła weneckiego, w tęczowe kolory.

W zwierciadle wydał się sobie wcale przystojnym, choć takim nie był.

Było jeszcze bardzo rano, gdy na wschodkach posłyszał głosy. Stara kobieta weszła do izby, obejrzała i dopiero snadź przekonawszy się, że nie zabłądziła, obejrzała się za siebie w ciemną sieć, i ręką skinęła na towarzyszkę.

Była to Sydorowa; za nią tuż szła Natalka. Ranek

był chłodnawy; okryła się więc chustą wielką całą, i dopiero na próg wszedłszy, ją zrzuciła.

W tym półmroku Plersch ujrzal swój wzór po raz pierwszy.

Ani Sydorowa, ani Natalka nie wiedziały dobrze, jak się ubrać miała do malowania. Czula instynktem dziewczyna, że najpiękniejszą być powinna. Kładła więc i zrzuciła różne stroje, a wreszcie przybrała się dosyć fantazyjnie, ale nie po ukraińsku.

Ojciec jej niegdyś sprawił gorsecik, który widziała u dworki; wdziała go teraz na białą, cienką koszulę, z szytymi przez siebie rękawami. Od szyi spadały korale do pasa. Włosy spleła matka w dwie długie kosy czarne, przetykane wstążeczkami. Lecz czémże był ten strój wieśniaczy przy krasie twarzy tak świeżej, tak jasnej, tak promienistej, że malarz na widok wzoru poczuł objawienie nowe trzeciego typu, co nie był ani subretką, ani Ifigenią, ale zdawał się być uosobieniem wiosny i życia!

Sydorowa pozdrowiła po rusińsku, Natalka ani skinęła mu głową. Co ją obchodził ten majster, mający ją malować, ją, której król holdy składał, której najj. pan złożył pocałunek na czole i iskrzący się pierścionek włożył na palec!

Pierścionek! w jej myśli było to jakby zaślubienie z królem — należała do niego. Jakże miała patrzeć na innych małych ludzi, kiedy sama była jakby królową i czuła się panią?

Z tą dumą na czole weszła w majestacie dziewczyną do izdebki.

Plersch patrzył i zapatrywał się. Widział nieraz bardzo piękne proste dziewczęta wiejskie, ale takić nie przypuszczał istnienia.

Kobiety wszedłszy do pokoju, nie wiedziały co porządzić z sobą. Piersch olśniony zagadać nie umiał. Trwało to dosyć długo, aż stara go zagadnęła:

— No, a cóż będzie?

— Zaraz... odparł artysta, i zbliżył się drżący do dziewczęcia.

Czarne oczy Natałki padły nań z ciekawością zimną.

Piersch nie wiedział jak ją nazwać. Panią nie wypadło, imienia nie znał.

— Panienka — rzekł cicho — wie pewnie, że ja mam ją malować?

Natałka potrząsnęła głową.

— Stać ma czy siąść? odezwala się stara.

Za całą odpowiedź artysta krzesło przysunął. Natałka usiadła. Chciał ją jakoś ułożyć podług swej myśli. Zdawało mu się, że z koszykiem w rękę, pasterką byłoby jęj bardzo ładnie; potem wspartą na kolumnie, potem u monumentu, lub kreślącą na drzewie cyfrę ręką drżącą. W smaku wieku były te sentymentalizmy.

Wszystko to przebiegło mu przez głowę. Chwila minęła, a Natalee brwi się zbiegły; nudziło ją to.

— Macie malować — odezwala się — no, to dobrze, ale ja nie dam siebie sadzić jak wam się podoba; ja sobie siadę sama. Malujcie jak chcecie, woła wasza... inaczej nie będzie.

Ten despotyzm, tak siebie pewny, wielce zainimował artystę.

— Jakże panienka chce usiąść?

Natałka pomyślała chwilę, posunęła krzeselko, rękę położyła na poręczy, a na rękę główkę, smutnie jakoś pochyloną.

Z téj pozy, przybranéj od fantazyi, stworzyło się coś oryginalnego, niby obrazek, nie portret, gdyż portret, wedle pojęć wieku, musiał siedzieć wyprostowany, sztywny, i być pozbawionym życia, aby zyskać nieśmiertelność.

Natałka pochyłona tak, z nunią zatęsknioną i smutną, niby opuszczona, znużona, oczekująca, zdała się artyście zbyt nieklasseszną.

— Ale proszę panienki, w takiej postawie...

Podniosła dziewczyna głowę.

— A, to inaczej nie będzie... odparła, i znowu przybrała tę samą pozę.

Plersch, który już niał węgiel w ręku, zatrzymał się i zawahał.

Sydoorowa, która była usiadła na stolku, wstała i zbliżyła się do córki.

— Domin, kochanie, a toć to oni lepiej od nas wiedzą, jak siedzieć do tego potrzeba, — to posłuchajże.

Dziewczę główką rzuciło przecząco, a na malarza spojrzało z zalotnością, którą go przekupić chciało.

— Ot tak... rzekła cicho: a no, tak!

Co tu począć było? Stał malarz, wpatrywał się i myślał. Oczy Natałki ciekawie były w niego wlepione.

Na kim innym takie zimne, ciekawe wejrzenie nie uczyniłoby pewnie wrażenia; lecz Plersch był rozmazany, wyglodniały, i zatopiwszy się w tych oczach, w twarzyczce, w zagadce téj piękności niepojętej, uczuł się oczarowanym, podbitym, co gorsza, do malowania niezdolnym.

Nupróżno silił się odgadnąć, co to mogła być za istota? Węgiel mu w ręku drżał, podchodził do płótna

czuł, że nie potrafi njąć tój twarzy. Była nadto piękna, węgiel był nadto brudny, palce mu kostniały.

— A no, a no, a długo to my tak siedzieć tu będziemy? spytała stara. Toście jeszcze nie zaczęli, a i kresek nie widzę.

— Bo to się inaczej zaczyna — odczwał się malarz, rękę z węglem podnosząc.

— Ale wy i nie zaczęliście jeszcze! dodała stara. To pókiż tego będzie?

Natałka siedziała spokojnie, jakby o czém inném zamysłona. Na tój ręce, na której położyła głowę, miała właśnie królewski soliter. Palec nie był zawinięty, obrączka świeciła jasno i zdradzała. Płersch dopiero teraz postrzegł dyament na palen Natałki, i ścisnęło mu się serce jakimś uczuciem smutku i upokorzenia niewysłowionego, Wszystek wdzięk dziewczęj twarzy zgasł przy tym błyszczącym kamyku.

— Biedna istota! rzekł w duchu.

Oculował trochę, i powoli rysować zaczął.

Sydorowa z tyłu patrzała nań ciekawie, a dziewczę śledziło także oczyma każdy ruch jego. Kreślił i mazał.

Z razu szło tępo; powoli obudził się w nim artysta, a zatarł człowieka. Przed sobą miał zadanie trudne, któremu chciał podolać. Rzucił więc szybko na płótnie raczej zuaki niżej, w których się kształty miały nłożyć, niż linie; pilno mu było do barwy, która w tém lieu grała tak wielką rolę, iż zdawała się być jedynym żywiołem, z którego urósł ten kwiatek. Drżały mu ręce, ale już teraz z zapалу dla pięknego wzoru, z którego piękny obraz miał stworzyć.

Sydorowa patrząc, co się działo na płótnie, niedo-

wierzając głową kiwała. Dziewczę podnosiło czasem twarz, i znowu wracało do obranej pozy.

Plersch już paletę pochwycił. W izbie panowało milczenie, robota szła szybko i jak pod prądem natelniciu. Zaczynał już zakładać główne plany, gdy głosy w domu i na wschodach przestraszyły kobiety.

— Na miłość Boga, niech się panienka nie rusza! zawołał Plersch: cała robota przypadnie.

Natalka obojętnie głowę złożyła na rękę, a Sydorowa niespokojna poszła ku drzwiom. Właśnie się one otwierały i pani marszałkowa wchodziła. Spozstrzegła Plerscha z paletą, Natalkę w pozycyi weale niezrozumiałej do portretu na krześle, i nie witając się nawet, krzyknęła:

— Jak to! już pan zacząłeś bezemnie?

I postąpiła szybko ku sztaludze, rzuciła wzrokiem na wzór, potem na płótno.

— Ale cóż to będzie?

— Panna mi inaczej siedzieć nie chce.

Marszałkowa spojrzała.

— Moje dziecko, tak ci nie będzie do twarzy.

— Ale mnie tak do serca, odparła obojętnie Natalka; niechaj już tak będzie.

Milczenie chwilę trwało, a pani Mniszechowa, która sama trochę malowała, przez ten czas kręciła głową.

— Taki portret! proszę cię, Plersch! To nie wiedzieć jakie dziwactwo.

Wzór zdawał się nie słuchać i nie słyszeć.

Nie nie pozostało pani Mniszechowej, tylko przypatrzywszy się rozpoczętej podmalówce i westchnąwszy, zgodzić się z wyrokiem losu.

— No, to kończ, panie Plersch! rzekła: niech już



i tak będzie. Ale zrób ją podobną. Nie mamy czasu trzeba, żeby to było gotowe prędko.

— Prędko? podchwycił artysta, który już sobie na malowaniu zbudował całe marzenie, a pierścionkiem brylantowym tłómaczył możliwość nrzeczywistnienia go.

Pani Muiszchowa pomiarkowała, że jej wizyta do pośpiechu w pracy przyłożyć się nie może; odstąpiła więc dosyć nierada od sztalngi i poczęła na stronic rozmawiać z Sydorową, prosząc jej, aby póki artysta wzoru potrzebować będzie, póty córkę naklaniała do siedzenia.

— Cóż już począć! Niech siedzi jak chce, byle podobieństwo pochwycił.

Ułożono tedy, że i obiad miał być przysłany na górkę, i obie kobiety do wieczoru tam pozostać miały. Wszak się nie pytano Pierscha, czy wydola pracy przez dzień cały? czy nie będzie potrzebował odpoczynku. On, machina do malowania, nie wchodził w rachunek. Pani Muiszchowa szepnęła mu: „Śpiesz się, proszę” — i poszła.

Po wyjściu jej rozpoczęto na nowo.

Natalka się niecierpliwiła niecierpliwym siedzeniem; parę razy Piersch musiał jej pozwolić przejść się. Pobiegła wyglądać oknami, obejrzeć izbę, poruszyła jak dziecię wszystkie sprzęty i narzędzia, aż do pendzli malarza. Znać było, że jej to zamknięcie i niewola ciężkimi były do zniesienia. Poszła za sztalngę przypatrzeć się nieforemnemu zarysowi własnego wizerunku, i rozśmiała się szydersko, widząc coś niezrozumiałego i dziwnego.

— To to ja?...

Ruszyła ramionami.



Z wielkimi trudnościami połączone malowanie trwało do popołudnia, aż i obiad przyniesiono. Piersch z chłopcem ustawił stół, przygotował talerze; Sydorowa z córką usiadły,

Potrawy ze stołu pańskiego dziwuemi się im wydawały, ale Natałka ciekawie ich próbowała, jakby do nowego sposobu się życia.

Przy stole Piersch począł rozmowę po kieliszku wina. Sądził, że dobędzie jakie słowo z zamysłonej, dumnej dziewczyny, lecz szło mu trudno. Patrzała nań z góry. Sydorowa pod koniec stała się rozmowniejszą.

Nie się jednak od nich dowiedzieć nie mógł Piersch, a okrutna go paliła ciekawość. Domyslał się w dziewczęciu czyjś ulubionój; lecz jakże to było pogodzić z pobożaniem dla niej osoby tak surowej jak pani marszałkowa? Ten pierścionek, ta duma dziewczęcia, która się na czemś opierać musiała, to milczenie — wszystko dla niego było niezrozumiałe. Jedną tylko jej piękność rozumiał, a ta flomaczyła wiele. Co się w duszy pod tą cudną kryło powłoką? dobać się nie mógł; oczy wiele mówiły, usta — nie. Pod koniec obiadu wreszcie rozwiązały się nieco usta starzej kobiecie.

— Wy nie tutejsi? spytała.

— Nie, jesteśmy z Warszawy.

— A piękna Warszawa? przerwała Natałka.

— Trudno ją wam opisać, rzekł rad z zaczepki malarz. Jest tam i pięknego dosyć, i brzydkiego mało; ale ludu, wojska, panów, powozów siła, i wesoło bardzo. Nad Wisłą, wysoko, król mieszka, w pięknym, starym zamku.

Gdy ten wyraz „król” wymawiał, lice dziewczyny

pokryło się szkarłatem całe i oczy błysnęły, a usta mimowolnie powtórzyły: „Król!”

— Króla tu w Kaniowie choć z daleka widzieć musieliście, mówił malarz. Pan jest dobry i miły. Ja miałem nieraz szczęście go widzieć i mówić z nim.

Kobiety spojrzały na siebie i zamilkły. Plersch dla odwagi pił wino i coraz się ożywiał.

— Cóż król robi? spytała Natałka.

— A, mój Boże! odparł śmiejąc się Plersch: to bardzo trudno wam powiedzieć. Męczy się, królując, ludzie mu się klaniają, piękne panie oczyma go łapiają.

— A lubi piękne panie i gładkie łóżka? zapytała Sydorowa.

— O! a któżby ich nie lubił? alboż król nie człowiek? mówił artysta. Chciałbym mieć tyle lat życia, ile go kochało i w ilu się kochał.

— To chyba w żadną! przerwała nagle Natałka, porywając się od stołu,—i nie kochała go żadna, bohy nie dała mu go sobie odebrać!

To mówiąc, i jakby chciała skończyć rozmowę, pobiegła do krzesła, siadając do malowania.

Plersch rad nierad powrócił do palety. Po obiedzie szło mu rażniej, i do zmierzchu przeciągnęła się robota. Gdy się nieco zeimniło, rzucił pendzle, a Sydorowa wnet zabrała się córkę okrywać i do wyjścia sposobić.

Zamyśłone i znudzone dziewczę nie pożegnało nawet malarza, rzuciło na niego tylko oczyma czarnemi; a że w czasie malowania wzrok ich się często spotykał i Natałka czuła, że Plersch coraz na nią rzewniej spoglądał, uśmiechnęła mu się w pół litośnie, na pół przyjaźnie. Dziękowała mu za to, że zinnym nie został i nie dał jój zwątpić o sobie.

— A jutro—rzekł w progu do Sydorowój artysta—czekam znowu rano.

— I długo to tego będzie? markotno zapytała stara.

Plersch ruszył ramionami; rad był choć dla przyjemności patrzenia w te czarne oczy, aby to wieki trwało.

Po odejściu kobiet, choć mrok już padał, męczył się jeszcze nad portretem, ale noc mu pendzle z rąk wytrąciła.

Przez ten dzień zrobił wiele. Odehodzące kobiety spojrzały na płótno, już się z niego nie śmiały, ale dziwiły. Sydorowa patrzała z pewnem poszanowaniem na malarza; Natałka zdawała się nie pojmować, jak taki niepoczesny człowiek mógł takiego cudu dokazać. Obraz był zaledwie podmalowany; lecz przewidując, że mu coś do skończenia go przeszkodzić może, Plersch założył w nim wszystko tak, aby i bez wzoru mógł dokończyć. Rysy i wyraz twarzy Natałki utkwily w jego pamięci głęboko.

Znużony, położył się, aby spocząć, i w śnie gorączkowym przemarzył do rana. O brzasku wstał do roboty.

Gniewał się na siebie, bo o téj dzikiéj dziewczynie ciągle myślał. Napróżno sobie przypominał brylantowy pierścień, który go zrazić był powinien: i z nim wreszcie czarowała go.

Nazajntz dawno już stał przy sztaludze, gdy kobiety nadeszły. Sydorowa była chmurniejsza niż wczoraj, a dziewczę jakby rozgorączkowane i gniewne. Zaczęła się robotą w milczeniu.

Około południa pani Mnischelowa na chwilę się wkradła; pobiegła wprost do portretu, i uradowana klasnęła w dłonie.

— A!... wiesz Plersch, że to będzie weale ładny obrazek. Greuza mi przypomina.

— Pani hrabina nadto łaskawa.

— Wykończ tylko... Oryginalny obraz i pełen smutnego wdzięku.

— Winienem to przypadkowi, a raczej mojemu wzorowi, który sam znalazł tę pozę.

— Doprawdy, bardzo szczęśliwą, dodała marszałkowa. Wczoraj z razu zdalo mi się to niedorzeczność; dziś, *je trouve, que c'est charmant!*

Nieczmiernie krótko trwały odwiedziny pani Mniszchowój; nalegała tylko, aby obraz mógł być skończony co najprędzej.

Plersch tego dnia oczekując nieszczęśliwie z Bondarywną, do reszty się upił jej pięknoscia. Miał zrzeczność z oswojoną nieco mówić więcej; zdawało mu się, że nie była już tak dziką, że gdyby starczyło czasu... któż wie?... Biedny Plersch marzył jak człowiek, co nie zna świata, i wejrzenia a uśmiechy za dobrą bierze monetę.

Po odejściu kobiet, choć mu zakazano z domu wychodzić, wytrzymać w nim nie mógł. Zdawało mu się, że płaszczem okryty, przesłizgnie się uliczkami i dostanie do panny Grzybowskićj.

Znał ją z Warszawy i z Wiśniowca, dokąd na kilka dni po garderobę i różne przybory dla marszałkowej przyjeżdżała. Wszędzie, gdziekolwiek dłużej musiała przesiedzieć, Grzybosią na wszelki wypadek zawiązywała stosunki. Była wesola, dawała sobie mówić nawet często drażliwe rzeczy, i sama o drażliwych rzeczach zrzecznie rozprawiać umiała. Lubila bardzo towarzystwo młodzieży, a choć Plersch powabnym nie był i bardzo był bojaźliwym, na pustyni wiśniowieckiej kilka dni z nią dosyć wesolych przeżyła. Zapraszała go do siebie na kawę we dnie, wieczorem na pogawędkę, i polubiła nawet. Plersch, któremu ze starą panną by-

ło łatwo jakoś i raźnie, chętnie z jój uprzejmego towarzystwa korzystał. Z nią można było czasem całkiem kawalerską prowadzić rozmowę, i nigdy się nie pogniewała. W najgorszym razie klapnęła go po rękę i zawołała:

— Paskudnik pan jesteś, słuchać tego nie chcę!

Był to widok dosyć zabawny.

Plerseh wiedział, że Grzybosia była z marszałkową. Chciał się do niej przekraść, aby się od niej czegoś o dziewczęciu, które malował, dowiedzieć. Drugiego dnia bowiem zakochany był po uszy.

Niepodobieństwem mu się zdawało, aby Grzybowska, która wiedziała wszystko, nie знаła historyi tej tajemniczój istoty, co chodziła w wieśniaczym stroju, brylanty nosiła na palcu i miała takich opiekunów.

Wieczór był pociągły, gdy Plerseh wysunął się ze dworku Zamysłowskich.

W miasteczku spodziewał się zorientować łatwo, a nieznajomego przechodnia zapytać o dwór marszałkowej. Powiodło mu się to nad spodziewanie, bo go w istocie sługa Mniszchów do drzwi zaprowadził i wujście do panny respektowój ukazał.

Grzybosia zmęczona drzemala na krzeselku sama jedna, gdy Plerseh się wsunął. Przebudziła się, uśmiechnęła i wylajala natręta, ale poznawszy go, kazała mu sięść i pozwoliła zostać.

— Po co się pan włóczysz po miasteczku? jeszcze pana kto zobaczy i pozna! pani marszałkowa gniewać się będzie! zawołała.

— Panno Rózo dobrodziejko, nie mogłem wytrzymać, bym pani uszanowania nie złożył.

— Doskonały, jak mamę kocham! rozśmiała się panna Grzybowska: doskonały! Cożeś to tak nagle do mnie

rozgorzał? A kiedym była w Wiśniowcu, to prosić trzeba było, żebyś wieczorami przychodził.

— Pani jesteś względem mnie niesprawiedliwą! przerwał Plersch: to było niemal jedyne i najmilsze dla mnie towarzystwo.

— Dziękuję, ale wolalabym, żebyś w dworku siedział i robotę kończył. Hrabinie z nią pilno, bardzo pilno.

— Ach, pani! ręce składając zawołał malarz: mnie też pali gorączka dowiedzenia się choćby kogo malując i dla kogo?

— Patrzajcie go, jaki ciekawy! A waćpanu co do tego?

I pogroziła na nosie.

— Jużciż nie dziwnego, że mnie ta zagadka nęcić musi. Przyznasz pani, że to bardzo naturalne.

— Ale waćpan się nie nie dowiesz, nie! odparła Grzybowska. To są tajemnice stanu. Ja sama nie nie wiem.

Zrobiła stara panna taką minkę figlarną, że Plersch był przekonany, iż kłamie.

— Bardzo dobrze—odparł;—w takim razie dając słowo honoru, nie skończę portretu, dopóki nie dojdę tajemnicy.

— A cóż cię tak piecze? zawołała Grzybowska.

— Co? chcesz pani wiedzieć? rzekł Plersch: oto w tój dzieweczynie szpetnie się zakochałem!

Panna Grzybowska załamała ręce, położyła się prawie w krześle na poręczy, i śmiać się zaczęła do łez.

— Słowem,—odezwala się w końcu — ta wiedźma kijowska wszystkim głowy pozawracała. Kto ją tylko zobaczy, szaleje.

— A kto ją jeszcze malować musi i w oczy jój po całych dniach patrzeć! dodał artysta.

— Mój kochany Plersiu—odezwiała się panna, biorąc zwierciadelko ze stolika i stawiając je naprzeciw niego:—prawda, nie jesteś stary, ale przypatrz się sobie, jak wyglądasz. Jeszcze dla takiej dojrzalej panny, nie przymierzając jak ja, uszedłbyś z biedy; ale dla takiego dziewczęcia jak różyczka, wybacz...

— Albo ja tego nie wiem? westchnął Plersch. Zwierciadła nie potrzebuję, żeby nabyć tego przekonania. Cóż to pomoże, kiedy człowiek szaleje!

— Oblój się zimną wodą i wróć do rozumu; do czego ci się to zdalo?

— Kochana panno Grzybowska, dobrodziejko, przyjaciółko jedyna! wiem i to, że moja miłość nie zdała się na nic, chyba na to, aby mi przyczyniła męczarni; ale... Kocham się.

Grzybowska ruszyła ramionami trochę gniewnie.

— Więc żeby cię opamiętać, bo szczerze mi dobrze życzę—szepnęła, zawaławszy się nieco—to ci powiem: Dziewczyne tę król pokochał, rozumiesz? Portret jest dla niego przeznaczony. To dosyć. Powtóre i to jeszcze dodam, że my ją za mąż wydajemy.

To mówiąc, odchrząknęła znacząco.

Plerschowi oczy się zapalily; chciał coś mówić, zająknął się, podparł łokciem na stole i zadumał.

— A, co za szkoda tej ślicznej, niewinnej istoty! westchnął.

Grzybosia się rozśmiała.

— Nie plec—rzekła—coż to? źle jój będzie? Prosta chłopka, a wyjdzie może za jakiego szambelana i we wszystkiem oplywać będzie. Niewinna istota! cha! cha!



Takie mądre, że od razu zrozumiało swoje szczęście, i ona i matka; w to im graj! nie drożyły się wcale.

— I za kogoż ją wydacie? za kogo? zapytał Piersch ponuro.

— Konkurentów nie zabraknie, rozśmiała się Grzybowska. Mam już jednego szambelana, a jakbym natarła meeno, kto wie, czy pewny artysta nie zgodziłby się także zostać kandydatem.

— O, nie! odparł Piersch: nie, słicznie dziękuję. Koebać się mogę do szaleństwa, ale żenić się w takich warunkach nie potrafię. To dla szambelanów rola, nie dla artysty.

I sklonił się z miną smutną. Grzybowska spojrzała na niego zdziwiona nieco.

— A, jak mi jęj żal! powtórzył zadumany Piersch. Z tego polnego kwiatka...

— Będzie to, co ze wszystkich piękniejszych kwiatów: pójdzie do bukietu na królewskie pokoje, i wyrzuci go potem na śmiecie.

Mówiąc to panna Grzybowska, westchnęła, a wspomnienie jakieś nagle w jej oczach zaświeciło dwiema łzami, które przedziutko otarła, starając się wrócić do pierwszej swój wesołości.

— Król! nie rozumiem króla... rzekł po cichu artysta. W młodości namiętność wiele tłómaczy, choć nie wszystko niewinnia; ale w jego wieku, na jego stanowisku, chwilę rozrywki takimi okupować ofiarami...

— Cicho! tupiąc nogą zawołała Grzybowska: co nam do ich smutnienia? Nasza a ich moralność są do siebie wcale niepodobne; im wiele wolno, bo wielki ciężar dźwigają na ramionach. Dosyć tego, panie Piersch.



Artysta wstał zadumany.

— Dobra noc pani... rzekł na pozór spokojnie.

— Spodziewam się, że się waćpan nie pogniewasz na mnie, przymilając się szepnęła Grzybosią. Uczyniłam to z dobrego serca, dając mu dowód zaufania. Proszę tylko język trzymać za zębami, bo i mnie, i sobie pan zaszkodziś. Podziękuj mi pan, żeś wyieczony.

Płersch uśmiechnął się smutnie.

— Wyleczony? nie! rzekł: bo głupia miłość rozsumną radą się nie leczę. Jak chorobę przeboleć ją trzeba, to darmo. Nie mogę się pozbyć z przed oczu tego dziewczęcia. Ach! gdybyś pani widziała, jak mi siadła do malowania, z jakim wyrazem smutku i niedoli siedziała cały czas, niby swą przyszłość przeczuwając!

Grzybosią się uśmiechnęła.

— Otoż masz sentymentalnego kawalera, który się tak nad prostą dziewczką rozezula. Lepsze od niej doznały gorszego losu. Ot, nie plótlbyś. Idź, idź, dobranoc! A jeśli ci się tak głowa zawróci, że aż ożenićbyś się gotów, aby w te czarne oczy patrzeć... no, to poproś mnie pięknie, gotowam to zrobić dla ciebie, że ci dopomogę, bo cię kocham, dalipan mój Płersin!

Wyrzekła to z jakimś uczuciem, tak, że poczeiwy artysta, wdzięczny za dobre słowo, wziął jej rękę i pocałował w milczeniu.

— Jeśli pani jesteś moją przyjaciółką — dodał cicho — a przekonasz się, że do tego szaleństwa doszedł, iż gotów jestem podobnej dopuścić się niekiedy, uczyni pani to i nie dopuść...

To mówiąc, wybiegł jak szalony.

---

Dnia następnego z rana nie przysły kobiety siedzieć do portretu. Domyślał się Plersch: dla czego? Po mieście chodzila pogłoska, że najj. pan, potrzebujący wypoczynku, udał się ze starostą Szydłowskim na samotną przechadzkę.

Malarz kończył po trosze z pamięci, smutny i zamysłony. Nie szło mu teraz; mazał, psuł, rzucał; dziwne myśli rodziły się w głowie, parę razy chciał płótno podrzeć na sztuki i uciekać.

Przez chlopea, nader ciekawego, który mu był dodany do posługi, dowiedział się Plersch wielu rzeczy, już po miasteczku krążących. Jak zwykle, nie się tu utrzymywać nie umogło w tajemnicy; wiedziano, że król u Bondarywny gościł często, że ją malować kazano że prawdopodobnie za mąż ją wydadzą i do Warszawy lub Koziennic zawiozą.

Nie w tém nie było tak szczególnego w owym wieku i w tych sferach; chorobliwe miłości starych i młodych powszedniemi były chlebem. Któż nie znał historyi wojewody G..., ożenionego w starości z młodą dziewczyną, która go, odegrawszy ze starszym jego synem rolę żony Putyfara, do wydziedziczenia dzieci skłoniła, a dwa czy trzy razy w kawie częstowała go takimi przyprawami, od których psy i koty zdychały? Któż nie wiedział historyi generalowój, z którą mąż nie żył nigdy i której dziećmi sam król się opiekował? i t. d.

Rzecz więc tak niezmiernie zwyczajna, prosta, powszednia, jak ożenienie jakiegoś starego niedołęgi z piękną Bondarywną, dla ułatwienia z nią miłości królowi, nie obudzała najmniejszego ani podziwu, ani szemrania. Dobijano się tylko o szczęście służenia jego kr. mości i korzystania z tak szczęśliwego składu okoliczności.

Chłopak dowiedział się więcj pewnie niż w istocie było, napłótl Plerschowi różnych wiadomości, które go gorączki nabawiły; a co było dla niego rzeczą najważniejszą,awiadomił, gdzie stał za miastem elntor Sydora i jak do niego trafić było można.

Z południa jednak, gdy malarz sądził, że już nie przyjdą kobiety, otworzyły się drzwi, i Sydorowa, bardzo ożywiona i rażna, z Natałką śmiejącą się i wesolą, weszła na górkę. Dziewczyna najprzód pobiegła do swego portretu i stanęła zadumana z palcem na ustach.

— Albo to ja, albo to nie ja, odezwiała się po polsku, ale z rusińska, mieszając z sobą dwie mowy. Bóg wie, takąby ja mogła być, taką ja może i będą — ale dziś... Na coście wy mnie zrobili taką smutną, kiedy ja jestem wesola? zawołala. — Ja dziś jestem bardzo wesola i szczęśliwa; wy mnie odmalujcie tak jak widzicie. Dziś mi tak lekko na świecie, oddycham tak swobodnie, wszystko mi się śmieje i ja do wszystkiego.

— Tak, widzę to, rzekł Plersch; ale nie taką byłaś panna, gdyś ją malować poczyniał, a teraz przerabiał nie czas. Choćbyś na usta dał wam uśmiech, głowa pozostanie spuszczone smutnie. Jam temu nie winien, wyście tak chcieli.

— A no, z Bohom, niech tak zostanie... rzekła Bondarywna, — i poszła się na swe krzesło, którego miejsce na podłodze kredą było oznaczone. Twarz jej pochmurniała, spuściła głowę na rękę.

Matka śmiejąc się, patrzyła na nią; po chwili przyszła do niej, pocałowała ją w czoło i nie mówiąc, na miejsce wróciła.

Aż do wieczoru prawie w milczeniu ciągnęło się owo malowanie, i głowa wzoru wyszła w całej swój

krasie na płótno; pozostawały rączki i suknie, ale i do tych siedzieć było potrzeba.

Znierzehało już, gdy kobiety znużone wstały. Stara Benderowa zbliżyła się do Pierscha, szepejąc mu na ucho:

— Czy mnogo groszy kosztuje taki obrazek?

— Jak dla kogo, rzekł.

— A gdybym ja chciała mieć taką doczkę dla siebie, choćby mniejszą? Któż wie, kto mi ją zabierze? niechby choć na płótnie w tęsknicy uśmiechnąć się było do kogo!

Piersch się nauuysłał.

— Nie mówmy tu o tém, rzekł powoli; pozwólcie mi przyjść do was na chutor, tam o tém pomówimy. Na mnieby się może pogniewało tu, gdybym drągi taki obraz malował.

— Przyjdźcie wieczorem — odczuwała się stara — znajdzie się dereniak, pogadamy. Rano nie można, ludzi nadto.

I poklepała majstra poufale po ramieniu. Natalka nań popatrzała.

Piersch przyjść obiecał nazajtrrz.

---

Gdy się to wszystko odbywało poza chatą, w chacie działały się rzeczy, których nawet 'oczy Sydorowej, zbyt zajęte czém inném, dojrzeć nie mogły.

Od wieczki Sydora, Maksym kroka prawie na pole nie zrobił. Siedział w domu, chodził dokola chutoru, chował się za plotami, szpiegował, nie jadł, nie pił nie prócz wody, którą z wiadra jak kół chlupał. Dziko mu z oczu patrzyło.

I on, i Krywonogi spiskowali. Po nocach siadali w szopie i szeptali. Maksym się zrywał na najmniejszy szelest i biegł stróżować około ohejscia. Suchy kij dereniowy, osmalony, ciężki, miał zawsze pod ręką.

— *Ubiju! jój Bohu! ubiju!* wyrываło mu się z ust ciągle.

Natalka od czasu pierwszych odwiedzin królewskich prawie już na niego nie patrzyła. Nie odpowiadała mu, gdy się odzywał, a posługując się nim, pomiatła po swojemu.

Maksym nie wiedział nic, ale domyślał się, co się tam święcić musiało. Częste odwiedziny różnych panów w perukach burzyły go i do rozpaczyny przyprowadzały. Lachów kłął na czém świat stoi.

Krywonogi zamiast go powstrzymywać, potakiwał ulubieńcowi we wszystkim,

— Niedoczekanie ich, aby oni nam naszą dziewczkę wziąć mieli! wolał Maksym. Kto się przysunie i odważy... śmierć! ubije jak psa!

— A król? mruknął Krywonogi.

— Król stary, to nie król ją balamci — mówił Maksym — ale te panieze ze dworu, co chodzą jak lalki i baby postrojone. Na to i pięści dosyć, kija nadto. Jakbym w skroń pocałował, ani ziewnie.

Wzburzyło się wszystko w Maksymie, gdy postrzegł, że stara się kręci i dopomaga córcie.

— Niechajże dziewczyna, bo to młode i żółtego dziobka nie pozbyło; ale ta wiedźma stara! mruczał Maksym, odgrazając się.

— Wiedział Sydor, czego niekal: jemu także świerzbiała dłoń. Wiedział, że jak nie wytrzyma, to kropnie którego albo za gardło porwie i zdusi jak mu-

chę. A wiedział i to, że ja tu jestem, i że u mnie też krew nie woda. Nie mówił mi nic, ale ja wiem i zgaduję, co myślał... Ubiję... i niech mię na szubienicę prowadzą.

Gdy kobiety do malowania chodzie zaczęły, Maksym do reszty oszalał. Po całych dniach ich nie bywało. Krążył w zaroślach okolo dworku Zamysłowskich i podpatrywał, co się tam dzieje. Nic zobaczył nie, nie dowiedział się o niczym, ale to długie przesiadywanie do rozpacz go przyprowadzało. Zaciskał pięści i gryzł wargi do krwi.

Jednego wieczoru nie wytrzymał. Bondarowa siedziała na przyzbie, zadumana; poszedł do niej. Choć sierota i obcy w domu, Maksym tyle kochał dom i ich wszystkich, że słów nie mierzył i czuł się w prawie powiedzieć, co mu w piersi wrzało.

— Słuchajcie, matko! rzekł, stając przed nią, a nie postrzegłszy, że z za otwartego okna Natałka rozmowę ich podechwycić mogła: — już tego dosyć; com mileżał tyle czasu, już tego dosyć. Rozmówić się nam trzeba.

Sydoorowa popatrzała nań zdziwiona.

— Ja wiem, czego stary poszedł na Pobereże. Jem straszno było ręki nie powstrzymać, a was sierotami zrobić wiecznemi. Na mnie to zeszło.

— Czyś ty się zbiesił? zawołała Sydoorowa.

— O nie, matko! rozum mam i serce, rzekł, nderzywszy się w piersi. Bóg nademną. Jeśliście wy ślepi, że nad głowami srom wisi, to ja widzę, i ja, Bóg nademną, ja nie dopuszczę... ja zabiję!...

Bondarowa porwała się z ławy.

— Skręcił się młokos! krzyknęła, tupiąc nogami. A do budy, psie ty jakiś! ty robie! (niewolniku), ty sługo! a tobie co do mnie i do mojego dziecka? słyszysz?

Maksym pobladł i stał milezący.

— Słuchaj, matko Sydorowa! rzekł głosem drżącym: nie darmo ja Bondarowy chleb jadł lat tyle, nie darmo ja wam winienem, że mię nędza nie zgryzła za młodu. Rób jestem, sługa, ale ja Bondarowi wszystko winien, i gdy jemu i jego dziecku krzywda się może stać przed Bogiem i ludźmi, niech zginę, a nie dopuszczę. Łajcie i w oczy mi plućcie, eo mi tam! ja mam swoje sumienie. Wy ślepi, matko Sydorowa, wy ślepi; dziecko dzieckiem, u was wiek i rozum, a nie widzicie stryczka koło szyi. Co z tego ma być dobrogo, że tu Lachy chodzą?

Kończył te słowa poruszony, rozszalały, gdy przed nim, pomiędzy nim a Bondarową, zjawiała się Natalka.

Siedziała ona w oknie, gotując się do snu. Mruzała pacierze, rozplatała kosy, a myślała, któż wie o czém? gdy ją głos Maksyma doleciał.

Serce jej bić poczęło z gniewu, z dumy. Wybiegła jak stała, z rozpuszczonemi włosami czarnemi, które jak płaszczy spadały na białą koszulę i fartuchy, bosy, na pół rozebrana. Księżyc w pełni padał na nią i rusalkę z niej robił. Czarne oczy ogniste wlepiła w zuchwałego parobka. Rękę wyciągnęła ku niemu.

— Maksym! torbę i kij weź natychmiast i won, precz z tego domu, ty niewdzięczny, ty dziki zwierzu, któremu się krwi zachciewa! Żebyś mi téj nocy pod naszym dachem nie spał! precz! słyszysz? precz!

Jak wkuty stał Maksym.

— Ty mię wypędzasz? rzekł głosem zbolalym: ty, Natalko, dla której ja życie stawiał i dziś dać gotów? O, nieszczęśliwa godzina!

— Co się tobie uroiło?... poczęła stara, wysuwając się z za córki. My twojej opieki nie potrzebujemy.



Co tobie w głowie? ty przybłędo bez ojca, ty... Ja wiem... myślałeś sięgnąć oczyma na królową, ty z gnoju wyszły robaku!

I stara namiętnic śmiać się zaczęła.

— Nie, matko Sydorowa, rzekł Maksym głosem, który drżał jakoś strasznym bólem i namiętnością: nie, Bogiem się świadeczę, ja bezdomowy włóczęga, ja sierota biedny, jam nigdy nie pomyślał o waszém dziecku. Zabić się za nie dać, czemu nie? ale na nie spojrzeć zuchwale, jam się nie ważył. Niech Natałka jutro przyjmie swaty, ja się na ziemię położę, aby po mnie deptali nogami; ale rozbójnika, węża, Lacha do domu nie puszcze, nie puszcze!... krew się poleje!

Obie kobiety jakiś czas milczały. Natałka pierwsza odzyskała przytomność i rozśmiała się.

— Kij i torba na drogę! idź, żebyś mi tu nie noceował. Ja ani twego rozumu, ani twojej opieki nie potrzebuję. Won!...

Maksym potarł ręką po czole i zatoczył się jak pijany. Usta coś mruczały niezrozumiałego. Nie odpowiedziałwszy słowa, postąpił krok w tył i zwrócił się ku odejściu.

Wtém z cienia, z za chaty, wystąpił Krywonogi. Stary nie mówił nigdy prawie; mruczał, pracował, zdawał się stworzony na niemego niewolnika.

Szybko płacząc grubemi jak klody nogami, przystąpił do Sydorowej. Czne było wśród ciszy przyśpieszony oddech jego piersi szerokich; dyszał, ręce wyciągnął.

— Bondarowa! zawołał: kiedy Maksym won, ja z nim! Zostańcie same, wiedźmy przekłete! Na pohybel wam!...



Ręką zamachnął nad głową, drugą zasłaniając sobie oczy; zachwiał się, i szybko porwawszy Maksyma pod rękę, poszedł z nim pod szopę.

Kobiety stały, szepejąc między sobą, zmieszane. Księżyc w pełni oświecał podwórko. Po chwili z pod szopy wyszedł Krywonogi, trzymając kij w rękę. Nie obejrzał się nawet, ciągnąc za sobą Maksyma, który szedł powoli, ze spuszczoną głową.

Sydorową ogarnęła jakaś trwoga, i chciała się zawrócić ku nim, aby ich wstrzymać. Natałka nie dopuściła. Mileząc ręką wskazała na wrota.

We wrotach Maksym się zatrzymał i odwrócił.

— Bywajcie zdrowe, matko Bondarowa, i wy Natałko Bondarywna! bywajcie zdrowe! Za chleb i sól Bóg zapłać. Wygnaliście mnie, idę; ale nie pójdę daleko. Na drugiej między siadę, a co przeznaczono i napisano, to się spełni. Na kogo spadnie krew, Bogu wiedzieć, nie umie.

Wrota skrzypnęły. Maksym wyszedł z Krywonogim.

Natałka spokojnie powróciła do chaty, a Sydorowa ku płotom poszła, aby podpatrzeć co z sobą zrobią. Widziała, jak się drożyną w parów pnęli i znikli.

Starą strach ogarnął. Całą prawie noc oka zmrużyć nie mogła. Ich dwie w chacie, najmitka jedna—więcej żywcę duszy; a włóczęgów i zbytników i wszystkich cinrów pełno dokola. Pozamykala i pozarygłowywała drzwi, pozasnwała okna, a istnie strach jej było. Psą nawet na podwórzu nie mieli. Szczerściem noc była jasna i dzień się robił prędko, a gdy dobrze rozedniało, Sydorowa spokojniejsza nieco usnęła.

Nazajutrz miała się o parobka postarać.

Jak co ranka ubrała się Natałka gdyby na niedzielę; teraz u nich święto było tydzień cały. Dziewczę się stroiło w korale i kwiatki. Stało, patrząc w zwierciadelko i marzyło a śpiewało. Królewskie lice, uśmiechnięte tęskno, łagodnie, stało jęj przed oczyma.

— On smutny, ja jego pocieszę, mówiła sobie. Ludzie będą przedemną padali. Jam czuła w duszy, że Bóg mię stworzył na to, abym królowała.

I sny złote chodziły po głowie zawróconej.

Dzień cały upłynął wszakże, a gościa nie widziały żadnego; z Kijowa przybyli właśnie znakomici podróżni, którzy króla uwięzili. Przyszły sprawy ważne na stół, i trzeba było o czarnych oczach dziewczyny zapomnieć, a księcia Tanryki przyjmować. Ksiączę miał Poniatowskiego jeszcze raz przejednać z tym mienioszonym hetmanem, który jak stepowy koń zrywał się, wierzgając, od żłobu.

Król miał nadzieję przejednać nareszcie wszystkich swych nieprzyjaciół, nawet tych najzaciętszych, co ze sług i wiernych zauszniaków wrogami się stali.

Szczesny zapraszał go do Tuleczyna, Czartorysey się zbliżali, Radziwiłłowie obiecywali iść z królem; wreszcie i białocerkiewski starosta, przez wuja żony swęj, musiał być do zgody sklonionym.

Obok tych ważnych zabiegów, czémże była owa rozrywka chwilowa?

Cały Kaniów dnia tego był w niezmiernym ruchu. Sydorowa sama nie ważąc się oddalić z domu najmitkę posłała na miasto, aby jęj parobków szukała.

Tymczasem kobiety siedziały w domu. Bondarowa jedzenie warzyła sama, a Natałka tęskno oknem wyglądała.

Okolo południa, korzystając z zamętu, jaki w miasteczku panował, Grzybosią zamówiła sobie szambelana Rzesińskiego. Chciała go zaprowadzić na chutor i dziewczę mu pokazać, a jego matce i Natalce. Kazała mu się ubrać paradnie i jeśli można odmłodzić.

Posłuszny Rzesiński, który jeszcze się wahał co ma uczynić z sobą, ogolił się starannie, wiadro wody wylał sobie na głowę, suknie wdział, jakie miał najlepsze w tlomoku, karabelę przypasał i stawił się na oznaczoną godziną. Wyglądał tego dnia wcale nieźle, tylko go Grzybosią przestrzegła, ażeby prościęj się trzymał, i całą drogę, idąc do chaty, jemu to przypominała.

Szambelan zeszywniał, lecz stał się poważnym bardzo.

Natalka siedząca w oknie, pierwsza nadchodzących postrzegła i poszła o nich oznajmić matce. Nie wiedziała kto był, lecz spodziewała się, że do niej przecież szli ci goście. Sydorowa się ogarnęła i wyszła.

Szambelan z Grzybowską wchodzili właśnie w podwórko. Pozór chaty wieśniaczej nie podobał się szlachcicowi; nosem kręcił.

— Ależ to chłopcy! szepnął do ucha towarzysze.

— Na Rusi i szlachta inaczej nie wygląda, odparła Grzybowska. Jużciżem wam pałaców nie obiecywała.

Zaprezentowała stara panna swojego przyjaciela, i weszli do chaty. Natalka spojrzała, domyślając się, że ów nieznajomy przybysz na coś jej musi być potrzebny; przyjęła go więc wesolo i ochoczo.

Rzesiński od chwili, gdy ją w progu stojącą zobaczył, mowę stracił i całą odwagę. Uśmiech dziewczęcia i oczy, z tą myślą, że on ma być panem tego

uśmiechu i tych oczu, ogarnęły starego jak płomieniem. Stał się trusią i nieśmiałym a śnieszynym, bo z dziewczyny oka nie spuszczał.

— Jakby to ubrać tylko poladzkę — szepnął sobie — królowa! pani! Wenera! mości dobrodzieju, obrazek! Żadna się do niej ani myśla.

Dziwnym fenomenem jakichś odżywionych nagle pragnień młodzieńczych, szambelan zapomniał o kasztelanii, o Św. Stanisławie, o kopercie, o nagrobku, a zatopił się w kontemplacyi tego arcydzieła bożego. Nigdy w życiu nie śniło mu się, ażeby taką mógł mieć żonę, a od lat piętnastu o żadnej nie myślał.

Nagle, taka piękność, a z nią w posagu czerwonce, o których Grzybowska wspominała, kasztelania, krzyż, laski pańskie... Rzeziński czuł, że mu się mąci w głowie. Zaczynał tylko znajdować, że królewskie amory, nawet platoniczne, weale są nie do rzeczy.

Siadł pan Rzeziński w kątku na ławie, mało mówił na szablę się podparł i uśmiechał się do dziewczyny. Natałka mu samą wódkę przyniosła i chleba a miodu na zakąskę. Z jej rąk wychylił czarę, a dotknąwszy wypadkiem małego palca, poczuł po całym ciele przebiegający dreszcz, który jak piorun przeleciał potem przez kolumnę pacierzową i w mózgu błyskawicą się rozprysnął. Szambelanowi jasne płatki jak gwiazdy latały przed oczyma.

Grzybosią patrzała nań jak osoba doświadczona; po części odgadrywała wrażenia biednej ofiary, mierzyła go okiem szyderskim, zmusiła do drugiej czarkei, naprowadziła na opowiadanie o majątkach, o dostatkach, o dworze, mrużąc, śmiała się, i dzięki jej złośliwości a wielkiej domyślności kobiet, odwiedziny wypadły szczęśliwiej daleko, niżeli się nawet spodziewała.

Rozmarzony Rzesiński, pożegnawszy się z Sydorową i Natałką, ledwie wydostał się za wrota, pochwycił rękę Grzybosi, i całując ją z uniesieniem, krzyknął:

— Królowo moja! dzień się wola boża! za tą dziewczyną w ogień i w wodę, byle moja była.

Śmiała się panna Grzybowska, a szambelan rękami do góry podniesionemi gestykulując, wzdychał, bił się w piersi i protestował, że na wszystko jest gotów.

— Jeśli pan tak to będziesz brał na gorąco, odezwiała się w końcu Grzybowska, najpewniej z tego nie będzie; bo się waćpana i ona zleknie, no, i ja, a może i kto trzeci. Tu te zapaly nie w miejscu, bo- byś ani kasztelanii, ani krzyża nie dostał; a żonę, prędzej później, przecież mieć będziesz zawsze.

— Tak, później, bardzo dziękuję! mrknął szambelan.

A Grzybosią się śmiała.

---

Zmierzchać zaczynało, gdy Plersch, który prędzej wybrać się niepostrzeżonym nie mógł na chutor, wyszedł ze dworku Zamysłowskich, i po pod płotami, maledni drożynami, okrążając nlice i drogi, począł się na przedmieście przekradać. Bardzo szczęśliwie dla niego, dnia tego więcej niż kiedykolwiek życie się całe skupiło około dworu najj. pana. Wszysey musieli być na usługi, a wielu z dobrej woli składało hołdy księcin Tauryki, którego pan hetman bodaj na przyszłego kandydata do korony kierował. Mógł więc Plersch niepostrzeżony, nie spotkawszy nikogo, oprócz jednego parobka, który z pola przewrócony plug wlokąc z sobą, powracał, dostać się aż do Sydorowej chaty.

Nie był jednak pewien, czy nie zablądził, i z nieśmiałością wszedł na podwórko. Stało ono puste; drzwi chaty były otwarte. Z dala cicha piosenka odzywała się okienkiem odsuniętym; głębiej w obejściu nowi parolnikowie, których najmłodsza przyprowadziła, szepecząc rozpatrywali się po stajniach i chlewach.

Plersch po głosie poznał, alho się raczej domyślił Natalki. Stał trochę, aby się tą piosenką rzewną, w której brzmiała ukraińska nótą, nasycić. I na duszy od niej zrobiło mu się smutno nad wyraz. Pomyślał, jaki tej pieśni wiosennej koniec być musi w jesieni, jeżeli życie jak strumień, brzegi wyrwawszy, popłynie? I krok za krokiem postępując, z wolna przyszedł aż pod okienko, a cień jego padając na nie, rozbudził dziewczynę i usta zamknął. Poznała malarza, a wiedziała dobrze, że i on był jej zawojowanym sługą. Nie wstając, rzuciła mu „dobry wieczór.”

Plersch się zbliżył ku niej, i naprzeciw usiadł na przyzłocie. Natalka z jednej, on z drugiej strony, przez otwarte okno rozmawiać mogli z sobą. Sydorowa chodziła po gospodarstwie; dziewczę jej przywoływać nie myślało.

— Późnoście przyszli, odezwala się Natalka; a to już dnia mało i noc nadechodzi.

— Nie mogłem przedź, rzekł Plersch, i długo wam tutaj nie będę natrętny.

— E, my po księżycowych nocach czasem do kurów siedzimy, mówiła Natalka. Ja lubię patrzeć na księżyc i słuchać ciszy nocnej, albo gdy chumrki białe po niebie latają, gonić je oczyma, alho gdy haki huczą na moczarach, przysłuchiwać się ich hukaniu.

— Szczęśliwe to życie, kiedy się tak może pod

swoją strzechą po pracy odpocząć, odezwał się Plersch. Czego wam tu brak? mój Boże!

— Pustynia! poczęła Natałka. Wy mówicie, czego brak? a no, wszystkiego—ludzi... Baka słuchać, kiedyby się głosn ludzkiego chciało, to bieda i tęsknica; w chacie się dusić, kiedy drudzy białe domy mają...

Plersch pomleczal chwilę. Żal mu było ślicznój dziewczyny.

— E! rzekł powoli: gdybyście nie gniewali się na mnie, jabym z wami rad pomówić od serea.

— Od serea? rozśmiało się dziewczę.

— Nie rozumiecie mnie może; no, to powiem: od snienia...

Dziewczę milezało.

— Mnie was żal okrutny, rzekł malarz.

— A no? spytała Natałka.

— A tak, żal, ciągnął dalej Plersch,—żał mi was. Wyście szczęścia warei, a wam się gotuje niedola. Ja wszystko wiem.

Natałka, która siedziała na ławie, wstała i wsparłszy się o okna krawędzie, zwiesiła nad siedzącym główkę ciekawą. On pozostał w miejscu, z podniesioną ku niej twarzą.

— Wyście lepszej doli warei, mówił Plersch, powoli się coraz ku niej unosząc. Ja wiem, podobaliście się królowi. Król dobry jest, ale on eodzień nowęj twarzy pragnie i miłości nowęj. Co za dziw, żeście go oczarowali?... A co potem? Jutro pamięci nie zostanie w jego sercu o tém, co wczoraj życiemby był okupił. A wy, wy zostaniecie ze łzami, i ze sroniem, i z niezdarnym mężem, którego wam może dadzą, i płakać będziecie resztę życia.

Mówił to powolnym głosem, smutnym, a Natałka



go słuchać zdawała się pilnie. Główka jej pcruszała się w mroku, kołysząc się jak usypiająca dziecina. Słowa nie zdawały się czynić wrażenia, aż Ptersch, który się czego innego spodziewał, zamilkł.

— Mówcie, rzekła, niech wam to z duszy zejdzic. O mój Boże! albo to ja głupia dziewczyna? albo nie wiem tego wszystkiego? Ale wy mnie nie znacie, o nie! Mnie od kolebki wielkość się śniła, i chcę wielkości skosztować. Jam się dzieckiem perlami bawiła, chodząc w zgrzebnój koszuli; mnie ojciec i matka kołysali na królową. Mnie tu ciasno, mnie tu tęskno; ja chcę wrzawy, i ludzi, i stroju, i śmiechu—no, ta choćby i lez!

Z kolei Ptersch, słuchając, niemal osłupiał. Mówiła tak jakoś jakby przez sen, w jasnowidzeniu, nie powszedniem słowem i dźwiękiem. Była nie tą, którą widział u siebie na górze, prostą dziewczyną, ale jakikieś niezrozumiałem dla niego stworzeniem, przez którego usta istota nieznana mu przemawiała.

— Ach! zawołał, gdy umilkła: nie szczęśliwszeń życie spokojne? nie lepićjżeby wam było przysiądz u ołtarza takiemu, co by wam przysięgi dotrzymał, i nie kryć się z niczém, i nie wstydzic nieczego?!

— Albo myślicie, że ja kryć się i wstydzic będę?... Grzech! jaki grzech?... On pan, on król, grzech jego, nie mój! Ja niewinna! ja idę jak ćma na ogień...

— A ćmy w ogniu płoną, rzekł Ptersch.

— Niech i ja się spalę, ale życia skosztując! zawołała Natalka, śmiejąc się dziko.

I ręką pogroziła malarzowi.

— Ja wam powiem też prawdę—o! ja wszystko rozumiem, przedemną się nie nie ukryje. Nikt mnie tego nie uczył, ot tak samo mi to przychodzi, nie wiem

zkąd. Wam nie o moją idzie dole... wyście też zakochali się we mnie.

Klasnęła w dłonie.

— A co? a co? nie prawda? O, o! jam to drugiego dnia już wiedziała. Wyście nie malowali, tylko patrzali we mnie, prawda? Wybyście też chcieli wziąć mię do ołtarza i przysięgać.

Plersch się zniemzał. Nigdy nie mógł przypuścić, aby dziewczę tak śmiało było.

— Nie będę się zapierał; może i mnie od waszych oczu zawróciła się głowa. Ale ja nie myślał o sobie, gdy mówiłem o was; nie, na to się wam na Boga zaklinam. Jam tam żył; ja patrzałem na to; co się dzieje; ja znam pana, i ludzi, i świat ten, którego wy nie znacie. Tam nie trwa nie.

Dziewczę potrząsnęło głową.

— A gdzież trwa? zapytała; a co trwa? Wszystko przechodzi i ginie! tak stoi w pieśni naszej. Niech krótkie życie przejdzie jak błyskawica jasna; a potem...

— O, o! a z kimże to tak przez okno gadacie? odczuwał się głos Sydorowej.

Natalka odstepiła od okna i pokazała na Plerscha.

— A czemuż pana majstra nie prosicie do chaty? Taka to z was gospodyni! poczęła Sydorowa, poprawiając na stoliku obrus i idąc już po czarke i obiecany dereniak.

— Chodźcie do chaty, dodała znikając z okna dziewczyna.

Plersch wszedł.

Zaczynało zmierzchać, księżyc już później wschodził, więc ciemność szybko po słońcu zajęła rozciągając się po stepie i miasteczku.

Kaniów leżał już w mrokach. Gzieniegdzie na dniewprowych wodach odbijał się szmat jasnego nieba i świecił jak oprawione w czarne ramy zwierciadło. W powietrzu była woń wiosenna.

Obok wzgórza, na którém stał chutor, ciemny parów przerywał drogę i ciągnął się jako stare wód łożysko ku dniewprowym brzegom. Wyschły był teraz i wiosną tylko lały się nim śnieżne wody, wyrrywając mu boki i szecerbiąc strome ściany. Co rok na nich wiatry zasiewały ziola i krzewy, które się czepiały boków, wpijały w nie korzeniami, i zawieszane na pół w powietrzu, bujały, rosnąc na łasce wichru i sloty. Niekiedy odrywał się kawał parowu, i bryłami spadała glina z krzewami w łożysko.

Wiosenne wody czyściły tę głębię i zarośla nowe niszczyły, tylko górą silniejsze krzaki, gęsto zbite opierały się wiatrom i wodzie, zwieszając się po nad wąwozem.

Na dnie jego ciemno było nawet we dnie, bydłoszukało tu schronienia w południe; ludzie wypoczywać tam chodzili. Niejeden włóczęga, co po miasteczku nocą plondrował, na dzień się w te gąszcze zaszywał. Gdy słońce zapadło, każdy mijał wąwóz pośpiesznie. Bywało rozbijano w nim często, a kupki kannieni i gałęzi świadczyły o dawnych morderstwach.

Tego wieczoru też gałęzie tarni, leszczyny i głógów jakoś szeleściły dziwnie, jakby się ludzie, nie zwierz, przebijali między nimi.

Gdy Plersch z miasteczka szedł na chutor, krok w krok za nim od dworku Zamysłowskich przesuwał się Maksym niepostrzeżony. Doszedł on był, że Sydorowa do tego domu chodziła, i tam się domyślał nieprzyjaciela; więc na wychodzącego czatował.

Dzień był jeszcze wielki, gdy malarz szedł; napaść go więc nie było podobna. Maksym powiódł tylko oczyma na chutor, a sam pośpiesznie spuścił się do wąwozu. Tu na niego oczekiwał Krywonogi.

— Wstawaj! zawołał parobek: Lach ze dworku, do którego Sydorowa prowadzi codzień Natalkę, sam przyszedł; radzi, że nas nie ma. Może jeszcze czas naszą zuzulę ratować; chodź!

Krywonogi rękami około siebie posznkawszy pałki, którą miał przysposobioną, zerwał się, nie mówiąc nic, zarzucił ją na ramię, i począł iść sapiąc jak zwierz.

Maksym miał kij także. Wysunęli się z gąszczy ku drodze, a drogą powoli zaczęli zbliżać się do chutoru.

— Teraz musi powracać, rzekł Maksym. Szkodliwej bestyi nie ma co żywić, niech ginie.

Krywonogi podniósł do góry pałkę i spuścił ją na ziemię z całej siły. To była odpowiedź jego.

Wybrali miejsce w cieniu pod płotem z gnoju i gliny, który walem otaczał obejście. Droga z chutoru szła tuż, i minąć ich nie było można. Maksym nie rozliczył się tylko, że krzyk napadniętego dojdzie do chaty; o kilkadziesiąt kroków dalej, na zawrocie, jużby go słyhać nie było.

Księżyc tylko co się dobywać zaczął nad ziemię, krwawą twarzą, gdy w podwórku usłyszeli głos Sydorowej i Natalki, i „dobranoc” powtórzone razy kilka. Kroki dały się słyszeć, potem i wrotka skrzypnęły. Krywonogi wstał, pałkę ujawszy, a Maksym postąpił kroków kilka naprzód. W mroku postrzegł z wolna idącego mężczyznę.

Malarz szedł zamyślony i upojony, a smutny, i w sobie zatopiony, tak, że nie widział nic. Cały ten wie-

czór spędzony u Bondarowój, wydawał mu się jakby snem jeszcze, jednym z tych, których tak wiele prze-marzył w życiu.

Nagle mignęły przed nim dwa cienie, i z dwóch stron spadły nań dwa uderzenia, tak ciężkie, iż Plerseh, którego jedno z nich w głowę dosięgło, zaledwie siłę mając krzyknąć o ratunek, padł krwią obłany na ziemię. Omdlał, nie wiedząc już, co się z nim działo.

Maksym przypadł do niego w początku z wściekłością, ale sięgając ręką, aby namacać obalonego, moczył ją w płynącej krwi i wzdrygnął się. Była to pierwsza krew ludzka, którą przelewał w życiu. Porwał się jak oszalały i począł ku wąwozowi uciekać. Krywonogi ujrzawszy to, i widząc, że napadnięty leży nieruchomy, rzuciwszy palkę, popędził za nim. Plerseh, któremu z rozbitej głowy krew się lala, leżał jeszcze omdlały.

W chwili napaści, Sydorowa jeszcze była na progu chaty. Krzyk Plerseha, który posłyszala, przenikający, urwany nagle, wstrząsnął nią całą. Domyślała się napaści. Maksym jęł przyszedł na pamięć.

Nie wolając nikogo, popędziła stara ku wrotom, otworzyła je, i ostrożnie rozpatrując się, poczęła iść drogą. Błady odbłask wschodzącego księżyca dozwalał na gliniastej drożynie zobaczyć z dala coś czerniejącego. Każdy kamień, wyżłobienie, znalazła stara Bondarowa do kola. Zalamana ręce i podbiegła; odgadła już i kto tam leżał, i kto morderstwa był sprawcą. Kilka kroków zbliżywszy się, mogła rozpoznać rozeziągniętego trupa, i poklekała nad nim, ręce łamiąc.

W téj chwili westchnienie z jękiem dobyło się z piersi nieszczęśliwego. Uderzenie było ciężkie; pozabawilo go ono zmysłów, lecz życie zostało w nim jeszcze. Sydorowa odważyła się ręką dotknąć głowy;

ciepła krew z niej płynęła. Sama nie wiedząc co począć, zaczęła krzyczeć i wołać w nadziei, że ją ktoś z chaty posłyszysz.

W istocie, wśród nocej ciszy, krzyk ten i Natalkę, i najmitkę, i wkrótce nowo najętych parobków z pod szopy wywołał. Powybiegali wszyscy na podwórze, a Natalka pozuawszy głos matki, puściła się drożyną. Za nią biegło już co żyło.

Plersch leżał, jęcząc, pobity okrutnie, lecz żywy; poruszał się, wołał o pomoc, nie wiedząc, co się z nim stało. Parobcy wzięli go na ręce i z wolna ku chacie ponieśli.

Bondarowa najmitkę natychmiast posłała do Grzybowskiej, do której wiedziała drogę. W miasteczku tego dnia dłużej trwał ruch, i stara panna siedziała jeszcze, oczekując powrotu marszałkowej, gdy kobieta wpadła do niej przelekką, szepeąc na ucho, że wracającego od nich malarza na drodze zabito.

Nie zrozumiała tego z razu Grzybosią, lecz przelekką się okrutnie. Lubila ona pocziwego Plerscha; strach ją ogarnął w pierwszej chwili tak, że nie wiedziała co począć. Łamała ręce i płakała. Pochwyciła chustkę, chcąc biedz z najmitką, ale i o siebie poczęła się lękać. Nie miała zwierzyć się komu, ani kogo użyć. Dopiero po upływie jakiegoś czasu, zebrawszy myśli, Grzybowska postanowiła, jak najmniej czyniąc halasu, posłać pacholka od stajni po szambelana, i w jego towarzystwie udać się do chaty.

Przeciągnęło się to dosyć długo, bo Rzesiński, który nie miał tak dalece towarzystwa, spał już snem sprawiedliwego, i musiał się ubierać, co mu zabralo wiele czasu. Naostatek, nadszedł, i Grzybowska z nim razem udala się na chutor za miasto.

Plerscha już złożono w chacie, i Sydorowa otrzęwiała go środkami babskimi, obmyła ranę na głowie, obwiązała i poila. Przyszedł powoli do siebie, lecz od uderzenia szum miał jeszcze i senność; inne symptomata wskazywały, że mózg był wstrząśnięty. Poznał wprawdzie Grzybowską, i uśmiechnął się jój; ale musiał się znowu zaraz położyć. Natalka stała nad nim także z założonemi rękami, zamysłona i milcząca.

Nie domyślili się przybyli, co było powodem napaści; z przerażeniem więc mówili o rozbójnikach pod Kaniowem, którzy tak samo jak Plerscha i dostojniejszą osobę jaką napaść mogli. Sydorowa nie miała ochoty tłómaczyć się obszerniej: ani ona, ani jój córka nie chciały wydać Maksyma. Obie jakiś przestach ogarniał. Bondarowój nawet chwilami na myśl przychodziło, że jój mąż mógł do tej mściwej należeć napaści.

Po długich naradach postanowiono, choćby dla tego, że do chaty mógł kto nadejść ze dworu, a najprędzej sam król, który dni kilka nie widział Bondarywny, wynieść jeszcze tego samego wieczoru Plerscha do jego dworku, i potajemnie doktora Bekera powołać do niego. Grzybowska, której o to wielce chodziło, czynnie się zajęła wszystkiemi. Szambelan musiał z jednym z parobków pójść po konie, a w godzinę potem bryczka dobrze wysłana przewiozła po cichu ranionego Plerscha na jego górkę we dworku Zamysłowski.

Tu tymczasowo podjął się siedzieć pan szambelan Rzeziński, aż do przybycia kogoś co by go mógł wyręczyć.

Grzybowska czekała na marszałkową. Jak na przekór, pani Muiszechowa późno dosyć przybyła zmęczona



i znudzona, bo się musiała do wcale niepowabnych gości uśmiechać i wdzięczyć wieczór cały, i grać i śpiewać dla nich. Lecz król prosił ją o to, król, który nie miał ich czém w końcu rozrywać.

Gdy Grzybowska weszła, a pani Mniszechowa twarz jej zmienioną zobaczyła w zwierciadle, odwróciła się żywo ku niej.

— Co ci jest? czy i tobie migrena dokucza?

— Ach, gdybyż migrena! zawołała stara panna. Niestety się stało! Czekam na panią jak na zbawienie, bo sobie rady dać nie mogę. Plersch biedaczysko, powracając z elntoru od Bondarów, napadnięty został w drodze przez jakichś rabusiów i ciężko w głowę raniony.

Marszałkowa poskoczyła.

— Co ty pleciesz?

— Ale tak jest. Napadli go i chcieli zabić; głowę ma okropnie skaleczoną, trzeba na gwałt doktora.

— Zbójcy! tu, pod boki króla!... ale to nie może być!

— Plersch leży bez zmysłów.

W tej chwili posłano po Bekera, który w kwadrans nadbiegl. Marszałkowa poszeptala z nim na uboczu i wysłala go do dworku.

Wypadek ten jakieś niewytlómaczone sprawił wrażenie. Nie mogąc go zrozumieć, marszałkowa zaczęła się lękać o króla i przeklinać tę fantazję jego nieszczęśliwą, nie mogąc się uspokoić. Zbójcy a rabusie zwyczajni zdawali się jej nieprawdopodobni, lękała się czegoś gorszego.

W chacie także kobiety po wyniesieniu Plerscha długo siedziały milezące. Bondarowa namyslała się, kiwała głową, znać było po niej, że walczyła z sobą.

Mąż jej ciągle na myśl przychodził, i Maksym, i przyszłość ciężka, w której pokutować musiała za te chwile niedoszłych może nadziei. Niekiedy przystępowała do córki, całowała ją w czoło, głaskała i płakała.

Dziewczę choć posępne, nie straciło odwagi, ani się zachwiało w mienim postanowieniu. Jakaś niepojęta żądza nowości, czegoś, co by nakarmiło pragnienia nieokreślone, pchała Natalkę na łaskę i nienaskę losu.

— Nicch się stanie co chce, mówiła do siebie: trzeba iść za dolą swoją.

Nazajutrz, niespokojne, poumierawszy się do dnia, czekały w nadziei, że król wyjdzie na przechadzkę; lecz do południa ani króla, ani od niego wiadomości nie było. Sydorowa chodziła niespokojna; Natalce się oczy gniewem paliły. Wybiegała nieustannie z chaty, wyglądała oknem, parę razy wyszła aż do wrot—nikogo. W serce gniew wrzał, a oczy łez miała pełne; lecz przed matką nie pokazywała, i przy niej nocyła niby, dla niepoznaki.

Do obiadu nie usiadła Natalka, bo usiedzieć nie mogła. Sydorowa nie tknęła jedzenia; oddano je parobkom.

Już się miało ku wieczorowi, gdy najmniej o tej godzinie spodziewani panowie jacyś na drodze się pokazali. Był to w istocie król w towarzystwie starosty mielnickiego. Ten nie chcąc być najj. panu zawadą w jego poufanych stosunkach z piękną Bondarywną, u wrot zapragnął rozpatrzeć się w pięknym parowie sąsiednim, i pozostał tu na straży, a król wszedł sam na podwórko.

Natalka już go poznała z daleka, lecz nie śpieszyła na spotkanie; gniewała się trochę na niego, choć

był królem. Sydorowa z nizkim wyszła naprzeciw pokłonem.

— Jak się macie? zawolał wesoło król, zbliżając się do niej. Trochę długo być u was nie mogłem.

Obejrzał się, szukając oczyma dziewczyny, która nparcie w chacie siedziała.

Ucałowawszy rękę pańską, Bondarowa wprowadziła gościa do izby. Na widok jego, zarumienione dziewczę powstało nadąsane. Uśmiechnął się król.

— Dawnoście u nas nie byli... bąknęła po przywitaniu Natałka. Ja już myślałam, że o nas król na wiek wieków zapomniał.

— O, nigdy! żywo odparł ujęty wymówką Poniatowski.

— Nigdy? nigdy? spytała niedowierzająco Bondarywna.

— Nigdy! powtórzył król, siadając: bądźcie tego pewni. Takich pięknych oczu, jak wasze, któżby mógł zapomnieć?! Wy to przedźj o mnie dla innych zabędziecie.

Dziewczę potrzęsło głową.

— Dziękuję wam, odezwał się Poniatowski; ale ja tu zawsze siedzieć nie będę.

Nieznacznie bardzo Natałka skinęła królowi, matkę wskazując, jakby mu do zrozumienia dawała, że z nią o tém mówić należy; a sama powoli do progu doszedłszy, potem chyżo się zerwała i wybiegła, śpiwiąjąc w podwórzu.

Król zbliżyć się kazał matce, i długo mówił coś z nią po cichu. Lico mu to się chmurzyło, to rozjaśniało. Trudno było z niego odgadnąć, czy się radował, czy frasował z tego, co mu odpowiadała. Któż wie? myślał zapewne o przemijającój rozrywce, a trafił

na nowe więzy, których już i tak dla miłych chwil kilku dosyć dźwigał.

Rozmowa między nim a Sydorową trwała dosyć długo; wstał wreszcie król, dopominając się, ażeby Natalkę zobaczyć, która nadeszła, zalotnie mu się uśmiechając i nieznacznie pokazując na palcu pierścionelek.

Niema scena pożegnania trwała chwilkę. Natalka jak wprzód pocalowała rękę królewską; król przyłożył usta do jej czoła; lecz gdy wyszedł potém, miał brew namarszczoną i zadumany był ponuro.

W kilka dni potém, pani marszałkowa, która udawała, że o niczem nie wie i nie się nie domyśla, zbliżyła się raz po obiedzie do najjaśniejszego wujaszka, i odezwała się, bawiąc wachlarzem:

— Że też w. kr. mość nie raczysz mnie nigdy zaszczyścić swojemi odwiedzinami! Choć tu jestem jak w karczmie na popasie, ale, kto wie? możebym się jaką osobliwością pochwalić mogła i coś pokazać ciekawego.

Poniatowski, któremu rodzina nieustannie niespodziankami wywdzięczała się za jego dobrodziejstwa, dorozumiał się zaraz, że o coś podobnego chodzi.

— *Mais, chère comtesse*, ja bo ci nie chcę przeszkadzać i robić ci wizytą moją kłopotu. Nawet przecho-dząc koło dworku, mijam go umyślnie. Cóż tam w nim tak osobliwego trzymasz?

— A, rzeczywiście osobliwego... mrugając oczyma, odparła siostrzenica. Mam ciekawy i wcale ładny obrazek; kupiłam go sobie u młodego malarza i pragnęłabym o nim mieć zdanie w. kr. mości.

Król spojrział na zegarek; z natury był niecierpliwy.

— A no, to chodźmy zaraz.

— Ale sam, dodała Mniszechowa.

— A to dla czego? czyżby obrazek miał być *un peu... indiscret?*

Śmiać się zaczęła Mniszechowa.

— Nie a nie, ale to moja tajemnica.

— Dobrze, więc chodźmy.

Król zadzwonił, rozkazując sobie podać kapelusze i łaskę, i oznajmując, że się przejdzie nieco z panią marszałkową, mając z nią coś do pomówienia. Widać było z twarzy jego, że tajemnica ta dosyć go zajmowała.

W charakterze Poniatowskiego było zawsze, wśród największych niebezpieczeństw i ntrapien, na których mu w życiu nie zbywało, zajmować się fatalaszkami tak gorąco, jakby nie pilniejszego nie miał nad nie. Posłowie zastawali go w chwilach, gdy się losy kraju ważyły, rysującego ubiory dla liberyi; w czasie sejmu czteroletniego, wyplakawszy się — bo łzy miał łatwe — z największem zajęciem przypatrywał się u pani Krakowskiej zawołanej z ulicy czarnoksiężki latarni i t. p. Teraz też, choć na sercu mu leżało zapewnienie swój dynastyi przyszłości — obrazek, o którym mu wspomniała pani Mniszechowa, równoważył w jego umyśle rozmowę z Potemkinem.

Prawie mileząc przeszli przez część rynku, około ruin starć cerkwi, i król poprzędzając siostrzenicę, wszedł do jej mieszkania. Obejrzał się po saloniku — nie było w nim nic.

— Gdzież twój obraz? zapytał.

— A! rozśmiała się piękna pani: nie dopuszczam, aby go lada czyje profanowały oczy.

To mówiąc, otworzyła drugi pokój i ręką zaprosiła do niego.

Tu, na krześle, coś tajemniczo zieloną kitajką przykrytego stało. Marszałkowa podbiegła, zerwała ją żywo, i spojrzała śmiejąc się na wuja, który okrzyku nie mógł powstrzymać i zarmienił się mocno.

Przed nim stał niewykończony, lecz nadzwyczaj podobny portret Bondarywny, przez Plerscha malowany.

Nie było to areydzioło, ale tęskna poza i smutna, zadumana twarzyczka, czyniły go wielce zajmującym. Gdyby był Plersch miał pendzel Greuza, przedmiot do areydzioła dostarczyłby wątku.

Król stał w kontemplacyi; Mniszechowa szydersko patrzała mu w oczy.

— Cóż najj. pan powie na to? odczuwała się.

— Że pani hrabina jest wielką figlarką i złośliwą kobieciną, która starego wuja szpieguje i posądza, odparł król wcale niezagniewany.

— Nie, najj. panie, poprawiła siostrzenica: trzeba powiedzieć, żem najprzywiązańsza z siostrzenic, która się stara myśl waszą odgadnąć, i dla której największą przyjemnością w życiu jest chwilę drogiego dnia kochanego króla nprzyjemnić.

Poniatowski zbliżył się ku niej, całując ją w rękę z zapalem po kilkakroć i z prawdziwą wdzięcznością.

— Nie śmiecie się ze mnie, dodał cicho: czasem serce stare uderzy, choć się je na wodzy trzyma.

— Wam, najj. panie, wolno jest mieć fantazye, bo wam los szczęścia nie dał, uczyniwszy dobroczyńcą drugich, z zapalem także poczęła Mniszechowa. Naszym obowiązkiem jest tylko wam życie uprzyjemnić.

— Gorzkie ono w istocie! westchnął król, i na podaném krześle usiadł naprzeciw obrazu.

— Więc mi tego za złe nie macie? spytał. To po prostu artystyczny kaprysyk... niewinny, *chère comtesse*.

— Nietylko nie mogę mieć za złe, ale błogosławię tę piękność, która miała szczęście choć na chwilę rozjaśnić oblicze mojego króla koheanego.

Patrzali oboje na obraz,

— Kto to malował? odczytywał się po chwili. Przysięgnę, że Plersch, choć go tu nie ma.

Marszałkowa głową potwierdzający znak dała.

— A widzisz! zgadłem, ciągnął dalej. Byłem pewien; pendzel i koloryt jego. Któż to ją posadził tak oryginalnie? To chyba nie on, boby ją wyprostował pewnie i uczynił sztywną.

— To ona sama tak siadła, i nie chciała się dać malować inaczej.

— Co za instynkt niewieści! mówił dalej, wpatrując się okiem znawcy Poniatowski. Nie jest to skończone, tony się nie godzą dosyć i nie zlewają, trzeba by się temu z wielkiej przypatrywać odległości. Plersch nie ma téj słodczy tonów, téj złościści ich, téj miękkości *vaporeuse*, co Bacciarelli i Lanpi, ale zawsze talent niepospolity.

— Na ten raz zawdzięcza obraz więcej wzorowi niż talentowi... natężyła go ta wdzięczna twarzyczka.

— Tak, przerwał król cicho: tu ona podobna jest, a powiedziałbym jednak, że ją fałszywie zrozumiał. Każde z natury malowanie, to tłómaczenie jakby z obcego języka; tłómacz wlewa coś zawsze swojego.

— *Ah! que c'est vrai!* podchwyciła Mniszechowa.

— Moja droga! rzekł król, całując ją w rękę: jeśli



cię prosić mogę, zakryj ten obraz i nie pokazuj go nikomu, nikomu! Jestem odrobinę zazdrosny. Cały dwórby tam poleciał jutro.

— Obraz musi Piersch skończyć, gdy wyzdrowieje... a potem... szepnęła cichutko, prawie do ucha—pojedzie do Kozienic, i złoży go u stop mojego pana.

Ruchem pięknych rączek zdawała się hold i kądziło w istocie składać u nóg króla, który powtórnie ręce jej całować zaczął.

Wszystko to byłoby bardzo piękne, gdyby niestety! po ludzku nie było tylko zrecznie odegranym prologiem do pewnego dramatu poufnego.

Marszałkowa pochwyciła, kitajkę, i idąc z nią dla zaslonienia obrazu, szepnęła mimochodem:

— Oryginał i kopia będą w Kozienicach.

Na to nie było inną odpowiedzi, nad nowe rąk pocałowanie. Oboje wyszli do pierwszego pokoju. Tu na stoliku, jakoś nicostrożnie, lecz jakby nmyślnie rozłożone były papiery, koperty, a na wierzchu leżało kilka ówiatek, zapisanych dużym, znanym charakterem ks. Renaud'a, sekretarza pani podolskiej, matki pani marszałkowej.

Król rzuciwszy okiem, poznał natychmiast list ten i zawołał:

— Mielście wiadomość o kochanej siostrzynie!

— A tak, dzisiaj dwa ogromne listy odebrałam z Tuluzy. Mamcia się zachwyca powietrzem, podróżą, widokami, a nieuszczawiany ks. Renand tłumaczy jej, objaśnia, wynajduje wszystko, co ją zająć może. I byłaby prawdziwie szczęśliwa, i odżyłaby może—westchnęła pani Muiszelowa—gdyby nie te wszędzie ścigające nas interesa. Mama się z Zamojskimi nie może po-

rozumieć; tymczasem długi, zobowiązania, kontrakta przyszłe... jój własne i nasze interesa... pokoju jój nie dają.

Po twarzy królewskiej przeleciała chmurka, ale z dobrocią wielką odczwał się:

— Moja droga, gdybym wam w czém mógł być pomocny...

— O, nie, nie! gorąco poczęła Mniszechowa: wy dla nas czynicie tyle, my wam jesteśmy ciężarem nieustannym... Książę ex-podkomorzy, pani krakowska, Tyszkiewiczowie, my, cała rodzina was obdziera.

— *Chère amie!* ale to jedyna życia mego przyjemność, iż się wam na coś przydać mogę. Wy przynajmniej eenicie serce moje, nie tak jak ten... hetman, który mi winien wszystko, a goryczą mi zatruwa życie.

Westchnął smutnie.

— O! od was grzechby był wymagać, grzech przyjmować nowe dobrodziejstwa. Wolę, żeby mama przecierpiała, żebyśmy my...

— *Mais ma chère,* cicho! namysławiając się z wolna zaczął król, kładąc rękę na jój dłoni. O co idzie? Do Zamojskich napiszę, a dla was, gdybym kilka tysiącami—*mettons dix*, bo więcej do dyspozycji nie mam—mógł służyć, uczynię to z duszy i serca.

— Ach, byłoby to prawdziwém dobrodziejstwem! przerwała siostrzenica: ale nie godzi się—o, nie...

— Godzi się, godzi, zostawcie to mnie, szepnął król. Dam na tę sumnę kwit marszałkowi.

— Najdroższy panie! całując go w rękę żywo poczęła Mniszechowa: jeśli mogę prosić, niech mąż o tém nic nie wie. Łajalby mię, gniewałby się...

— Urządzimy to inaczej, szepnął król; dosyć, że będziesz to miała, a bądź mi wesola.

Pocałował ją w czoło, i zawrócił się ku drugiemu pokojowi.

— Jeszcze raz niech ten obrazek zobaczę, rzekł cicho.

Jeszcze raz podniosła się zasłonka zielona; podparty na łasce król przez zwiniętą w trąbkę rękę przypatrywał się obrazkowi.

— *C'est charmant!* rzekł. Dziękuję ci.

Lecz wtém zobaczywszy godzinę, pośpieszył ku drzwiom, a marszałkowa towarzyszyła mu na powrót.

W drodze już nadbiegł Komarzewski z wiadomością, iż z Warszawy i Kijowa nadeszły kresy, i pan wojewoda kijowski nadjechał.

Król krokiem żywszym, pożegnawszy siostrzenicę, udał się ku swemu dworowi.

---

Tymczasem Płersch przyszedł był prawie do zdrowia; mózg wstrząśnięty odzyskał siłę, rana się powierzechowinie goiła; ale biedny malarz gorzej niż czaszkę zranione miał serce. Miłość w nim łączyła się z liłością dla dziewczęcia, i po całych dniach myślał o niej.

Wrócono mu portret, który już bez wzoru miał dokończyć. Skorzystał z tego, aby naprędce kopię dla siebie zdjąć z niego. Zajmowało mu to ranki i wieczory, zamykał się i robił ukradkiem, bo nie chciał, aby o tém wiadano.

Grzybowska nawet, która z nadzwyczajną czułością go odwiedzała i starała się o najszczerszej przyjaźni przekonać, o istnieniu téj kopii nie wiedziała. Chował

się z nią Plersch jak ze skarbeni. Domyśliła się wszakże stara panna, iż artysta na dobre kochać się musi, bo choć mu się przyznała poufnie, że ma już oszczędzonych kilka tysięcy czerwonych złotych, choć mu dała do zrozumienia, że chętnieby z nim majątek i losy podzieliła, Plersch z wielką wdzięcznością odmówił. Westchnęła biedaczka, musiała czekać na szczęśliwszy skład okoliczności.

Tymczasem szambelana skloniono do podania ręki pięknej Bondarywnie.

Natalka z początku zakrzyknęła, że jej przyszedł mąż ma być tak stary i szkaradny; lecz miał on być tylko słomianym małżonkiem na okaz, i to ją uspokoiło. Tytuł, nazwisko, wioski i majątkości pochlebiali dziewczynie; zgodziła się.

Sydorowa, lękając się męża i napaści jego, sposobila się zdać chłtor na najmilkę i parobków, porzucić gospodarstwo, zabrać gotowe pieniądze i klejnoty, i z córką razem uciec.

Wszystko tedy nłożone już było, a po nocach obie kobiety zaszywały wczelki, gromadziły co miały kosztowniejszego i po cichu przygotowywały się do ucieczki.

Grzybowska czynnie bardzo zajmowała się planem podróży, weselem i przyszłością Natalki. Sydorowa ani na krok nie miała odstępować córki, dopóki by jej do Warszawy albo Kozienic nie odwiozła.

Rzeziński najuroczyściej miał przyrzeczony order Św. Stanisława i pierwszą kasztelaninę mniejszą, jakaby wakowała. Stręczono mu nawet jedną, którą mógł za pozwoleniem najj. pana nabyć bardzo tanio, gdyż posiadacz zgadzał się reees uczynić za parę tysięcy.

Jednego dnia, gdy się już z Kaniowa wybierał dwór i król, po owęj chwili na Dnieprze spędzoną, naprze-

ciw miasteczka, na statku, który wioził cesarzową,—zaszedł wóz przed chatę Sydora, na który śpiesznie pakować zaczęto dawno już przygotowane rzeczy. Najmitka, parobcy patrzali na to zdumieni i przestraszeni. Bondarowa zwołała ich do chaty.

— Muie jechać trzeba z córką na odpust do Poczajowa, odezwała się. Nie nie pomoże, boim się dawno ofiarowała. Droga długa; pomodlić się trzeba za grzechy i świętą stopkę ucałować. Nie ma komu chaty zostawić aż Sydor powróci; więc pamiętajcie, żeby szło wszystko w porządku. Spiżarnia pełna, nie nie braknie.

Obróciła się do starszego.

— Nikita, w twoich rękach moc i władza.

Parobek się nisko pokłonił.

— Jeżeli w ładzie wszystko będzie, to i nagrody nie zabraknie; a uchowaj Boże szkody i przemieszanie! Sydor nie daruje...

Parobcy i najmitka pocałowali ją w rękę; kobiety zakrywwszy się chustkami, na wóz siadły, i konie ruszyły.

Pusto i smutno stało się na chutorze, jakby ludzie wymarli. Najmitka chodząc po chacie, cały dzień płakała; parobcy do roboty nie poszli i do wieczoru pod szopą odpoczywali.

O znuroku posłała najmitka po wódkę do karczmy; bo i sama tęsknoty wytrzymać nie mogła, i żal jej było parobków, z których jeden zwłaszcza miał u niej łaskę.

Zgotowano jajecznicę ze słoniną... poczęły się gody w chacie.

Wieczór był późny już, gdy w sieni zastukało, otworzyły się drzwi, i na progu ukazała się olbrzymia postać Sydora.

Kozak długo stał, patrząc, oczom nie mogąc uwie-

rzyć. Za nim w pewném oddaleniu widać było Maksyma i Krywonogiego. Za pasem stary miał naliajkę, którą nie nie mówiąc, wydobyl, i z nią w ręku wpadł na biesiadników.

W mgnieniu oka zerwało się to z ławy od stołu; najmłotka wbiegła do alkierza, krzycząc i drzwi zatrzaszkując za sobą; parobcy padli na kolana. Posypały się razy obfite po plecach. Sydor krzychał: *Won, pohane syny!*—i wszystkich wypędził z chaty.

Dopiero mu naliajka z rąk wypadła, i na ławę siadł szlochając, a zasłaniając sobie oczy.

Maksym i Krywonogi u drzwi stali.

Zaczęto wolać na najmłotkę, która ze strachu przez okno od alkierza nsilowała się na wolność wydobyć, ale ciasny otwór nawet głowy nie przepuścił. Dopiero gdy jej Sydor poprzysiągł, że bić nie będzie, odrygłowała drzwi, i klęcząc, ze złożonemi rękami, rozplakana, o przebaczenie prosić zaczęła.

Nie było na niej w istocie większej winy, nad jajecznicę ze słoniną. Sydor znać się nad nią nie myślał.

Zaczęli rozpytywać o wszystko: dokąd i jak Sydrowa córkę nwiozła? Nie umiano odpowiedzieć inaczej, tylko, że do Poczajowa pojechały.

— Nieprawda! wybuchnął Maksym: ja mi chłotu dzień i noc nie spuszczał z oka. Chodziły baby, chodziły Lachy, aż nieszczęścia nawarzyły. Natalce głowę zawrócili państwu, a matka dla dziecka gotowa była w ogień i wodę. Już ich nasze oczy nie zobaczą!

Maksym opowiedział, jak wpadli na jakiegoś Lacha którego zdawało się, że zabili, ale się wylizal przecię.

Sluchał Sydor wszystkiego, nie mówiąc nic, a potem poszedł do alkierza. Wiedział, gdzie pieniądze,

kosztowności, papiery były i zapasy kobiece. Począł bodnie odkrywać i ręce w nie zapuszczać, a co próżną dłoń dobył, to jęknął. Nie było nie nigdzie, kobiety pozabierały z sobą wszystko.

Wrócił Sydor na ławę, ręką oczy zasłonił i płakał. Maksym i Krywonogi stali u progu.

— Trzy konie wywieść z chlewa! zawołał. Wziąć sakwy podróżne! Nie ma nam tu co aui dla kogo robić.

Chciał coś odpowiedzieć młodszy, lecz Sydor nogą w ziemię stuknął i na drzwi wskazał. Powlekli się więc po konie. Sydor ani ruszył z miejsca.

Gdy konie zarżały, wstał, obejrzał się tylko po chacie. Najmitka siedziała w alkierzu.

— Bierz, co twoje, babo, i co nie twoje, a przedź, bo długo tu zostać niezdrowo, słyszysz?

Z wielkim przestraczeniem i pośpiechem kobieta zwiając poczęła co napadła, gdy Sydor z komina głównię wziął dymiącą w rękę i wyszedł.

Na podwórku wiatru popatrzal, i powoli głównię wetknął w strzechę.

Maksym i Krywonogi stali, nie śmiejąc mówić nic. Boudar czekał, aż wiatr pożar rozdmucha. Drzwi chaty zamknął i zarygłował.

Wprędce sucha trzeina i słoma poczęły syczeć od płomieni, wiatr pędził coraz dalej pożar podłożony. Sydor na konia siadł i czekał aż rozgoreje. Maksym i stary parobek także na koniach siedzieli, ale nie ruszyli się z podwórka, dopóki cały dach na chutorze i na szopach nie stał w płomieniach.

W Kaniowie, gdy zobaczono ogień, we dzwony bić w cerkwi, zaczęto, a Sydor ze swoimi spuszczał się w wąwóz. I gdy ludzie z miasteczka poczęli biedz na ratunek, na chacie się już wątył dach zawalił, a szo-



py i chlewy gorzały tak, że do nich przystąpić nie było można.

Najmitka na węzłkach swych siedząc pod starym dębem, płakała.

A nazajutrz z chaty na chutorze grunzy tylko opalone sterczały.



Działo się to wszystko w roku 1787, a w rok potem Warszawa cała przygotowaniami do wielkiego sejmku wrzała i kipiała.

Sejm to być miał na pozór taki, jak inne, co go poprzedziły, na których król i ambassador panowali, opozycya się z sobą drożyła, aby coś wytargować, długi najj. pana, całując rękę jego, płacono, i chociaż nie nie uczyniono, przy zamknięciu odśpiewano uroczyste *Te Deum*.

Pochlebiał sobie król, że wszystko poprowadzi ze swymi i spał spokojnie. Tymczasem wcześniej przed przybyciem posłów, miasto było pełne ludzi, co się dziwnie jakoś krzątali i poruszali, jakby i oni coś tutaj znaczyć mieli i do czegoś byli potrzebni. Ten i ów jechał z ciekawości, drugiego coś popchnęło, trzeci się dał skusić, ho tej zimy przedziwnie się bawić miano.

W pałacu Mniszechów przygotowywano się niemniej niż gdzieindziej na wielką frekwencyę gości i świetne wieczory. W skrzydle, wierna towarzyszka pani marszałkowej, miała parę pokojów panna Grzybowska. Tu ona więcej była w domu niż w Wiśniowcu, gdzie i pani sama, i ona chwilowo tylko gościć były nawykłe.

Tu stara panna miała swojego ulubionego szpica, kanarki i całe gospodarstwo. W usługach ją wyřęcały młodsze dziewczęta, lecz bez niej marszałkowa obejść się nie mogła. Była to jej prawa ręka, powiernica, pehnomocnik, prawie przyjaciółka, gdyby wielkie panie wierne służy do przyjaźni swęj zaszczytu przypuszczały.

Pannie Grzybowskięj działo się dobrze, odbierała podarki od pani, od pana, a często i od innych osób interesowanych, żyła tak samo jak państwo, przecięż to wszystko razem szczęścia nie dawało, bo za mąż wydać się nie mogła. Byłaby może nader skromną zadowolila się partyą, ale wszysey od staręj panny niekali. W ostatnim roku wypiękniła nawet, nabrała ciała, wybielała, znajdowała się odmłodzoną; niektórzy młodzi ludzie ze dworu, potrzebujący protekcyi, chętnie u niej spędzali wieczory, a gdy przyszło do stanowczego słowa, wymykali się jej jak piskorze. Nie dziw też, że panna Grzybowska rodzajowi męzkiemu poprzysięgła wiekuistą pogardę.

Do pokojów, zajmowanych przez starą pannę, prowadziła sięn zameczysta, opatrzona w szczotkę do ocierania nóg i słomiankę, gdyż czystość i porządek hibiła bardzo; u samych drzwi dzwonek wisiał, bo nie lubiła, by do niej wchodzono obcesowo. Czasem nawet pehnił on swe obowiązki napróżno, bo Grzybowska nie otwierała.

Jednego ranku miała się ubierać, aby wyjść na miasto, gdy dzwonek się odczwał nieśmiało z razu. Nie myślała otwierać, lecz po chwili brzęknął powtore głośnieję, a gdy i to nie pomogło, zaczął się trząść konwulsyjnie i nieprzyzwoicie. Nie mogąc wytrzymać, panna Grzybowska z gniewem największym przypadła do drzwi i zabierała się wylajać natręta, gdy ujrzała

przed sobą jakąś postać, kłaniającą się jej, niby znaną, a nieznajomą, czystego koczkodana.

Był to mężczyzna niemłody, osobliwej twarzy, jakby zszytej z różnych kawalków, tak pofalduwaną dziwnie. Niektóre jej części były popalone, inne białe, a na domiar płamy brunatne od ostyły rozrzucone na czole i policzkach, koloryt ten fantastyczniejszym jeszcze czyniły. Żle włożona peruka zsuwała się na czoło, strój francuzki niby wytworny, ale z pewnością od tandeciarza kupiony, leżał na tym jegomości, jakby w nim chodzić nie umiał. Szpadka u boku, jak rożenek, zawadzała mu około nóg, na których pończochy źle ponaciągane, składały się w obwarzanki. Trzewiki też nie do jego nóg musiały być robione.

Kapelusik dusił pod pachą, nie wiedząc dobrze, co z nim począć; to go pod samo ramię podsuwał, to mu się wyslizgał, że go ratować musiał od upadku.

— Panna Grzybowska dobrodziejka! zawołał głosem nieco ochryplym.

Gospodyni krzyknęła, dopiero teraz poznając szambelana Rzezińskiego.

— A! jak mamę kocham, szambelan! co się z pana zrobiło?!

Rzeziński próg przestąpił. Widać było z twarzy jego humor okropny, gniew, złość, żal i frasunek.

— Co się ze mną zrobiło? Oto pani patrz! zawołał: oto waszych rąk dzieło! oto na jakiegoście mnie wyszytnęli dndka! Wąsów zbyłem; już żebyś sto lat żył, drugich takich mieć nie będę. Żonęście mi dali, śliczną, której ani znam, ani wiem, co się z nią dzieje. Obiecaliście mi Św. Stanisława na jaką taką konsołację; po dziś dzień ani patentu, ani orderu, ani slychu. Miała być kasztelania; reces kupilem, konsensu się do-

czekać nie mogę. A com pieniędzy przesypał, a co mi wątroby nagnilo, a com się nagryzł, a com nakłął i nagrzeszył... Otoż przychodzę należne dzięki złożyć mojej dobrodziejce, której to wszystko winienem.

Tu kapelusz w rękach podniósł do góry, i ogromnym głosem, aż Grzybowska ze strachu krzyknęła, zawolał:

— Niech was wszyscy dyabli wezmą!

Był w furii. Panna ustąpiła kilka kroków w tył.

— Oszałal! zawolała: oszałal! do Bonifratrów!

— A, oszałal, prawda! poczał szambelan: bo jak Boga mego kołham, oszaleć było od czego, zwaryować, powiesić się i wściec. Ślicznieście mię wykierowali, nie ma co mówić! awantura babilońska!

— Ale nspokójże się człowiecze! zawolała Grzybowska! gadaj po ludzku!

Szambelan, który na nogach się ledwie mógł utrzymać, padł bez ceremonii na krzesło.

— Mów spokojnie, ja o niczem nie wiem; może się da co naprawić, bo mi waćpana żal. Napij się wody!

— Żółciaście mnie napoily, baby, jędze! poczał szambelan,—a teraz wody dać chcecie.

— Jeśli mi tu waćpan będziesz tak wygadywał, to go za drzwi wyrzucić każę.

— Tylko tego braknie! rozśmiał się Rześciński: za drzwi i z majątku własnego won!

— Ale słuchajże mnie, szalony czlecze, poczęła Grzybowska. Jam waćpanu dobrze życzyła; ja o bożym świecie nie wiem od wyjazdu z Kaniowa. Jeżeli chcesz, bym ci poradziła, opowiedz, co i jak jest, co się stało. Słowo daję, że nawet o ożenieniu projektowanem tak jak nie wiem.

— Niewiuda istota! a kto tę truciznę gotował? wo-

łał szambelan. Starego głupca złapałyście i rade; ale czasem i stary, taki spokojny człowiek, wściecze się i dopiecze.

Grzybowska zniecierpliwiona chciała już odejść, gdy szambelan się poniamarkował i ton znienił.

— Proszę mi darować, ale już mi cierpliwości zabrakło i sam nie wiem co począć z sobą. Jeśli Boga masz w sercu, ratuj mnie, panno Grzybowska, bo życie chrześcianina mieć będziesz na sumieniu.

— Ale mów, o co idzie, mów od początku.

Podsunęła mu z wodą karafkę. Szambelan wypił duszkiem dwie szklanki, jedną po drugiej, a że dawniej nawykł był wasy ocierać, zrobił ruch ręką nalogowy i westchnął.

— Wasy dyabli wzięli, jak i resztę!... i westchnął.

Chwila była jakby namysłu i wypoczynku. Patrząc na stół, z oczyma nieruchomie w niego wlepionemi, Rzesiński mówił:

— Matnia mojej przyszłej małżonki, jak to było umówione przy pani samej, miała tedy przybyć do mnie dla zawarcia ślubów małżeńskich. Później kiedyś mieliśmy jechać do Warszawy. Nie wgłędałem w to wcale, jakie tam były ich stosunki czy z królem, czy z kim tam kolwiek bądź. Obiecałem ją wziąć, jaką była, i kwita. Dziewczyna mi się podobała, żem szalał. Robilem wielkie głupstwo, ale na starość, kiedy się co podobnego trafi, i ludzie i Pan Bóg przebaczą. A no, słuchajże asinǳka, co się dzieje. Wszystko tedy do wesela było przygotowane: zmogłem się, wyszastałem, domi wysztytowałem; kotarę sprawilem karmazynową, podarki ślubne, czekani. Co się tedy dzieje? Jednego rana nadjeżdżają baby, no, nie paradnie, ale manatków dużo, a dziewczyna jeszcze zdaje się piękniejsza

niż była. Przyjmuję jak mogę, posyłam po księdza, a już go miałem w kieszeni. Przybywa proboszcz. Stara papiery dobywa: czarno na białym, szlachciańska, herbu Dębno. Tém ci lepićj, a jak jój suknie uszyli i jak się to przybrało, przyczesało, zafryzowało... ani poznać! Cud! obraz! osobliwość! pani a królowa! Ale też do niéj ani przystąpić. Raz tylko jeden, jedyny raz pocałować ją chciałem... jak mię pchnęła od siebie, jakem się zatoczył, gdybym się nie chwycił stołu, który wywróciłem, byłbym sam upadł. No, ale przed ślubem... dałem pokój, ścierpiałem. Stara jak przyjechała w siermiędze i namitec, tak i została, przebrać się nie chciała, a córki odstąpić ani na krok. Cóż tu począć? Światu jój ani pokazać dla śniechn! Wszystkom to znosił: „Aby ślub wziąć—myślę sobie—potém ja tu pan i zaśpiewam inaczej.” Ksiądz na moją prośbę wielką, popartą dobrym datkiem, ślub przyspieszył, więc przy świadkach, w kaplicy, choć *incoognito*, świętym węzłem małżeńskim nas połączył. Było to jakoś wieczorem. Zaprosilem tylko jednego mojego brata ciotecznego, któremu się mógł zwierzyć, a drugiego Czuchczyńskiego, sąsiada, który mię nigdy nie zdradził. Nim do tego wesela nieszczęsnego przyszło, dziewczyna mi kazała wasy ogolić i po francuzku się przebrać, dla tego, że tak król chodzi. Myślałem, że się jój lepićj spodoba, i pałałem głupstwo. Ogoliwszy wasa, serce mi się ścisnęło tak, że mi się lzy grochem z oczu puściły. Po weselu siedliśmy do stołu, żona, matka, ja, proboszcz, cioteczny mój i Czuchczyński. Wieczera była z piramidą, boni kucharza z Wiśniowca sprowadził, wino dałem najlepsze,—słowem, siedliśmy z taką ochotą, jakbym żadnego nieszczęścia nie przeczuwał. Czuchczyński jak począł zdrowia wnosić, nie było ko-

ca... palem z nim. Kobiety siedziały obie jak mruki, tylko po sobie spozierając; niewesoło wyglądały, ale taki jest obyczaj, że panna młoda powinna płakać przy weselu, niby się jej krzywda dzieje. Myśmymy za to ochoeżo pili i śmieli się. Już po ciastach i po galarecie—bo była i galareta, wszystko jak się należy,—aż pani młoda podnosi się od stołu, a matka mi szepecze na ucho, że czegoś jej mdło, że muszą pójść, żebyśmy sobie pili, póki chcemy, a one może powrócą. Pierwszego dnia się sprzeciwiać nie wypadało, niech i tak będzie. Czekamy i pijemy. Czucheżyński ze mnie żartuje jak z dziurawego bota, brat też... daję z siebie śmiać się, oglądam się, czy nie powracają... nie ma... pijemy. Gdzie tedy późno w noc poczną mię moi z kielichami prowadzić do pani młodej. Śpiewając idziemy, przychodzimy do drzwi—zaparte. Stuk, puk... nadaremnie, choć taranami wal, nie odzywa się nikt. We dworze ludzie się jakoś popili. Czucheżyński woła drzwi wywalić, może się jakie nieszczęście stało, zaczadziały, czy co! Łamiemy drzwi, wpadamy...

Tu szambelanowi teln zabrakło i wody się napil.

— W izbie nie było żywej duszy...

— A cóż się z niemi stało?

— Uciekły obie! uciekły! Wsiadły na swój wóz i przepadły!

— Cożes waćpan nie gonil chyba? zapytała Grzybowska.

— Jak to! co żyło na konie powsadzałem. Pięćdziesiąt talarów naznaczyłem nagrody, kto mi przyprowadzi zbiegów. Prawda, że ludzie byli pijani, bom im beczkę wódki kazał wystawić, i z koni się staczali, ale...

— I nie dowiedziates się waćpan, co się z niemi stało?



— Po dziś dzień ani tropu, ani słyhu!

— Może napowrót do Kaniowa powróciły, zagadnęła Grzybowska.

— I tam posyłałem. Chłtor się spalił, chaty ani śladu, ino zgłiszczą, a o Sydorze i jego rodzinie nikt nie wie.

Grzybowska zamilkła.

— Udawalem się do najj. pana, blagając sprawiedliwości; ani mi odpowiedziano; o krzyżu nikt w kancelaryi nie wie, z kasztelanii się ludzie śmieją. Oto pani masz, oto masz, na coś mię wystrychnęła; masz swą ofiarę—dodał szambelan—dobijże albo ratuj.

— Szambelsin, serce moje, tylko spokojnie, wszystko się znajdzie.

— Nie, za żonę już dziękuję—co mi po niej!—do rozwodu idę, nie chcę.

— Zobaczymy.

— Poprzysiągłem, mam tego dosyć. Wasy zapraszczę, do kapoty powrócę, ale rozwiązać się muszę, żeby nie rachował się za żonatego przynajmniej.

Chociaż żal było może Grzybowskięj starego, nśmieszek błdził po jęj ustach.

— Uspokój-no się, ochłoi: mięj cierpliwość! odezwala się: polatamy wszystko. Żona wasza...

— Proszę jęj tak nie nazywać!

— Jakże ją mam nazywać?

— Jak się podoba, byle nie żoną moją.

— Wicę ta kobieta przepaść tak nie mogła, znaleźć się musi, a wówczas ułożycie się może... i, mówię ci szambelanie, krzyż i kasztelania znajdą się także.

Szambelan westchnął.

— Bogdajbym się był o to nie kusil! Ta to mamonka światowa, rzekł spluwając nieprzyzwoicie na śro-

dek pokoju, co Grzybowska niesłychanie obruszyło — ta to mamona przyprowadziła mię do takiego sromu i upadku.

— Nie kłamże, proszę cię, odparła gospodyni: mamona mamona, a liezko młode się jegomości podobało.

— Tak, masz asińdzka raecę, *peccari*, nie zapieram się, nie wiedziałem, że dyabel zwykle siedzi pod białą skórą. Póki życia, drugi raz pokusa mię nie złndzi.

Grzybowska pokiwała głową, rada, że się szambelan nieco dał nkolysać. W istocie siedział teraz ze spuszczoną głową, smutny, lecz spokojny, ręka tylko do wasa nawykła, coraz to się podnosiła, aby go mnsnąć, i opadała z niecierpliwością.

— Długo waćpan myślisz zabawić w Warszawie? spytała gospodyni.

— Albo ja wiem? albow ja teraz panem siebie od czasn, jak zostałem opętany? Przyjechałem szukać tój kobiety, aby się z nią rozwieść; podam do konsystorza prośbę, a potém muszę być u króla.

— Gdzież, do jakiego konsystorza podasz prośbę? przecięż się tu nie żenił! odparła, w rzeczach rozwódowych mająca pewne wiadomości gospodyni. Rozwód się tam bierze, gdzie się brało ślub. Zkąd zresztą wiesz, że ta kobieta tu jest?

— A gdzież ma być?... Ona mnsi gdzieś tu się kręcić. A kto ją wie! gotowa się i szambelanową Rzesińską nominować, i moje poczeiwe imię w niesławę podawać. A ja tego nie ścierpię. Więc do króla pójde o audyencyę poproszę, i powiem mu wbrew: „Najjaśniejszy panie, od szambelanowój Rzesińskiej wara, póki ona moje imię nosi. To raz; powtóre, krzyż obiecales, daj; na kasztelanie konsens przyrzekles, podpisz: z reszty kwituję.”

Grzybowska, ręce założywszy, śmiać się poczęła.

— To dopiero będzie skuteczne, gdy pan szambelan królowi tak palniesz.

— Jak Bóg Bogiem, nietylko jemu to palnę, ale na sejm wniosę o krzywdę szlachecką.

Śmiała się coraz mocniej Grzybowska.

— Prawda, żeś opętany, zawolała: bo resztę rozumu postradałeś. Róbże sobie co chcesz, a mnie na pomoc nie wzywaj, i bądź mi waćpan zdrów.

Dygnęła mu na pożegnanie. Szambelan siedział nieporuszony, z głową zwieszoną.

— Adieu, dodała Grzybowska.

Rzesiński podniósł głowę, ręce obie wyciągnął rozpaczliwie i krzyknął przejęty:

— No to mówże, kobieto przewrotna! co mam począć? no cóż? eo?

— Idź, wypij się, zjedz, napij się. pójdź na hecę, kiedy chcesz, albo na teatr, nie rób nic, a ja się postaram, aby cię z kłopotu wyciągnąć. Lecz jeśli sam się porwiesz, ja palcem nie poruszę; masz do wyboru.

Zdawał się namyślać szambelan.

— Dajże termin—rzekł—niech wiem, ile to trwać ma. Nie mogę tu siedzieć rok cały i koni trzymać na kupnym owsie, korzec po trzy złote; to ruina!

— Mogęż ja termin naznaczyć? namyślając się odezwiała się Grzybowska: to gotowo trwać tydzień i dwa...

— Tydzień, dwa... dobrze, niech dwa... dajecie słowo?

— A wy nawzajem?

— Daję słowo, będę milezał.

— Dobrze; idź na hecę, mówię ci, idź na hecę, to cię zabawi.

Szambelan wziął nieszczęśliwy swój kapelusz, z któ-

rym się obchodzić nie umiał, uklonił się śmiesznie, szpadkę poprawił, aby mu się do nóg nie cisnęła, i z wolna wyszedł od Grzybowskićj.

W istocie był to nieszczęśliwy człowiek. Po Warszawie chodził jak błędna owca. Już dwa dni orientował się napróżno, ludzi potrzebnych wśród tłumu zawodnego znaleźć nie mógł.

Nauka Grzybowskićj: „Idź na hecę!” utkwiała mu w pamięci. Zajął na godzinę, i poszedł do restauracyi najprzód zjeść, bo nadechodziła *hora canonica*.

Stół był gęsto obsadzony, burgundzkie wino zapijało, rozmowa była nader ożywiona. Młodzieniec pięknej postawy siedział kolo szambelana, dalej starsuszek widocznie ze wsi, za nim wojskowy, za tym ks. kanonik z prowincyi, potem dwie Angielki, Francuz, słowem, jak się zwykł był wyrażać szambelan, awantura babilońska. Wieża Babel! Wszystkie języki brzmiały za stołem.

Szczęściem ów młodzieniec mówił po polsku. Wśród obiadu spytał go dyskretnie szambelan o hecę, wyznając, że ciekaw jęć był.

— Ja tam właśnie wieczorem idę, rzekł usłużny sąsiad. Jeśli waćpan dobrodziej życzysz sobie. pojedziemy razem.

Zaprezentowali się więc sobie wzajemnie: szambelan j. kr. mości, Koronał Ostoja Rzesiński,—i August Mikorsz z Poznańskiego—bez tytułu.

Brak tytułu, bodajby po ojeu, nieprzyjemne uczynił wrażenie na szambelanie, gdyż się tylko domyślał, a z takimi przestawać nie lubił.

Od obiadu do hecy było kawał czasu; pan Mikorsz butelkę burgundzkiego przynieść kazał, i sęczyli. Wtém osób wiele poszło do osobnych stoliczków rozrywać się

w karty, i pan Angnst zaproponował polskiego maryasza. Zgodził się na to Rzesiński, myśląc, że po trzy grosze do puli zagrają, ale się dowiedział, gdy karty podano, że niżej dukata sama przyzwoitość grać nie dozwala. Cofać się, wstyd mu było; pomyślał, że go parę pul nie zrujnuje. Poczeli tedy grać. Pierwsza wypadła szczęśliwie, drugą szambelan przegrał, ale że uważał przeciwnika za słabego, puścił się na trzecią. W trzeciej grubo dosyć przypłacił. W czwartej, chcąc się odegrać, posłiznął się gorzej jeszcze. Gra przeciwnika w dziwny się sposób polepszala; w piątej doszła przegrana do dwudziestu dukatów.

Czas było na hecę. Pan Mikorsz nazajutrz rewanusz ofiarował.

Markotny wstał szambelan; wzięli fiakra i dostali się na tę sławną hecę. Dnia tego drewniana buda była pełna, bo niedźwiedzia szczerć miano. W pierwszych krzesłach pełno dam postrojonych siedziało, a ze strojów i postawy łatwo poznać było, że nie lada mieszczki to były, ale damy najpierwszego towarzystwa. Szambelan miał wzrok przykrótki, szczególniej na jedno oko nie dowidział. Z daleka rozpoznać dobrze twarz było mu niepodobienstwem; strój jednak i figura jednej damy osobliwie go uderzyły.

Wiele oczu się ku niej zwracało. Siedziała w pierwszej łoży, sama jedna, a po za nią w kątku ukryta stara jakaś kobieta. Widać ją było niemal całą, bo na wysokim siedzeniu zajęła miejsce. Miała na sobie do gorsu aksamiitną suknię czarną, z pod której białe jak śnieg ramiona i popiersie cudne widać było, obramowane bogatemi koronkami. Na białym gorsie przypięta, świeża róża, pełna, cudnie się odbijała. Fryzura cała w pnklach, spadała jej na ramiona obficie, a na

niej kapelusik popielaty z różą, opięty był sznurem brylantów.

Maluską rączkę, w rękawie z popielatą, trzymała na kolanach z chusteczką przezroczystą, haftowaną. Z ramion spływał laniech złoty, wenecki, kilka razy obwinięty około szyi, z zawieszoną na nim balsamką kameryzowaną i takimże zegarkiem. Śliczne oczy czarne paląły pod powiekami przyniżonemi, usta miała malusie i różowe, twarzyczkę piękną jak obrazek, ale długą, smutną, nagniewaną i zbolalą. Trzymała się tak zrzęcznie, przechylała tak glibko, padała w krzesło i podnosiła z takim wdziękiem, że się ludzie jej napatrzeć nie mogli.

Nikt u niej nie patrzył, wszyscy na nią, i szep-tano coś sobie do ucha.

Widząc, że oczy zmruża to wytrzeszcza pan szambelan, usłużny Mikorsz, który miał perspektywę w kieszeni, ofiarował mu ją, zalecając.

Rzesiński, który nigdy podobnych narzędzi nie używał, niezbyt będąc pewien, czy w nich jaka nieczysta siła nie mieszka, z wahaniem, ale z ciekawością ujął perspektywę i począł ją, zmrużywszy jedno oko wedle przepisu, a raczęj ręką je przytrzymując dla ułatwienia, spoglądać tu i ówdzie.

Zdziwił się najprzód, postrzegłszy niedźwiedzia pod nosem. Uczyniła mu to wrażenie przykre, tak, że się aż wzdrygnął; potęmi ogon psa, potęmi wąsy żółte jakiegoś jegomości spostrzegł zbliżone przerażająco; naostattek, o mało nie upuścił szatańskiego szkła—żonę zobaczył, własną żonę!... tuż, tylko rękę wyciągnąć.

Krzyknął; ale że w tej chwili psy biednego marnie mordowały, wzięto ten wykrzyk za wyraz współczucia dla niedźwiedzia.

Piękna ta pani w kapelusiku popielatym z piórem, z różami, z brylantami, wydała mu się Natałką.

Pobladł, lecz przypisał to szatańskiej sztuce. Sąsiad w chwili, gdy Rześciński nieśmiało drugi raz kierował perspektywę na tę damę, zapytał go: czy nie swoją imienniczkę, a może krewną znalazł?

Szambelan spojrział na niego.

— Albo co?

— Bo to jest owa sławna, pierwsza dziś piękność nasza, która nie wiadomo z kąd wypłynęła na światło stołeczne, zowiąca się, jeśli się nie mylę, tak jak pan dobrodziej, a nawet tymże tytułem... zowią ją szambelanową Rześcińską.

Słyszając to szambelan, przestraszył się, zdziwił, i perspektywka wypadła mu z ręki. W drugim rzędzie pod nim siedział jegomość łysy; perspektywka uderzywszy go w czaszkę i odbiwszy się od niej, potoczyła się między psy i niedźwiedzia.

Łysy jegomość, raniony lekko, krzyknął, wszystkich oczy zwróciły się na przełętkę winowajcę, zamęt się zrobił w sali. Mikorsz zaczął się śmiać. Rześciński za perspektywką gotów się był rzucić między dzikie zwierzęta, a gdy się to uspokoiło, owa pani w popielatym kapelusiku znikła.

— O perspektywę nie masz się waćpan dobrodziej co tak troszczyć; nie była to rzecz tak kosztowna.

W istocie tylko pięć czerwonych złotych szambelan zapłacił za nią. Lecz nie szło mu o nie; chciałby był gonić za widmem żony, a téj już nie było. Milezał, dziko wodząc oczyma po sali.

— Pani Rześcińska - szepnął głosem zalterowanym do sąsiada—jest ni podobno daleką powinowatą; pan nie wiesz, gdzie mieszka?



— Nie wiem, rzekł Mikorsz; lecz się o tém łatwo dowiedzieć mogę.

— Uczynisz mi tém największą przysługę.

Spędzili resztę widowiska, które zapłaciwszy, smutny szambelan czuł się obowiązany skonsumentować do ostatka; ale obaj niebardzo niém byli zachwyceni.

Przy wieczerzy Mikorsz znowu dał burgunda, a po niej grali w maryasza, i pan Rześniński przegrał tylko dwadzieścia pięć dukatów, co z lornetką i ranną przegraną uczyniło pięćdziesiąt, nie licząc stołu, niejsca na hecy i fiakra połowy.

Gdy późno w noc wszedł do swojej stancyi szambelan, po burgundzie, maryaszu, widowisku, przegraną i całym tym dniu nieszcześliwym, począł się liczyć z kassą i suwieniem, i postrzegł, że takich dni kilka wyczerpie zapas do dna. Wprawdzie znalazł żonę, lecz co mu po tém było?

Nazajutrz pobiegł do Grzybowskiej zdyszany. Po dzwonienu go poznała, bo jak na wotywę sygnował.

Bez powitania prawie się wtoczył.

— A! dobrą mi asiudźka dałaś radę! zawołał. Tożem na hecy tę małą znalazł!

— Jaką?

— A tę... tę... już się pani domysł. I dowiedziałem się, że szambelanową śmie się nazywać!

— Bo ma do tego prawo... odparła Grzybowska seryo.

Szambelan na wczorajszém krzeselku padł jak złamany.

— Dałem słowo, że nic nie pocznę; słowo rzecz święta; nie robiłem wczoraj larum; lecz donoszę, że gdy ją wyszukam...

— Ja ci ją znajdě i rzeczy się ułożą, rzekła Grzybowska. Czekaj, bądź cierpliwy i baw się.

— Śliczna mi zabawa w tój waszěj Warszawie! krzyknął rozpaczliwie Rzesiński. Wczoraj przy stoie zrobiłem znajomość z młodym człowiekiem, niewinność sama, grzeczny, ukladny, gładki, choć do rany, a jak się okazuje dzisiaj, upoił mię *cum praemeditatione* burgundem, i wziął u mnie w prostego maryasza pięćdziesiąt czątych! Ładna sumka! A przelknął to tak gładko, jakby to dla niego nie nic znaczyło. Oszust, szuler! Wczoraj mu tego nie śmialem powiedzieć, ale dziś mam najuocniejsze przekonanie. Z początku grał jak szewe, potēm jak wirtuoz, a karty znał doskonałe, bo gdy odrzucił, pewnie spodem siedział pandil albo tuz.

Grzybowska się uśmiechała.

— A żonę? jakżeś waćpan znalazł żonę?

— Malpc, nie żonę! ruszając ramionami wołał szambelan. Ja ją widziałem i nie widziałem, mogę powiedzieć. Siedziała opodal, wystrojona, w brylantach, a ja nie dowidzę; myślałem, że jaka wielka pani... Ten szuler, który ze mną był, dał mi takie szkło, oprawne w rurkę, co zbliżało; przez nie ją dojrzałem, i pięć czerwonych złotych za to odkrycie zapłaciłem, bo szkło i rurka z ręki mi wypadły i miedźwiedz je zgniótl. Komu się nie wiedzie, to nie wiedzie, trudno. Bylebym rozwód dostał i do domu... Cóż każesz mi robić?

— Co? to samo co wczoraj. Siedź spokojnie, w karty nie graj i czekaj, abym ci znać dała. W nie się nie wdawaj, bo popsujesz wszystko — rozumiesz?

— A no...

Szambelan wstał, aby wyjść. Stał w progu i odwrócił się do Grzybosi.

— Cóż pani na to? Pięćdziesiąt czątych w maryasza z golowąsem i za jakieś szkiełko! Śliczny interes, jak Boga mego kocham, awantura babilońska!

---

Warszawa w czasie sejmu czteroletniego świetną nader była, zgadzają się na to wszyscy; lecz co jęj ten blask nadawało, to przypłynęło z daleka: dwory pańskie, powozy, konie, liberye, strojne panie i panowie. Stan samięj stolicy dziwnie od tęg ludności położcistęg odhijał. Z wyjątkiem kilku pićkniejszych gmachów w samego miasta obrębie, ulice i domy nie odznaczały się wytwornością, a stan bruków był opłakany. Po za bramą Krakowską, na tęg przestrzeni, która miastem być miała, ale jeszcze go nie dorosła, kręcily się drogi, uliczki, płoty, a wśród nich, w nieładzie największym rozrzncone były przepyszne palace, oko w oko z mizernemi chatkami, wspaniałe budowle i szalasy nędzne. Gdzieniegdzie leżały stosy drzewa, kupy przygotowanych cegieł, kłoce, które pilować zaczęto, i szopy stały z chróstu piecione. Widok był osobliwy, ale wzrost zwiastujący; ladu mało, życia wiele.

W alei Ujazdowskieg, wśród ogrodu w części ze starych drzew złożonego, w drugieg zasadzonego świeżo, stał naówczas domek niewielki, murowany, dosyć ładny, do którego przystępu bronił mur i brama zamczysta, obok któreg była furtka także warowna.

Powozem jadąc, można było zajrzeć we wnętrze ogrodu i dojrzeć, że miał nliczki piaskiem powysypywane, dno kwiatów, rodzaj sadzaweczki ocembrowanój w pośrodku, a w domu widać było żaluzye zielone, firanki białe, doniczki w oknach, ganek ostawiony oleandrami i drzewami pomarańczowemi.

Przed ten domek, fiakrem wieczorem dnia jednego zajechała Grzybowska i zadzwoniła do fórty, która się nierychło otworzyła. Wprzód z wnętrza odsunięto okienko, popatrzał ktoś, i dopiero poznawszy przybyłą, otworzył.

Okolo domku nie było nikogo. Sień, do której weszła stara panna, także pustą znalazła; otworzyła drzwi przeciwległe, i w pokoju, który na ganek wychodził, nie zobaczyła też nikogo. Dopiero z wolna w prawo się zawróciwszy, uchyliwszy drzwi i podniosłszy zasłonę, ujrzała kobietę, siedzącą na fotelu, a raczej leżącą na nim, z nogami wspartemi na stoleczku.

Była to owa ukraińska krasawica, ale zmieniona na piękność niejską; z dziecka wsi, z kwiatka dzikiego, na zwiędłe kwiecie, co usycha w dusznej atmosferze.

Była to piękność też sama i owe oczy czarne, płomienistsze może jeszcze, lecz jakże się to zmieniło, nie tylko strojem, nie tylko otoczeniem, ale wyrazem i bolem! W białej koszulce, z pełnym we włosach kwiatczkiem, z koralami na szyi, z rumieńcem na licu, Natałka była obrazem życia i nadziei; w kaszmirowej sukni długiej, z pierścieniami na palcach, w naszyjniku złocistym, z puklami trefionemi, spadającemi na ramiona, w atlasowych trzewieczkach, piękna szambelanowa była obrazem znużenia i rozpacz. Na czole napisana była żaloba, na różowe poblady, cera wybierała

woskowo, stała się przezroczystą, oczy tylko cały ogień skupiły w sobie, ciemnymi obwiedzione tonami; zdawały się dogorywać, jak gasnąca pochodnia, co chwyla ostatki płomienia, aby się sama pożarła.

Leżąc tak zadumana, spojrzała obojętnie na wchodzącą Grzybowską, i nie podniosła się nawet. Usta jej skrzywiły się jakimś pół-uśmiechem szyderskim, głową tylko skinęła powoli, a potem rączką białą, po której sine żyłki jak siatka się krzyżowały, wskazała obok stojące krzesło.

Grzybowska stanęła naprzeciw niej.

— Ktoby powiedział, że najnieszcześliwsza w świecie kobieta, a to pieszczone dziecko, popsute...

— I szczęśliwe! szepnęła ironicznie Natalia: o! zapewne. Kapryśne dziecko! chce mu się szybki z okna, kaffi z pieca, gwiazdki z nieba, nie prawdaż? Tak wy mówicie wszyscy, a gdy komu trzech powie, że pijany, nie ma co robić, powinien iść spać. Tak i ja. Wszyscy mi mówicie, żem być powinna szczęśliwa; więc powinnam śmiać się.

Mówiąc to, otworzyła usta, pokazała ząbki białe, do uśmiechu nastroiła twarz i ziewnęła. Ręce się podniosły ku górze i bezwładne opadły na kolana. Jedną z nich wsparła na poręcz, na nią złożyła głowę, i zadumała się, jakby nikogo nie było. Grzybowska, popatrzawszy na nią, usiadła. Zwróciła ku niej główkę po chwili.

— No cóż? przysięgnę, że mi przychodziecie zwiastować przybycie mojego męża. Cha! cha! starego wczoraj widziałam na hecy. Patrzył na mnie osowiałem oczyma, potem mu ktoś podał szkło, które z rąk wypadło, tak się mnie jak widma nastraszył... ale ja uciekłam. Poznałam go. Teraz ja niewolnica zawsze

podwójnie zamykać się muszę; broń Boże mię wyszpieguj, a nuż się tu dostanie!...

— Czegoż się masz bać?

— Halas, wrzawy, krzykn, odparła Natalia. Król i tak cienia swojego się boi. Ta Grabowska nieszczęsna zagryza go podejrzeniami, zamęcza wymówkami. Król i tak zmęczony, niewiele potrzeba, by mnie porzucił, a ja go kocham! ja go kocham!

Grzybowska ruszyła ramionami.

— Wszak tu nikogo nie ma? odezwala się—prawda? Matka pewnie; więcej nikogo. Więc powiem otwarcie: komedyi nie graj ze mną. Król stary, nudny, znużony, co ty mi mówisz, moja szambelanowo, że go kochasz!

Natalia porwała się na pół z siedzenia i padła na nie znowu, ręce łamiąc.

— Tacyście wy wszyscy! krzyknęła z gniewem. Nikt z was wierzyć nie chce; ale ja go kocham, choć stary; kocham go, bo jest biedny; kocham, bo nie wiem, czemu go kocham! Słuch, męczę się, umieram, marzę o stepie, płacząc; radabym zerwać się z łańcucha, a serce mnie tu trzyma. Wyście tacy wszyscy—poczęła gwałtowniej—żadna go nie kochała, sprzedawały mu się wszystkie, ale dla mnie, nie ma świat za coby nie kupił. Ja nie potrzebuję nic, tylko kochania, choćby o chlebie i wodzie, o głodzie i o łzach... Ja jestem boże stworzenie, a was nlepili ludzie; wy mnie nie znacie!

— Dosyć, dosyć tych narzekañ, odezwala się stara panna, urażona nieco. Nie przyszlam tu słuchać lamentów, bo jest mówić o czem inném. Szambelana w furii..

Natalia nie odpowiadała, patrzyła w okno.

— Szambelan się odgraża!... powtórzyła Grzybowska.

— Czegoż chce? spytała z wolna Ukrainka.

— Czego chce? sam pono nie wie; chce rozwodu, chce krzyża... — Zaczęła się śmiać. — Ten mu się należy.

— Niech robi co chce, niech mu dadzą czego zapragnie, co mi tam!

— Ale właśnie byłoby nieroztropnie, moja szambelanowo, dopuścić rozwód i zerwać ten węzeł.

— Dla czego?

— Dla przyszłości. Król nie jest nieśmiertelny...

Wyprostowała się Natalka.

— A ja? spytała. Umarze on, umrę ja, może prędzej od niego. Jak się to życie skończy, innego nie chcę... pójdę tam, nad Dniepr i skoczę w wodę.

Stara panna z widoczną niecierpliwością słuchała wyegzaltowanej mowy pięknej pani. Nie mogła jej zrozumieć ani w nią uwierzyć; ramiona się jej podnosiły, zżywała się, otwierała usta i krzywiła je.

— Jakże tu rozsądnie mówić z wami? poczęła westelnąć; jak się tu dogadać? Nie ma sposobu!

Niespodziewanie zamiast odpowiedzi, Natalka obróciła się ku oknu, podparła na dłoni i poczęła tęsknym głosem śpiewać piosnkę ukraińską. Nociła ją tak półgłosem, zadumana, jakby już o wszystkim zapomniała, oprócz króla i Ukrainy.

— Dwa dni go nie widziałam... odezwała się, przestając śpiewać nagle. Musi się przekradać jak złodziej do mnie, tak go szpiegują; musi się z godzin rachować. Grabowska go łaje, siostry mu przymawiają, mnie wszyscy nienawidzą... słodkie życie! A gdy wieczorem skrzypna drzwi i przyjdzie on, drżący, wystra-



szony, to na zegarek patrzy, i nieczém go nie wstrzymać, i strach mu wszystko truje...

Pilno było Grzybowskięj, więc wstała.

— A gdzie matka?

— Z kądziałą schowała się w ką, bo jęj wstyd kądzielei, a tęskno do nięj. Ot, tam.

Wskazała drzwi.

Stara pama wsunęła się do ciasnej izdebki. Tu na ławce u okna stara Sydorowa siedziała zadumana i przedła. Zobaczywszy Grzybowską, postawiła co przedzj kądzieł w kącie, fartuch poprawiła i pozdrowiła ją po cichu.

— Z wami się choć może rozmówię potrafię... szepnęła przybyła. Z Natalką się nie nie dogadasz.

— Dajcie jęj pokój, ona biedna! westelnęła matka. Schnie mój kwiatek na łodydze... bodajbym była go tu nie wiozła, gdzie i szczęście takie niezdrowe!

Otarła łzę.

— Szambelan przyjechał... chce rozwodu... Aleby może król się zgodził, a Natalka do niego wróciła, i życioby się stało znośniejszém.

Stara podniosła obie ręce nad głowę, i poczęła trząść długo snelami palcami nad nią.

— *Kudy, kudy, kudy!* ani jęj mówię o tém! rzekła, zniżając głos. Co Bóg przeznaczył, to będzie.

— No, to choć rozwód niech weźmie, bo ten człowiek szaleje, że nazwisko dał, a żony nie ma.

— Niech sobie rozwód dadzą, a nam co do tego? Jak chcieli, tak my robilyśmy; odrobić, to odrobić; tak z tém jak bez tego. — Ręką machnęła: — Róbcie, co chcecie.

Nie wiedziała im co mówię Grzybowska, gdy od

bramy dzwonek się dał słyszeć. Stara pobiegła do okna zmieszana.

— *Korol!* zawołała, klaskając w ręce.

Z sąsiedniego pokoju słyszeć było tylko, jak Natalka z krzesła skoczyła i naprzeciw gościa wybiegła.

Szczęściem Grzybowska odprawila była fiakra od wrot, bo król inaczéjby dom minął.

Przez okno zobaczyła go, obwiniętego płaszczem i krocącego niespokojnie. Siadła ze starą w maléj izdebce; Natalka w pierwszym pokoju króla przyjmowała.

Cisza panowała w domku. Rozmowa snadź toczyła się głosem stłmionym; niekiedy Natalkę tylko słyszeć było wybuchającą, i wnet, jakby jéj usta zamknęto, milkła.

Trwało to bardzo krótką chwilę, krócej, niż się Grzybowska spodziewać mogła. W sieniach dał się słyszeć szelest... król już wychodził; do ffortki biegł, nie oglądając się, i zniknął. Na dworze szarzało. Szelest sukni i ciężkie rzucenie się na krzesło oznajmiło Grzybowskiéj, że Natalka na swoje miejsce wróciła. Otworła więc drzwi i weszła. Zastala ją tak siedzącą jak wprzódy, ale z rumieńcem wypalonym na twarzy.

— Otoż tyle mego! zawołała: dwa dni czekania, a ćwierć godziny pociechy, zatrutój strachem. A jaki on blady! a jak się trząsł! Izy nnn się w oczach kręcily! Ludzie go męczą; skarżył się na obcych i na swoich; rodzina go prześladowe. O, biedny król i biedne to szczęście moje!

Złożywszy ręce jak do modlitwy, znowu w okno patrzała.

— Ja was muszę pożegnać, rzekła Grzybowska.

Przyszłam z dobrém screenem i radą, a nie wam uczynić nie mogę, więc odchodzę.

— Ale... przerwała Natałka — ale nie odchodźcie z niczém. Mówiłam królowi... król na rozwód się godzi, byle rozgłosu nie było; podpisze co ten zechce. Czegoż więcćj żąda? Dadzą mi wykupnego, a nicch go moje oczy nie widzą.

— Dobrze, dobrze... odezwala się stara panna: tylko żebyście później tego nie żalowali, że go odprawiacie; zdalby się może stary, i z nim do ładny przyjsć można.

Śmiech i śpiewka były jedyną odpowiedzią. Natałka nócila ruską pieśń: „Szumia bory, mruczą wody,” a głos jej nieuczony, słaby, ale tęskny i przejmujący, niecierpliwą Grzybowską nawet chwilę u progu zatrzymał. Gdy śpiewać przestała, po cichu się wysliznęła bez pożegnania.

Fiakr czekał na nią daleko w samotnej uliczce.

Na ujazdowskim dworku dzień ten był jednym z najczynniejszych i najpamiętniejszych Natalee. Ranek przetrwała w strachu po wczorajszej hecy, dzień w oczekiwaniu; podrażniła ją Grzybowska, rozmarzył król, tęsknota po Ukrainie rozczawiała. Wieczór nadehdził i piosnką kołysała się sama, pieszczone dziecię, do jakichś snów marzących!

Sydlorowa zajmowała się wieczera zc slugą, gdy stary stróż, dawny żołnierz, później odźwierny w Kozienicach, dla wierności swój sprowadzony tu umyślnie, zjawił się w kuchence z kluczem w ręku.

Zobaczywszy slugę. skinął zrcznie na Sydlorową, aby do niego wyszła, i wolnym krokiem poprowadził ją na ogródek. Tu obejrzał się po murach otacza-

jących, i zbliżywszy się do ncha starój, szeptać jej po-  
czął:

— Ta juścić, moja jejmość, ja się nikogo nie bo-  
ję, ale coś jest... trzeba żebyście wiedzieli, że coś  
jest.

— Cóż jest? co? spytała stara, którą gderliwość  
i wielomowstwo żołnierza gniewało i niecierpliwiło.  
Znowu się wam co przywidziało.

Żołnierz aż się na nodze okręcił.

— Masz! znowu przywidziało! To idźże jejmość  
z Bogiem, nie nie powiem; ale jak posłyszycie, żem  
ognia dał w ogrodzie, żebyście lamentu i wrzasku nie  
narobiły.

— Czekajże, stój! zawołała Sydorowa. A czegoż  
ognia masz dawać?

— A słuchać mnie nie chcecie? żywo počzął żol-  
nierz. Tobyscie się przecież dowiedzieli, co jest. Od  
trzech dni już jakiś mi się tu człowiek podejrzany  
około domn kręci. Napatrzyłem go, stojąc przed bra-  
mą i przez płoty. Żle mu z oczu patrzy; siedzi ciągle  
pod murem; wczoraj suchy chleb kruszył i jadł.  
Ogromny drab, odarty, blady; mówię, że mu źle  
z oczu patrzy, na zbója wygląda...

— Młody? stary? zapytała Bondarowa.

— Juści nie stary — mówił żołnierz — i młody  
tak nie jest. Twarzy nie widziałem dobrze; a no,  
siłny, zdrow. Zakradł się, gdy szambelanowa po ogo-  
dzie chodziła, aż na mur, i oczy wytrzeszczył na nią.  
Dopiero gdy ja się ruszył, zniknął.

Sydorowa się zadumała.

Stali właśnie po za bramą i furtą, tam gdzie mur  
był trochę niższy i odarty, w części okrywały go za-  
rośle. Zaledwie umilkli, szelest się dał słyszeć, a żol-

nierz dał znak kobiecie, aby zamilkła i palcem wskazał ku zagrodzie. Mrok był na podwórzu, ale dosyć jeszcze jasności dnia zostało, by o kilka kroków twarz ludzką dojrzeć było można. Dwie silne ręce postrzegli naprzód na murze, jakby w nim wpite i wrosłe, potem nad niemi ukazała się znięta i zszarzana czapka barania, naostatek głowa i twarz blada, z oczyma ciemnymi. Twarz była wychudzona, zgnędniała, żółkła, spalona, pyłem okryta i błotem. Sydorowa wlepiła w nią oczy, podniosła ręce i krzyknęła głosem wielkim:

— Maksym!

Żołnierz ruszył się jakby po broń, a głowa znikła i ręce opadły.

Stara Bondarowa nie wiedząc co czyni, rzuciła się ku fście ze środka zamkniętej, otworzyła ją, nachyliła się w nlicę pustą i wołać zaczęła:

— Maksym! Maksym!

Z prawej strony, z pod muru szelest się dał słyszeć, i człowiek przytoczył się raczej niż przyszedł ku niej, nie mówiąc słowa, pochwycił ją za ręce, i płacząc, począł namiętnie całować.

— Maksym! szalony chłopie, co tu robisz? zawołała, ciągnąc go z sobą do ogrodu. Gdzie ty był? po coś tu przyszedł?

Nie miała siły czynić mu wyrzutów żadnych. Lata wychowania jego, sieroctwo, przyswojenie za dziecko, wszystkie dni wspólnej pracy, i wesela, i niedoli na pamięć jej przyszły. Jak drugie dziecko go witała, powtarzając:

— Co ty tu robisz, Maksymie?

— Ja?... odpowiedział wreszcie Ukrainiec, nabierając w piersi oddechu: a cóż! Wszak włóczęgą przy-

włokłem się tu, aby was zobaczyć. Bez was tam dla mnie wszystko pomarło; bez was tam dla mnie nie było.

I Maksym począł płakać, ale wnet łez się powstydział, otarł je szybko i uśmiechał się do Bondarowój, ręce jej pochwycając i okrywając je pocałunkami synowskiemi.

Stara zawahała się, czy go wprowadzić do domu, czy o nim córce powiedzieć.

Żołnierz, widząc te konszachty jejmości z obdarcusem, stał cały zmieszany. Nareszcie powiodła go Bondarowa pod klon na ławę i sama na niej usiadła.

— Mów, Maksym, mów jak na spowiedzi świętej prawdę całą: co z tobą było?

— Matko Bondarowa! począł parobek: było ze mną źle, że nie mogło być gorzej, i żem żyw dotąd, Bóg tylko łaskaw, a może mnie pognał tu, abym wam na co posłuszył. Samiście mnie z chaty wygnali, toć wiecie; poszliśmy ja i Krywonogi w wąwóz, w balkę, i żyli o chlebie i wodzie, pilnując, co się działo na chutorze. Mnie się we wnętrznościach gotowało, bo ja czułem, że idzie na pochybel. I tego Lacha, winien on czy nie, my przybili na drodze, żeby ich oduczyć łazienia do chutoru. A no, nie pomogło nic: co było napisano, to się stać musiało. Uciekliście z chutoru z Natałką, a Sydor już tego dnia na stepie znów był i od nas się dowiedział, że was nie ma. Po waszym wyjeździe my naszli na chatę, gdy najmitka z parobkami przy wódce siedziała. Sydor precz wygnał holotę, a że mu się serce ścisnęło, chutor podpałił i wszystko spłonęło.

Jęknęła Bondarowa, zakrywając oczy.

— Nam na konie kazał siaść, i pojechaliśmy we

trzech na step, gdzie oczy poniosą. Z domu, z lochu, nie wzięliśmy nic, ale u Porohów, u kozaków dostali trzy samopaly, i kul, i prochu. Sydor nas prowadził... krwi mu się chciało. Siadaliśmy w balkach i czatowali, i rozbijali, i zabijali, nie dla sakwy i nie dla pieniędzy, bo się nie tknął niczego, ale krwi mu było potrzeba. I lala się krew, matka Bondarowa, lala się, a jemu trochę się lżej na sercu robiło. Krywonogiego prędko nie stało: w dziesięć dni kula go wzięła... w samą pierś pod żebro, że się zwalił z konia jak kłoda. Dwie noce mu kurhan sypałem i krzyż wetknąłem, a sam go na bezpieczne miejsce do mogiły zniosłem, aby niernszany odpoczywał. Opodal od gościny na pagórku leży. Zostaliśmy sami z Sydorem i blądźili po stepie. Nocą w balce i gąszcze się wszywali a czatowali, dniem do balek wracali na spoczynek; czasem do kozackich chat na wyżki, w sloty. Sydorowi twarz bladła, a po nocach kaszel go dusił, co aż krew po nim się rzuciła.

Tu się Maksym zatrzymał. Bondarowa oczy zwróciła na niego, i patrzyła mu w twarz długo.

— Umarł... rzekła — ja wiem, ja go téj nocy widziałam. Umarł... ja się grzeszna modliłam za jego duszę.

— Na wyżkach w chacie kozaczéj nadełdnem zawałał mnie do siebie i w głowę pocałował. „Mnie przyszła godzina — rzekł — trzeba iść zdać rachunek. Bóg jeden wie, co z duszą będzie; powiedzcie im, że przebaczyłem wszystko, bo i ja przebaczenia potrzebuję.” Uderzył się w piersi pięścią, głowa się zatoczyła, chwycił mnie jeszcze raz za ramię, bom nad nim klęczał... i już duszy jego nie było.

Zamilkł Maksym chwilę.



— Co było robić? gdzie się dziewać? Powlokłem się na chntor, — a tam pastynia, i bodiaki na grzazach, i tęsknica... nie wydychać; ani żyć, ani umierać! Więc w świat za wami, matko Bondarowa, bo u mnie nikogo w świecie, tylko wy a ona... Ot, jak pies wie trzyłem tropy, i zawlokłem się między Lachy.

Zamilkł Maksym i oczy zakrył dłonią. Sydorowa siedziała niema; noc nadchodziła. Zerwała się nagle z ławy.

— Chodź ze mną... rzekła. Odpoczniesz pod dachem.

I powoli ku domowi ją poprowadziła posłusznego.

Stary żołnierz stał na straży; z dala zobaczył idących i nieufném okiem zmierzył przybysza.

— On tu przenocuje, szepnęła Bondarowa. Dacie mu w izbie miejsce z sobą. Ja go znam: to nasz, to sierota, com go wychowała; nie macie się go co lękać.

Żołnierz głową pokiwał. Nie w smak mu to było, lecz Bondarowa tu rozkazywała. Nie mówiąc słowa, wprowadził Maksyma do swęj izby. Stał w nięj tapczan próżny: wskazał na niego ręką, a sam cofnął się ku swemu łóżku. Maksym siadł, rzucając kij, i nieuchwoniwszy pozostał tak w miejscu, jakby pół senny.

Z pewném niedowierzaniem żołnierz swoje mienie przygarniał jak mógł ku łóżku, świeczkę zapalił i wyszedł.

Był to dzień zwykły posłuchania u króla przed sessyą sejmową. Przypuszczano interesowanych z rana na kilka chwil do oblicza pańskiego, a naglące sprawy publiczne za wyborny służyły pretekst, by długo nie męczono najj. pana. Kilku grzeczniemi słowy zbywał z grzecznością ujmującą król cisnących się ku niemu. Nikt prawie nie odszedł niezadowolony z niego, bo odmawiać nawet umiał tak, że odmowę zlagodził, a obietnice nie go nie kosztowały. Dobry do zbytku, lecz bez wyboru ludzi, rad był sobie pozyskać każdego, i ze wszystkich w końcu robił nieprzyjaciół i niechętnych.

Dnia tego pan szambelan Koronat Ostoja na Krasnych Walach Rzesiński miał sobie przyobiecane ucho królewskie. Naznaczona była dziewiąta godzina z rana. Na pół godziny wprzód już się szambelan wystrajony na pokojach znajdował, gdzie oprócz dwóch paziów nikogo nie było. Z niecierpliwością spoglądał na wskazówki zegaru, które się tak wolno poruszały, iż je pan Koronat o zaniechanie obowiązków posądzał.

Wreszcie uderzyła dziewiąta.

Oprócz szambelana, na sali był jeden ksiądz i jeden szlachcic ubogi.

Drzwi się otworzyły, i służbowy szambelan zawołał głośno:

— Król idzie!

W rząd ustawili się wszyscy.

Poniatowski w mundurze korpusu kadetów, z wiązką papierów w ręku, ukazał się w progu gabinetu. Uśmiech łagodny miał na ustach, oczyma zmierzył wszystkich, i trochę zdziwiony a niepewny przybliżył się do szambelana.

Rzesiński gniewał się i kłął najj. pana z daleka, ale z blizka miał to tradycyjne poszanowanie majestatu pomazańca bożkiego, które sprawiało niegdyś, że rokoszanie, co się przeciwko królowi rwali z bronią w rękę, padali przed nim na kolana.

Na widok pana, Rzesiński zgiał się wpół z takim przejściem i rozrzewnieniem, z taką pokorą, iż król mimowolnie się uśmiechnął.

— Ale jakże na korzyść zmieniłeś się, szambelanie! odezwał się słodko. Prawdziwie, żebym go był nie poznał. Jakże tam zdrowie, dobre? gospodarstwo pomyślnie? pszeniczka rodzi?

— Wszyseyśmy pod błogiem panowaniem w. kr. mości szczęśliwi! odparł Rzesiński, nie myśląc co ino-wil. Kraj używa pokoju...

— Ale, *si vis pacem, para bellum*, dodał król; dla tego wojsko potrzeba wotować, ekwipować i wzmocnić. Co to za szkoda, żeś się acan dobrodziej nie starał o poselstwo ze swój ziemi!... byłbyś nam tu bardzo użyteczny. Przy jego miłości kraju i zdolnościach...

Rzesiński aż głowę podniósł ze zdumienia. Miłości kraju dotąd w sobie nie wypróbował; musiał-ci ją mieć, bo wszysey ją mieć byli powinni, ale czuł, że dowodów na to nie złożył. Co do zdolności, tych uznanie napelniło go dumą, ale zarazem było dla niego niespodzianką. Skłonił się nisko. Król się obejrzał w koło.

— Kochany szambelanie! rzekł: radbym ja z waszmością dłużej na osobności pomówić w gabinecie; posłuchanie długo nie zabawi, chcecie się zatrzymać.

Rzesiński podrósł; zrobiło mu się dziwnie błogo; czuł, że fortunę trzeba było za włosy pochwycić. Odszedł na stronę, prostując się i nadymając powagą.

Król tymczasem od księdza przyjmował ofiarowaną sobie kantatę, którą w dzień imienin najj. pana duchowny dedykował mu, a teraz dopiero u stop pańskich złożyć ją miał szczęście. Z tym król biegle po łacinie mówić zaczął. Przyjął w aksamit oprawną książeczkę i przyrzekł, że się jeszcze widzieć z nim będzie.

Szlachciec był Kurlandczyk, mówił tylko po niemiecku. Król od pierwszych słów postrzegłszy, że mu z polszczyzną idzie trudno, odczuwał się do niego po niemiecku i prowadził rozmowę z wielką łatwością.

Nadeszło było później jeszcze osób parę: Anglik kupiec, do którego po angielsku król przemawiał; Francuz, oficer niegdyś pułku Massalskich, z którym jak Francuz szwargotał; nareszcie Włoch, bankier, do którego odczuwał się piękną włoszczyzną.

Szambelan był niesłychanie zdumiony, lecz w prostocie ducha ten dar poliglotyczny przypisał osobliwemu *gratia status*. Ponmnożyło to jeszcze uwielbienie dla osoby króla j. m., którego i tak od pół godziny admirał i cenił aż do rozrzewnienia.

Naostatek ostatniego z przybyłych odprowadziwszy, król odwrócił się, i zobaczywszy szambelana, skinął grzecznie, ażeby za nim szedł do gabinetu.

Już samo szczęście, iż do tego przybytku był przypuszczony, napelnilo Rzesińskiego niewymownym uczuciem. W tej chwili dalby się był porąbać w sztuki za majestat króla j. m.

Wszedł, próg przestępując ostrożnie, pokornie, i stanął nieopodal ode drzwi. Przed nim stał stołek w rodzaju biurka, pełny papierów i książek. Na nim widać było ogromnych rozmiarów pergaminowy arkusz z pieczęcią przywilejową, drugie podobny mniejszy, i misterne pudełko ze skóry czerwonej.

— Jestem waćpanu dłużny, odezwał się król, wchodząc; ale w tém nie moja wina, tylko kłopotów, jakie eiażą na méj głowie. Szczęśliwy-m, że choć dziś się po części z zobowiązań dla tak zasłużonego obywatela wywiązać mogę. Należał się acamui dobrodziejowi krzyż Św. Stanisława... oto masz podpisany przywilej, a obok konsens na kasztelanie wielnuską. Bóg widzi, że wcześnziej nie bylo podobna...

Westchnął król, a szambelan wzruszony, biegnąc do ucalowania ręki pańskiej, padł na kolana, które sobie potłukł mocno. Nie uczuł tego, tak go zapal ożywiał.

— Najjaśniejszy i ukochany monarcho! zawołał: życie za ciebie dać byłoby największém szczęściem! Ojciec ojczyzny! wyrazów braknie...

Rzesiński rozczenił się i płakać począł. Poniatowski, jakkolwiek nadzwyczaj do łez skłonny, tym razem byłby rozsniął się może, lecz potrzebował zachować krew zimną.

— Wstańże, wstań, kochany kasztelanie! rzekł z przyciskiem na tytule. Oto twe przywileje, przypieczętowane i gotowe; a order, pozwól, bym sam włożył na piersi twoje.

To mówiąc, król pndelko otworzył, dobył wstęgę i na szyję mu ją zarzucił.

Nowe rąk pocałowanie nastąpiło. Nowo kreowanemu kasztelanowi pilno bylo nadzwyczaj pokazać się w całym majestacie swym *urbi et orbi*. Byłby może zaraz odszedł, gdyby król go nie powstrzymał.

— Słowo jeszcze, mój kasztelanie! rzekł.

Tytuł brzmiał w uchu Rzesińskiego jak najsłodsza muzyka; w duchu powtarzał sam sobie: „Mój kasztelanie!”

Mówiono mi, nie wiem, czy prawda, coś o ożenieniu waszém, o nieporozumieniu z jejmością i o zamiarach rozwodu. Powiedzieć mi, proszę, jak ta sprawa stoi? co to jest?

Nowo kreowany kasztelan na chwilę stracił humor i przytomność umysłu; sam nie wiedział, czy się miał spowiadać, czy klamać, czy milezczyć, czy dyssymulować. Wstęga Św. Stanisława, która się dotykała chwilowo jego brody, gdy na nią spojrzał, przypominała mu obowiązki senatora i orderowego pana. Błyskawicą przeleciało mu po mózgu: że jako człek wielkiego świata, dyssymulować jest obowiązany.

— Najj. panie! zawolał: niech ludzie mnie sądzą jak chcą... Z żoną nie żyłem, opuściła mnie z powodów, które ignoruję; nie pozostaje mi nic, tylko węzeł ten dla niej niemiły, a mnie kępnący, rozzerwać.

Król słuchał z powagą.

— Lecz— odczywał się— czyby dobrych przyjaciół nie należało wezwać i spróbować, azali się nie uda z jejmością porozumieć? Jest to, jak *mi mówiono*, osoba: młoda, przystojna, nie bez majątku; pan kasztelan doszedłś lat dojrzałych; nie jużież nowych szukać ci związków? czy nie lepiejby więc...?

Rzemiński posłyszał to: *jak mi mówiono* i wziął je dosłownie. Pomyślał, że plotki o stosunkach z królem musiały być wymyślane, nie mógł nawet posądzać dobrotliwego pana, przez którego tylu za zczytami został ozdobiony; zmieniło to jego postanowienia. Był wreszcie w nspособieniu pojednawczém i dziwnie rozczulony.

— N. panie! wykrzyknął: tyś pan, ty ojciec nasz, czyż i rozporządzaj jak ci się podoba, ja do rozkazów się zastosuję.

Przystąpiwszy do niego bliżej, z uśmiechem słodczy pełnym Poniatowski się odczuwał:

— Bóg za plać za te uczucia, panie kasztelanie; a zatem nie czyni kroków żadnych, a ja przez *kobiety* się postaram, aby państwo zbliżyć i pojednać. Radbym tak godnemu obywatelowi i domowe szczęście zapewnić.

Po raz trzeci Rzeziński całował rękę pańską; zabral swe papiery, i cały drżący, poruszony, wyegzaltowany, szczęśliwy, wyszedł do sali, poprawiając wstęgę, która jak echem na nim wisiała. Tu dwór mu począł winszować. Rzeziński płakał jak bóbr, całował znajomych i nieznajomych, przyeiskając do serca, i ledwie się nareszcie wydobył na świeże powietrze.

Fiaker zajeżdżał. Nie wiedział sam z razu, co począć z sobą? bo tak wprost do hotelu zajeżdżać nie mógł, chciał się gdzieś pokazać przecie. Tymczasem było to nieuchronnem, bo pergaminy złożyć musiał, gwiazdę przypiąć, która jeszcze w pudełku spoczywała, i wstęgę poprawić. Poleciał więc jechać do gospody.

Świat mu się innym wydawał teraz. Dziwna rzecz! gdy na posłuchanie jechał, niczego się nie domyślając, konjunktury ziemskie dosyć nieciekawemi mu się wydawały; wracając, widział obrot ludzkich rzeczy tak szczęśliwym, wszystko w porządku tak wzorowym, kraj tak błogim, pogodę nawet tak cudną, iż tylko żyć, żyć a żyć i nasycać się pragnął.

— A zechcą, żebym z żoną żył—mówił do siebie—dla czego nie? Byle pozory były ócalone, a zresztą, co mi tam! od czegoż filozofia? Gdyby nawet coś i było! gdzie nie ma podobnych, wypadków? Anim ja pierwszy, ani ostatni. No, gdyby w istocie j. kr. mość był w stosunkach, przecież to przyzwoiciej, niż gdy lada inlokos... *Vanitas vanitatum* nie ma i mówić o czem.



Z tym wyrókiem przybył nowy kasztelan dō gōspody. Poszedł na górę, przywileje, starannie je poskładawszy i pozawijawszy w chustki, do kufra zauknął, wstęę, zniarkowawszy, że na powszedni dzień nie wypadło jēj szarzać, złożył, gwiazdę tylko przypiął do boku. Gdy w zwieciedle zobaczył sam siebie z tą gwiazdą, stanął, uśmiecchnął się, i oczu nie mógł od niēj oderwać; błogo mu było. W tym dniu czegoż n niego wyrobić, czegoby nie można zyskać?!

Dopiero gdy fiakra, stojącego na dole, przypominał, zmiarkował, że powinien był pojechać do Grzybosi, a przez nią się do państwa marszałkowstwa koronnych zameldować. Chwycił kapelusz, rękę do gwiazdy przyłożył, z obawy, aby mu się nie odpięła, i wyszedł. Był jak pijany, w głowie mu się zawracało.

Na schodach dzień sobie zanotował, aby go w kalendarzu zapisać. Przez ulicę jadąc, tak siedział w fiakrze, aby gwiazda ludziom przyświecała. Kilku znajomych pozdrowił z wysokości swojego kasztelanstwa i orderu; widział, jak mu się wielkimi przypatrywali oczyma, czytał w nich zazdrość.

— Krok jeszcze, a wstęę niebieską i województwo dostanę, choćby najpośledniejsze... mówił w duchu. Dla czego nie mam z żoną żyć, jeżeli król tego pragnie? Furda przesady!

Fiaker się zatrzymał przed oficyną palacu Mniszców; z powagą wielką wysiadł Rzeziński i wkroczył do skromnej sionki. Już sięgał do dzwonka, gdy drzwi się otworzyły (snadź był oczekiwany) i Grzybowska wyszła na przywitanie, wesola, promieniąca, w ręce klaskając.

— Witam pana kasztelana i kawalera Św. Stanisława! witam! winszuję...

— A ja przybywam z podziękowaniem! zawołał Rześciński—z wdzięcznością, bo wiem, komu to zawdzięczać.

To mówiąc, chwycił się do ręki, i ucalowawszy ją, wsunął małeńki rulonik. Panna Grzybowska zarumieniła się.

— To niepotrzebne, rzekła; lecz rulonik wsunęła do kieszonki.

Kasztelan poruszony usiąść musiał.

— Byleś pan n króla; no cóż? mów! król...

— Król! król! podchwycił Rześciński, to nie król, mało tego wyrazu... półbogiem go nazywam! Geniusz jest, dobroczyńca ludzkości, mędrzec, luminarz Europy! żaden kraj się takim nie może poszczycić monarchą!... Pani, jestem jego wielbicielem, i życie za niego dać gotów jestem.

Grzybowska za boki się trzymała, śmiejąc się, zapewne z radości.

— Wystaw sobie asiudźka... ten człowiek—co mówię! ten mąż, ten bohater, na którego ramionach losy ludów spoczywają,—z jaką niewysłowioną łaskawością i dobrocią mówił ze mną! z jaką troskliwością wypytywał! Plakalem, pani, płacząc, nie mogę wspomnieć tej chwili bez rozrzewnienia.

Rześciński wydobyl chustkę i puścił wodze uczucia i łom; potem kilka razy silnie nos utarłszy, uspokoił się nieco, odetchnąwszy silnie.

— O czémżeście z królem mówili? zapytała figlarnie gospodyni.

— Najprzód o sprawach krajowych, bo u niego te są pierwsze, rzekł poważnie kasztelan. Król mi wyraził żal, bardzo dla mnie pochlebny, iż takich ludzi, jak ja, nie ma wielu pomiędzy posłami, i że ja się

o poselstwo nie kusil. Gdybym byl wiedzial wolę najj. pana, o! byłbym się dla niego poświęcił! Potém poczał dopytywać o dom, o gospodarstwo...

Tu Rzesiński nezynił pauzę.

— A o żonie i rozwodzie nie bylo mowy? zapytała Grzybowska.

— Owszem, ktoś mu widać o mojem utrapieniu wspomnieć musiał, więc jako pan przykładny, do zgody mnie zachęcał, a od rozwodu odwoził.

Ruszył z lekka ramionami.

— Nie jestem od tego, i owszem, zawsze za zgodą świętą i za przykładnem pożyciem małżeńskiem, byleby bylo możliwe, czemu nie?

— Widzę, żeś pan do tych sentymentów powrócił, które się zawsze w nim znaleźć spodziewalam, panie kasztelanie, przemówila Grzybosa. Nie wątpię, iż się teraz wszystko tak ułożyć potrafi, że będziecie zadowoleni; król nżyje skutecznych środków.

Rozmowa zręcznie zwrócona przez pannę respekto-  
wą, poszła potém o państwu marszałkowstwu, o należ-  
nym im respekeie i podziękowanin. Rzesiński chciał  
się submittować. Był to teraz baranek łagodności i wy-  
rozumialości pelen. Grzybowska, która na tę meta-  
morfzę rachowała, sama się jój wydziwić nie mogła.  
Wszystko tedy szło jak najszezęśliwiój i jak najłepiej.

Rzesiński pożegnał swą dobrodziejkę, a że mu pil-  
no bylo z gwiazdą się pochwalić, pojechał z nią na  
miasto. Na nieszczęście nikogo z tych, którym chciał po-  
kazać ją, nie zastał w domu; wrócił więc dla posilenia  
się do hotelu, i tu dopiero przed liczną nader kompa-  
nią miał przyjemność błysnąć dekoracyą, która jesz-  
cze świeżuteńko z pudelka dobyta, świeciła blaskiem  
dziewiczym,

Obiad się miał ku końcowi, gdy współbiesiadnicy wnieśli, że nowego orderata oblać należy. Umiał się znaleźć Rzesiński i kosz burgunda wnieść kazał. Wesołość była powszechna, kieliszki się napelniały, wzrok szczęśliwego jubilata krążył do kola, gdy niespodzianie przy drugim końcu stoła ujrzał twarz jakąś znaną, której z razn przypomnieć nie umiał. Skromny człowiek, który czymś widać kosztem był podejmowany, sklonił mu się z daleka. Kasztelan dopiero teraz poznał malarza Plerscha.

Gdy się z krzeseł ruszono, artysta przyszedł się przysiąść do niego. Był bladej, mizerny i smutny.

— A jakże ten nieszczęśliwy przypadek? ci zbójcy, asindziej byłeś raniony, co? zapytał jubilat. Przeszło to?

— Ból czuję czasem w głowie, rzekł Plersch; zresztą zdrowszy jestem. Roboty moje w Wiśniowcu pokonałem, i znowu się po Warszawie kręcę... A pan kasztelan dobrodziej? familia...

Rzesiński się cofnął nieco.

— A no, a no, dobrze wszystko.

— Panią kasztelanową z dala widywałem tu niekiedy.

Rzesiński chrząknął i popił burgunda.

— Dla nas malarzy taka piękność to prawdziwy skarb. Zdaje się, że z każdym dniem endniejszą się staje. W naturze takich nadzwyczajnych piękności jest coś z natury mieniących się kamieni, które coraz inną barwę przybierają, a coraz świetniejszą...

— Hm! mruknął szambelan: a gdzieżeś asindziej widział moją żonę?

— W teatrze, na spacerach, na hecy. na widowiskach. Zachwycała nas wszystkich, a cięła swą pięknoscia panie.

Rzesińskiemu to pochlebilo.

— Tak, tak, rzekł: piękność *primae classis*!

— Ale nam pan jój z Warszawy nie zabierzesz? spytał malarz.

— Nie wiadomo, nie wiem, to się okaże, odparł Rzesiński.

Rozmowa była nieco ciężka, i kasztelan obawiał się splątać, a wydać się nie chciał; zwrócił ją więc na inne sprawy. Plersch jednak wracał uparcie do kasztelano-wój.

— Masz pan kasztelan zapewne—rzekł po chwili—doskonały portret pani dobrodziejki, Lampiego lub Bacciarellego... Wszyscy magnaci nasi zdobią teraz portretami domy swoje...

— Nie, jeszcze portretów nie mam, odpowiedział Rzesiński,—i jak promień światła uderzyła go myśl, iż otrzymawszy gwiazdę, z nią nieuchronnie malować się był kazać powinien. Chwył Plerscha za rękę.

— Wiesz asindziej eo? zamawiam sobie najprzód mój portret u niego, potem...

Dal znak głową. Plersch wstał zasmucony i szczyliwy.

— Kiedyż mu służyć mogę?

— Choćby jutro.

Zaczęto się unawiać. Plersch miał małą pracownię na zamku. Sam więc zaprosił szambelana, który skwapliwie chwycił się projektu uniemożliwienia się we wstędze i orderze. Szczęśliwa myśl mu też przyszła, iż mógł się dać malować z listem w ręku, na którego wierzchu mogły stać wypisane wszystkie tytuły jego.

Nazajutrz pojechał do Mniszchów. Marszałka, jak zwykle, nie było; ale piękna pani go przyjęła nader uprzejmie, albowiem owe cztery tysiące czerwonych

złotych jeszcze na obliżu pozostawały. Wyrzuciła mu całą radość swą z zaszczytu, jaki go spotkał, wysłuchiwała kantaty na cześć koronowanego wuja, dała rękę do pocałowania, i zapewniła, że mężowi powie o wizycie, przepraszając za to, iż mu zajęcia nie pozwalają i t. d.

Wracając z palacu, wstąpił do oficyny pan orderowy, Grzybowska go przyjęła nader uprzejmie.

— Dobrą nowinę mam panu zwiastować, rzekła. Zdaje się, że król imci użył osób wpływowych do tego, ażeby kasztelanową skłoniły do zgody. Mamy nadzieję, że ona przyjdzie do skutku, bylebyś pan okazał się łatwym.

— Ja? ja będę najłatwiejszym! zawołał kasztelan.

— A co się tyceze potwarzy owych, w które najj. pana wniieszczano, dokończyła panna z nieznacznym uśmiechem,—i o których król wie a oburza się nimi, będziesz miał pan najuroczywsze jego zaręczenie, iż ani widzieć, ani bywać u kasztelanowej nigdy nie chce i nie myśli.

Nad spodziewanie Rzesiński się skrzywił i ręce rozstawił.

— Ale bō mnie chyba nie zrozumiano... odezwał się po cichu; ale ja wcale od tego nie jestem, by najj. pan nas zaszczycał swojemi względami. Co mi tam! niech ludzie prawią co chcą. Wszakże już gadali; a zatém, pal ich dyabli! żebym się miał dla tego wyrzekać kresejtywy!

Miał minę zafrasowaną; Grzybowska sznurowała usta.

— Panna łowczanka mnie rozumie, dodał pośpiesznie: i owszem, nie jestem od tego. Należy ludzi przekonać, że przecie nie gbur jakiś ze mnie i prostak, ale człek, co świat zna i umie żyć.

— Bardzo się cieszę, iż tak jesteś wyrozumiałym i rozsądnym, odpowiedziała. Tym sposobem, sędzę, że się jeszcze rzeczy ułatwią. Jedno tylko zachowaj kasztelanie, co jest w obyczajn dworu i dystyngowanych ludzi. Gdy się da Bóg pojednacie i dom otworzycie wspólny, nie napastuj jej czułościami swemi, zostaw to czasowi.

— Jak skoro to jest w obyczajn—odezwał się poważnie kasztelan,—ja na tém nowém stanowisku, które mam z łaski najj. pana, zastosuję się, dając pani słowo, zastosuję, we wszystkiém.

Niech pan zobaczy tylko, jak żyją nasi państwo marszałkowstwo; a na świecie nie ma przykładniejszego i więcej się kochającego małżeństwa.

— Jakże żyją? spytał kasztelan: jak?

— Pani marszałkowa ma appartement zupełnie osobny, on oddzielny; mieszkają w dwóch końcach pałacu. Każde z nich zupełnój używa swobody. Czasem po tygodniu się nie widują i w obcych tylko domach się spotykają, lub na obiedzie u siebie; a przyjdzie pan marszałek do hrabiny, w rękę ją pocałuje galancko, uśmiechnie się, pomówi... do twarzy się nie napiera, bo któż to znów widział? I żyją, jak dwa gołębie.

— No, gołębie inaczéj trochę żyją, odezwał się kasztelan: bo trzeba asinódzce wiedzieć, że ja trzymam w Krasnych Włach dużo gołębi i życiu ich się przypatrywałem—to tam o gołębiach mowy być nie może... Ale co innego człowiek światowy, a co innego takie stworzenie...

— Tak, tak, pan to już bardzo dobrze rozumiesz.

— Doskonale! zawołał Rzesiński: stan każdy wkłada pewne obowiązki.

— A ja panu zawsze służyć będę dobrą radą... i zo-



baczysz, powoli tak się porozumiecie, zbliżycie, pokochacie, że będziesz najszcześliwszy.

Kasztelan był przejęty.

— Serdecznie dziękuję! rzekł żywo: niech pani dokona już tój zgody; proszę nie zwlekać, i... najmniej nie ma potrzeby, ażeby najj. pan od nas stronił, owszem, ja za zaszczyt sobie nieć będę, proszę wie rzyć.

Tu śmiechnął się nieco chytrze.

— Widzisz asindzka, szepnął: ja na tój tymczasowój kasztelanii poprzestać nie mam ochoty. Dla czego-  
bym, póki siły stoją. nie miał się dla ejczyzny poświę-  
cić? Do ostatniej kropli krwi! nawet do rady nieu-  
stającej gotów jestem, i mogę panią zapewnić, że ski-  
nienin najj. pana posłuszny będę, skinieniu!...

Tak się skończyła konferencya i pan kasztelan wy-  
szedł podśpiewując z oficyny, a wprost dążąc do Pler-  
scha, aby obejrzeć pracownię i wizerunek swój kazać  
począć malować.

W pałacu Mniszechów widział portrety ich przodków  
w całej figurze; te mu się nierównie lepiej podobały,  
niż ncięte popiersia. Myślał więc nawet o tём, czyby  
nie wypadło dać się wykonterfektować jak Bóg stwo-  
rzył, z nogami i rękami, stojącym n stołu, z ręką na  
papierach i książkach. List z adresem najlepiej się  
mógł naówczas umieścić rzucony od niechcienia. W tyle  
miała być kolumna, emblemat męzów, na których ra-  
mionach spoczywa Rzeczpospolita, i zasłona purpu-  
rowa, godło tajemnic państwa, których oni są stró-  
żami.

— Choćby sto dnkatów, Bóg z niemi! rzekł w du-  
chu: dam... a przynajmniej w sali gdy powieszę, to bę-  
dzie miało swe znaczenie. Niech znają Rzesińskich.

I butnie wpadł do pracowni Pierscha, który właśnie go sobie przypomniawszy, z westchnieniem co najśpieszniej zasloną zieloną piękną Bondarywny wizerunek ulubiony zawieszał.

---

Z rana była we dworku na Ujazdowskiej alei panna Grzybowska; wieczorem przyjechał król. Zabawił tu daleko dłużej niż zwykle. Przybył czułym, czulszym niż kiedykolwiek może, z rękami podarunków pełnemi, ale z frasunkiem na czole. Błady był, mizerny, pomieszany. Na odgłos jego przyjazdu, jak zwykle, Natałka z wyciągniętymi rękami wybiegła naprzeciw niemu.

— Król mój! pan mój! śpiewała na wpół, na wpół wołała.

Głos ten zdawał się przejmować ostyglego pana, ale jakby zmęczony, padł zaraz po przywitaniu na kanapę.

— Dziecko moje! rzekł czule: jakże ty mi wyglądasz? jak ci jest? czyś zdrowa?

— A! dobrze mi, szczęśliwa jestem; choć się namęczę, wszystko jeden wasz uśmiech rozprasza i co było, zapomniane.

Zapał, z jakim to mówiła, oddziaływał smutnie na króla.

— Trochę spokoju, trochę ponurkowania, rzekł; mnie go dziś tu bardzo, bardzo potrzeba. Proszę się utemperować.

Natałka w oczy mu spojrzała, jakby z jakimś przeczuciem złośliwym.

— Już, oto już jestem spokojna... rzekła.

— Jeszcze nie, zawołał król; lecz mam nadzieję, że to przyjdzie; dla mnie, dla mojego i waszego szczęścia jest to bardzo potrzebne.

— Czuję coś złego, odezwiała się Bondarywna. Niech król mój i pan mój rozkazuje, wszak ze mnie posłuszne dziecko.

O, niebardzo! uśmiechając się, rzekł najjaśniejszy, i wskazał jej miejsce przy sobie na kanapie.

— Siadaj waćpanna.

Natalka siadła bliźniuchno, wzięła rękę białą i pocałowała ją w mileczeniu. Król, który już miał usta otworzyć, zatrzymał się; na czolo wystąpił sumtek. Zdawało się, jakby już nie wiedział, co mówić, od czego zacząć.

Natalka oczyma go badała. Choć udawała wesolą; po szybkiem podnoszeniu się piersi, po oddechu żywym, błysku oczu, widać było niepokój, który nią miotał.

— Radbym — odezwał się król po cichu, spuszczaając oczy — abyśmy się nigdy nie rozstawali! Tak, dodał, na to pragnę; trzeba koniecznie stosunki nasze urządzić inaczej. Te kryjome odwiedziny chwilowe, na które król po złodziejsku skradać się musi, ani królowi, ani waćpannie nie przystały. Dzięki Bogu, udało się pewną w świecie wyrobić dla niej pozycję. Kasztelan jest dobry człowiek i dający się powodować. Należy koniecznie ten parawanik postawić na widoku. Rozumiesz mię?

Natalki twarz mieniła się i bladła powoli, zaczęła drzeć; puściła rękę królewską i odsunęła się nieco.

— Tak jest, rozumiem, najj. panie, rzekła nagle chłodniej: zbliża się koniec przewidziany; przyszło znudzenie; to, co było szczęściem, stało się ciężarem. O, ja to doskonale rozumiem! Prawda, długom tego

nie chciała rozumieć, długom tego przypisać nie mogła. Mówiłam sobie: Raz się stale przywiążę; inne go zdradzały, inne się śmiały; ja żyć będę zamknięta, tylko dla niego... on uczuje, że ja go kocham i wielbie, że on dla mnie jedyny!

— Dziecko moje, nie tak tragicznie, proszę cię, nie tak tragicznie! mówmy rozsądnie dla własnego dobra i twój. Pozwalam ci posądzać mnie, oskarżać serce moje, czynić mi wyrzuty; w sumieniu nióm przekonany jestem, że pełnię obowiązków.

Natalka ze spuszczonej oczyma siedziała i słuchała.

— Najj. Panie, odezwala się sucho: mogę mu oszczędzić przykrego i nudnego tłumaczenia. Z góry wiem, czego bydziecie żądali odemnie. Grzybowska mnie przygotowała: mam być panią kasztelanową i stanąć na równi z tuncami.

— Ale to stosunków naszych nie rozerwie, dziecko moje, owszem, ściślejszemi i łatwiejszemi je uczyni, chciej to zrozumieć.

— Rozumiem doskonale.

— Uczyniłaś dla mnie poświęcenie, dopelaj go.

Czekał odpowiedzi—nagle płacz i łkania słyszeć się daly. Natalka zakryła sobie oczy chustką, wybuehnęła; zachodziła się, rzucała na kanapę w stronę przeciwną i drżała cała, chustką w usta wcisniętą tłumiąc jęki, które się z niej dobywały.

Król oblakany wzrokiem powiódł do koła, jakby szukając ratunku, nie wiedząc co począć. Wzruzenie Natalki ndzieliło mu się, i twarz jego się mieniła. Ręką nieśmiałą ujął dłoń jej, leżącą na twarzy, i głosem cichym przywoływał do przytomności.

— Dziecko moje, ale opamiętajże się, uspokój! Już

nie nie żądam; niech wszystko zostanie jak było. Ja takich lamentów znieść nie mogę; to mię zabija.

Jakkolwiek stłumione, płacz i jęki musiały snadź dojść do uszu matki, która od drugiego pokoju drzwi nchyliła, najprzód powoli, a potem rzuciwszy niemi, nie patrząc na króla, do córki przypadła, tuląc ją ku sobie.

Poniatowski wstał żywo.

— Moja jejmość, zawołał, proszę jęj, ale uspokójże to dziecko. Sama nie wie czego desperuje; to do rozpaczcy i mnie przywieść może. Ja... ja... nie mogę...

Przeszedł się ostrożnie po pokoju, spojrział przez okno w ogród, bezmyślnie okręcił się kilka razy, i jak winowajca wysinał się nieznacznie.

W chwili, gdy wychodził, Natalka rzuciła się za nim z krzykiem, ale już go nie było; coraz szybszym krokiem wyniósł się do stojącego powozu.

Dziewczyna padła na kanapę; matka objęła ją rękami i szlochała z nią razem.

Po chwili stara zerwała się, pięści ścisnęła nie mówiąc, i pogroziła ku drzwiom. Natalka też podniosła głowę, z oczyma od łez zapalonymi. Dreszcz jakiś przebiegł ją, drgnęła cała.

— Tu nie ma już co robić! krzyknęła. W drogę nad Dniepr! do domu! Ja tu chwili nie chcę pozostać; tu wszystko pali i boli.

I suknię poczęła drzeć na sobie, szmatami jęj rzucając do koła.

— Koszuli zgrzebnęj! siermięgi! krzyezala, ciskając klejnotami i rozbijając je o ścianę. Matko, do domu, do domu! To był sen okropny, trzeba się obudzić!

Z rozrzuconemi włosami, na wpół rozebrana, upadła znowu na kanapę. Krzyk jakiś przenikający, strasz-

ny, dobył się z jej piersi, ze śmiechem razem i z płaczem; łkanie i ryk dusiły ją.

Matka straciła przytomność, i na ziemię się rzuciwszy, za nogi ją pochwyciła i poczęła zawodzić żalostnie, przywołując ją do życia.

Boleść to była, jakiej tylko na pół dzikie natury i niennoszone temperamenta ulecz mogą. Zmieniła się ona w walkę z życiem, we wściekłość; konwulsyjnem ruchy rzucało się nieszczęśliwe dziewczę, mimo swęj wiedzy i woli, jakby w nięm działała trucizna, jakby w żyłach płynął wlany w nie jad zabójczy. Na przemiany to leżała martwa, to zrywała się jak szalona, a matka chwytala ją, całowała i kładła znowu, lękaając się, aby w przystępie oblędu głowy o mur nie rozbila.

Wieczór zapadł, ciemności ogarnęły pokój, z drugiego się tylko świeciło przez drzwi otwarte, gdy doktor nadbiegł przysłany przez króla.

Stan, w jakim znalazł Natalkę, był tak dziwny, iż lekarz w pierwszej chwili środków na pohamowanie szalu nie znalazł. Przez zaciśnięte zęby z trudnością zdolano kilka kropel jakichś wlać w usta.

Dziewczę było nieprzytomne, bez mowy; oczy zasłane mgłą jakąś, patrzyły nie widząc. Zdawało się, że nie było ratunku, że zgon tylko może zakończyć tę straszną męczarnię.

W milczeniu stali wszyscy nad nią. Lekarz powtórnie krople swe dać kazał; po nich w ćwierć godziny sen nastąpił, a z nim przyszła nadzieja.

Wśród tego zamieszania, jakie całym domem wstrząsnęło, nie uważano, jak się do pokoju ciemnego weisnął nieznajomy, odarty mężczyzna. Był to Maksym. Oczy świeciły mu wśród mroku jak wilkowi, patrzył

i jak wryty przytulił się do drzwi, nie dając znaku życia.

Gdy nareszcie sen przyszedł, a było już około północy, Grzybowska przeleżała i zmęczona wysliznęła się do domu; doktor przepisawszy dalsze krople i obiecując powrót nad ranem, usunął się także; jedna matka została przy Natalce, a u drzwi Maksym.

Wśród strasznego milczenia płynęły godziny; słychać było tylko oddech śpiącej ciężki i łkanie przez sen.

Maksym się zsunął na podłogę, i skurczony, wsparty o ścianę, legł jak pies u progu.

Z północy westchnienie i krzyk wyrwały się razem z piersi Natalki. Zerwała się z posłania i siadła; matka była przy niej. Oczyma rzuciła w mrok, milcząc, ze zwieszoną głową zdając się sobie przypominać, co przeżyła. Ręką potarła po czole; zdawała się spokojna.

— *Hody!* zawołała z cicha po rusku: *hody!* Pora na chutor, do domu nad Dniepr! Tu powietrze niezdrowe, uciekajmy! Jak umierać, to na swojej ziemi; na piersi ona nie zacieży. Matko, idźmy, jedźmy, płynimy, lećmy, a uciekajmy ztąd. Sen się prześnił.

Maksym ruszył się u progu i wstał. Natalka się zlekła nieco.

— Kto tam? duch?

— Nie duch, Maksym, niewolnik wasz.

— Maksymie! matko! uciekajmy do domu, na chutor nasz, na Ukrainę, nad Dniepr!

I wstała na nogi, powtarzając jak obłąkana: Do domu!

---

Nazajutrz po sessyi sejmowej, która się bezprzecznie wcześniej skończyła, wieczorek był w małych



appartamentach królewskich, na który tylko osoby bliższe i w poufalszych zostające stosunkach, a szczególnież rodzina króla zaproszona była.

Pani krakowska, Mokronowski stary, wojewodzina podolska, książę ex-podkomorzy, prymas, państwo Tyszkiewiczowie, Mniszechowie, pani generalowa Grabowska, Szydłowski, starosta mielnicki, Komarzewski, Byszewski, ks. Naruszewicz i male gronko mniej wybitnych osobistości.

Był to sejmik początek; a choć już z niego o dalszym jego rozwoju wnosić było można, jeszcze nie tracono nadziei, że się nim da pokierować. Król brał chwilami stronę opozycyi, której bronił; to znowu narzekał na to, że jego czynności i zamiary paraliżuje. Rodzina pańska sarkala i utyskiwała: dwór był oburzony.

Nie przeszkadzało to jednak szukać rozrywki. Pani Mniszechowa, która była muzykalna, grała na klawikordzie, śpiewała francuskie piosenki; kawaler de Maison-neuve deklamował; czytano trochę z francuskiej komedyi, którą tego dnia królowi nadesłano; ale nade wszystko szeptano i rozmawiano po cichu.

Pani Grabowska siedziała w kątku z twarzą posępna; obok niej marszałkowa Mniszechowa, widocznie ulagodzić się ją i rozerwać starała. Król sam, jeśli cierpiał wewnątrz, endownie umiał pokryć grą fizyognomii, co się w sercu jego i duszy działo. Twarz miał wypogodzoną, czolo promieniące, usta uśmiechnięte, i niezmieśnie żywo rozprawiał z którąś z pań o Nilu i piramidach egipskich. W chwili potém rozmowa się zwróciła na Anglę, i zabrał głos o konstytucyi tego kraju.

Plotki małżeńskie krążyły tymczasem między paniami o różnych pięknościach i chwilowych ich stosun-

kach serdecznych. Wiele zmian zaszło właśnie z powodu napływu młodzieży; śmiano się z niestalości, a niektóre z pań przepowiadały nawet z trafnością dziwną przyszłość, i gotowe się były zakładać, kto jutro kogo porzuci i gdzie się z beldami skieruje. Były to rzeczy powszednie i wielec zajmujące. Poważne dany, jak pani krakowska i wojewodzina podolska bawiły się niemi, nie mogąc już same uczestniczyć w tej nieczci życia, której młodzież nżywała z takim zapalem.

Na chwilę po odejściu marszałkowej, pani Grabowska została sama. Brat zbliżył się do niej.

— Co ci jest? szepnął.

— Po prostu, zła jestem.

— Z przyczyny?

— Stobym ich znalazła, ale się gniewam na króla, to najważniejsza. *Laissez-moi.*

— Czy tajemnica?

— Nie; stary jest a niepoprawiony.

— O kogoż idzie?

— *Ces amours de paravent et d'antichambre, c'est honteux!*

— Mogę ci zaręczyć, że w tej chwili zupełnie jest niewinny.

Ruszyła pani generalowa ramionami.

— *Dites-le à qui vous voudrez, ale nie mnie; j'en sais quelque chose.*

— A ja, jeśli nie więcej, to przynajmniej tyle co wy, rzekł Szydłowski. Co było, a nie jest...

— To się pisze w regestr, przerwała generalowa, i rejestra grzechów tworzą się z tego ogromne, o których zapomnieć trudno.

— Tak, kobiety nie zapominają nigdy. należy to

do ich przymiotów, śmiechnął się Szydłowski... i odszedł powoli.

W ciemniejszym kątku sali, wezwany tego dnia dla pokazania kartonu do obrazu, który miał malować do kaplicy w Siedlcach dla pani hetmanowej, stał Plersch, położywszy swój rulon na krzeselku. Kazano mu czekać, nie śmiał się więc oddalić, a był w położeniu dosyć nieprzyjemnym, bo nikt z nim nie mówił i nikt się nie zbliżał do niego. Mógł się bezpiecznie przypatrywać, zbierać wzorki i ziewać niepostrzeżony.

Przez litość jakąś, błędząca po salonie marszałkowa przysunęła się do niego.

— Jak się masz, panie Plersch? a cóż, zdrów już jesteś?

— Dziękuję pani hrabimie, dosyć.

Przybliżyła się jeszcze i cicho zapytała go, oglądając się do kola:

— Wiesz o losie tej Ukrainki, którą to dla mnie malowałeś w Kaniowie?

— Trochę, rzekł Plersch. Wyszła za męża. Mam nawet szczęście znać kasztelana, który się jej mężem nazywa, dodał z małym przekąsem artysta—i mam zaszczyt też zajmować się właśnie jego portretem, po którym ma nastąpić odpowiedni samój pani.

Marszałkowa z tłumionym śmiechem przerwała mu:

— Ale bo nie chyba nie wiesz, panie Plersch...

— Jak to? dziś kasztelana widziałem...

— I nie nie mówił?

— Owszem, wiele o sobie i swój przyszłości.

— I o żonie?

— Trochę nawet o niej.

— Przecież od dwudziestu czterech godzin już jej nie ma, mówiła marszałkowa. Cała Warszawa się tém

zajmnie. Piękna Ukrainka znikła razem z matką i jakimś, mówią, dawnym swym kochankiem, chłopem czy kozakiem. Natura ciągnie wilka do lasu, a kozaka w step. Szkoda tylko, że nie weześniej się namyśliła.

Ramiona pani marszałkowej poruszyły się z pewną pogardą.

— Cóż pan na to? spytała.

— Mnie się to jakoś w głowie nie mieści.

— Nie wierzysz? Znasz waćpan przecie moją Grzybosię poczeiwą: jeżeli jesteś ciekawy, zapytaj się jej, ona ci to wszystko jak najlepiej rozpowiezieć potrafi.

I pani Mniszechowa skinąwszy głową, odeszła od malarza, a wkrótce potem król się usunął do swojego gabinetu, i Plersel, rulon zostawiwszy u Albertrande-go, z zaniku poszedł do domu.

Wspomnienie dziewczęcia, które mu się było niegdys w sercu zapisało, żyło w nim jeszcze; dziwna historya, o której napomknęła pani marszałkowa, obudzała ciekawość. Nazajtrz więc, będąc niejako upoważnionym do tego kroku, poszedł z rana do panny Grzybowskićj. Dawno już jej nie widział. Gdy go przez drzwi zobaczyła, przczegnęła się.

— Plersel! jak mamę kocham! A cóż to się waćpann stało, żeś mnie sobie przypomnieć raczył? Żebyś kiedy choć zajrzał!... a dalipan, lepszćj przyjaciółki nademnie nie miałeś i mieć nie będziesz, choćbym mogła mieć żal do waćpana, żeś się ze mną ożenić nie chciał.

— Ale panno lowczanko dobrodziejko...

— No, już się nie tłómacz, a siadaj...

Rozmowa rozpoczęła się o tém i owém, bo z razu

artysta nie śmiał wspominać o Natalee. Sama gospodyni świeżą awanturę miała na sercu, i mówić o niej zaczęła.

— Król ją sobie sprzykrzył, rzekła. Ciężyla mu bo do takich amatorów, z pozwoleniem chłopskich, nie był nawykły. Dobrze to dla osobliwości, jak razowy chleb przy śniadaniu; ale żyć temu nam, do innego świata i obyczajów nawykłym, niepodobna. Licho wie, co było tej dziewczynie, czy ambicja, czy istotna miłość—dosyć, że nie tylko wierną królowi była do końca, ale gdy jej dał do zrozumienia, żeby do męża wróciła i dała mu pokój, wyrwała się z matką razem i uszły. Słyszę nawet wszystko, co miały od najj. panna, zostawiły nie tknięte; tylko swoje rupiecie zabrały. Nietrudno się domyślić, dokąd uszły, bo pewnie nie gdzieindziej, tylko na Ukrainę. Król wczoraj w sekrecie pogoń wyprawił, bo mu żal po nich jakiś pozostał.., no! i obawa, aby to nie paplało i nie zrobiło głupstwa jakiego.

Grzybowska mówiła jeszcze długo, różne przytaczając szczegóły o Natalee. Piersch przesiedział z godzinę, i niewiele się dowiedziawszy, pożegnał gospodynię, która go wielce zapraszała, ażeby ją odwiedzał częściej.

— Już się waćpan nie lękaj, o małżeństwie mowy nie będzie, chyba byś sam rozum miał, dodała wzdychając; a przynajmniej u mnie się dobrój kawy uapijesz, a ja pogawędzę.

Piersch powrócił do pracowni.

Tegoż dnia pod wieczór zjawił się u niego kasztelan w sprawie swojego portretu.

— Kochany panie, rzekł: ja do domu jechać muszę, są pilne okoliczności. Mam nadzieję powrócić do

Warszawy, to i portret skończymy; teraz dla niego siedzieć nie mogę. Dużo mam na głowie, Bóg widzi; pono do reszty wyłysieć przyjdzie.

— A pani kasztelanowa? zapytał nieostroźnie Plersch.

Rzeziński ręką jedną, do góry ją podniosłszy, machnął w powietrzu, i nie odpowiedział nic. Zmieszany był bardzo i kwaśny.

Odstawił więc artysta portret, obróciwszy go twarzą do muru, i wziął się do innéj roboty, ale mu losy téj nieszczęśliwéj Bondarywny z myśli wyjść nie mogły.

Parę miesięcy tak upłynęło. gdy na Krakowskiem przedmieściu spotkał raz pannę Grzybowską, powracającą z kościoła.

— A cóż, nigdy nie wstąpisz do mnie? cóż się to znaczy?

Plersch wymawiać się począł, że zajęty był strasznie; nie to jednak nie pomogło, kazała mu iść z sobą na kawę. Nie wypadło odmówić.

— No, a z Bondarywną, wiesz, co się stało? zapytała gospodyni, zasiadłszy z nim razem do stolika.

— Nie słyszałem.

— To ja ci najlepiej to rozpowiem, dodała—bo teraz już wszystko wiemy. Mówiłam ci, zdaje mi się, że baby uciekły; posłano w pogon za niemi, a raczéj na wzwiady. Król był niespokojny. Wyprawiono zręcznego człowieka, który języka napytując po drodze, dostał się do Kozicnie. Tu ich uciekających dognał w gospodzie, gdzie Bondarywna już zachorowawszy w drodze, obiegła niebezpiecznie. Posłano z Warszawy lekarza, ale ją znalazł bez nadziei, matkę przy łóżku jak oszalałą, i chłopa, prostego parobka, który sobie włosy

z głowy darł. Pomoc lekarska już się tam na nie przydać nie mogła. Drugiego dnia w obłąkaniu, ciągle o królu mówiąc i do króla się wyrwijając, umarła.

— Umarła! zawołał Plersch.

— A no, i lepiej zrobiła, gdy żyć nie umiała, do dała Grzybosią. Mogła najszcześliwszą być, gdyby rozum miała, i męża uszczęśliwić, któryby za nią na pałszkach chodził; ale to zawsze dziwne było i niepołamowane. Nie ja nie mam przeciwko najj. panu, był niegdyś bardzo piękny mężczyzna; ale żeby teraz w posiwiałym można się było tak kochać, tego nie pojmuję. Niech tam z Bogiem odpoczywa; lecz sądzę, że tą miłością szaloną chciała go sobie pozyskać. Sprawiono jej pogrzeb, i mówią, że król nagrobek chce kazać zrobić, a wasz portret, co go marszałkowa niegdyś królowi dała, trzyma w sekretnym miejscu do dziś dnia. Ciekawam tylko, co teraz kasztelan powie i poeznie?

Kasztelan, jak widzieliśmy, ruszył z Warszawy na wieś do domu, i ani słyhu o nim nie było. Plersch nawet myślał, czyby płótna, na którym jego wizerunek rozpoczął, nie zużytkować inaczej.

Już o nim zupełnie w Warszawie zapomniano, gdy dnia jednego, w pół roku po tych wypadkach, zadzwoniono do pokoju Grzybowskiej. Nie miała wielkiej ochoty otwierać; ale dzwonek nieśmiało a stanowczo odezwał się raz drugi, trzeci, czwarty. Zdawał się prosić i domagać, chociaż dyskretnie.

Panna Grzybowska poszła sama otworzyć, i zdziwiła się niezmiernie, postrzegłszy kasztelana.

Był świeżo ubrauy, z pewnym staraniem, a nawet smakiem zapożyczonym; strój francuzki nosił teraz



zręczniój, i znać było, że się z nim oswoił. Na twarzy ani na sukni weale żaloby widać nie było.

Uśmiechnął się i usiadł, przymilając tak do Grzybosi, że nieszczęśliwej starój pannie, która zawsze zamążpójście miała na myśli, przebiegło podejrzenie przez głowę, iż... kto wie... przyjechał może w konkury dla krescytywy? Przyjęła go więc z uśmiechem, i tak mile, jak tylko mogła, a posadziwszy w krześle, sama pobiegła po fryzurę i na wszelki wypadek przyodziła się staranniój.

— Bardzo mi niło widzieć pana kasztelana, rzekła, wracając. Chwała Bogu, weale pięknie wyglądasz i... strata, którą poniosłeś...

— Ha, cóż! z wolą bożą się zgodziłem, westchnął. Jnż to się zapomniało i zalatało, dodał z przyciskiem.

Grzybosią spojrziała nań tylko.

— A no, tak, tak, rzekł Rzesiński: musiał ezłowiek o sobie pomyśleć; nie było co zwlekać,—ożeniłem się. Stara panna aż krzyknęła.

— Ószalaleś! zawclala gniewnie.

Kasztelan się uśmiechnął dowiecipnie.

— No nie, powiadam asińdżec; żonę sobie wprowadzie ubogą, dobrałem taką, że fraszka ta moja pierwsza, choć była bardzo piękna. Ośmnaście lat, twarzyczka jak różyczka, wzrost śliczny, krew z mlekiem, oczy czarne, włosy po za kolana, Wenns, moeia dobrodziejko!

Uśmiechał się ciągle tryumfując. Grzybosią milczała.

— Przywiozłem ją do Warszawy, dodał. Nie powstydzę się, ręczę.

Tu do ręki się selyliwszy, pocałował gospodynię i dodał po cichu:

— Na dworzebym chciał ją prezentować... A nuż najjaśniejszemu w oko wpadnie... Żle. Jak pani sądzi?

Grzybowska z gniewu się zaczerwieniła, ale natychmiast wybuchnęła śmiechem.

— Słowo daję asiudźce, mogę się przyznać jako laskawej na mnie dobrodziejce: w tej myśli nawet i kalkulacyi się żeniłem. Przez kobiety wiele się robi, a... ambicyjkę mam.

— No, to próbujże szczęścia! rozśmiała się Grzybowska z pogardą.

— Przy laskawej protekeyi pani marszałkowej, dobrodziejki i pani mojej... Zona moja z familii dobrej, Przerębska z domu, edukowana co się zowie, roznemkua i na pokojach znaleźć się potrafi. Polityczka wielka, ho, ho! po francuzku *en edite* szwargocze...

— I poszła za was? spytała nieostroźnie Grzybowska.

Kasztelan się zżymał.

— Nie jestem tak stary, odparł; a żona moja rozsądna bardzo. Na dworzeby ją tylko pokazać, da sobie rady, bo jej pilno i ambicyjkę ma, jak ja. Ja nie chcę, byle ją tylko najj. pan zobaczył; reszta przyjdzie sama.

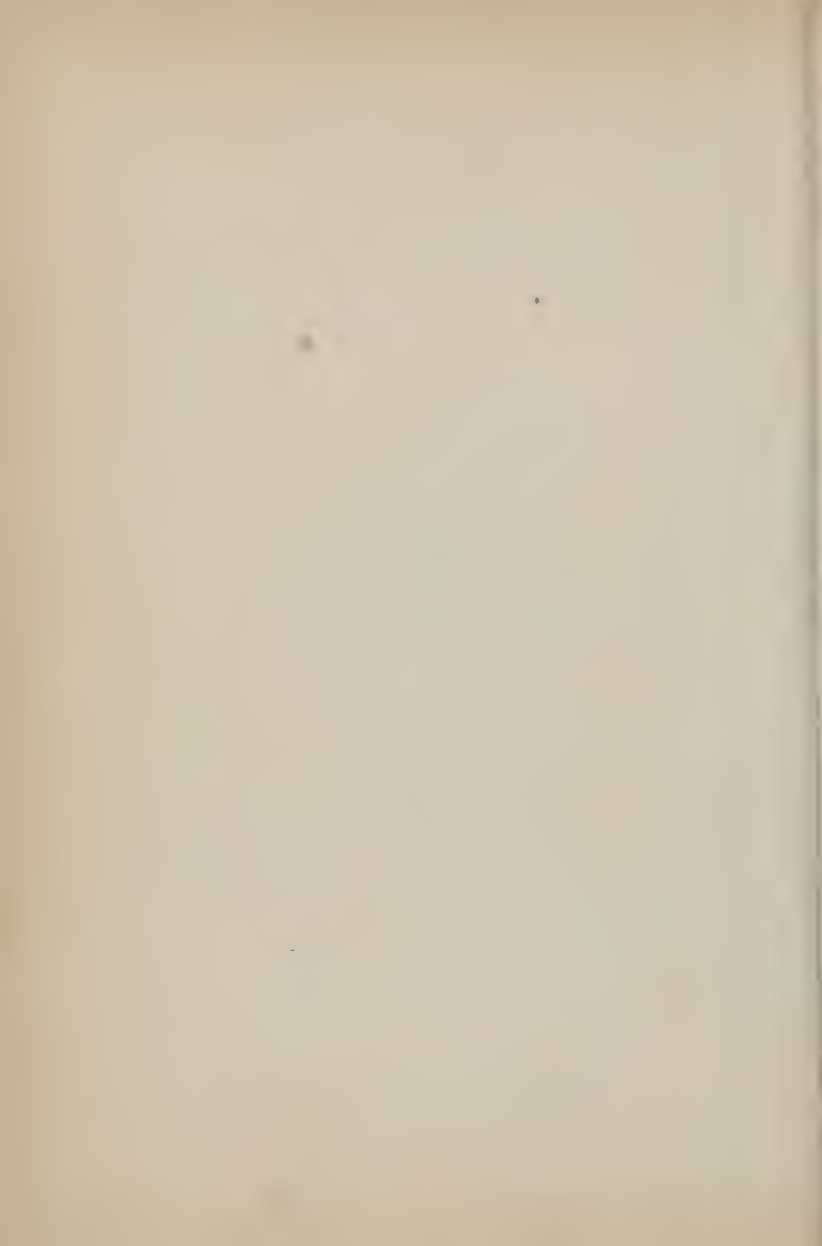
Począł się śmiać. Wtórowała mu Grzybowska, ale ręce od wszystkiego unyła.

Czy dostąpił pan kasztelan zaszczytu, którego pragnął, nie umiemy powiedzieć; historia o tém milczy.

DZIŚ  
I LAT TEMU TRZYSTA.

STUDYUM OBYCZAJOWE.

(CHARAKTERYSTYKA REJA Z NAGŁOWIC).



...Inszy narodowie o nas Polakoch (sic) piszą, iż trudno ma być który tak z przyrodzenia do każdego obaczenia przykłonny, jako jest naród polski—na którąkolwiek stronę staranie a ćwiczenie swe będzie obrócić chciał.

M. Rej. *Proemium do Zwierciadła. 1567.*

## I.

Lat temu dochodzi trzysta, jak na ziemi naszej żył sobie stary szlachcic, za młodu szalawila i gorącej krwi, ale też i umysłu niezastygłego, który wyszumiawszy się dobrze, a na zagonie ojczystym zasiadłszy dni swych dokonać, po wielu różnych, napisał ostateczną księgę żywota pocziwego człowieka. W niej chcąc dać radę posilną, jak życie za młodu i na starość urządzić potrzeba, aby Bogu być miłym a ludziom użytecznym i sobie nieprzykrym w sumieniu, zarazem skreślił i swoje, i wiekn swojego pojęcia o życiu, obowiązkach, o powinnościach człowieka, a przedziwnie odmalował, jak się to u nas za jego czasów działo.

Zaprawdę księga dziś ciekawa, byleś ją miał cierpliwość, długie gawędy przebrnąwszy i różne dykteryjki oklepane odczytawszy, całą przejść od deski do deski.

Jest tu wiele i takiego, z czego się, krom jednego języka, nie nie nauczysz; ale dużo też tak żywych wi-

zerników przeszłości zaginionej dzisiaj, że zdajesz się na nią patrzeć, gdy z nim obcniesz.

Domyślić się łatwo, że mówię o Mikołaju Reju z Nagłowic, którego znamy pono dotąd więcej z nazwiska, niżeli z dzieł niedostępnych i rzadkich, a pisanych nie po naszej myśli dzisiejszej.

Otoż ciekawem mi się zdalo, obraz ten przeszłości pokonać z terażniejszością, i postawić co było na naszej ziemi z tem co jest, po trosze przymierzając gdzie się dalo, a zresztą zachowując staremu Rejowi wystawienie nam pierwszej połowy szesnastego wieku.

Ale nim ku temu przejdziemy, zda się nie zbyt cennym powiedzieć coś o Reju samym, bo zaraz *ex ungue leonem*, z wybryków nawet młodości poznać łatwo z kim do czynienia macie.

W ludzi takich ziemia nasza nieskapa, i niepotrzeba husyckiej krwi czeskiej, która pono w żyłach Rejów płynęła spadkiem po Werszowcach, by sobie ten charakter pana Mikołaja wytlómaczyć. Chodzą i dziś po ziemi Rejowie tacy u nas, acz nie z jego geniuszem i sławą, to przecię z jego zawadyactwem, rubaszością i serdecznością. Szczęściem dla Reja, choćby się go przez pół z pism domyslać można, przyjaciel jego a dobry towarzysz (jak się sam zowie), pan Andrzej Trzebieski, opisał nam żywot i sprawy naszego znakomitego moralisty. Nie będziemy go co do słowa powtarzali, choć to biografia, jakiej u nas w dawniej literaturze drugiej podobnej nie pytać; ale z niej musimy garścią brać, bo więcej nie ma z kąd, chyba po szczepie.

Rodzina Rejów herbu Oksza, najprzód widać z Czech przeniosła się na Szlązk, a niejaki Nankier w poselstwie tu do Polski przybyły, zasiadł, i pierwszym być miał rodu swego rozkrzewicielem. Za nim bowiem, gdy

biskupem krakowskim został (około 1320 roku), naszło siła Okszców do Polski, a główny szczerp Rejów w majątności Nagłowicach w Krakowskiem siadłszy, poczał się z tój wsi pisać. Nagłowice leżały w ziemi Krakowskiej, powiecie Księzkim, niedaleko Nidy, pisze Trzeciecki.

Pod owe czasy zwyczajem było, w każdym rodzie szlacheckim krwią pleniące się przynioty i wady określać. Paprocki nie nchylł też żadnemu, żeby nie wyliczył czém się odznaczył, a za nim idąc nasz biograf, przyznaje narodowi Okszców, że byli zawżdy cisi, skromni, poczciwi, niebawiący się między żadnemi świeckimi sprawami (to jest nie napierający się dostojęstw i godności, a że pobożnego i poczciwego żywota swego szlacheckiego nżywali, mało też o którym z poprzedników Mikołaja zapisały co dzieje. Jeden Jan Rej potykał się mężnie w grunwaldzkiej potrzebie, drugi był proboszczem Śro Michała na zamku krakowskim, inny sędzią sandomierskim, a za wyjątek przywodzą Stogniewa Reja, który się starostwa na Rawie (później Barze) dosłażył, i w potyczce jakiś przez Tatarów został pojmany.

Już bliżej pana Mikołaja sięgając, żyli dwaj bracia rodzeni z Nagłowic Rejowie, Stanisław i Piotr. Ostatni bezzennie żył i zmarł beznatomnie, a majątność po nim wziął Stanisław, ojciec naszego pisarza; grób jego był w Nagłowicach.

Okszycowie, jak to podóweza bywało, od różnych majątności imiona przybrawszy, lub na palęzie nazwiska różne biorąc, wszyscy przecię i jednego herbu i protoplasty potomkowie, za krewnych się liczyli. W ten sposób, choć różny imieniem Jan Wątróbka Strzelecki, liczył się stryjem Stanisławowi Rejowi, i jako krewniaka go forytował. Był to człowiek z razu rycerskiego



rzemiosła, i mąż dzielny, bo pod Warną stawał za młodym, gdzie się w niewolę razem z innymi dostał; ale snadź ślub uczyniwszy w pętach, gdy cudownie z nich uwolniony został, wziął potem suknię duchowną, i tak dobrze poszedł, że go uczyniono arcybiskupem lwowskim. Atoli nie było to w smak kapitule, która go dekretem w Rzymie otrzymanym wyparła, i biedny Wątróbka do serca to wzięwszy, z melancholii zmarł w Krakowie.

Snadź wielkich związków i wpływu na Rusi arcybiskup, wziął do siebie krewniaka Stanisława, wówczas jakoś gdy starszy jego brat Piotr, któremu dziełem wypadły Nagłowice, tam zamieszkał. Otoż się tu porobiły na Rusi nowe stosunki i stryj synowca ożenił z Buczacką herbu Abdank, która wprędce bezdzietnie mu umiała. Potem wyswatali mu drugą, już po starciu, jako wdowcowi wdowę, po znakomitym żołnierzu Żórawińskim, wziętym za Aleksandra na Bukowinie przez Turków, i po kilku latach ciężkiej niewoli zmarłym. Żórawińska nie mniejszego była rodu od Buczackiej, bo Herburtówna z Fulsztyna, siostra rodzona Herburtu Odnowskiego kasztelana bieckiego, starosty sądeckiego.

Z tej żony Stanisław Rej doczekał się przecię potomstwa, mieszkając na Rusi w Żórawnie, kędy mu się nasz właśnie Mikołaj, około 1507 roku, lecz z pewnością nie wiemy kiedy, narodził. Trzecieski może przez omyłkę kładzie rok 1515 za późny; ale wie dobrze o tym niepospolitym wypadku, że Mikołaj, który na świecie wielką część swojego wieku miał zapustować, narodził się w sam mięsopustny wtorek, na Bachusa.... Już nie mógł sobie lepszego dnia obrać do przyjścia na świat.

„A iż był człowiek pobożny, pocziwy, pisze o ojcu Trzecieści, a spokojny, a nie parał się żadnemi sprawami ziemskimi (co znaczy, że zarządzały na wsi u komina siedziały), tak też i o wychowanie tego syna mało dbał, bo jednegoż miał i przy sobie go chował aż do niemających lat. Ledwie go potém namówili, że go był dał do Skarbimierza do szkół, iż tam było blisko jego wsi Topoli.”

Ale pono po niewczasie siadł na szkolnej ławce już sporym chłopcem nasz Rej, a że nanka była dla małych pacholąt, nie zasmakował w niej tak, że i później ciągle na szkolne regulki i formułki hałasował i cierpieć ich nie mógł.

Tak lat dwa w onej szkółce parafialnej nad łaciną się wymęczywszy próżno, Mikołaj powrócił nazad do domu nieukiem. Ojcu nie chciało się jedynaka puszczać z domu, może i matce, synaczkowi nie smakowały grammatyki, ale przyjaciele snadź namówili, aby go jeszcze wyprawiono do Lwowa, gdzie znowu lat dwa mieszkał. Ale tu już chłop pod wąsem, dobrawszy sobie towarzystwa stosownego, więcej bawił się i czasu używał, niż do książki zaglądał. Za późno się wcale obejrzano, że mu nie w głowę nie idzie: zmieniono Lwów na Kraków, i tu w bursie „Jeruzalem” pod pilniejszym dozorem trzymano przez rok paniecia „ale to, mówi biograf, albo mało, albo nie mu nie pomogło, bo już zrozumiał co to jest dobre towarzystwo.”

Dobre w tym wieku znaczyło toż co wesołe. Ojciec przecie, gdy go lat pięć dał cudze kąty wycierać między uczonymi, był już pewien, że go nauczyli co jeno było potrzeba (choć Mikołajek jako żywo nie nie umiał), i zabrał go też do siebie do Żurawna. Rachując po trosze, zdaje się, że w dwunastym roku dziecia-

kiem, do Skarbmierza oddany został, a w siedemnastym nad Dniestr powrócił. Tu z rusznicą i z wędką, swobodny biegając po skałach naddniestrzańskich, ćwiczył się, bąki strzelając,—mówi Trzeciński.

„A gdy przyniósł—dodaje—pełne zanadra płocie, laskowych i wodnych orzechów, a kaczora albo gołębia, albo wiewiórkę za pasem, to go z onęj koszuli z płoskoniek roztrząsali rozpasawszy—a no wszystkiego dobrego dosyć.”

Snadź go tam i pani matka i ojciec poczeiwy kochali bardzo, a mimo braku oglady poznawali się sercem na niepospolitym umyśle żywego chłopięcia, bo powtarzali zawsze, gdy inni uganiać się jego za wiatry snrowiej sądzili:

— „Nie! nie! nasz Mikołaj! nie! ba! nie zależy—ć on też na starość gruszek w popiele!”

„A no, dodaje dowiecipnie nasz biograf, prawdę mówili, bo było ze wszystkiego nie.”

Żył tedy jeszcze stryj Piotr z Nagłowic, do którego, bezzęnnemu snadź chcąc synowca pokazać, posłali rodzice Mikołajka, na drogę opatrzywszy kitajką na kabat czerwoną, żeby miał sobie z czego przystojną odzież uszyć, gdyby go pan stryj gdzie dał na dwór pański na służbę, jak to naówczas bywało i samiż rodzice życzyli. Ale przyjechawszy do Topoli z ową kitajką, podobno innę przystojną sukni nie mając, pan Mikołaj najprzód jako to niepospolity myśliwiec i gospodarz, postrzegł, że u stryja Piotra wrony i kawki wielką w gunnach szkodę robiły. Pilno mu wždy było pozbyć się tego krzyku i ptactwa; nuż wrony brogiem łowić, i niewiele myśląc, ową kitajkę czerwoną na proporeczyki i chorągiewki krajać, bo sobie wyrachował, że uwiązawszy je wronom do szyi i do ogó-

nów a pod skrzydła, i puściwszy je żywo z temi szmatami, wygoni niemi resztę natrętnego stada, co się po stodółach gnieździło.

Tak się w istocie stało; ale owo pomyślne wyganianie ptactwa ze stryjowskich gumien nie zarobiło u pana Piotra nawet na kabat inny. Stryj mu nie sprawił odzienia, a że nie było się w czém przystojnie pokazać, i o służbie też dla niego nie myślał, a zostawił go do przyjazdu ojcowskiego przy urzędniku, to jest na folwarku u włodarza. Jak tam ten rok cały pokuty za chorągiewki czerwone upłynął, nie wiemy; podobno z rusznicą i na myśliwstwie. Dopiero gdy pan ojciec sam przybył, a suknię nową uszyć kazał, już dwudziestoletni Rej pojechał z nim na dwór Andrzeja Tęczyńskiego, podówczas wojewody sandomierskiego.

Choć późno, ale dobrze mu wybrał ojciec pańską opiekę; bo o Tęczyńskim Trzeciecki powiada, że choć mały wzrostem, ale głowę wielką miał.

Jaki to był dwór, i co za rodzina, a jak przeważnego wpływu w kraju i wielkiego poloru, mówić nie potrzeba. Lepszą tu szkołę znalazł Rej, niżeli w Skarbmierzu i Lwowie, ba od krakowskiej skuteczniejszą. Szlacheckich dzieci pierwszych familij było tu dosyć i kształcili się w kancelaryi, pod okiem wojewody sandomierskiego, ci, co sami później krzesła w senacie zasiadać mieli, i największe dostojęstwa piastować. Sprawy całej Rzeczypospolitej niemal przechodziły przez ręce możnej rodziny, a nie się nie działo, czegoby ona nie dotknęła, o czémby nie wiedziała. Wykształceniem Tęczyńscy stali na równi z całą ówczesną arystokracją europejską, a dwór ich mógł się za szkołę poloru i obyczajów uważać.

Niemало też tu z życia otaczającego skorzystał Rej,

który i później twierdził zawsze, że więcej uczy słowo żywe niż martwa litera, co po swojemu dobitnie wyraził: „że lepszy jest zawsze żywy głos, niż zdechła skóra” (pergamin).

„Tam będąc,” pisze Trzeciński, „począł go pan w listy polskie wprawować, bo łacińskiego języka bardzo mało, albo nie nie umiał. Tamże potem z listów, z rozmów między pisarzami, z czytania, a snadź więcej z natury, jał się już był przegryzować po trosze i łacińskiego pisma czytać, a czego nie rozumiał, tedy się pytał. Także potem z onego zwyczaju począł po trosze rozumieć co czytał, a Bóg, a natura ostatka dodała, iż był przyszedł potem *ad iudicium*, iż wždy już rozumiał co czarno, a co biało.”

Tłomaczy też pan Trzeciński, dla czego to rozwinięcie tak leniwo jakoś szło: bo była natura bujna a ochocza, do życia więcej niż książki; przedewszystkiem towarzystwo lubił wesołe i muzykę, do której miał nadzwyczajny pociąg, tak, że mało jakiej pieśni nie umiał. A byle nótą, to już pod nią wierszami rozmaitemi sypał, nie rozmyślając się, jak z rękawa. Przytem gorączka, nie mógł długo na jednem miejscu trwać, a myśliwstwo, któremu był nawykł, przeszkadzało mu wiele, że fałdów przysiedzieć nie umiał.

Jak długo tam na dworze Tęczyńskiego mieszkał, nie wiadomo; ale widać po śmierci ojea, który w Żórawnie na Rusi zmarł, przeniósł się na Ruś. Tu znowu zabawiał się z przyjaciółmi... nie wchodząc w żadną służbę, a mając snadź pragnienie skosztowania rycerskiego chleba, dla czego pilnował Mikołaja Sieniawskiego, wojewody bełzkiego, potem rńskiego i hetmana, bo mu się śniła wojenka; ale tak był szczęśliwy czy niefortunny, jak sam o sobie powiadał, że mu się nigdy

nie zdarzyło korda dobyć z pochew, chyba rozwadając drugich. Napróżno więc przy hetmanie, upatrując pory na nieprzyjaciela, wisiał, a potem znowu na wieś powrócił.

Nareszcie sprzykrzyło się tak samopas chodzić i z przyjaciółmi weselić, i jakoś z Rusi zawędrowawszy w Krakowskie, poznał w Sędziszowie pannę Koznową, siostrzenicę Boryszowskiego, herbu Róża, arcybiskupa gnieźnieńskiego, i z nią się ożenił. Tu wzięwszy po niej Kobylskie majątności, i Siennicę w Chełmskiem, począł gospodarzyć na szerokich dobrach, rozrzuconych w Krakowskiem, na Rusi u Dniestru, i Chełmszczyźnie. Upodobały mu się kraje chełmskie, więc dobra tam rozprzestrzenił kupnem i dzierżawą przez króla postąpioną Pliskowa i Stojnego, i te szczególnież zamieszkiwać lubił. Jego to zakładu jest niedaleko Chełma, miasteczko od nazwiska rodziny Rejowcem nazwane.

Już też widać z opisu życia przyjacielską skreślonego ręką, jak sobie teraz urządził żywot, przejeżdżając w Chełmskie, a potem tęskniąc do Krakowa i dworu, a miejsca nigdzie zagrzać nie mogąc. „Żadnego sejmu, zjazdu, ani żadnej koronnej sprawy nie zamieszkał. Król Zygmunt Stary i królowa Bona byli na niego bardzo łaskawi, dali mu jurgiel i stacyę Skarbmierską, i wsi (ów Plisków i Stojne), a wszyscy też panowie bardzo mu byli radzi, i obdarzali go hojnie,” powiada Trzeciecki. Także też potem od arcybiskupa Gamrata, trzymał Kuszczów i Biskupiec.

Tu łatwo nam spostrzedz, jak życie i pojęcia o godności człowieka, całe różne wówczas były, niż są dzisiaj. Słyszymy, że od króla i królowej dary przyjmował nasz Rej, który sam z siebie był weale majątny, to jeszcze nie; ale Trzeciecki powiada, że inni panowie



laskawie na niego patrząc i ceniąc go, obficie darzyli. Jakże to tam było przyjmować? dziś to rzecz dla nas niepojęta. Niechże ubogiemu, ale Rej miał Nagłowice, Topole, stację Skarbnierską, Kuszczów i Biskupice w Krakowskim, dalej Kobylskie dobra i Siennicę z Pliskowem i Stojnem w chełmskim, Dziwiąciele, Popkowie, Skorczyce, Żórawno.... zakładał miasteczka Rejowiec i Okszę, a panom się kłaniał i dary od nich przyjmował, głową się wysługując? Było li to w charakterze człowieka, czy w obyczaju czasu?

Trochę jedno i drugie. Nieco później, gdy pierwiastkowa Rzeczpospolita, na nową fazę przerabiać się zaczęła, gdy braterstwo panów i szlachty, a całego kraju i narodu szlacheckiego zatartło się, jużby pan Rej miał sobie za ułżenie przyjąć coś od możniejszego. Za Zygmunta I-go panował jeszcze obyczaj stary, i tradycyjne pojęcie stosunków osób i praw posiadłości.

Tak ja to sobie przynajmniej tłómaczę, boć inaczej trudno. W owe czasy wszystko co kto miał, trzymał z łaski Rzeczypospolitej i jej darni, wszyscy byli dziećmi jednćj matki, i brat bratu uboższemu mógł świadczyć bez ułżenia, ze wspólnego ojczystego mienia.

Własność imy miała charakter, życie więcćj było rodzinne, patryarchalne, nie brało się od obcego, ale od swojego i swoje; to co kto miał, składało wspólne mienie kraju, który dawał, odbierał i szafował. Dzisiaj rzeczy się mają weale inaczej: już co kto trzyma to swoje wyłącznie, a dar wyglądałby na jałmużnę, gdy naówczas był miłościwego pana a brata starszego udziałem, uczynionym chudszemu.

Na wyścigi też wszyscy ubiegali się, by tego pocziwego Reja—który się tak umiał wszystkim podobać, że i u Starego Zygmunta był w łaskach, i Zygmunt



August go miłował—wzbogacić a obdarzyć. Przynosił z sobą wieść wesolą, radę zdrową, i trafny żart, i przypowieśćkę śmieszna, a choć pochlebiać nie umiał, przymilić się samym charakterem potrafił każdemu. Znać to z pism i stylu, jaka być musiała z nim rozmowa, jaki w niej dowcip i rzeźwiąca swoboda.

Po panu Mikołaju Odnowskim, kasztelanie przemyskim i staroście lwowskim, wieś Dziewiąciele przypaść miała na króla *jure donatario*, którą za życia powinowaty odstąpił panu Mikołajowi, a król zrzekł się na nią praw swoich. Pan Paweł Bystram także krewniak, bezdzielnym będąc, zapisał mu w Lubelskiem Popkowiec i Skorzyce, i za życia jeszcze oddał je. To też nie dziw, że i w Chełmskiem, i nad Nidą Rej znaczne jeszcze majątkości przyknuł, i miasteczka zakładał.

Była to właśnie chwila, gdy tak zwane nowinki religijne zajrzały do Polski, a długo katolicki kraj nasz, z razu olśniony pozorem błyskotliwym nauki, która się czysto Chrystusową mieniła, żywo się jął reformy.

Przyczyna tego nierozważnego, ale ze szlachetnego źródła pochodzącego błędu, zda mi się bardzo jasna. W szczerości i dobrej wierze Polaków szukać jej potrzeba. Strona piękna i jasna, jaką przybrała reforma, uderzyła serca pocziwe i umysły pragnące prawdy. Kościół niewątpliwie pod owe czasy skutkiem długiego pokoju dotknięty w swych członkach zdrętwiałością, potrzebował odnowicieli i bodźca do życia nowego. Nie zastanawiano się nad następstwami nauki, nad tém do czego zmierzała, brano słowa jej za dobre, i błąd nawet był dowodem gorącej wiary.

Co było najpocziwszego a słabszego umysłem, przylgnęło do nowinek. Lecz zarazem wszyscy osobście niechętni duchowieństwu, skażeni duchowni, wol-

niejszego życia kler, rozmaite przybłędy i holysze, wydrwigrosze i halastra, skupili się przy reformatorach. Nie dziw też, że taki człowiek jak Rej, niezbyt uczony, niewidzący następstw jasno, uwiódł się pięknemi słowy, któremi posypała była nauka kacrzy. Do jego serca przemawiały obietnice wytepienia nadużyć, poprawy mnichów, oświecenia ludu; a wymownego i lubionego wszędzie człowieka łatwo było pochwycić nowiniarzom i uczynić z niego narzędzie poważne do rozszerzania herezyi. Pochlebiano mu, z nieuka zrobiono pisarza, poddano crudycyi, dostarczono argumentów, i Rej podjął się reformatorstwa w dobrej wierze, z zapalem, z rubaszością nieczuciarną, z oguiem sobie tylko pod owe czasy właściwym.

Nie było człowieka, któryby nad niego skuteczniej mógł do nas przemawiać ich językiem, ich trybem, z siłą, jaką dawało może właśnie to zarzucane nieuctwo, które zachowało w Reju ów język szorstki a obrazowy, pełny kolorytą i krwi. Z odwagą tém większą, że mniej czytany i nieświadom dróg, któremu się puszczał, Rej szedł śmiało a na oślep, gdzie drudzy oglądniejsi nogi stawić nie śmieli.

*Postylla* też jego do której mn protestanci usłuźnie poddali swoich piórek, jak utrzymuje Jan z Woźnik, wielu nawrócić niała. „Pisał postyllę polskim językiem, bo on był nieuczonym, ale z czytania a ze zwyczajn, tedy mu to już snadnie przychodziło. W téj postylli niczego nie przywodził dla lepszej pewności, jedno stary a nowy zakon, i wielu ludzi się było tą postyllą w prawdzie obczyła.”

Oprócz tego wydał Rej wiele innych, dziś prawie zatraconych pism różnych, religijnej treści. Nieczuciarna ich swojego czasu popularność i rozchwył, i tém się

dowodzi, że gdy przyszło teraz jeden *Zwierzyniec* jego (las—*Sitra*) dokładniej opisać, zewsząd ściągano pozostałe szczątki, i jednej całej książczyny, nieodartej i niepoplamionej, nigdzie nie wynaleziono.

Protestanci to naklonili najprzód Reja do wydania w roku 1533 *Psalmu* do śpiewu wedle obyczajn nowego kościoła, *Apokalipsy* tłómaczonej z Bulingera i wielu innych rzeczy drobnych, które wylicza mniej dokładnie Trzcieski, a dziś jeszcze wszystkich pono nie znamy. Nakloniony do pisania, gdy mu to szło a wiodło się i czas był po temu, Rej pisał wiele a prędko, niebardzo mędrując nad tém, co kładł na papier. „To mu, pisze Trzcieski, ze zwyczaju a z natury tak snadnie przychodziło, że tego przez jedną noc napisał co chciał. We dnie nie mógł, bo był bardzo ludźmi zabawiony; panięta, a ludzie młodzi zawżdy się około niego bawili, bo był człowiek poczciwy, zachowały, dworski, zrujony wszem, a byli na niego ludzie zacni bardzo łaskawi, a żadnego stanu mieć nie chciał, tylko był sobie żywot wolny a spokojny obrał, będąc *nenoni molestus* (nikomu nie przykry), tak, że się nigdy nikt nie ozwał, ktoby był na niego o co kiedy poskarżyć miał, sam się każdemu osądził i usprawiedliwił, także sobie wszystko tuszył, iż się już w żaden inшы stan ani w żadne zawiklane sprawy nigdy wdać nie miał, jedno iż tak spokojnego a wolnego żywota swego używać miał. Bo acz to był pan z młodu bardzo ciekawy a bezpieczny (śmiały), a bardzo ma światek smakował, ale już był potem skromny, trzeźwy, spokojny, tylko się już na wszem na wolny żywot udał, a wszakoż co czas przyniósł i Rzeczypospolitej i przyjacielskiej posługi nigdy nie omieszkiał. Tamże w tej Okszy, dodaje Trzcieski, którą sobie fundował i kościół

zbudował, powiadał, iż miał wolą swe kości położyć, Panu Bogu wszystko porzeczywszy, tak jako o tém nadobnie w owych wierszach rozmawiając się z światem napisał. A toż była wszystka sprawa żywota, postępów i spraw tego poczeiwego szlachcica polskiego.”

Nie można jój było ani lepij ani dobitniej odmalować: widzimy żywot za młodu trochę szalony, myśliwstwem, i muzyką, i zabawą z towarzyszami zajęty, potem religijnemi sprawami zamieszany, wreszcie w wiejskiej ciszy szukający uspokojenia. Co o nim piszą o żarłoczwie i opilstwie, znać silnie przesadzone przez niechętnych, albo pod koniec życia znacznie się sfologowało. Jakoż i w charakterze pism od *Figlików* swawolnych i gwałtownych napaści pierwszych dzieł do *Zwierciadła i Żywota człowieka poczeiwego*, bardzo daleko. Inny to, dojrzalszy człowiek, choć nie na żywości nie stracił, a na pomiarkowaniu jój rozumem wiele zyskał.

My przedewszystkiem ostatnie to jego dzieło, żywot poczeiwego człowieka w połowie XVI wieku malujące, mamy tu na względzie.

---

## II.

*Żywot człowieka pociętego*, wyszedł u Macieja Wierzbicy w Krakowie w r. 1568. Jak obyczajem autora szybko był napisany, poświadczają przypisania ksiąg dające miarę pośpiechu w starcu już spracowanym, a przecię rzeźwym do pracy.

Pierwsza księga, wiekn dziecinnego i młodzieńczego sprawy opisująca, skończona po świętym Janie Chrzcicielu 1567, w Kosowie; druga wiek średni obejmująca, skończona w Tyńcu pod Krakowem; trzecia w Myślewicach d. 30 września; dodatek do niej z Bicorendy 10 października, apoplegmata z Buska (od mniszek) datowane, we wtorek po S. Gawle. *Zbroja* z Komarna w dzień Ś. Andrzeja tegoż roku. Przy napomnieniu przyjacielskiem, na końcu, wzmiankuje, że się wszystko tych ksiąg pisanie (ostatnich zapewne) dokonało w świąteczny wtorek (wielkanocny) a poczęło w Środopostną niedzielę w Mogilanach w domu Spytka z Mielsztyna kasztelana krakowskiego.

Z całym tym tedy dziełem ostatniem, które dwieście siedmdziesiąt listów czyli półarkuszy zawiera, wożąc się wszędy, pisząc je nocami, stary Rej podróżował, jako był zwykł po pańskich dworach, i przypisał je

Górkom, Jordanom, Łaskiemu, Zborowskim i t. d. Jakby przeczuwał zgon blizki, na końcu jego pożegnał się ze światem.

*Żywot człowieka pociągłego* jest główną Reja pracą dla przyszłości. Inne dzieła są rzadkie i ciekawe, są dziwaczne i przeto poszukiwane, niekiedy swawolne i malujące swobodę wieku i społeczeństwa, które podobnych facecyj dopuszczało; ale żadne tak trwałym nie jest pomnikiem jak *Żywot*, pełny rysów epoki, w której pociągły nasz moralista przeżył lata swe, przyśpiewując i łając współczesnym.

Rej wskazując jakby być powinno, nakreślił ideał wedle pojęć swoich i wieku, a zarazem nie omieszkiał, acz mimowolnie zaczepić o to co było. Trafiają się tu obrazeczki prześliczne, nakreślone z takim ogniem i prawdą, tchnące tak wonną przeszłością, że rysem jednym przenoszą nas o lat trzysta.

Naówczas zbliżając to co jest, do tego co było, postrzegamy jaka to różnica niecznierna żywota szlacheckiego dzisiejszego od owego prastarego... ideał wczorajszy dziśby pewnie na folwark wygnano, a przynajmniej czmychanoby nań bardzo w salonie!

Wyjmiemy to tylko z żywota, co najgłówniej pojęcia i obyczaje maluje, część jego deklamacyjną i kaznodziejską zostawując nietkniętą, bo byśmy w tej nie tak bardzo ciekawego nie znaleźli. Rej zostawiony własnym siłom, zwłaszcza w *Żywocie*, nie umiał być ani protestantem śmiałym, ani prawowiernym katolikiem; cofnął się dużo od czasów *Postylli*, jak uważa Maciejowski, ale nie wrócił na łono kościoła. Nie on zresztą jeden pozostał tak na rozdrożu, wśród którego długo samopas błakał się i Orzechowski, i inni domo- rośli reformatorowie, i sam podobno Zygmunt August,

sprzyjający reformie a trzymający się razem katolicyzmu.

Ten fenomen czasom walki i przejścia właściwy, znajdujemy u wszystkich ludzi umysłu łżejszego a w gruncie poczciwych, co się uwieść dali pozornym czystej religii Chrystusowej uludom w dobrej wierze, że tylko swą starą wiarę oczyszczą i wybiorą z tego co w niej ludzkiego widzieli. Niestety! nie porachowali z razu, że co było ludzkim, z ludźmi weszło i wszędzie im towarzyszyć musiało. Aż gdy nowi mistrzowie dokazować poczęli i też ludzkim słabościom swym folgować, dopiero przyszło zastanowienie, że tu nie wiara nie była winna, bo kapłan grzeszny być może, choć religia czysta i święta...

Rej też choć pod koniec życia znacznie się umiarkował i na kościół katolicki nastawać przestał, nauce jednak pierwszój w młodości zachwyconej w gruncie i zasadzie pozostał wierny. To, co mu Wujek zarzucił w jego *Postylli*, mniej wyraźnie pozostało w *Żywocie człowieka poczciwego*.

Z drzeworytów przy *Żywocie* i innych dziełach pomieszczonych, a wystawiających Reja w pięćdziesiątym roku, znać, że nie był to wcale udatny i wymuszony Ulisses, jak mu gdzieś Trzeciński napisał, ale przez niezręczny rysunek niedouczonego artysty patrzy ci twarz znajoma zawiesistego szlachcica z wąsem a bródką postrzyżoną, z usty odętymi nieco, które namiętnego, ale w gruncie dobrego człowieka malują, z oczyma, które ci się srożą nihy nawisłą brwią, ale gdy przyjaciela ujrza, zabłysnąć umieją weselem.

Jedno to z tych oblicz chmurnych, najeżonych, z dala strasznych, ale umyślnie tylko kłamiących tę



powagę senatorską i grozę moralisty, aby starośći wbrew nie rozśmiać się młodym śmiechem pustoty...

Jeżeli gdzie, to u nas twarz taka pospolita, a z pod nawisłego wása szlacheckiego, który groźnego zwiastuje zabijakę, ileż to warg śmieje się nieprzebraną dobrocią!

Nie wiem zaprawdę czy Rej dzieła jakiego użył w posilek swojemu *Żywotowi*, i nie widzi mi się to. Maciejowski nie dopatrzawszy nigdzie pożyczki wyraźnej, przypuszcza tylko, że mógł korzystać z rękopisów czeskiego Tomasza ze Szczytna, niejakie do *Żywota* mających podobieństwo; ale Rejowi wyższość nad pisarzem XIV wieku przyznaje. Dla nas sam układ, treść, ba! i przywodenie, cytaty są dowodem, że Rej u nikogo się, pisząc *Żywot*, nie zapożyczał. Oprócz Pisma Świętego dosyć często wzmiankowanego, autor mało się czém posługuje, gdyż historycę znał niemal tylko z trafnych anegdotek, które z niej na pożytek duchowny wyciągano, i w tych niezawsze pamięć mu dobrze służy, gdy je spisać potrzeba.

Takich kompendyów pełnych gadek o filozofach i królach starożytnych, dosyć było po świecie za czasów Reja, i znać, że się nieledwie z nich samych dziejów uczył. Później nieco Bieniasz Budny całą z nich książeczkę nłożył. Oprócz tego Rej, co rad żył z ludem i jego językiem mówił i pisał, często przypowiaстки stare z zapiecka wyciąga, a dziwnie też wiele przysłów umie, i drugie tworzy sam wybornie. Styl Rejowski nie do naśladowania, i dziś mu w swoim rodzaju *mutatis mutandis* jeden zrówna Joachim. Kto nie czytał, nie domyśli się ognia, życia, rubasznosci, narodowości téj mowy z żywych ust wziętej i niepole-

rowanej weale, ale też rodzime cechy zachowującej. Nie zleknie się Rej wyrazu, nie powstydzi nazwać psa psem a łotra nieponiem, ani go rumieni przygrubsze polajanie, ale gdy też temi barwy malować mu się zamarzy wizerunek, to go masz wykapanym — jakby sam dyabeł malował. Grzeszyłby, kto by mu artystycznego pocucia, acz nieukształconego, odmawiał; wie on jakich rysów użyć, a tak ci i szatę, i bramowanie i fontazie narysuje, tak swego bohatera postawi, że jakbyś go żywym wczoraj widział. Nie jest to mistrz na wzorach kształcony, co by się wielec pięknem słówkiem frasował; ale potężny malarz, który niewykończone obrazy robi lada miotłą na ścianie... a przecie patrząc na nie, życie w nich czujesz.

Drugi i wylize, i wycaca, ale w bladym obliczu lalek ino swą niendolność zostawi. Słusznie wszyscy płaczą nad tem, że Rej nie podróżował, (bo raz tylko w życie był na Litwie w gościnie u Mikołaja Narnszewicza pisarza litewskiego), że się z domu nie wychylił, języków nie znał krom trochę łacińskiego, i nie wychował się jakby potężnemu umysłowi przystało... ale — mielibyśmy więcęć jednym pisarzem poprawnym, wstrześciwliwym, gładkim i przyzwoitym... nie byłoby Reja!

To, co on w swych pismach z języka ludowo-szlacheckiego notował, na wieki by przepadło, boby się takich rzeczy nikt inny notować nie odważył. Wolę ja go z tą gburowatością niesmaczną często, z rubaszością gminną, niż niejednego na klasykach wytuczzonego pisarza, który sili się na to, aby sobą być jak najmniej.

Więc też Rej życiem i pismem przewybornie starego szlachcica zadomowionego, przyjaciela strzechy słomianej i swobody wiejskiej przedstawia, co nad wszystko kocha braci i wesolą biesiadę z nimi, zjazdu i sejmu

nie opuści, za kołnierz nie wyleje, z szablą się zna, choć jój nieczęsto dobywa, a z wielkiej miłości prawdy za błyskotnym jój pozorem gotów ulecieć. Ej! naszaż to natura, nasza! Miejsca nie zagrzeje... ale w daleki kraj się nie puści, ino po swych śmieciach od dworu do dworu z panami bracią toby się rad całe życie włóczył. Nauka mu zbyt śmieszna, a przecie czytać lubi, oświecićby się chciał, tylko ciężkiej pracy się boi, i gotów dowodzić, że dość człeku co w uszy mu wleci, reszty się dorabiając własnym rozumem.

Innych owego wieku ludzi domyślaj się jako chcesz z tego lub owego, zgadnij jakieś łaskaw. Reja nie potrzebujesz się dopytywać długo: otwarty a szczery szlachcie, jeszcze dziś po trzystu latach stoi przed tobą jakim był — jak mnie widzisz, tak mnie pisz; a zdaje się niebożatko, bijąc w piersi, mówić Bogu:

— Jakiegoś mnie stworzył... takiego i masz...

Prawdę mówiąc, Bóg dla niego wszystko zrobił, on sam mało co sobie przyczynił.

---

### III.

Gdybyśmy porównanie nasze począć chcieli od samej postaci Mikołaja Reja, a obejrżeli się z nim, by ją do dzisiejszych zbliżyć, zaprawdę mełatwo znaleźćby przyszło takiego szlachcica, pisarza, co w dwudziestu latach nie nie umiejąc, sami się do pięćdziesiątego na znakomitego w narodzie moralistę i przeważnego autora wykształcił.

Mamy podostatkiem ludzi, którzy nie umiejąc pisać! i téj łaciny, co jój Rej trochę liznał, nie znają, którzy nie lub tak jak nie nie czytali, ale im geniuszu Rejowskiego braknie; drugim zaś na nance nie zbywa, to jój zażyć nie umieją. Są i tacy, którym Pan Bóg dał tyle co Rejowi przyrodzonej zdolności, ale jój na dobre obrócić nie potrafili.

Jeżeli co pochwalić w starym pisarzu, to właśnie ten wielki przymiot, dziś rzadszy niż kiedykolwiek, że pisał nie dla chleba, nie dla sławy, ani by na swojém postawić i za rozumniejszego nad drugich uchodzić, ale z głębokiego przekonania, z uczucia obowiązku. Wiedział on, że słowo jego działało, i używał go, jak mu sumienie mówiło, dla dobra powszechnego.

Prywaty w tój pracy całego życia, żebyś najpilniej szukał, nie znajdziesz; Rej, nizeli o tём mówić poczęto, pojął, co było powołaniem pisarza.

Stara się on o poczeiwą sławę jako człowiek; nie dba o to, co o nim powiedzą jako o pisarzu i co *szacownik cudzych spraw* o jego robocie wyrzeczce, byle sumieniu dogodził.

Śmiały nad podziw, nie waha się prawdy rąbać choćby najwyżej siedzącym; czuć wszędzie, że zrozumiał, jak wiele odpowie na sędzie ten, co się jął drugim słowem przewodzić i nawracać. Zarzucają mu w pierwszych jego pismach grubiaństwo i plugawe koncepta; ależ i ów czysty Jan Kochanowski holdował wiekowi we *Flaszkach*, a kto wie czy nasze farbowane nieprzystojności, w których na oko nie ma nic zdrożnego, nie gorsze nad te tłuste facecye, których już w rękę nie weźmie nikt, jeno taki, co się ich nie boi. Był-ci to język wieku, a by osądzić go, należy się postawić na stanowisku właściwém. W ogóle jednak Rej podług swych przekonań mówi zawsze za prawdą wiekuistą i ziemskim prawdeczkom nie holduje, a co ma w sereu, za tём walczy do ostatka.

Dziś z pisarzami ma się inaczej. Pierwsza rzecz u nas pono siebie tak postawić, aby z daleka być widnym, a gdy chodzi o prawdę, oglądany się pono czy ją powiedzieć nie zaboli. Jeden się stracha, czy to jego sławie nie zaszkodzi, gdy ostro przekonanie swe popierać będzie; drugi walki się lęka, żeby go w nią nie odarto, traci siły, chowa się na wielkie dzieło jakieś, a powszednia robota w winnicy, około której upracować się trzeba i znaku po niej nie ma, nie smakuje mu. Niemał wszyscy dla prywaty piszemy. Nie będę piszącym wyrzucał mizernego grosza, dla którego nie

wiele tam zginie, bo choćbyś do zdechu pracował, jeszcze ci pisarski chleb na głód nie starczy; ale gorsza to, że się oglądamy na siebie, gdy na dobro publiczne patrzeć potrzeba.

Więcej obawy o złapanie guza, niż o zaparcie się przekonania.

Rej miał dużo nieprzyjaciół za swego czasu, zwłaszcza między katolikami, a przecie się ich nie uląkł. Gromili go Wujek i inni, zarzucali mu jako pisarzowi nienctwo i brak erudycyi, jako człowiekowi opilstwo, i obżarstwo, i życie sprosne... choć Bóg wie ile w tém było prawdy. Sponiewierany przecież pisał, a dowodził co było jego przekonaniem.

Nie chwaleę jego błędów; ale piękny jest dla mnie obraz człowieka tak głęboko przekonanego, że za prawdę swą męczyć się daje, a pokonać się nie dozwala ani strachem, ani śmiechem.

Zawsze wydrwić łatwo, i téj na niego broni używano; ale Rej też znalazł czém odstrzelić, a o śmiech się nie frasował, bo głupim a lekkomyślnym o to najłatwiej. Więc do późnej starości swoje pisał, i to go w oczach naszych czyni wielkim.

Skromny i czujący do siebie, że był ułomny, gdy kończy pracę, patrz jak się odzywa do czytelnika:

„Sobiem kwoli budował, szacuj jako raczysz  
A na swym więc poprawisz, co nie k'inyśli baczysz.

Także ja też każdemu snadnie dopuszczam... A wszakże jeśliby się nie zdało, owo ja pożyczę piórka, o papier też snadnie, niechże sobie poprawi, abo z nowa napisze, jako mu się najlepiej będzie zdało.”

Wiedział to Rej dobrze, jak widać i z tój przemowy do panów Górków, że na świecie niezawsze ten pisze co umie najlepiej, ale ten, który ma siłę i odwagę wziąć się za pióro. Siła jest ludzi, którzyby mogli a nie chcą, więc muszą chcieć ci, co niespełna mogą. Ztąd nieraz jak Chrystusowi owi apostołowie z między rybaków wzięci, którzy w sieci swe narody lapali, nie uczeni doktorowie, nie mędry synagogi nawracają i lud wiedzą za sobą, ale prostaczkowie, których odwadze dziwną się mądrzejsi nad nich a leniwego ducha.

— Cóż to tam w tój książce? nie ma nic! mówią, i styl nie po temu, i myśl nie nowa, i talentu ledwie szczypta!

Tak, a przecież owa książka idzie w świat, i ludzie się jój imają, z nią noszą i sobie ją cenia, choć nie-jeden może sam lepsząby napisał, tylko mu trzeba tego co by popchnęło... A to co popycha, nie każdemu dane, i sobie sam człek nie wleje ducha. Powiada każdy z Rejowym szacownikiem (krytykiem): „Jabym to lepiej umiał, gdybych chciał” — tak jest, ano chcieć nicłatwo.

Rej też żywo chciał, i to cała tajemnica jego sławy i wziętości. Za młodu z rusznicą się wybiegawszy, starszym po dworach biesiadując, ledwie coś nie coś lizował nanki; dnia mu na pisanie nie stawało, bo był ludźmi zabawny; nocą więc bazgrał, ale duch potężny przezeń pisał. Znać w stylu człowieka, który się o piękne słówka nie troszczy, byle ci do wewnętrzości dostał jedrny wyrazem, a choćby łajaniem. Naprzemian grozą, śmiechem, strachem i przypowieścią ima cię, wiąże i przekonywa, czego nie stało, gniewem szlachetnym dobieje. A gniewa się często, ale o prawdę tylko.



Dziś całe pisze się inaczej, chłodniej, rozważniej, a gdyby jednemu z naszych pisarzy wybierać przyszło z dwojga: czy nawrócić a nieprzyzwoicie się znaleźć, lub dowcipem zasłynąć a nie nie dokazać, — wolaliby, rękę, gałązkę lauru ową, nad zdobycz wiekuista.

Ale czas do naszego *Żywota*, który już czytać sobie poczniemy.

---

## IV.

Zgadnicie łatwo, że księgi pierwszej, pisarz XVI wieku, tak obszerny przedmiot mający przed sobą, nie mógł począć inaczéj jeno od stworzenia świata. Więc najprzód opowiada nam: jak Bóg Wszechmogący raczył świat stworzyć; jak na nim postawił człowieka i dał mu żonę za towarzyszkę; jak ich czart zwiódł i pokusił i jak się narody ludzkie na ziemi rozmnożyły. Tu się wyklada rozmaitość natury człowieka, i napomyka o téj wielkiej prawdzie, której kosmopolici marzący o zjednoczeniu ludzkości w całość bezbarwną i jednolitą zrozumieć nie chcą: że narody na świecie każdy z osobna grają jedną nótę w wielkiej harmonii. Każdy naród ma myśl i twarz odrębną, z jaką go Bóg stworzył, światu potrzebną a niemogącą się przemienić, chyba wolą bożą i działaniem czasu, który przetwarza wszystko. Tak jak ludzie, indywiduami w ludzkości są narody. Nie możemy być urobieni na jedną formę; nieby też na tém nie skorzystała ludzkość, gdyby znikła rozmaitość charakterów w istotach pojedynczych i zbiorowych.

Daléj hołdując pojęciom wieku, mówi Rej o wpływie planet. Przyznaje im działanie na ziemię i ludzi: „Wszchemogący Pan sprawić i postanowić raczył, iż sprawiwszy te różne biegi i planety niebieskie, które się ustawicznie z tém niebem toczą, którego to po części kęś widzimy około téj małej a okrągłej ziemi, na którój jesteśmy rozsiani w rzędy, a gmerzemy około niej nie inaczej jedno jako mrówki rozsypane około jakiej góry; tedy z jakim przyrodzeniem planeta, na którą część onéj ziemi nastąpi, także się sprawy i wszystkie postęпки wedle przyrodzenia onéj planety mieszać i troić muszą.”

Wierzyli i w to rozumniejsi a uczeńsi od Reja akademicy krakowscy, a wiara ta mało nie do nas doszła, ledwieśmy się jéj pozbyli. I dziś jeszcze miotła na niebie strach napędza, a najwięksi niedowiarkowie, uśmiechając się, o wojnie prawią półgębkiem.

Z téj wiary we wpływ planet wypada już następstwo nienechronne przeznaczenia człowieka, który urodziwszy się pod jakąś gwiazdą, ciężko swą naturę przemóǳ może. Rej zrozumiał ten przecięż wpływ boży na rzeczy ludzkie bardzo zdrowo, gdy powiada, że światu raz nadane są pewne stałe prawa, które się nie zmieniając, działają nieustannie; ale zapewniał o tém, że Bóg w szczególnych wypadkach może i to prawo zawiesić, i sam wpłynąć na obrot rzeczy ziemskich.

Tu już znać w uim protestanta.

Daléj dzieli ludzi z owego wpływu planet zrodzonych, na cztery wielkie działy, wedle powszechnie wówczas przyjętych zasad, i oznacza cztery temperamenta: krwisty, choleryczny, flegmatyczny i melancholiczny. Ten dział jeszcześmy też niedawnemi czasy spotykali po medycznych księgach. A po swojemu całe opisanie nam,

jak się sprawia każdego temperamentu człowiek: „Koleryk wnet z myślą swą w górę wyleci, wnet chce być hetmanem, a choć nie ma, przedsię się sobie panem być zda. Krewnik zaś wesół, skacze, miłuje, ściska, dałby bardzo rad każdemu byle jedno co miał. Melankolik zaś lamentuje, wszystko nie wczas, wszystko się mu krzywdą widzi. A flegmatyk zaś chrapie, sapie, śpi, a na brzuch pluje, a przedsię omackiem kufła podle siebie maca.”

Otoż pierwszy obrazek, jakich w téj księdze nie-mało, a już w nim znać, z jakim malarzem mamy do czynienia.

Daléj jeszcze idzie wywód, jako Pan Bóg obaczywszy różność przyrodzenia ludzkiego, i rozumem i przykazaniem swém ozdobić i przestrzegać go raczył, jak Bóg nie chciał, aby kto złym był. Tu się tedy mieści jedna z tych anegdot, w których Rej miał upodobanie, przez mnóstwo ksiąg aż do nas doszła i powtarzana, o owym kupcu, który gdy mu się syn urodził, „zwiódł praktyki a ludzie uczone, aby mu rozsądek uczynili o przyrodzeniu syna owego. Tedy się na jedno wszyscy zgodzili, iż ma być tak srogie przyrodzenie jego, iż nigdy nasycen krwie być nie będzie mógł, a niełza rozbójnikiem.

„Ten sobie nieborak ono lekceważył, a miał to sobie za plotki. Potém gdy już począł on chłopiec podraszać, co potkał malego, albo szczenię, albo koźlę, albo kotkę, to wnet ściał albo zabił. On ojciec ubogi obaczywszy ono złe przyrodzenie jego, posłał wnet zasię po one doktory, co mu o onym synie powiedali, i radził się ich coby z tém czynić miał, powiedając, iż już tego jawnie doznał, co mu o onym synu jego praktykowali i powiedali, prosząc ich, aby mu radę

pali, jakoby ono złe przyrodzenie syna onego widać mogło być czém umiarkowane a uskromione. Tam się na to tak zezwolili wszyscy, aby go dał do rzeźnika, a gdzieby najwięcej bydła bijano. On posłuchawszy, uczynił tak jako mu radzili. Ten potem z ową wielką radością rzezał, bił, tłukł ony kozy, ony barany, ony cielęta, tak w sobie uskromił oną złą a jadowitą naturę swoją oną krwią bydlęcą, iż z niego był potem i dobry i bardzo bogaty człowiek, z onego przedsięwziętego rzemiosła swojego. A tak niech tego nikt nie powiada, aby przyrodzenie mocy nie miało, jeśli ze cnotą a rozumem nie będzie powściągnięto a zahamowano."

Aż nadto tu Rej daje sily przyrodzeniu, i co gorsza, doradzać się zdaje, by mu cugle puścić, byle szkody nie robiło, zamiast je wstrzymywać i przerabiać; ale takie podówczas o predestynacji ludzkich charakterów były pojęcia.

Radzi tedy dalej rodzicom, aby się starali poznać naturę dziecinną za wczesn, i wedle niej postępować, nie powiększając zła niestosownemi pokarmy. I on, jak później Klonowicz uasz, daje radę matkom, by same swe dzieci karmiły i wychowywały. „A tak paunie matki, zwłaszcza które są przyrodzenia dobrego, bardzo dobrze, aby same dziatki swe karmiły i wychowywały." Zaleca przytém postępowanie z dziećmi łagodne, i odwodzenie ich od złych skłonności powolne, umiarkowane, nie gniewem i fukiem. Wchodzi wreszcie w szczegóły nawet tyjące się pokarmów i napojów dla dzieci zdrowych lub szkodliwych, zawsze stosownie do temperamentów, które pilnie postrzegać każe. Już snadź mię-dzy szlachtą papinków było dosyć, gdyż i nasz autor narzeka, że między eblopami łącno było urodziwszego

znaleźć, niż między rozpieszczonemi pany. Cóżby to on teraz, zobaczywszy nas, powiedział?

Z uwagi Reja o chłopach pokazując się, że dawniejsza szlachta musiała daleko piękniej i zamaszysiej od nich wyglądać, i że dopiero wydelikacenie sprawiło to, czemn my dziś dziwić się przestaliśmy nawet, że wieśniacy silniej od nas i zdrowiej się mają.

Poczeiwy Rej mówiąc o pierwotném wychowaniu człowieka z dziecka, wchodzi nawet w szczegóły nbioru jego, i cały mu ustęp poświęca.

Otoż jak jak to ono dawniej bywało:

„Nie wwięzuj mu (nie zawiązuj mu, w języku dzisiejszym) nazbyt z młodu knefliczków (guziczków), bryżyczków, pstrych sukienek jako prosięciu, bo jako się tego z młodu nauczy, tak mu się to w pamięci wbije, i tak mu się tego na potém zawždy będzie chciało, a zład mu i swawola na początku i wszeteczeństwo snadnie rość będzie mogło, a wszak mu to i na potém nie zginie, gdy już ku lepszemu obaczeniu przychodzić będzie. Potém gdy już będzie podrastał, nie trzeba go też nazbyt w grozie chować, bo ona młodość jego, gdyż jeszcze zmysły słabe we młdciu ciele być muszą, tedy zbytnią grozą a frasunkiem snadnie może być zgwałcona, iż potém zawždy straszliwa (znaczy tehorzliwa), tupa a głupia być musi. Ale bez zbytniej grozy a bez frasunku nadobuém napominaniem przedsię mu po trosze trzeba ujmować obroków, aby nie rosło jak owa wierzba, którą jako nachyli także też rość będzie. Także go też już będzie trzeba strzedz od głupich a od plugawych chłopiat, od zbytniej czeladzi, bo co z młodu widzi, słyszy, to mu się snadnie wbije w onę młodą pamięć jego, i także z nim będzie rosło. Bo i od starszych to słychamy,

iż lepiej to więc pamiętają, co się z młodem około nich działo, niżli co przed małym czasem czynili. Boć może dzieciątko czyście się igrając i paciorka i łacieńskich słów wiele nauczyć, i *a*, *b*, *c*, bardzo mu się snadnie, igrając, w pamięć wbić może. Nie dajże mu też wiele lada czego szczebiotać, jako to inni bardzo radzi widzą, a zowią to szpaczkiem; bo jako mu to w zwyczaj wnijdzie, tedy mu potem z tego wszeteczeństwo urosnie, którego potem trudno oduczyć będzie. Także też i panie matki około dziewczeczek swych powinny takąż pilność mieć, gdyż to jest naród mdły, a na wszystko snadnie nałomny. Abowiem wierz mi, iż młode wychowanie roztropne, siła potem obyczajów dobrych na starość każdemu umnożyć może. A widzimy to i między rodzoną bracią, iż jeden doma źle a swawolnie wychowany, jaki jest brzydkie w obyczajach swoich, jako jest niedbały w sprawach swoich, iż wszystko snadnie i utracić, i sam się w niwecz obrócić może. A drugi, który będzie dobrego a poczeiwego wychowania, wszystko ono za nim chodząc pozbiera. A przytém różna wdzięczność i różne uważenie obyczajów u ludzi poczeiwych będzie jednego i drugiego.”

To, co nam dziś prawią o wielkiej surowości wychowania dawniejszego, niebardzo się tu przebijają; owszem zaleca Rej łagodność jako najlepsze ku ukształceniu narzędzie. Dziś często nadto swobody i swawoli, a spojrzawszy na dzieci jak się przy rodzicach znajdują i z nimi obchodzą, nie wiedzieć śmiać się czy płakać. Wystroją je, wychuchają, wypieszczają, wydelekają, tak, że panicz w tych wygodkach ani się domyśla, że życie surowe i obowiązki go czekają. Toć potem broi a dowodzi, bo mu się łatwo zda, że go na używanie tylko i swawolę tak wypieścili.



Już tu przestrzega Rej, aby dzieci samopas z czeladzią nie puszczać i z chłopięty swawolnemi nie dać im się zadawać; dalej jeszcze nastaje na to bardzo, bo snadź w szkółkach małych, w których bywał, siła się uapatrzył między pauprami dokazywania.

Chce więc, by dziecię co dłużej to lepiej doma się sobie hodowało, i żeby mu nauczyciela wzięto osobnego, byle go zaraz z młodu „łamać twardemi a wichrowatemi naukami nie dawano,” bo mu snadnie, dodaje, w młodej głowie wszystko pomiesza; „ale co najpilniej uczyć go czyść (czytać) a pisać, a po trosze słowa na polski język wykładać (rozumie się z łaciny)... Boć nieraz grammatyka z logiką nie wiem i staremu by się czasem nie uprzykrzyła.”

Co dawniej z łaciną, dziś się robi z francuzczyzną, że mu zaraz po trosze dają wykładać z niej na polski język, z tą różnicą, że co dawniej było trochę łaciny a reszta swojego, to dziś dużo francuzkiego, a swojego byle na pilną potrzebę; bo to powiadają: — Nie ma się czego uczyć swojego języka.

Wychodzą też u nas tacy, co po francuzku *expedite*, a po polsku ani w ząb.

Rodzice ani patrzą, że kto po francuzku się uczy mówić, ten i myśli po francuzku, a choć to niby nie, ale słówka i frazesy tak za sobą samą myśl wleką, że ani się opatrzy, jak ją ze swój ziemi sprowadzą. I będzie sobie taki panicz Francuz domorosły, co go we Francyi do nieczego użyć, a doma témbardziej.

Obawiał się Rej grammatyki i logiki; dziś to już nie straszno, tych wichrowatych nauk nie ma, wszystko się leciuchno w główkę kładzie: zabawką, gawędką, przysmaczkiem, — ale niedługo też tam bawi. O logikę

nie ma co pytać, bo się jój dawno nie uczymy, i w życiu jój też niebardzo widać.

Następny rozdział poświęcony jest wychowaniu religijnemu, w którym Rej powstaje na nowiniarzy już snadź za jego czasu do tego dochodzących, że niemal w Boga nie wierzyli. Musi nawet istnienia Boga dowodzić, co Pismem Świętém wyprowadza; a wpadłszy na ten przedmiot, niełatwo się od niego odrywa. Wypowiedziawszy przymioty boże, jako je dziecku potrzeba wykladać i wpajać, jeszcze powraca raz do przestrogi, aby dziecku głowy zbytkiem zawiklanych nauk nie mieć.

„Niechże go z młodu nie bawią, powiada, owemi grammatykami, logikami, arytmetykami, boć to i na stare przytrudniejszemu, albo owemi zawikłanemi poetyckimi fabulami. Bo co mu po tém jako Circes ludziom głowy odmieniała, albo jako Ulisses pływał, albo co Helenka broiła, albo co Penelope czyniła, acz to potem powoli, gdy się już czego inszego poduczy, nie zawadzi sobie dla krotochwili czytać. Ale niech czyta historię owych zacnych pierwszych ludzi, jako się onemi dziwnemi rozumy sprawowali, jako nieczego inszego nie patrzali jedno sławy i cnoty, a poczciwości, jakie były dziwne sprawy i żywoty ich, a nie ku czemu innemu nigdy się nie ściągaly, jedno ku enocie, a ku sławie wiecznej swojej. A nie czynić gwałtu zbytniego w przyrodzeniu, bo więc widzamy drugie, iż się tak zaczęła ( zaczytają) albo zamysła, że i od pamięci odchodzą, a omdlewają, co to na potem onej młodej fantazyi wiele zaszkodzić może.”

Znać z tego, że szlachcicowi weale uczonym być nie życzył nasz moralista; obawiał się nawet zbytniej a próżnej nauki dla niego i zaczytania a zamyslenia,

bo słuszenie w owe czasy do czynnego życia był przeznaczony. Niedawnemi jeszcze laty to, co tu mówi Rej o mitologii, dałoby się powiedzieć z zupełną sprawiedliwością, bo nie było książki dla dzieci, w którejby Jowisz i Prozerpina nie figurowały. Upamiętano się przecież, że katechizan potrzebniejszy.

Rej chce mieć człowieka, nie zaś sroczkę i szpaczka, ani studenta; za wczasu go też sposobi do życia, do czynu, do ukochania pocziwój sławy.

Co się tycze tój ostatniój, zmienily się rzeczy nieco... Dobrze jest mieć sławę pocziwą, ale ona już nie jest pierwszym celem życia, i w tém postąpiliśmy nad owe wieki. Czynimy lub czynićbyśmy powinni raczej dla sumienia niż dla sławy, pamiętając o Herostracie, który na mię pracując, dorobił się sławy wcale nie do rzeczy.

Powraca jeszcze kn swemu staruszek niepotrzebnie, i przydlugo przykładami Dyogenesa, Aleksandra, Arystotelesa wywodząc, jako są różne przyrodzenia ludzkie i chęci, a co to jest życie swobodne.

Pojęcie życia całkiem tu jeszcze pogańskie, a całą tajemnicą jego: mało pragnąć, niczego się nie lękać i mieć myśl niezafasowaną zabiegami światowemi.

Tak to ougi bywalo; ale dziś któżby to śmiał radzić niewiele pragnąć? Uczynay od dzieciństwa owszem pragnąć jak najwięcej i zdobywać. Tu różnica ogromna w pojęciach wieków. Na malém przestawać nazywalo się mądrością, dziś jest śmieszniem; a znaleźćby się mędrej ekonomisci, którzyby dowiedli, że to usposobienie nawet społeczeństwu jest szkodliwe. Jednakże możnaby i wiele zdobywać, i posiadać tę mądrość przestawania na malém. Wcale też inaczej uważano świat materialny w owe czasy a dzisiaj: wówczas

walka z nim się wiodła o oswobodzenie od niego, dziś o podbicie go i opanowanie. Dyogenes rzuca niepotrzebną ezarkę do wody; dziśby tylko kupił gumelastyczną, aby mu jak najmniej zawadzała w kieszeni, a pewnoby się targował, aby ją jak najtaniej dostać.

Znowu tedy Rej nastaje na naukę (której sam nie miał), aby jej dać pokój, a cnoty uczyć przedewszystkiém, nie martwego słowa; boi się bowiem, aby dziecko na paplę i na papugę nie wyszło, a serce mu od tego nie zaschło. Mać on bo słusność, że za wezasu zbytek formek nie potém; ale grubo się też myli, naukę stawiając w antagonizmie z ukształceniem moralném.

Szeroko tu o tém i z właściwą Rejowi plastycznością opowiada się o małym użytku grammatyki, geometryi, astronomii, muzyki, arytmetyki, — bo nawet stanowi rycerskiemi właściwemi ćwiczenia niżej kładzie od moralnego urobienia człowieka, którego inaczej nie pojmuje, jeno wprost i bezpośrednio otrzymaném, nie wiele ufając temu, co mimochodem inne nauce dać może.

„Uczy się zasię drugi szermierstwa, anoby się lepić tych sztuk wyprawić, któreby były nadobnemi obyczajani ozdobione i przyehędożone, którymby się ludzie i dziwowali, i z nich przykłady brali. Uczy się drugi jako konia munsztukiem załomić, jako mu go przypawić, i jako im zataczać, i jako go z razu wybość (z miejsca zażyć), anoby się pierwój nancezyć, jakoby swą wolą a wszeteczność w sobie załomić, a krygu na nią przypasować... i t. d.”

Stary gaduła puściwszy się w te przykłady, lubuje sobie w nich widocznie; wszystko mu nie, byle człowiek był starego pokroju, silny duszą, pan siebie

a poczeiwego serca, i to na czele kładzie, a z celem powtarza, jakby jeszcze niejasno myśl objawił.

Wskazawszy czego nie potrzeba, dalej dopiero uczy, jak się z dzieckiem obchodzić i co z niém robić. Tu już onego wychowania dawnego pokażą się nam nareszcie ślady. Jak tylko dzieciak podrośł, wiecie co najpilniój Rejowi z nim zrobić?... dziśby to trudno zgadnąć, ale wówczas nie mogło być inaczej... Oto go na konia posadził.

„Potém,” pisze, „gdy też ona młodość podrastać będzie, nie wadzi mu też poczedzsy sobie czego potrzeba, nauce się i konika osiaść, i jako sobie na nim poigrać. A jeśliby mógł i drzeweczko (drzewce, kopię) znieść, tedy i to nie wadzi z niém sobie poigrać, ręką uważać do pierścionka albo czapeczki pomierzyć, a poduczać się z młodu co by się i na potém przygodziło...”

„Też mu nie wadzi czasem z poczeiwem a nie z opilém towarzystwem posiedzieć, pomówić, pożartować; bo ztąd i ćwiczenie, i zachowanie na potém, i znajomość roście.

„Nie wadzi mu też czasem ponczyć się i poszermować, i poskakać, i na luncie pograć, wszystko to są poczeiwe zabawki. Azażby lepiej leżał, jak wieprz w barłogu, a marnie czas tracił, co jest drogi klejnot?... A nie nie może być szkodliwszego młodemu człowiekowi, jako niekzemne próżnowanie. Bo to widzimy w koniach i innych zwierzętach, iż im je najczęściój ćwiczą a wyprawują, tém też najosobniejsze bywają. A kiedy będzie stał jako wół, tedy też z niego wół będzie.”

Radzi potém znów, aby naturze gwałtu nie zadawać, a zbytnio się ze wszeciem ćwiczeniem nie śpieszyć.

Streściwszy tedy co dla szlachcica za najpilniejsze uważał, znajdziemy najprzód hart duszy, bo ten tu przodkiem idzie, religijne zasady, dalej trochę czytać a pisać, i ledwo odrósł od ziemi, koń, kopia, szabla, a towarzystwo pocziwe i trochę nawet krotochwili.

Bardzo Rej na to nastaje, aby szlachcie i za młodu starszych się sprawom przypatrywał, a od towarzystwa nie był odsunięty; żeby wcześniej mógł porobić znajomości i stosunki, które dawniej za wielką dźwignię w życiu się uważały. Dziś wszyscy unikamy wszelkiego, krom wyższych, towarzystwa; boimy się znajomości, niemal uciekamy od równych...

Tu już za młodu ledwie wychodzącemu z dzieciństwa, każe Rej stać za krzesłem pana ojca i przysłuchiwać się rozmowie, a za czasu sobie serca jednać i zachowanie gotować. Na tém dawniej stało owo życie szlacheckie, którego dziś nie ma ani śladu, chyba po wsiach i tam, gdzie nowego wieku obyczaj nie doszedł jeszcze... Kraj szlachecki z końca w koniec był sobie krewny, braterski i tak solidarnie związany w całość, że gdyś dotknął jednego, wszyscy zadrgali. Ztąd dla wychowanka swego Rej pragnie co najrychleń przypuszczenia do tej jedności szlacheckiej, i zaraz go tam stawia, gdzie starsi siedzą, aby ich poznał, i nauczył się starych tradycyj i wziął od nich to słowo żywota, które my dziś sami sobie musimy wymyślać.

Tu już ogromną w słówku jedném widzimy różnicę wieków. Zamiast się łączyć i spajać, my się rozdajemy i stajemy każdy swoim dworem, każdy swym rozumem i każdy twarzą do innego Boga.

W dziecięcém wychowaniu naszym nie ma nigdzie przepisu zespolenia się ze swoimi i poddania ogólne-



mu prawni narodowemu, owszem jest pragnienie usamowolnienia i stania odrębnie a niezależnie od swoich; dawniej i ta służba po dworach nieczem inuعم nie była tylko nowicyatem w wielkim zakonie rycerstwa, choć to się później w zbytnią przerobiło służbistość. Ale z razu był to obyczaj wielce piękny i pożyteczny. Niejeden ojciec wziął uboższego od siebie szlachetkę do swego dworu, a syna oddał możniejszemu na owo harcowanie w rycerskim rzemiośle. Jechał pan na dwór, owa młodź z nim; szedł na wojnę, towarzyszyła mu; zabawiał się doma, przypatrywała się radzie i zabawie.

Ztąd rosła owa jedność i jednostajność stanu szlacheckiego, ów mocny jego związek, którego dziś nie ma śladu; ba! nawet uczucie, z jakim podówczas na rozdrożu nieznajomy witał nieznanego brata, znikło bez pamięci o nim.

Więcej się sobie obawiamy niż pragniemy, i idziemy po jednemu; może dla tego tak nam ciężko i ciężko.

Jedną z wielkich potrzeb społeczeństwa naszego jest zjednoczenie wszystkich stanów, których rozdział zapowiada rozkład zguby. Przygotować je wszelkimi możliwymi i uczciwymi środkami, powinno być zadaniem uprawiających czyn i myśl. Gdzie niezgoda i nieufność panują pomiędzy klasami jednego narodu, nieszczytnie jednę ziemi, a co gorsza nawet jedną warstwę towarzystwa, tam się niczego dobrego w przyszłości spodziewać nie można. Ten kto je waśni, budząc namiętności, stawia przeciw sobie i wywołuje do walki, ciężko za to odpowie przed Bogiem i przyszłością. Zgodą tylko i jednością do siły wzmódl się można; waśń wyczerpuje największe zapasy ducha i potępi na dzieło zniszczenia.



Takich waśni, uiestety! mnóstwo u nas z dawien dawna rozpoczętych, przerywanych, uspokajonych i znowu się odnawiających: taką jest nieprzyjaźń między możnymi i arystokracją a stanem średnim, między szlachcicem a wieśniakiem, między kupcem a właścicielem ziemi, między wszystkimi niemal, którzy jednak więcej nczuć wspólnych i środków porozumienia niż do niezgody powodów mają. Każdy kto za wojnę woła, nieprzyjacielem jest własnego kraju i jego przyszłości, bo i pismo już wyrzekło, że naród w sobie rozdzielony upadać musi, a wyrok ten wykonywały i wykonywają wieki.

W towarzystwie starszych, na żywój rozanowie i ćwiczeniu Rej zakładał najglówniejszą wychowania posadę, pamiętając, iż pismo nigdy tyle nie działa, ani książka chłodna uczynić może, co wyraz z ust i wprost od serca płynący.

„Albowiem tak dawno powiedają, dodaje, iż lepszy jest zawsze żywy głos, niż zdechła skóra, co ją na pergamin wyprawiają.”

Wychowanie też dawne, jak z tego widzimy, zasadzało się całe niemal na żywém podaniu, na słowie codziennego żywota popartém czynem, na przelaniu, że tak powiem, temu człowieka jednego w drugiego. Dziś to wszystko zastąpiła książka, jak Rej powiada zdechła skóra, a po dzisiejszemu, wyszarzany galgan. Dobry-ć to zastępca, ale człowiek lepszy jeszcze od książki.

Młodemu surowo przykaznje Rej, aby pilno słuchał, a w pamięci zachowywał, aby tradycya nie zaginęła.

Tak tedy chłopię swe podhodowawszy, do konia je i kopii nałożywszy, wwiódłszy w obcowanie ze starszymi, gdy go już mocno utwierdził szlachcicem, myśli

nasz staruszek, że nieźleby mu było do obcych się krajów przejechać.

Tak dawniej czyniono, ale weale inaczéj niż dzisiaj. Starzy teraz jeżdżą tylko poswawolić a świata się przypatrzeć; młodych na naukę nie wyprawiają weale, lub nie w ten sposób jak bywało. Że widzenie świata po za granicami swojego kraju potrzebne, ani słowa; że zasklepicie się w domu szkodliwém być może, gdy całe pokolenie bez posilku i związku z ludzkością się zostawi, najpewniejsza; ale i to pewna, że microztropne podróże gorsze są od głupiego zadomowienia.

Posłuchajunyz tylko, jak to tam ongi za tę granicę wyprawiali młokosa.

„A gdy już sobie pan młody podrośnic, a jakiem takiem ćwiczeniem domowém wždy też sobie główkę naszychtuje, aby się wždy nie wyrwał lada jako wilk z sieci, nie wadzi mu się też czasem i do cudzych krajów przejechać, a zwłaszcza tam gdzie są ludzie pocierni (umiarkowani), trzeźwi, obyczajni, a iż się rozumem a pocziwem naukami parają. Bo to i doma często widzamy, iż mało nie w każdym kraju są różnych obyczajów ludzie.

„Bo jako się gdzie w którym kraju zamnoży opilstwo a niepotrzebna włóczęga, to już tego za nieczemnego mają, kto w onym spółku nie bywa, a tego też towarzystwo nie pomaga.

„Najdziesz też w drugim kraju, iż lada krzywda tak będzie poważaua, coby ją mógł kilkiem słów odprawić; wnet już pancerze szorują, arkabuzy szrubują, harnacze skrzypią, aby jedno zwyczajowi dosyć uczynić.

.....„Najdziesz też w drugim kraju, gdzie się koze-

ra zamnoży, ano szkapy u zedłów powiązane stoją, ano się łańcuchy tarzają, szable się walają, talery się kołaczą, a równie jakoby między kotlarzami na Grodzkiej ulicy stał, kto już tam w owęj zgrai będzie...”

Pilno więc przestrzega Rej, aby młody człowiek co się puszcza w podróż, szukał gdzieby się czego mógł nauczyć, przysłuchać i skorzystać. Wcale to nie dla ciekawości modnych obyczajów go wyprawia, ale dla duchowego pożytku; nie idzie mu o to jak gdzie siedzą i co jedzą, ale gdzie co dobrego jest i jakby tego sobie dostać.

Wybór tedy kraju najprzód pilno poleciwszy, a przyzwoite zachowanie, bez czego podróż do niczego, już mu daje na koń siadać staruszek, ale nie bez towarzysza „umiarkowanego a statecznego,” z którym coś niedługo potrzymawszy go za domem, każe mu zaraz powracać pod rodzicielską strzechę. Jak cznie koło niego się troszczy za krajem, aby mu nieslawy nie czynił, aby przyzwoicie a umiarkowanie się zachowywał, jak go wie dzie i ukazuje niebezpieczeństwa, nagli, by z próżnemi rękami nie przyjechał,—i dziśby jeszcze ku zbudowaniu naszych corocznych peregrynantów odczytać można... Ale mybyśmy poziewali, takie to oklepane rzeczy!

Cóż kiedy jak stare nanki, tak i stare obyczaje w wielu się rzeczach niekoniecznie dobrych zachowały, a wady, które Rej młodym wytyka, do dziś dnia jakby je w spirytusie zakonserwowano.

„Jest to wada w przyrodzeniu człowieka młodego—powiada moralista—iż nie tam gdzie rozum chce, ale tam gdzie go nałomne a swawolne przyrodzenie, nie inaczej jedno jako za rękaw ciągnie. A zawsze mu

się tego chce, aby się czemni nowemu albo przypatrywało, albo go jakośkolwiek też skosztowało, a zawždy jako w kotle aby się mieszało. Bo acz się trafi czasem tak szlachetne przyrodzenie, które bez wszego przymuszenia i za malém ćwiczeniem "do cnoty a do dobrych obyczajów samo pociągać się będzie; drugie się zaś trafi, które widząc w ludziach sprosne obyczaje, któremi się zaeni a mądrzy brzydzą, i od siebie je odpychają, widząc też w drugich piękne sprawy, którym się ludzie przypatrują, i do siebie ciągną i jeszcze mlodo w pocziwości mają... tedy to sobie rozważywszy, bywa też jakoby niejakiem przymuszeniem do cnoty, a do dobrych obyczajów przyciągniono...

„A przypatrzysz się dobremu — dodaje — nie być ci też oną kozą, co dziurą przez płot na kapustę patrzy, a tylko iż oczyma onę swoją chuć odprawi; ale co ujrzysz pocziwego a piękneimi enotami zafarbowanego, to sobie tak miłować, nunkrować, a mocno w pamięć zasrubować masz, i tém się parać, i tém się bawić, czémby się ów twój stan pocziwy co najpiękniej zafarbować i ozdobić mógł.“

Wiele tu tedy rad pocziwych nasz stary gdera sypie jak z rękawa, a powtarza, a prosi, a modli, jakby rodzonego syna owego mlodzienszka, aby mu powrócił do domu panem siebie, nie zaś poddanym namiętności i świata tego, co rzecz gorsza niż na Wołoszczyźnie dostać się w niewolę. Malatury charakterów wśród téj gawędki starszka, takie gdzie niegdzie przychodzą, że aż na nie popatrzeć miło.

Tępych a bojaźliwych i nieśmiałych tak tu odnawiał, jakby z natury wziął: „Tępego a bojaźliwego ujrzysz gdy co chce poważnego mówić, aliści on piętą

wierci, palce skubie, brodę muszece, postawki stroi, rzekomo szepluni, umizga się jako czapla w kobiele, a każde słówko na troje przekąsi...

„Ale gdzie umysł stateczny poczeiwie ozdobiony, a iż na się nie wstecznego nie czuje czego by się powstydzić miał, tedy już i wzrok, i słowa, i postawa jako u orla, co wszystko w słońce patrzy, a jako u onego hetmana, który rycerstwu swemu i sprawą i postawą swoją dobrą myśli dodawa, także też ten onym co go słuchać mają.”

Znając dobrze pochopność naszą ku łatwój odniamaniu myśli i brak wytrwałości, Rej nastaje silnie na zahartowanie charakterów, na umocnienie ducha, któreby się i dziś przydało. Przedziwnego też użył tu porównania, którego mu zapewne przypsute lamperyc nagłowieckiego dworu dostarczyły.

„Jesteśmy bardzo podobni ku onym spróchniałym ścianom, które bywają po wierzech kęs owym cienkiem malarzkiem złotem powleczone, pod którym złotem nie masz nic jedno szpetne drewno. Także nmysł nasz tylko się po stronach z rozmysłem swym wierci, a nigdy przy statecznej stałości nie zostanie; a mało niejako spróchniałe drewno, tylko iż postawką kęs, jako malarzkiem złotem będzie powleczone...”

Przestrogi podróżującemu są bardzo trafne, aby się nie dał oszukać fałszom złota i pozorom uwieść, a trzymał się gdy najdzie co dobrego i naśladowania godnego, i nie samych ciekawości szukał za granicą. „Małoby pomogło, choćbyś widział Etnę palającą, rzeki bystre ciekące, morza one srodze burzliwe, wieloryby po nich pływające, syreny śpiewające, kokodryły (!) albo smoki latające, miasta, zamki i palace rozmaicie się błyszczące, jeśli też do domu w obyczajach przy-

niesiemy cohomy byli z sobą wzięli.” Uczyć się tedy każe a pilno postrzegać, aby z próżnym workiem i głową do pani matki nie wracać. Skromnego też i zaenego a wytrawnego mlodzieńca, jak w domu przyjmą, gdy zobaczą przyzwoitym a uczonym ludzie, przepowiedzieć mu łatwo. Nie będzie potrzebował jednać sobie przyjaciół charty, jastrzębiami i darani, sami mu przyjdą; stateczność poskromi zuchwałych, coby się radzi targnęli, i pociągnie serca wszystkich.

Jeszcze tu wszystko niemal ogólnikami nas zbywa starszek, niewiele życia wzorując, a dużo prawiąc moralów, takim stylem malowanym a wypukłym, że aż miło. Snadź mu to plynęło snadnie, i nie szczędzi też, rozgadawszy się, słów a przykładzików i obrazeczków.

Stara tedy następnie przypowieść o dwojakięj drodze, którą chodzą cnota z rozumem i ślepa fortuna, niewiele warta zachodu pocziwego człowieka, bo mu jedynie *cnota* celem żywota i ostatecznym końcem być powinna.

Tu już widzę, miły czytelniku, jak mi się z tych starych bajów usmiechasz; bo one, powiadasz sobie, dawno do przedpokojn powędrowały, a dzisiejszego dnia inaczej się to i milęj wyraża i nie tak srodze drogi cnoty i fortuny odróżnia. Ba, radziiby niektórzy nasi dziś dowieść i pokazać, wbrew staręj bajce, że cnota z fortuną pocałowały się, pogodziły, i często nawet wygodnie sobie, ujawszy się pod boki, razem chadzają... Bywa-ć i tak, ale bywa inaczej.

Całą mądrością naszego wieku jest dowieść, że fortuna równie potrzebna jak cnota, i że ona nie taką jest owęj królowej nieprzyjaciółką, jak sobie dawniej gadano.

Nie wiem czy kogo to uderza, jak tu starych lat po-

jęcia o rzeczy niesłychanie się zmieniły, jak się prze-  
robiły do niepoznania. Dziś takich aksyomatów nie  
ledwie nam wstyd, tak się jakoś zastarzałemi i spleś-  
niałemi wydają. Nanka poskramiania żądz, pomiar-  
kowania chuci i przestawania na małym poszła zupełnie  
w kął.

Rejowi o tém uchodzi prawić, ale nowożytny mo-  
ralista całe ci inaczej dowiedzie i z innój beczki uczyć  
musi. Powie ci on, że cnota jest... wprost najlepszą  
służebnicą fortuny, i że nią najbezpieczniej można się  
czegoś dorobić. Nie mogąc już inaczej przemówić do  
przekonania wiekn, który bez chleba z masłem obejść  
się nie może, musi prowadzić go przez cnotę do mie-  
nia i nasycenia.

Zadajcież mi, że tak nie jest. Dowiodę tysiącem  
przykładów, że dziś cnocie, owój królowej Reja, nie  
inną rolę moraliseci dają, jeno pierwszój służebnicy for-  
tuny. Dzisiejsi też uczciwi ludzie nie mają miny ko-  
chanków cnoty, ale jój dworaków, oczekujących, żeby  
im jurgielt należny brzęczącą wypłaciła monetą.

Wracając raz jeszcze ku podróży, takie powtarza  
admonicye staruszek, ku domowi wychowauca prowa-  
dząc:—„A tak i ty mój miły panie młody, któregożkol-  
wiek stanu będziesz, jeżeli cię Pan Bóg kiedy w jakie  
postronne kraje, albo w różne narody obróci, miejże  
też to na pieczy co przedtém też wieley a zacni sta-  
nowie miewali. A nie dosyć na tém, abyś się tam je-  
chał dziwować wystawionym palacem, albo przedtém  
niewidomym kształtom, ale się przypatruj ludziom i ich  
kształtom a obyczajom, zwłaszcza takim, z którychbyś  
miał słuszne przykłady brać...

„A nie daj czasowi nigdy darmo upływać... A tak  
albo czytaj, albo się wždy czego ucz, albo się czemn



przypatruj, a rozeznawaj sobie, upatrując nadobnie co lepsze a co gorsze... Bo bierze też pszczoła i na śmiciach, i na gnoju, i na błocie, ale cóż bierze? pierzgę, która się ni nacz przygodzić nie może, a z potrzebnych ziołek tedy zbiera wdzięczny a potrzebny miód..."

Z czém się teraz powraca do domu, i czy nie najczęściej z ową pierzgą?? powiedzieć; a czem się przysłada? a co się przywozi?

Żaden młody dohrze wychowany człowiek nie minie Paryża, żeby Mabilu, Closerie des Lilas, i Chateau Ronge, i teatrzyków na polach Elizejskich nie zhadł, żeby bulwarowych sklepów i traktyerni na Rivoli, i kawiarni a magazynów w Palais-Royal nie studyował. Spytażże go, czy choć Luwr i luksemburską galeryę, muzea i bibliotekę rozpatrzył? czy się czego nauczył? czy na gospodarstwo spojrzal? czy stan kraju badał? Odwróci się jak od nieznosnego pedanta.

Zna on pewnie najlepszego krawca cesarskiego, który mu krawał kieszenie, ale nie wie nazwiska nauczycieli Akademii i nie zna nawet organizacyi instytucyj naukowych... Powraca więc wystrojony, utrefiony, pachnący, doskonale wiedząc z największą pewnością, jaki kiedy kładzie się surducik, jaki krawat, jakiej barwy powinny być spodnie i kamizelki... zna zapach najnżywańszy, za który odziera Guerlain... wie co się dzieje za kulisanii Opery, w której stallach zasiadał, i za kulisanii świata, na który z krzesła w Polach Elizejskich lub Bois de Boulogne z dala poglądał z zazdrością;—ale po za tém o nie go nie pytaj... Jest to młodzian tak dopełniony i pewien siebie, skoro przez Paryż się przesnął, że dla niego nauczycieli i książek nie potrzeba... Kobiety za nim przepadają, lada dzień ożeni się bogato, i czegoż mu więcej potrzeba, gdy na

fartuszkę siedząc, próżnować sobie będzie mógł i nosi obeisłe rękawiczki na bieluchnych rączkach, co na chleb zapracować nie umieją?...

Jeżeli jeszcze broń Boże, choć powąchał dymu londyńskiego, choć przeszedł się od Kapitolu do Kolosseum w Rzymie, i jadł ostrygi w Neapolu, i zwiedził oberżę ajearskie, a piorunem prześliznął się po kolejach niemieckich—przystąpić do niego trudno... Jest to coś naksztal owego pielgrzyma, co odbywszy wyprawę religijną do Mekki, kładzie zielony turban i raczy się cześć powszechniej ndzielać... czując wielkość swą więcej niż wyrazić może.

Pisano już i mówiono o tém dużo, jak z za granicy młodzi i starzy, panowie i panie wracają nam; nie ma co próżnych narzekań powtarzać. Ale zaprawdę smutnać to rzecz, ile nilego, w pocie czoła zapracowanego grosza, którego nam tyle na urządzenie się w domu potrzeba, idzie maruie po cudzoziemskich oberżach i gorzej jeszcze!

Ale otoż nasz wychowaniec domą; wróćmy do niego lepiej i patrzmy, jak go to dalej na człowieka krajowi pożytecznego nasz Rej sposobić będzie.

---

## V.

„Potém, gdy już do domu przyjedziesz, pisze nagłowiecki pan, z takimi pięknymi sprawami swojemi, możesz wielką pociechę powinowatym swym uczynić. Nie odmienając się jako marzec na wiosnę, gdzie jednego dnia będzie i deszcz i jasno i krupy, ale stój statecznie przy swych pocziwych obyczajach, a nie daj się młodości ani onemu nowemu towarzystwu mnosić.

„Albowiem jeśli z niemi z przodku nie będziesz pić, grać, ceklować a łotrować, wnet cię będą Włoszkiem albo Niemczykiem zwać. Wnet mówić będą, iż to z tego nie dobrego nie będzie, bo wszystko fantastyknjąc, stroną chodzi. Ale ty się temu nie nie przeciw, bo gdyć się po chwili lepiej przypatrzą, i z postępków, i z rozmów, i z pisanych obyczajów twoich, ujrzą w jakiej miłości i powadze między nimi będziesz. Bo możesz ty sobie bez wszetecznego opilstwa albo nieszczemnej biesiady zachowanie uczynić; jedno tesaczkiem (szabla prosta), gdy przed niemi sztukę nadobną wyprawisz, drugie też luteńką, a najwięcej wdzięcznemi rozmowami, gdy im to będziesz powiadał o czém nigdy nie słychali, albo to im okazywał czego nie widali,

albo też czasem im czytał o czém pierwój nie wiedzieli...

„Nie bądź też zasię jako darmo leżące drewno, pytaj się o zwyczajach onój ojezyny swojój, pytaj się o sprawach Rzeczypospolitój, pytaj się w jakim prawie siedzisz, a staraj się, byś nie opuścił coś powinien Bogu, sobie, przyjacielom i ojezynie swój. Nie lenujże się też przyjacielowi ku każdej pocziwój posłudze jego.

„Wiedźże też o koniku, o służce, o swych rzeczach... i t. d.”

Pierwszą rzeczą, którą zaleca po powrocie Rej, jest jak widzimy ze słów jego, aby się pan młody najprzód dowiadywał o zwyczajach domowych i sprawach krajowych.

Dla nas dziś nie pilniejszego, niż tém co domowe gardzić i co swoje wysmiewać. Pojedzie kto wychowany w domu nie po domowemu, nasłucha się i napatrzy cudzego, a swoje mu już śmierdzi, choć go nie zna. Ani się potém dowie, na jakim prawie siedzi, a zetknąwszy się ze wszém swojskiém, tylko na to nosem kręci.

Ta obojętność na sprawy domowe niezmiernie nam jest szkodliwą; pod jój to wpływem kraj nasz zerwał prawie z przeszłością, i tradycyję uczyć się musi dziś własnych, jak hieroglifów zapomnianych. Przez lat kilkadziesiąt, jeśli nie więcej, pod pozorem cywilizacyi zerwaliśmy tak dalece z domowemi sprawami, że nowe pokolenie rzeczy swoich nie знаło wcale. Dziś, gdy już i wstyd przyszedł i opamiętanie, dowiedziećby się czegoś chciało, a nie ma zkąd; pękł sznur tradycyi, i zostaliśmy osamotnieni, dorabiając się nowego życia ze szczątków

rozsypanych przeszłości i materyalów zupełnie obcych. Co się z tego urobi, Bóg jeden wie tylko.

W wychowaniu naszym o nie mniej nie szło niż o swoje rzeczy i sprawy; zostawiano je na ostatek, wprzód sięgając po cudze. Że inaczéj dawniej było, widzimy to choćby z owych słów Rejowych, który przedewszystkiém chce, by wychowaniec jego nieobcy był temu, z czego wyrósł.

Gdy już ma go dom nasz pisarz, daje młodzieńcowi do wyboru stan dworski i żołnierski, bo innego dla szlachcica nie widział.

„Jeżeli się udasz do dwora, tedy wierz mi, iż tam trzeba z tabulatury stąpać, a mało tam nie większéj ostrożności będzie potrzeba niżli w endzzych krajach; bo tam *loquebatur variis linguis*, a rozmaitych spraw i obyczajów tam ludzi znajdziesz; a trzeba tam pilnie upatrować, gdzie stąpić, jako po grudzie bosami nogami, bo tam silna gruda a silny mroz około ciebie z pierwotku będzie.

„A wierz mi, iż trzeba wielkiego uważenia każdéj rzeczy i wielkiéj roztropności, niżli się tam wszystkiemu przypatrzysz. Bo będziec się zdalo, iż cię wnet wszyscy chwalić i miłować będą, między się cię pociągając; ano wierz mi, iż cię tak będą nosić po kołędzie, iż się dlugo nie zobaczysz co się z tobą dzieje, a zwłaszcza jeśli jeszcze będziesz miał jaki dostateczek około siebie. To cię jedni pociągną do miłości, drudzy do muzyki, drudzy cię pilno będą namawiali, abyś z nimi pograł, a nie będziesz li chciał o pieniądze, więc o rozkazanie. Ty będziesz uniemał, abyć się miał kazać obłąpić wygrawszy, a on ci każe posłać po pieczęcią a po garuiec winą.” Gra o rozkazanie dziś nie

w używaniu, ale snadź to było coś jak teraz na fanty, które wykupując należało zrobić czego wygrywający żądał.

Daléj daje rady jak się na dworze zachować, jak ludzi strzedz i siebie pilnować.

„Nie kryjże się też w kąć wedle staniku swego, i nie żałuj tam dać, gdzie ma być słusznie dano. A wszakoż to uważaj, aby się gęba z mieszkciem zgadzała, a nie daj jéj naprzód wyskakować; bo jakoś przodek weźmie, już potem mieszka ledwie kijem do kresu dopędzisz.”

Z panem (królem) zaleca być pilnym sługą, a o nie nie prosić; *satis petit qui bene servit*, a w ogóle nie na zbyt dwór i dworszczyznę zachwala, raczéj od niéj odstręczać się zdaje. I choć najprzód położył dworskie rzemiosło, bliżéj mu ku sercu rycerskie. „Tu, powiada, nauczysz się i dworstwa i gospodarstwa, razem, i cierpliwości, i uacieszysz ochotę żołnierską... Nauczysz się spraw rycerskich, nauczysz się około koni, około sług, i około innych potrzebnych rzeczy sprawy a opatrności, a snadź mało nie rychléj niżli w onéj dworskiéj zgrai darmo leżącój. Bo jeśli się trafi być w ciągnięciu, tedy już tam wielka rozkosz patrzeć na ludzi, patrzeć na sprawy, patrzeć na huffy (hufce) pięknym porządkiem postępujące, nasłuchać się owych wdzięcznych trębaczów, bębnów, pokrzyków, aż ziemia drży, a serce się od radości trzęsie.

„Przyjedziesz do stanu (na stanowisku) nie trzebać już będzie oliwek, limonii ani kaparów dla przysmaków, jako onemu domu leżącemu a rozpieszczonemu brzuchowi. Bo powiadają, iż to najwdzięczniejszy przysmak żołądkowi przeglądzenie. I stanie za limonię i za kapary ona wdzięczna przejażdżka z miłym towarzystwem, żeć tam smaczniejszą będzie wędzonka a ka-

sza, niżeli gdybyś leżał za piecem, na ścianie nogi wzniosł, a w kobzę grając czekał, rychło li obiad dowrę uizlićby przyniesiono bijankę z marcepanem.”

I ta stara anegdotka o pewnym opacie, który sobie był stracił chmę (chęć) do jadła, iż jechał do cieplic, aby ją sobie naprawił. Potkał go jeden rycerski człowiek niedaleko zamku swego, pytał go:

— Dokąd jedziesz miły księżę opacie?—Powiedział mu: Iż do cieplic, abych sobie mógł chuć naprawić w żołądku, bo nie mogę jadać, a będzie mnie to kosztowało najmniej tysiąc złotych.

„— O miły księżę! czemuż na to tak wiele nakładasz? Sprawię ja tobie za dwieście złotych, jedno pojedź ze mną na mój zamek, bo ja tam mam na to uicrównie lepsze przyprawy uizeli w cieplicach.

„Przyjechali na zamek, zamknął mnicha w komnacie i nie dał mu nie jeść tego dnia. Przyszedł do niego rano, pytał go:

„— Księżę opacie, a nie poprawiło się wam nie?

„Powiedział ksiądz, iż bardzo mało. Powiedział mu pan, iż będzie dalibóg dobrze. Drugiego dnia nie dał mu także nie jeść. Rano przyszedł, ksiądz mu powiedział, iż mu się już jeść zachciewa. Przedsię mu nie dał nie jeść. Trzeciego dnia już na urząd nie szedł do niego. Alić ksiądz wyuurzywszy łeb z komnaty wola:—Przez miły Bóg! dajcież co jeść!

Potém przyszedł do niego pan.

„— Otoż widzisz księżę, iż ja to lepiej umiem lekarstwo niż w cieplicach. Dajże dwieście złotych, a jedź do domu z ostatkiem.

I także się stało. A tak widzisz, iż przemorzenie jest czysty przysmak do jadła.”

Po tym epizodycznym ustępie, wraca autor do opisu



życia żołnierskiego, ku któremu ma widoczną skłonność, bo mu w niém wszystko smakuje. I lubuje się czasu pokoju, jak to tam po leżach się rozłożywszy, swobody i ćwiczenia zażywają, jak się do gospody z pobaweczkami znoszą, jak rozmawiają a śmieją się, a nie bez tego, by się bez kufła i tuza żołądnego obeszło.

Tu tedy jedni potem na przejażdżkę, drudzy na łowy, ci z luków strzelają, inni kamieniami rzucają, a zabawy na każdy czas dosyć. Swoboda tego żywota rycerskiego uśmiecha się starcowi, który jęj nieco przy Sieniawskim skosztował; ale przestrzega wychowawca, by jęj nie nadużył i biednego nie dał uciskać, jak to w ciągnięciu i na leżach się trafiało. Lepiej przymrzeć głodu, powiada, suknię sprzedać, niż przekleństwa ucieszonych ściągnąć na siebie! A zawsze lepiej samemu cierpieć, niż być powodem cierpienia.

To była dawna wiara polska, że wszelki grosz źle nabyty nie szedł w korzyść, a krzywda ubogiego przez Boga pomszczoną być musiała. Nasze to przysłowie: „*Male parta do czarta*,” a Rej dodaje, że sam Bóg powiada: „Gdy zawoła do mnie ubożuchny o krzywdę swoją, ja muszę mścicielem jęj być.”

Tu przychodzi anegdotka znowu, z pism Erazma z Rotterdamu wyjęta, o żołnierskiej spowiedzi. Tak dobitnie ona swój czas maluje, że nie możemy jęj opuścić.

Przyszedł z powrotem drab do gospodarza kulawy po wojnie. Ujrzawszy go ten, rzecze:

„— Co ci to? Wyszedłeś jako Merkury pod pierzem, a wracasz jak Wulkan, chromy kowal piekielny.

„Drab na to:—Nic ma się czemu dziwować, tak być musi na wojnie.

„— A czemużeś tak odarto wrócił z tęg wojny? Wszak-ci to tam coś wysługują.

„— I jam ci to był wysłużył, ale się jedno przepiło, a drugie przegrało.

„— A trzecie pono przejadło? spytał gospodarz.

„— Gdzie zaś! odparł drab: chyba bym piwo jadł. Strawy tam kupować nie ma potrzeby; bierze się sobie świnie, kury, gęsi, gdzie kto co spotka.

„— Ależ to cudze! zawołał pierwszy: wszak-ci Pan Bóg zakazał endze ruszać.

„— Ja tam nie wiem czy cudze, ale na wojnie obyčaj taki. Zresztą wypowiadałem się nawet z tego wczoraj przed księdzem u Franciszkanów, co powiadają, że taki ma list z Rzymu, że gdybyś i dyabła zjadł, to cię z tego ma moc rozgrzeszyć.

„— I rozgrzeszył cię?

„— Kazał mi suszyć trzy piątki i cztery środy, dwie mszy zamówić, a potem mi coś mruczał nad głową...

„— Ale nie wiesz co mówił?

„— A co ja mam wiedzieć! nie umiem po łacinie ni słowa.

„— Otoż ja ci powiem, dodał gospodarz. Musiał ci powiedzieć nie inaczej: Jakimeś tu lotrem przyszedł, takim cię odsyłam, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.”

Skończywszy tym dowcipem Erazna, zwodzi z ryckerskiego pola Rej swego młodzieńca i do domu go nazad kieruje, znowu przestrzegając, jak się ma z powrotem z ludźmi obchodzić i dobrych nabywać zwyczajów, a doma też pracować, a nałożyć się tak do czytania, aby „książki na niego warczały.”

Pierwszy okres życia tu się właśnie kończy. Obejrzymyż go i przyrównajmy do naszego wychowania i zwyczajów.

Widzimy najprzód wychowanie czysto swojskie, domowe, pod bokiem rodziców, nauki niewiele, społecznego kształcenia najwięcej. Dziecko uczy się spraw i obyczajn Rzeczypospolitej od pieknych prawie; głowy mu nie lamia nauką zbytnią i papierową, ale żywą karnią prawdą. Unie czytać i pisać, i modlić się, ale zna dzieje swe, i prawa, i tradycye; konia dosiąść umie, kopią robi, szablą mu nie ciężka... Pod wąsem już szła go za granicę, ale z towarzyszem i nie dla zabawki; a gdy wrócił do domu na dwór lub do obozu, innego tu rodzaju życia nie widać, jedno troje: 'gospodarka, dwór i rycerka; a we wszystkich tém trojgu żołnierskie rzemiosło jest w głębi.

Niewiele potrzeba dowodów, by okazać, jakeśmy się od tych czasów odnienili bardzo. Z losami kraju, powołanie szlacheckie żołnierza zupełnie zeszło z oczu. Ono to jednak usposobiło tak dzielnie ludzi, w jakich stare czasy oblitowały. Zakon to był i ciężki, ale zdrowy nowicyat, ta wojna, hartowanie ciała i duszy do czujności, do posłuszeństwa, do odwagi, do nieustraszonéj ofiary choćby życia dla poczciwości i kraju... Cały stary obyczaj polski wynikł z rycerskiego jój żywota.

Ślady rycerstwa są wszędzie; każda z tych starych piersi, które nam przekazały malowania i rzeźby, staje do potomności i popisu pokryta zbroją i z mieczem u pasa. Szlachcie stary po trosze każdy musi być żołnierzem; a nie było takiego, u którego byś zbroi na kolku i miecza nie znalazł, któryby konia nie umiał dosiąść i kopii dźwignąć.

W dzisiejszém wychowaniu nowém, po latach kilkudziesięciu wydelikacenia, które wydały istoty mdle ni do tańca ni do rózania, usiłowano cielesny hart, jaki dawała wojaczka, zastąpić ćwiczeniem gimnastycz-

ném, przekonawszy się, że siła cielesna i zdrowie także coś znaczą w życiu. Ale ta niemiecka gimnastyka jest to lichy surrogat rycerskich ćwiczeń: nie ma w niej tej strony duchowej, tego co wojskowość dawała; formuje atletów rynkowych, silaczy tylko nie ludzi. Widzimy więc rozrosłych olbrzymów, którzy mimo herkulesowej mocy, na papinków duchem wyglądają.

Bój z nieprzyjacielem a czuwanie inaczej wychowywały człowieka: już on się tam musiał nałożyć do pogardy życia i samolubstwa zapomnieć. W prawdzie obozowy żywot uczył i niepotrzebną kozery, i knuła, jak Rej powiada, ale tych tylko, którzyby może i bez tego, za piecem siedząc, rozrywek tych sznkali. Już u schyłku Rzeczypospolitej zagęściła się pijatyka, rabanina szalona i rozpustna; nie było ich za Zygmuntofskich czasów, a wojska w ciągnieniu i na leżach, jak rycerstwu chrześciańskiemu przystało, szły z *Bo-garodzieą* i krzyżem na piersiach, często o głodzie i chłodzie, nie rozpuszczając zagonów na rabunki, ani siebie na swawolę.

Toć potem gdy po latach młodości spędzonych na koniu a w obozie, często w niewoli tatarskiej, na pracy srogięj, powrócił z wojaczki człowiek pod domową strzechę, już to był mąż stateczny a silen duszą, i nie-lada go czém pożyć było można. Dzisiaj... rodzimy my się w cienkich pieluszkach, chodzimy długo na pasku, dużo nank kosztujemy po trosze, a tej nauki życia, którą tu Rej opowiada mistrzynią, ani znamy...

Wprost z ławy szkolnej, albo co jeszcze gorsza z domowego wychowania paniczynkowego, chłopezyk się emaneypuje i rozpoczyna używanie świata. Dają mu wieś, konie, powóz, dom, i puszcza ją go swobodnie, aby sobie igrał.

Nie znając walki, ani zasłyszawszy o niej, człowieczek taki, gdy mu się lada z czém zetrzeć przyjdzie, z ludźmi, losem, pokusą złą, nie ma siły, by im stawiał czoło. Obawia się wszystkiego, każda strata tego spokoju, do którego nawykł, groźna, i rychlej cześć swoją poświęci, niż wygodki. Gdzież tu się i czém może wyrobić charakter? jak zahartować ducha?

Wszystko w dzisiejszém wychowaniu polega na martwej literze, na czczeni słowie, a doświadczenie a ćwiczenie woli człowieka spuszczone z pamięci...

Toć też wiedzieć on będzie dobrze może co mu czyścić przystało, ale nie potrafi tak postąpić jak zakon każe, bo się cierpienia i walki nastraszy.

Widok otaczających ludzi i rzeczy jednego uczy i wpaja mu jedno tylko:—stara się o dobry byt, o spokój, a interes swój tak pogodzić z cndzemi, aby był i wilk syty, i koza cała. O poświęceniach ani słowa, o wytrwaniu w dobrem, ofierze głucho, o chętnym oddaniu się dla prawdy mowy nie ma.

Młody człowiek dochodzi do używania i spoczynku wprzód, niżeli na nie zapracował i zaszłużył; to, co odbiera, zda mu się wypłatą długu, nie zapłatą pracy świat dla niego ma obowiązki, on żadnych...

W dwudziestu kilku leciech życie skończone. Zamiast owego żywota dworskiego, nad którego niebezpieczeństwy Rej się rozwodzi, mamy dziś niemniej trudne miasteczkowe życie, a rzadko młódzież cało z niego wyjdzie. Smakuje ono a wyezerpuje w chwili, tak, że potem resztki zostają na nie niezdatne.

Łatwe przyjemnostki, szafowanie groszem, nawyknięcie do czczej zabawy, szczebiotanie próżne, zalotność i elegancya prawie niewieścia do reszty psują młodego.

Jeszcze na wsi, choć już nie rycerz, chłopak choć zapoluje, choć się z koniem nalomie, choć nie tak się rozpieści, coś mu pozostanie staro-szlacheckiego; a w miasteczku to już z konieczności czy Niemiec czy Francuz. Dalej, niepoliturowanego człowieka jak on sam, na którym łupina przygrabsza, nie potrafi ocenić, ani razowego chleba jeść, ani pod obyczajem twardszym rozcznać rdzenia zdrowego. Dalej, dla niego ten najprzedniejszym będzie, kto najgładziej mówi a robi jak najmniej.

Zawsze ludzie ludźmi, ale wielką przecię wicków i narodów różnica. Nasza przeszłość odłożywszy na bok co jest przypadłością ludzką, słabością i maluczkim cieniem obrazu, jest wielka, piękna, majestatyczna i uroczysta.

Wówczas kiedy nas świat za barbarzyńców poczytywał, dla tego, żeśmy koronek u bótów nie nosili, całą głowę i piersią wyżsi byliśmy od tych, co się jak Indyanie w piórka i muszelki postroiwszy, jak papugi szczebiotu gładkiego się naucezywszy, z sereą, siłą, z ducha i wiary naszej dworowali.

Myśmy to tak wzięli na prawdę, że chętnie zamieniliśmy potęg i suknię naszą rycerską, i sereę chrześcijańską na wiotki ich wybór i mdłego ducha wedle świata. Dziś sami przychodzimy do pomiarkowania, że ta ośmiana i ogadana święta przeszłość, więcej była warta od teraźniejszych obyczajów, w których nie ma jeno słabość, niepewność i tchórzowstwo. Widok to za prawdę straszny! i wiotki, jak gdy kataklizm niespodziany łądy i góry przerabia...

I gdy się człowiek dorwie tego, co mu stare dzieje maluje, podania domowe śpiewa, wonią przeszłości zawieje, na łzy mu się zbiera i boleść.

Nieuczona, prosta, ale *czynem* stokroć to była większa ta przeszłość od terażniejszości gadatliwój i na słowie papierowém budującój wszystko. Chcielibyśmy dziś zwrócić się ku zapomnianym obyczajom, ale ścieżki rozmyły wody, gościńce zawalily kamienie, i nie wiemy jak trafić do niego. Błąkamy się jedni przecznwając, drudzy obliczając, a nikt na stary trakt trafić nie może...



## VI.

Już z dala przewidziany być mógł ten upadek, na który my dzisiaj bolejemy. Wymowne głosy za późniejszych od Reja czasów zwiastowały go z kazalnicy, groziły nim w księgach; tu nasz pisarz, drugą część *Żywota Człowieka Poczciwego* przypisując Albrechtowi z Łaska, także jakby ostateczny sąd i czasy antychrystowe głosi. Snadź już i za niego niedobrze było na tej ziemi.

„Azaż już nie powstał brat na brata? mówi—azaż się nie mieszają królestwa? azaż nie jest uciśniona sprawiedliwość? azaż nie rosną bluźnierstwa przeciwko Panu i przeciwko Kristusowi jego? azaż która rzeczpospolita na świecie w stateczności swój została, aby się zamieszać nie miała? azaż już nie jest krwią niewinną okropion cały świat? a nie wiem już czego innego czekamy, jedno onć trąby, kiedy się nam porwać a zabieżeć drogę przychodzącemu Panu swemu.”

Rozpoczynają się wtóre księgi *Żywota* od wyboru stanu, i tu Rej wierny temu co wprzód był głosił i za co od katolików na naganę zasłużył, cztery stany: małżeński, wdowi, dziewiczy i bezzakonny a wolny

wyliczywszy, znowu nadewszystkie przekłada pożycie małżeńskie. Jest on tu w przeciwieństwie jawném z Pismem, które słusznie najwyżej stawia dobrowolne dziewictwo, a trzyma z nowiniarzami wynoszącymi stan małżeński. Znak to wpływu, jaki nań mieli owego czasu reformatoremie.

Radzi tedy młodzieńcowi, gdy do słusznych lat doszedł, „wziąć żonkę pocziwą a w bojaźni bożej wyćwiczoną.”

Największa jednak trudność, jak ją sobie wynaleźć i wybrać? „Jeden—powiada—szuka sobie żony z wielkich stanów, spodziewając się z tego i powagi, i tytułów, i rozmnożenia jakiego domowi swemu dostać. Drugi zaś nie dba ni ocz, jedno że mu się co z miłości a z dobrej myśli tak bez wszego rozmysłu upodoba, to już wie, jak kozę za rogi. Drugi zaś nie dba o miłość, ani o powagę, ani o urodę, ani się żadnym obyczajom przypatruje, kiloby miała ze dwie wsie a w trzeciej połowie, by też była garbata, i żadna (brzydka), i głupia, tedy jednak będą powiadać, że się dobrze ożenił. Także też i dziewczki gdy kto dawa za męża, też się rzadko rozmyśla na obyczaje, na wychowanie, kiloby miał półczwartęj wsi, tedy wnet powiadają, że bardzo dobrze szła, bo mu się jeszcze po macierzy we dwu wsiach dostanie. Ano dobrze powie, iż szła po macierzy, bo po roku najdalej, aliż nasz pan buja po niasteczkach, a pani też do pani matki na mięsopusty. A tak zda mi się, iż ci wszyscy nieprawie do celu dobiegli, co się tak ożeniam.”

Daliej same obrazy już i niepośledniego pendzla, z gruba rzuca, ale ręką, co nie chybi, i na wszystko tylko patrz, jako żywe. Oto jak skutki tych małżeństw wyśmienicie opisuje:

„Bo ów, co się z wielkiego stanu ożenił, nie może być inaczej, aby wždy staniku swego (majątności) jako tako przyniewolić nie miał, ho już i większym kosztem, i w większej powadze, i w większej trudności ową miłościwą chować musi, niżli powinien wedle staniku swego. Już czerwony rząd musi być na woźniki a niedźwiedzie do kolan, a kohierce z kolebki wywieszają z obu stron, a galki ahy się ze wszystkich stron blyszezały. Już dwie służyste, a trzecia coby im kwokała, a trzy bramy (falhany i listwy) ahy było na każdej. Już ściany obić musi, już z półniski kapusta.

„Przyjedzie gość, już go w większej ceremonii chować musi, bo już musi być wino, z bozą męką malowana szklenica i kasza ryżowa na wiecezrę, bo już się jęczmień dla pani nie godzi. Przyjedzie zasię szwagier w kilkadziesiąt koni, to już na sześć mis zarębnij, już wszystkim równo nalewaj, bo każdy będzie z liim kołnierzem, trudno będzie poznać kie pan. Drugim też do wsi obroki dawaj, owsa dosypnij, że go ledwie gąsietom kęs na wiosnę zostanie, i to w jndle gdzie pod dachem, aby go nie znaleziono. Przyjedzie też zasię pan zięć do pana szwagra, alić konie w karezmie i z pacholki, przywitają go wždy:—O witajże panie zięciu, siadźże panie zięciu, nałóżże też przez pana zięcia!—A na wieki nie spytają, jeśli jadł pan zięć, alho gdzie konie stoją? że czasem niehorak zięć i na czczo się napije, i także i spać do brogn gdzie polezie. A konik, chartek, ptaszek, jeśli się co u pana zięcia przytrafi, to już nie jego, pana szwagrowo, i już się tak każdemu wymawiać będzie.

„Ów też zasię, co się z miłości ożeni, to też żadnym obyczajem długo w dohrym stanie trwać nie może; ho będą prędkie wymówki:—Nie wziąłem nie po

tobie.—Tak, że też zasię ona będzie powiadała:—A któż cię prosił, abyś mnie pojmuwał?—Bo powiadają, między głodnymi niedługo miłość trwała, a snadź i lada mucha jój czasem zawadzi.

Ów też zasię drugi, co się tylko na Grzegorzce albo na Wasilki (na chłopów) rozmyślał, nie upatrując sobie ani urody, ani obyczajów, ani porządku żadnego, tam też sprawa dobra trudno ma długo być. Bo jako pani panu nadmierźnie, a pani też pan, bo to inaczej nie może być, jeżeli zobaczy, że pan wielkuje, to już pójdą każdy w swą; pan do sąsiada zajedzie, ledwie się czasem w tydzień wróci, a pani też do pani matki, albo też gdzie do sąsiady, a czasem się też przygodzi jako ona stara przypowieść, że się mitrega między nimi zamnoży. Pan się imie wójtowej, a pani wójta; więc pan wlecza do wójtowej, a pani też nasypie pełny wór wójtowi, a więc czasem krup nie dostanie do kaszy na wieczerzę. A wójt powiada, iż się mitregą żywi. Ale bodaj zabít z taką mitregą! bo większa mitrega we dwoje, kiedy już w pudle nie masz nic.”

Tak odmałowawszy następstwa ożenien dla imienia, urody i majątku, wieszcznie prawdziwe, bo na znajomości serca i przyrodzenia ludzkiego oparte, radzi stary gdera ożenienie równemu z równą, jako najlepszą rękojmnię szczęścia dające. Zasady tej i dziśby trzymać się nie zawadziło; ale niestety! ogólnie eheemy teraz jeno majątku, i każdy garnie się do grosza. Dla pięknej twarzy niesłychana rzecz, żeby się kto ożenił; dla imienia tylko ci, co swojego żadnego nie mają; dla posagu z kim eheesz i jak eheesz, byle pieniądze. A pieniądze dobrze pracą nabyć, ale je ulapić niewiedzieć jak, i niepocziwie, i niebezpiecznie. Nie mog-

ło też inaczej być w wieku, który zasadza na dobrem mieniu a zaopatrzeniu się w potrzeby cielesne główną istotę życia. Malżeństwo też inaczej dziś się pojmuje: nie jest to zjednoczenie dwóch istot w całość sakramentalną i klucz sklepienia rodziny; jest to stowarzyszenie akeyonaryuszów, z których jeden drugiego usiłuje oszukać. Spółka to teraz nie sakrament, nie ta dozgonna przyjaźń staropolska, gdzie jedno dla drugiego życia i krwi nie żałowało. Szukają paniczowi żony posażnej, obliczają co mieć będzie, wacha i on sam wiosek i kapitałów, potem konkury, w których występuje nad miarę, potem najczęściej zawód obustronny, i biada na cale życie.

Radził Rej swojemu młodemu, aby się nie szarpał na wielkie koszta, dwory i wystawę; „bo małoć na tém, iż bęben przed tobą kołace, a surma wrzeszezy, a chłopci się po płociach wieszają, ukazując sobie, gdzie to pan młody jedzie.” Powiada, że niejednemu, tak do przenosin posagu nie stało, co jeszcze niedawno i myślny widywali; ale dziś z kościoła zajeżdża powóz, i gody się odprawują gdzieś w karezmie na gościńcu. Zwyczaj to nie nasz, i jakoś przykro najpiękniejszą życia godzinę posiać na rozstajach.

„Miej ty Pana Boga dziewosłębem, a aniołów swatami!—wola stary—a bez wszelkich wielkich zalotów uczyni powinności swęj chrześcijańskięj duszy dosyć, wzięwszy z sobą przyjaciela albo dwu, a to, co byś miał na bębny, na surmy, albo na opierzone swaty utracić, lepić iż tém sobie podpomożesz gospodarstwa.”

W obrazie małżeństwa zgodnego, o które nie było trudno owych czasów, są z wielkiem uczuciem nakreś-

lone wyrazy, domyślać się dające, że stary Rej znalazł w swej żonie takiego towarzysza, jakiego tu wyobraża. Ukazuje on, jak stadło takie ma u świata poszanowanie, jakie rozkosze pod strzechą spokojną; a inne rozróżnione małżeństwo, co jak para wilków chodzi krzywo na się patrząc, jak na wilki też oczy sięga, i stronią od niego wszyscy.

Mile tu odmalowane wiejskie zajęcie gospodarzy, w ogródku robota, przechadzki, starania koło domu, pilnowanie tego, co Bóg dał. A we dworku aż się dusza raduje jak czyściźnie, porządku, jak dojrzano i opatrzone wszystko... Na stole obrus biały, łyżeczka i miseczka czyściźnie, chlebek biały, jarzynki świeże, dostatek i wygoda, gdy jedno drugiemu na wysegi stara się dogodzić a pragnienie uprzedzić. Milój to niż dostatek największy, bo każdą rzecz serec przygotowało.

Wreszeie przyehodzą dziatki, „owi przyrodzeni blazenkowie,” jak ich Rej zowie, i jako ptaszatka okolo stołu biegają swiergozcząc, swawola, a uśmiech wywołują na usta... Jedno weźmie dziecieę poda drugiemu, i tak z ręki do ręki ucalowana dziecina usnuiesz ieh do łez oboje. A ktoby ich tak nbawil, jak ten blaze-nek i figlarz?

Mój Boże! a gdzież dziś dzieci, z któremi by się bawili rodzice? i jakby to było nieprzyzwoicie, żeby je wprowadzać do pokoju! Pani czyta u siebie, dziecie z boną Niemką, guwernerem Francuzem, w swoich appartamentach, rodziców ledwie znają...

Już i mniej zamożny szlacheic z Rygi sobie Niemkę wypisze piegowatą, a musi przeieć zbyć się eieżaru, który i jejmości przy jój zajęciach nie do dźwignienia.

Pani ma wiele do roboty! ubranie, korespondencya, książki, ogród, fortepian, salon nareszcie, salon i goście... gdzieżby jój mógł czas jeszcze na dzieci wystarczyć?

Dwa razy na dzień odtarte dzieci przynoszą do poealowania, a sereu bardzo dosyć, zwłaszcza że przyzwoitość wymaga tego, aby dzieci osobnym dworem się wychowywały.

We Francyi to lepiej jeszcze: oddadzą zaraz trzeciego dnia po narodzeniu niemowlę na mamki, często je tam i do lat kilku na wsi trzymają, żeby nie mieć w domu, matka odwiedza kiedy niekiedy, potem odsyłają do szkółki, na pensyę, wreszcie nie znając prawie, wyprawiają już na świat, aby się prędzej pozhyć...

Już u nas powoli zwyczaj ten osobliwszy się zagnicżdza: jeszcze na wieś dzieci nie dają, ale je na drugim końcu domu zamykają z homami...

Skutkiem takiego to wychowania, ani dziecię do rodziców, ani rodzice do dziecka przywiązać się nie mogą, a rodzina, ten święty i wielki węzeł społeczny, co dzień się więcej rozprzega. Matzeństwo staje się spółką mniej więcej dogodną, rodzicielstwo ciężarem, który najmnikom się zdaje, a owocem ostatecznym ehlód, zohojętnienie i zerwanie wszystkiego, eoby spajać mogło i łączyć.

Ledwie jeszcze w nboższych domach zobaczysz po staremu wchodzące dziecię z niańką i sadowiące się na kolanach matki, a i tam świętych pieszczot jego już się po trosze wstydzą, i wynoszą co najprędzej natrętnego hęhna, aby francuzkię rozmowie i salonikowi nie zawadzał.

Cheiał Rej dowieść i dowodzi Pismem Świętém, że



żywot bezzakonne, dzisiejszy ideal mężczyzny—niestety! i kobiet już wielu—życie bez obowiązków i bez ofiary, u Boga było w omierzeniu.

Trzysta lat temu te tradycje Pisma, te przykłady błogosławieństwa, ten postrach kary, robiły wrażenie; dziś pięknieby się wybrał, ktoby chciał w ten sposób ludzi nawracać. Taki sam moralista, już nie gniewem bożym i Pisma przykładami, ale interesem ludzkim musi przekonywać, że małżeństwo jest jeszcze pod wszelkimi względami najlepszą spekulacją...

Nie chodzi wcale o prawo boże, bo sobie ludzie swoje własne kwoli potrzebom czasowym urobili, ale o to, jak najwygodniej a najbezpieczniej żywot przepędzić. Michelet bardzo się do tego wziął misternie w swojej książce o miłości w małżeństwie, ale charakter dzieła i sposób argumentowania doskonale uwiódł: dla kogo to i jakich pisał czasów.

Trzysta lat temu, jeszcze człowiek w coś wierzył; dziś rachunkiem potrzeba mu wyjaśnić, że co wiara podala, to i przez regułę trzech wyprowadzić się daje.

Fraszka, że Pan Bóg przykazał; ale to grunt, że z tem daleko wygodniej!

Dla Reja Pismo Święte i historyczny wywód pogardy i odrzucenia, w jakim wszędzie byli ludzie, co obowiązków swych względem społeczeństwa nie spełniali, szukając tylko nasycenia zabawki i rozpusty, a wzdrygając się na pracę i ofiarę, bardzo dostateczny; dla nas—nie wiem czyby był przekonywający. Nie chce on nawet przykładów swawoli i rozwięzłości przedstawiać, i z trudnościaby mu je przyszło w ówczesnej Polsce wynaleźć. Dziś są to tak małe i lekko brane rzeczy, że nikt ani im się dziwi, ani na nie wzdryga. Żyje sobie każdy wedle myśli i postanowie-

nia, i byleby trzech żon nie miał razem, a cudzą wzięwszy, ngodził się polubownie, lub nieślubną za dobrą jej wolą sobie sprowadził, nikt mu słowa nie powie. Wszak-ci widzimy w salonach nawet takie jejmoście, obok uczeiwych niewiast zasiadające śmiało: tanta z miłym jakimś gachem, pana małżonka porzuciwszy, owa, co nigdy męża nie miała, z przyjacielem... Wszystko to powoli wyszło na rzeczy bardzo naturalne; w endze sprawy mieszać się byloby nieprzyzwoicie....

Uczy potęni staruszek nasz, jak żyć w zgodzie i miłości, za zasadę kładąc, by pan małżonek tak się sam sprawował, jak chce mieć żonę. Nie sprawiedliwszego nad to: zgorszenie wychodzi z nas, a kobiety złe są dla złych przykładów i poduszczeń mężkich... Możesz-li zganić w niewieście czego nie karcisz w sobie? „Inna rzecz!” powiadasz. Wcale nie... inne skutki może, ale sprawa ta sama, a eo wolno jegomości, to i pani zabronić trudno.

Jak łagodność wzajemna i wyrozumienie potrzebne są w małżeństwie, nie potrzebujemy z Rejem dowodzić. Ciężkie one mogą być, ale to życie nielekkie eale, a gdy potrzeba dźwignąć, o ciężar nie pytać. Nad swarne małżeństwo—powiada stary nasz—lepszego życia w lesie wilk z wilezycą używają...

Gdyśmy się ożenili, jak tu tedy żyć dalej? jak wedle stanu obmyślić przyszłość i obyczaj, którym się sprawać potrzeba? Rej na to:—Najprościej spełniać obowiązki. Miannje-ci też je zaraz po porządku: względem Boga, Rzeczypospolitej i kraju, pierwszego po Bogu, rodziców, rodziny i powinowatych... Bardzo on to dobrze rozumiał, dla czego po Bogu kraj położył przedewszystkiē; dzisiaj pojęcie tych obowiązków niezmiernie się zatarło.

Nie będę o to zbyt nie obwiniał chwili dzisiejszćj, bo grzech ten nie z dobrej poszedł woli, ale z niejasnego pojęcia rzeczy i zacierania się węzłów tradycyi. Nie wiemy co czynić i sobkowstwo nas opanowało... Inaczej nie mogło być; ale czasby przecię podnieść się, rozpatrzyć i jaśniej przejrzeć. Starzy owi nieraz całe majątkowości swe dawali dla kraju, życie nieśli, cierpieli niewolę; my szeląga, często żalujemy, i mówimy sobie: „A cóż mnie do tego?”

Każdemu do tego! bo każdy jest częstką tćj całości, którą kochamy pierwszą po Bogu. Ale gdybyśmy o tćm dłużej rozprawiać chcieli, za dalekoby nas to zawiodło... i czyby się na co zdalo? wielce wątpliwa...

Już tedy życie młode mu urządził nasz moralista; a gdy do domu przychodzi, pierwsza dla niego rzecz, aby na ścianie zbroiczka chędogo wisiała... bo to już bez nićj nie było szlachetca.

„Starajże się, aby zawżdy na ścianie zbroiczka wisiała chędogo, koniezek na stojni zawżdy był gotów, boć to tego zawżdy potrzeba i dla własnej, dla Rzeczypospolitej posługi.”

Od tego poczynaj: zbroja a koń. No, już dziś nie ma co o tćm mówić; trzebaby *mututis mutandis* powiedzieć: „Mićjże waćpan zawsze cztery konie i bryczkę, żebyś miał ezem wyjechać do miasteczka.” A o zbroi ani gadać, ani jćj ezem zastąpić, chyba kaftanikiem losowym.

„Służka też aby wżdy był zawsze poczeiwy, nie opily, nie wszeteczny, ale coby się *et ad forum et ad curiam*, jako ona stara przypowieść, przygodził...”

Na co ja dzisiaj chyba odpowiem: „Mićjże waś kamerdynera przyzwoitego i do salonu i do drogi, nie

pijaka i nie wisusa, żeby ci rzeczy pilnował i pieniędzy nie podbierał, a w białych rękawieczkach do stołu służył.

Starego owego służki poczeiwego, o jakim tu mowa, ani już widać. Był to ten, co z panem na wyprawę chadzał, co im domu wszystkiego pilnował, i dzieci niańczył, i młodzieży strzegł, i nieraz z panem pogawędził szecerze, a znając go dobrze, radą mu poczeiwą nслужиł... Był to taki sługa, co jurgielta naznaczonego nie miał, pieniędzy mało widział i nie pragnął, którego los z pańskim był związany, co szedł za niewolnikiem w niewolę, za gospodarzem na rolę, za dworskim na pokoje, a za umarłym do ziemi... Przyjaciel nie służka... Ale ich dziś nie ma. Czemu? Nie żeby się poczeiwych sług przebrało, ale że dobrych panów nie znajdziesz; jedni drugich czynią i wzajem się kształcą, a pan tu więcej może niż sługa i na nim więcej zależy. Nie narzekajmyż na ludzi, ale na siebie: jaki pan taki kram.

Im dalej tém trudniej nam za panem Rejem wydażyć, zwłaszcza gdy tu do poselskiego przyszedł urzędu, jak go szlachciec ma pełnić. U nas co odpowiada poselstwu, to owe wybory nasze, które nie czém innym są, tylko posłów zgromadzeniem o potrzebach prowincyi obradującym. Wreszcie wszelka postuga publiczna a urząd toć takie poselstwo, w którym się swoją klasę jeżeli nie stanowczym głosem, to ucziwością i charakterem reprezentuje.

Rzecz publiczna jako jest sprawą wielką i gardlową, dowodzić darmo tym, co tego nie rozumieją; doskonale to Rej wystawia jakby kolo niej chodzić potrzeba, kiedy kolo sprawy prywatnej tak się gorąco każdy

zajmuje.—„Niech jeno przypadnie lada prywatka, ale nie tylko już swoja własna, ale niechaj ruszą mnicha, księdza, pana, starosty, wojewody, albo urzędnika jakiego, albo też szwagra, zięcia, albo powinowatego jakiego, wnet usłyszysz prędką obmowę, prędkie a nporne zasadzenie i czasem niepomierne poswarki...”

Kolo powszechnego dobra już nie tak się ludzie krzątają—to prawda; każdemu się zda, że to go nie dotknie, że się sam wykręci, a drudzy uiechby sobie sami radę dawali. W ten sposób giniecy wszyscy.

Szeroko rozprawia o poselskich przymiotach Rej, chcąc mieć w owym szlachty wyobrazicielu aniola bożego, a najbardziej mu zalecając bezinteresowność i niedbanie o żadne łaski i dary, gdy o pocziwość idzie. Tu się podpira przykładami starych ludzi owego greckiego i rzymskiego świata, tak upodobanego w owych czasach.

Nie popisał się wcale starowina, gdy z zamilowania pokoju i ciszy swemu pocziwemu człekowi urzędu nie życzy, z powodu, że to kłopot niemący, ależ obowiązki święte. Szczególniej to czyni przeto, by raz wzięwszy na się zobowiązanie i powinność, czegoś w niej nie omieszkął, i na języki ludzkie a przymówiska się nie naraził.

Biedać to zawsze niemala publiczna posługa, ale też zasługa w niej wielka, a jak u nas podwójną była, bo ją z opuszczeniem własnych spraw i o swoim chlebie każdy odbywał. Miala Rzeczpospolita potem do rozdania ziemie, ale te majątniejszych spotykały, a i bez widoku nagród służyli jej wszyscy chętnie i z serca. Cóż kiedy jeszcze za frasunek i biedę, spotykały takie przymówki i przygody, jak oto w Reju je znajdziesz!

„Abyś się i najpocześciwiej w tém zachował, musisz cierpieć... Już wnet powiadają, iż znać na nim prząd albo pobory. Aleć to snadź jednak ezasem i bez kunsztu bywa, bo już poborca albo jego pisarze im może najwięcej na wójcie wytargować a wyciągnąć, to największe mistrzowstwo, choć będzie daleko nierówno z uniwersałem.”

Posłuchajmyż jeno, jak się to u nas podatki owe dobrą wiarą wybierały, i jak je ludzie placili. Zaiste rzecz ciekawa.

„Wójt chociaż się widzi prosta skowera, da ezasem chytrym poborcą o ziemię.

„Powiedali o jednym, iż gdy płacono po groszu od głowy, tedy się zmówił z gromadą, iż jutro kiedy będzie oddawał pobór, aby nie było jedno sto pogłowia we wsi, a drudzy niech się rozlazą albo na orzechy, albo na roboty, a pod przysięgą oddawano. Tedy nazajutrz przyniósł do poborey sto groszy. Powiedział mu poborca:—O mily wójcie! wszak to wielka wieś, jest tam kilkaset pogłowia.—Powiedział wójt z ową zakrzywioną postawą, jako prostaczek:—Byłoc mily panie, było krasnej czeladzi niemało, aleć się rozbiegło po robotach. I przysiągł, że ich teraz nie masz we wsi jedno sto, i musiał wziąć bierca sto groszy, a wójt za ostatek z gromadą pił dwie niedzieli. Powiedali też o drugim: iż gdy płacono z osiadłych łąnów po kilka groszy, tedy się też zmówilo z sąsiady, aby ich nazajutrz trzej na jednym łąnie siedziało; przyniósł też wójt ledwo mniejszą połowicę z onych osiadłych łąnów. Powiedział mu poborca:—Wójcie, wielka tam wieś, musi tam być więcej łąnów.—Powiedział wójt także z glupią postawą:—Tak ci się twój miłości widzi, iż wielka, iż się rozrodziła czeladka. Ale możesz temu wasza

pańska miłość wierzać, iż u nas dziś trzej siedzą na jednym łanie. — I przysiągł wójt, że trzej dziś siedzą u nas na jednym łanie, i oddał jako chciał pobór, a potem pił za ostatek z gromadzią kilka dni.

„A tak wzajem ci się by kobyłki cieszą, ale przedsię Boga i cnoty próżno szukać, — i na wójta, i na pobożnego wszystkiego się ludzie dowiedzą. Albo także też i mytnik, a jako też tam pobożnie może użyć urzędu swego? — bo na jednym miejscu na pisarza, to już tam *vix justus salvabitur*, ledwie święty wybiega. Na drugim miejscu najmie burmistrzowi, na drugim wójtowi. Burmistrz Żydowi, Żyd pisarzom poruczy, a każdy z tych chce zyskać. A na czémże ten zysk ma być? Nie wyorzeć ani z młyna wymierzy, jedno co z nędznych ludzi jako tako wyciągnąć a wymęczyć może...”

Z tych powodów, że ludzie narzekać muszą i na sumieniu trudno być czystym, odradza urzędu nasz moralista, w czémby dziś znalazł chętnych naśladowców i potakiwaczy.

Nareszcie przypuszczając, że nasz pocciwy człowiek powołany być może do rady pańskiej, Rej godnie mu czyni uwagi jak się tam ma zachować. Śliczne tu są słowa jego o wielkiem powołaniu ludzi do publicznej zaprzęzonych sprawy.

„A tak tu już nielża jedno i wolność swą, i sumienie swe, i cnotę swą twardo jako jakie więźnie każdy pocciwy okować musi, i już tu nie patrzeć ani na prywatę, ani na zbyt wielkie wczasy swoje. Już to jeśliś został tym winiarzem pańskim, trzeba robić a kopać w tej winnicy świętej jego, aby w niej one wdzięczne gronka pańskie, przez onę niedbalość twoją, marnie nie osychały, ale iżby podawały wdzięczne



z siebie owoce swoje. Bo słuchaj srogiego dekretu pańskiego, iż krwi najmniejszego z nich chce patrzeć z ręką twoich."

Do wszelkiego zawodu publicznego a urzędu te słowa zastosować się dają, a i dziś dobrze pamiętać, że się to nie bierze dla tytułu, dla odzieży, zyskania jakiegoś znaczku lub zarobienia pochwały, ale aby za to przed Bogiem i ludźmi odpowiedzieć co się zrobiło i czego się nie dopełniło.

Obowiązki poddanego względem pana tak wyświeca Rej, jak sam je u boku dwóch Zygmuntów spełniać musiał, jeśli do nich był dopuszczony, bez pochlebstwa i słabości, z poszanowaniem i bojaźnią, ale ze służbą prawdzie nadewszystko i gorliwością nieustraszoną.

"Ano cnota, ano straszna przysięga, ano bolące sumienie, ano poczeiwa powinność jako ułotem poczeiwego człowieka tłucze, a do tego pociąga, aby nie drzemał, aby nie ulegał, a za drganie się nie zasłaniał."

Daléj o pieczy około wymiaru sprawiedliwości i innych pańującego obowiązków, obszernie się Rej Pismem popierając rozwodzi; o cenie miłości ludu dla pańującego i sile jéj równie szeroko i dobitnie ze starożytnych wywodzi przykładów.

Cały tu niemał osobny ustęp o cnotach głównych monarchów, ku którym wieść obowiązana była rada i pilnować, by w nich trwali; o strzeżeniu od wszetecznego żywota, od pychy, od łakomstwa, od ulegania pochlebstwom. Każdój z cnot i przywar poświęcił Rej osobny paragraf, ozdabiając go mnóstwem historycznych przykładów z dziejów świętych, Grecyi, Rzymu i innych narodów. Dziwna rzecz, że tu nigdzie nie napotykamy żadnego swojskiego. Snadź jeszcze świeżym

stosunkowo wypadkom brakło téj powagi, którą miały historye prastare. Na pochlebstwa szkodliwość szczególniej nastaje, przywołując świeższe już dworaków króla francuzkiego przesadne uwielbienia półgębkiem szeptańc, tak jednak, aby do uszu pańskich dojść mogły. Słusznie też nalega na prawdomówność u dworzan, bo nikomu trudniej prawdy usłyszeć niż wszelkiemu władcy — a komuż ona potrzebniejsza?

Wraca wreszcie autor do szlachcica swojego, pragnąc, by szlachectwo między innemi stało jak cedr na Libańskich górach, który piękniejszą zieloność nosi i woń wydaje nad inne drzewa.

„Jeżeliś szlachcic — powiada — żyjże jak na szlachcica przystało. To samo nazwanie szlachcica obowiązuje cię już do tego, byś był czysty, a nikt ci zarzucić nie nie mógł.”

Pojęcie to szlachectwa, które wynosi nad inne stany, łączy się tu ze zdrowém ocenieniem innych. „Jeżeliś też stanu mniejszego, także aż do kmiotka, przecię każdy stan, gdy zachowa powinność swą pocziwą, pobożną, umiarkowaną, a nie wychodzi z granic obowiązku swego, jednostajne ma przywileje od Pana nadane, gdyż u niego braku nie masz, ani wzmianki czy król albo wojewoda, ale Prorok mówi: „Sprawiedliwy człowiek zakwitnie w zebraniu pańskiem.”

A dalej na czém leży szlachectwo, tak określa:

„A wszakoż jeśli kto będzie ozdobion stanem szlacheckim, jakoż się już to z dawna • na świecie rozniosło, tedyć jeszcze nie to prawe szlachectwo, gdy enotami nie będzie ozdobione, iż go tak zową, albo że sygnet z takim herbem na palcu nosi, albo iż go na sznurze u szyi powiesi, albo iż się czerwonym albo zielonym woskiem pieczętuje, albo na wrotach ozdobi-

nych na tablicach herbów uawiesza, albo naprzybija, albo iż się chlubi dziady, pradziady, albo innemi przodki swymi, toć jeszcze mało na tém... I owszem jeśli się by wyrodził z nich jakimi wszetecznemi obyczajami swemi, tedyby ich snadź lepiej nie wspominać, boś je już zelżył...

„Albowiem szlachectwo—dodaje—szlachectwo prawe jest jakaś moc dziwna, a prawie guiazdo cnoty, sławy, każdej pewnoż i poczciwości.”

Widzimy tu już, że Kcj ciągle pisząc o szlachectwie, nigdzie praw jego nie wspomina, a wytyka mu obowiązki. I dziś też tak je pojmujemy jako ciężar, nie jako przywilój jaki... Szlachcie rodzi się ofiarą, żyje ofiarą, umiera poświęcając się, a jak skoro zabył, że jest ofiarnikiem społeczeństwa, przewodcą do poświęceń — niknie, drobniej i przegradza się. Tradycya szlacheckiej krwi jest jednym głosem wołającym o cnotę, — pótyś szlachcie a prawo masz i przodkami się pochlubić, i godłem pochwalić, i dosługami wywyższać, póki sznur ten własnemi rękoma wiążesz dalej... jeżeli pękł w twych dłoniach, już on nie twój.

Z nowych ofiar i poświęceń dla kraju wyrodzi się nowa szlachta, a stara jak skoro zapomni obowiązek, ginąć musi. Stokroć to u naszych pisarzy starych powtórzone znajdujemy, i w pojęciu szlachectwa w zupełnej z nim jesteśmy zgodzić. Nastaje na to Paprocki, mówi i śpiewa szeroko Klonowicz. Od Długosza począwszy, wszyscy co o szlachectwie pisali, nie omieszkiwali ciekawej rodzin charakterystyki, którą tam na początku przy herbie każdym najdziesz. W każdym gniczdzie przy cnotach innych górowała jakaś dziedziczna, ze krwią i duchem przelewająca się, która odcechowywała rodzinę i nadawała jej piętno wła-

ciwe. Co krwi to krwi, boć i tu są tajemnice niedo-  
cieczone, ale wychowaniu i wpływowi jego przypisać  
można, iż się istotnie w rodach pewnie za czasu na-  
brane skłonności, popędy, cnoty i wady przechowy-  
wały. Patrząc na ten fakt, heraldycy nasi sformu-  
wali bardzo ciekawe o każdej z rodzin determinacje,  
które znajdzie kto ich poszuka aż do Niesieckiego.

Tak całe szlacheckie grono, jedno mając powołanie  
i wspólne cnoty stanu, kwitło w owe czasy, świetne  
najrozmaitszemi barwami. Ci do rady, inni do boju,  
tancerze do prawa, owi do koni i psów pociąg mieli  
i powołanie; ale szlachcice jako szlachcice wszelaki stał  
na czele stanów Rzeczypospolitej, wybór przedstawiał  
i wiódł za sobą przykładem a czynem na wyżyny. Dla  
tego u nas wszelkie odznaczenie się, wyższość duszy  
próbujące, nagradzano szlacheństwem.

Już na schyłku bytu Rzeczypospolitej podrosła bu-  
ta szlachecka, zatarło się uczucie obowiązków, a buj-  
nie dźwignęła idea praw stanu. Tymczasem najwyż-  
szem prawem szlachcica było krew przelewać i świę-  
cić się za kraj nikomu nie dać uprzedzić, gdzie szło  
o nastawienie gardła, mienia, spokoju... Dopóki jasne  
wyobrażenie takiej stanu prerogatywy trwało, szlachta  
świeciła jako klejnot przedni i w niej wszelkie jedno-  
czyło się życie. Z jej łona wybrańsi jeszcze chwilowo  
w szeregi senatorskie wchodziłi, ale tu państwo nie  
było tak dziedzicznem i trwałem jak szlacheństwo; bo  
od niego jeszcze więcej wymagano. Rzeczpospolita  
tych starszych synów nagradzała obficie, ale od nich  
potrzebowała wiele. Szkatuła senatorska była skarbcem  
krajowym: nie pytano go o czem jechał posłować, ani  
za co półki zaciągał, nagrodzono mu potém lub nie,  
lecz o fortunę i życie nie mógł się targować z matką.

Więc inny stan mniejsze ponosił ciężary, inny w celu miał wydział pracy, nie chodził w zbroi, nie przelewał krwi, a potu jego nie ważono też mało. Ale okoliczności nieszczęśliwe nie pozwoliły nigdy wśród zamętu wojen i niepokojów domowych, rozrachować się z młodszym bratem. Któż nam wszakże zaprzeczy, że od prastarych czasów ciągle za kmićciem odzywały się głosy, może wprzód, i głośniejsze, i śmielsze niż gdzieindziej?

Sama wojenna postawa kraju czyniła szlachtę, co na koniu zawsze siedziała, jego przedstawicielką i królową, jak bywa obrońcą... W niej była walka, a więc życie....

Może być, że znajdą nam mnóstwo wyjątków do okazania, iż szlachcie idealowi swemu nie odpowiadał, lecz gdzież rzeczywistość stoi na równi z ideałem?... To pewna, że wciąż szlachcica tradycja, przysięga, przykłady, dzieci, starsi pędzą ku wyżynom i ku dobremu naganiają.

Tak było — jak jest? obejrzyjmy się...

Szlachcie dziś jeszcze wysoko klejnot swój ceni, ale już do niego dodać nie się nie sili; zasługi stare starczą mu za wszystko. Nosi on sygnet na palcu, dewizkę przy zegarku, wybija insygnia heraldyczne na listowym papierze, na czele domu, na guzikach liberyi, powozach i fajansach... Dnie się, że liczny szereg przodków wyliczyć potrafi, ale się już przez to wyższym sądząc nad innych, sądzi, że tak w przeszłości się zasłużył, iż dziś nikt nie od niego wymagać nie ma prawa. Siedzi więc na wsi, gospodarzy skrzętnie, by mógł błysnąć zbytkiem w domu lub za granicą, ale przewodniczyć nie myśli do niczego, ba! nawet ideę tę swęj myśli zabył zupełnie. Dziwi go to i niecierpliwi,

gdy się ktoś od niego jeszcze czynu domaga, jeszcze dowodów, że tradycya stara mu nie obca, że znając swe prawa, wie i o obowiązkach... A tymczasem sam na siebie dekret pisze upadku i wymazania, który codziennie spełnia sama siła rzeczy...

Widzimy to nietylko u nas, ale na innych krajach, gdzie szlachta trwała tyle właśnie, ile jej powołanie się spełniało; zgumnienie, spoczynek, używanie majątności strawiło ją i zgryzło.

W pojęciu szlacheetwa w Polsce była i idea konieczności posiadania własności ziemskiej: nie napróżno wcale; szlachcie nie dla korzyści z ziemi ciągnionych ją posiadał, ale jako narzędzie do wypełnienia posłannictwa swojego. Mówiliśmy to gdzieindziej już, że frymark ziemią nieznaną był u nas za dawnych czasów, a święta spuścizna szła z ojca na syna, jako patryarchalne zwierzchnictwo powierzonego ludu, jako wspomnienie dawniejszego jeszcze stanu, w którym wodzem tylko gromady słowiańskiej orężnym był szlachcic. Wyobrażenia dzisiejsze odmieniły się w tém najradykałniej: każdy dziś nieosiadłą, ba! i osiadłą nawet nabywa ziemię, a rozrządza nią nie jako powierzoném mu dobrem, ale jako własnością osobistą.

Stała się ona towarem, szułatą podzielną, materjałem spekulacyi i groszem, czém nigdy przedtém nie była. Ciągniono z niej dochody, ale spełniano i obowiązki; dziś pierwsze tylko są na względzie...

Ciągnie jeszcze dalej Rej rozprawy swe i okazywanie jako szlacheetwo polega na enocie, nie zaś na herbie, który ją przypomina; następnie mówi o *szarej pysze* jako jest szkodliwą. Maluje zaś pyszalka na swój sposób i z fantazyą wielką:

„A patrz jedno na jego postawy, jeśli się nie masz

czemu i pośmiać i podziwować, a on idzie nawieszawszy dziwnych pstrych chobotów około siebie; na ludzi nie patrzy, tylko sam na się pogląda, cień upatruje, spluwa choć mu nie trzeba, rękawicę z téj ręki, na której sygnet, zdejmie a w drugieję ją dzierży, kaszle, krzaka, choć mu się nie chce, z kamyka na kamyk stapa, kroku strzeże, a by go nie zmylił, na pacholki się ogląda, jeśli je ma.

„...A jeśli gdzie na miejscu między dobranymi towarzyszami usiedzie, tedy jeśli co mówi, to już z oną przewłoką, z oną postawą, z oném przekąsywaniem słówek, z oném rzekomo zająkiwaniem, aby tak rozumiano, iż z rozmysłem mówi. Paznogie oględuje, czapki poprawuje, a łotrowie mu siedząc pochlebiają, a jeden na drugiego poglądają, a bardzo go snadnie na wszystko przywiodą, iż im szynkuje albo musi posłać po co jedno każą.

„Ale miły bracie, czémże się ma pysznić ta nędzna mucha? Izaż nie takiż człowiek jako inny? A jeszcze w onych swoich obyczajach sprośniejszy niżli inny. Izaż się nie tak rodzi jako inny? Izaż nie tak mrze i nie także w ziemi zgnije jako inny?... Jeśli go pstrocinny albo perfumy do tego unoszą, zawsze się pocziwi tego chronili i za to się wstydzali.”

I znowu przykłady po temu jako się to dawni pychą brzydzili, i jak Pan na nią się gniewał. Szlachcicowi zaś szaręj pychy się ustrzegłszy, radzi natomiast zachowanie swéj godności przyzwoite, to jest skromną wspaniałość, jak ją zowie.

Wracamy jeszcze do cnot potrzebnych szlachcicowi, o których obszernie traktuje moralista: poczucia sprawiedliwości, pohamowania zazdrości i łatwego oszczerstwa.



Znać z wielu w księgach Reja i innych mu współczesnych pisarzy wzmianek, jak drażliwi byli w owe czasy na wszelką krytykę obyczajną, czynności, pisma, ba! nawet budowl. Nienastanie tu przeciw tak zwanym *szacownikom* występy. A jest i dziś w obyczaju słówka trafnego poszukać, aby niemu swój dowcip okazać a drugiego poniżyć; aleśmy się dziś z temi wystrzałami wiatrówki otrzaskali, i nie tak na nie czuli jesteśmy. Rej uas tu w obrazku maluczkim, ale dobitnie skreślonymi wprowadza na podwórzec szlachecki, i prostą bardzo wskazuje czynność, by przy niej żyłkę ową szacowania okazał.

„Niechaj kto najpiękniej na koni wsiądzie — odzywa się — albo co ozdobnego uczyni, to wnet znajdzie sędziego i podsędką koło siebie. Jeden mówi, iż nie tak ma dzierżać nogę w strzemieniu; drugi powiada, iż nie tak miał kobierca nwiązać; inny zaś powiada, iż się to nie koni sprawuje źle, ale go on niedobrze wie dzie... Jakoby rzekł każdy: Iżhym ja umiał lepiej, — a iżby tak o nim rozumiano, anoby ze wszystkiego nie nie było. A przedsię cierpi dwie szkodzi i owego, jeśli nie dndek, co mu powiada, iż się z niego dowoli nakugluje, i owego, co go szacuje, gdy się dowie potem, mało mu za to wdzięczon będzie.”

Tu już wchodzimy w malowanie obyczajów coraz dla nas ciekawsze, i w szczegóły obfite, jakich żaden inny pisarz nie daje, bo stary nasz Rej, gdy się weźmie charaktery wystawiać, tak je odwzorowywa żywo i z takiem bogactwem akcesoryów, że zda się patrzysz na nie i z grobu ci wstają jako żywe.

„Zc zbyt — mówi — mnoży się łakomstwo, chciwość i niesprawiedliwość. Nawyka się rozpuścić, a potem ją choćby za sumienie knpić potrzeba...” Święte

to słowa... aleć dawniej tak jeszcze źle jak dziś nie było, choć już na dworach Zygmuntów poczęły się rozkoszowania i miękkość.

Ręj powstaje silnie przeciwko zbyt komu w pięciu i jedzeniu, w nastrzępionych a dziwnych ubiorach, w chodzeniu, w pojazdach...

„Albowiem patrz — pisze — gdy sobie wspomnisz one dziwne czuby, one falsarnechy, one stradyotki, one z dziwnemi kołnierzami delie, one żupany, one rozliczne włoskie, hiszpańskie wymysły, one dziwne płaszcze, sajany, kolety, oburenechy, aż dziwno i straszno o nich mówić, a drugich ani zwać, ani ich sobie rozkazać unie, jedno krawcowi poruczy, aby mu uczynił jako dziś noszą. A też słyszę w postronnych krajach, gdzie się trefi każdy naród namalować, tedy Polaka nago malują, a z nożycami, a postaw sukna przed nim.

„- - Krajże sobie jako raczysz.

„Nunż zasię co owych nastalo dziwnych pontalików, foretów, smalcowanych lańcuszków, pstrych bieretków, z rozlicznemi czentkami. A snadź już drudzy nietylko na głowie, ale i na uogach te pontaly a te forety sobie przyprowadzają... Patrz zasię co się to skarbu bożego popsuje na owe pozłociste nitki, a owe forboty, na owe teperelle, na owe dziwne tkanice, tak szyte jako haftowane, że już i malarze wzorów nie nastarczą wymyślać. Także też i owe rozliczne pętlice, strzoki, knafile, wymyślne, dziwne sznury, a u nich kutasy, a ktoby się tego naliczył a napamiętał?”

„Aby dziesięć krojów na każdy tydzień wymyślił, tedy każdy chwałą. Będzie jedna z długim kołnierzem aż do pasa, to powiedają, iż tak czyście (pięknie) chłop ozdobny, od wiatru się zasłoni kiedy trzeba i kijem we grzbiet nie tak bardzo pukać. Będzie zasię

druga co kołnierza nie ma u niej na palec, a przedsię też i tak czyście, wolno mu się obejrzyć kędy chce i jako chce, a przedsię mię kołnierz w szyję nie kasa. Będzie druga z długimi rękawy, a czasem i ze trzemi, też tak powiedają czyście, chłop znaczny na koniu, kiedy rękawy kolo niego trzpiotają. Będzie druga, co jedno rękawiki do łokcia, a też tak przedsię czyście, wolniejszym tak i snadniej mi na koń wsieść. Więc będzie druga aż do saniej ziemi, to też tak czyście, chłop się zda nrodziwszy i pieszo i na konin, i przedsię mi wiatr kolo goleni nie tak harcuje. Druga zaś będzie mało niżej za pas, a przedsię tak czyście, lżejszy człowiek i pieszo i na koniu, i nieczem się nie zabaw. Więc będą ostrogi na pół łokcia, to też tak czyście, ozdobny chłop na konin i konia się mocno imie, i wszystko czyście. Będą drugie ledwo je przy piętach znać, a przed się czyście, lżej mi tak i Boże uchwaj konia odbyć, tedy mi w trawie nie zawadzą, a przedsię wszystko czyście. Ja wierzę, by kto pozłociwszy rogi na leb włożył, tedy nie wiem, by nie powiedali, iż to tak czyście, bo wszystko czyścielby się jedno co dziś pojawiło, czegośmy wezora nie widzieli. A co na to czyście wynijdzie, to już tam mieszek (worek) niechaj rospodnje. Bo na owe choboty, co się w nich pośladek jako korzec widzi, co jedno od roboty wynijdzie, ubrałyby się był za to dobrze pierwěj poczeiwy szlachcie i z czeladzią."

Dziś już tych wyrzutów co do strojów nam czynić nie można; w ogóle strój, któryśmy przyjęli, nie tak kosztowny, lubo mniej trwały, nie jest nikomu ruiną. O kobiecych toby tam coś i sporo powiedzieć się dało, i dalej o tém, że kobiecey strój nie na przepychu i koszcie, ale na smaku zależy; lecz to już daremneby

były słowa, bo paniom trzeba być pięknymi, a im się zawsze zdaje, że co drogie a rzadkie, to ładne. Choć jestże co śliczniejszego nad bieluchną sukienkę, nad skromny czarny ubiorek, nad lada wstążeczkę przypiętą ze smakiem właściwym kobiecie? Za to strojeni nie grzesząc, w innych rodzajach zbytków, które zaraz zobaczymy, dalekośmy prześcignęli pradziadów. Posłuchajmy:

„Nuż zasię— mówi dalej — pojazdy nasze! Koń za pięćset złotych, rząd za drugie tyle. Nuż owe alźbanty, nuż owe kutasy, nuż owe dziwne mnehry, strzępki, aż dziwno patrzeć na te straszne wymysły świata tego. Bo acz-ci nam Bóg ziemię na to dał, abyśmy tego używali, co się na nią i w niej rodzi, ale bez wymysłów dziwnych, *a bez płaczu ludzkiego*. Bo cokolwiek ze słusznój miary wykroczy, to już wszystko grzech a ohyda być musi. Albo też owe rozliczne a dziwnie przyprawne kolebki z wywieszaniem kobiercy, z altembasowcami wezglowiami (poduszki jak dziś), z szarlatnemi poponami, z owemi pozlocisteniami lewki! A jaki to koszt uczyni, a co na to wynijdzie, jakby kto obliczyć chciał! A jakoż się tu prosię cię lakomstwo a łupieztwo zamnożyć nie ma? a jakoż tu prawda a sprawiedliwość spełna zostać może? a jakoż tu żywot wolny a wesoly ma być? Bo gdzie wziąć to wziąć, *fas* albo *netas*, to już wszystko o tém, wnnrzywszy łeb w ziemię, myśleć musi.”

Skutki zbytku też same i dzisiaj, i popęd do niego jednaki, a nad miaręśmy już do niego zwykli, ba! maluczey. Nicci co chce mówi stary, ale tyle co dziś tego nie bywało.

Panowie się sadzili może i nad miarę; szlachcie na jedną wiosce, w kożuchu chodził zimą, w kitlu płó-

ciennym latem, skórzanym się pasem podpasak; jejmość w cyeowej spódniece, a chyba od wielkiego dzwonu dobyły się kontasze i żupany po dziadzie i suknie jedwabne, które nazajutrz szły do sepecika.

Kiedy już o tém mowa, niechże mi tu wolno będzie przytoczyć anegdotkę, która starą oszczędność dobrze maluje. U dziada mojego, gdym był jeszcze malém dzieckiem, dziwilem się raz ślicznemu ubraniu polskiemu dorodnego szlachcica, który w odwiedziny przyjechał bardzo suto i zawiesiście wystrojony. A był ten pan Lipiński postawy wzniosłej i oblicza staropolskiego jak z portretu. W godzinkę po obiedzie pożegnał się i odjechał, i my też za nim z dziadem do blizkiego folwarku wprędce wyruszyliśmy. Pod niedalekim lasem i suszarnią, patrzymy, stoi bryka Lipińskiego, ażeśmy się wylękl, czy mu się co nie popsuko, lub się nie okaleczył? bośmy postrzegli z dala, że siedząc na trawie coś kolo siebie poprawiał. Ale nic się dzięki Bogu zlego jegomości nie stało, tylko stając odjechawszy ode dworu, jako to był ezlek porządny i oszczędny, tak usiadł na murawie, tlomoczka dobyć kazał, płócienny kitel wdział, a świąteczne odzienie poskladawszy porządnie, do bryki je wpakował. I najmniej go to nie zafrasowało, żeśmy go na drodze przebijającego się natrafili, rozśmiał się ochoczo, pokłoniliśmy się sobie, i dalej już ze spokojném sumieniem w podróż się swoją puścił. Dziś oszczędność śmieszną jest prawie po świecie, gdy z drugiej strony skąpstwo samolubne chodzi z ezolem odkrytém. I mało nie na dwie połowy dzieli się społeczność nasza: na dusigroszów i marnotrawców, a tych, coby pośrodku stali i wiedzieli co czynią, niezmiernie mało.

W ogóle zaś zbytników jeszcze więcej niż sknerów, ruin też w około siebie majątkowych nie policzyć; z wielkich imion, co niegdy szerokiemi majątnościami władały, zostały tylko niedogryzki smutne i do noszenia ciężkie.

Dalój o przepychu stołowym jeszcze tak opowiada moralista:

„Patrzajże zasię na koszt a na dziwną utratę wymyślnych potraw naszych, jeśliż to nie jest wielka przyczyna niepobożnego żywota naszego. Przypatrz się jeno owym dziwnym półmiskom a owym sprośnym wynysłom świata dzisiejszego. Patrz na owe rozmaite przysmaki, co je sapory zowią, a prawda sapory, bo chłop po nich sapie ożarłszy się jako w barłogu kiero-  
noz. Patrzże na potrzaski rozliczne, patrz na pozłotki, na farby, na malowania dziwne, a snadźby ich mógł nie zwać potrawami, ale obrazki jakimi malowanemi. Ano na jednej desce baran pozłocisty, na drugiej lew, na innej kur, na trzeciej pani jaka ubrana. Więc dęby z żołędźmi, więc z różami pozłocistemi, więc z rozmaitemi kwiatki zewsząd osadzonemi. Więc pozłoty rozliczne, one kury pozłociste, one orły, one zające, a potrawa w pośrodku za dyabła stoi, ona zaprzęła a ślizka, dalekoby lepsza i smaczniejsza była, kiedyby ją z polewanego garnka ciepło na półmisk wyłożył.

„Druga zasię będzie z pozłocistemi uszyma, co jeszcze w piątek wrzała, to ją aż w niedzielę postawią. Druga też z chleba a z migdałów a z klejem ulepiona to też od kilka dni będzie stała. Nnż jeśli pieczyście będzie, to też czekając towarzystwa, jedno wyschnie niż się drugie upieczce. Będzie li też jaką wyborną pieczenia, to z wierzchu jako skorupa, a w pośrodku

mógłby ją jastrząba nakarmić. A jakież to zdrowie ma być, mój miły bracie? a jakoż ci tu i mieszek pospołu i z panem rozboleć nie musi? a jakoż się to i łakomstwo zamnożyć nie musi? A czasem na wieczrą nie zawżdy półmiski z pełna będą: przyjmie je Żydek bardzo rad, chociaż będzie wieprzową pieczenią śmierdziało, acz on świniny nie jada.

„Patrzajcie jakiego to tu żołądka trzeba na takie zaklejone i zazięble potrawy, albo też na owe zapalone co je winy albo muszkatellami zalewają. Więc zasię znowu lać w gardło one soki, one witpachery, one rozekery, one rywuły, malmazye, muszkatelle, a jakoż tu chłop zgorzeć nie ma? a jakoż to może być długi żywot jego? a on jako pies obżarty ledwo dolezie do barłogu swego, a dobrze jeszcze, iż chłop tamże zarazem za stołem nie zdechnie.

„Więc już i mniejszego stanu bracia nasi tak się tego chwycili, że nie znajdziesz już dziś leda na biesiadzie, jedno każda potrawa musi przyjść jako kasztelanka albo samotrzecia, albo samocz warta. Już to wżdy jako tako kiedy pieczyste albo co w rosole, co-by miało być na jednej misie, iż to różno rozłożą, iż będzie gęś na inszój misie, kur na inszój, także też mięso albo cietrzew na inszój. Ale owy niewolnice, co po niewoli gdzie wziąć to wziąć, co mają potem, iż muszą za panem grochem albo za panią kapustą wędrować? Więc się tu już pani z panem jeszcze z wieczora radzą, co mają przy grochu, a co przy kapuście postanowić? Pan powie, iżby dobrze przy kapuście drugą kapustę chociaż czarną. Pani zasię powie, że dobrzeby, ale rozynków ani cinkru nie mamy. Ale wiecie co? nasmażę ja ciastka jakiego, albo myszek na szalwii. To się już tak smaży, pieką,



że masła w garncu na drugą niedzielę bardzo mało zostanie, a święty Wojciech wież to Bóg kiedy nastanie, niż się drugie pocznie zbierać.

„Więc one serwety wyszywane, więc one tuwalle (ręczniki) z dziwnemi wzory, a już ręczników nie umieją zwać, więc one listwy w koło obrusów. A powiedali na jedną panią, iż ujrzała obrus z listwami na stole u ziemianina, i powiedziała onój ziemiance, iż już nie wiemy co mamy przed wami wymyślać, już muszę dać perłowe listwy u obrusa uczynić, a ziemianka stojąc powiedziała:

„— Więc my też chociaż drobniejszeni perłkami, miłościwa pani, ale przedsię w tenże wzór co i wasza miłość.”

Opis wytwornego stołu w połowie XVI wieku tę wielką ukazuje nam różnicę jego od dzisiejszego, że tamten głównie na schwal był dla oczu, a nasz dzisiejszy dla brzucha; tam się sadzono na pokaz i wspałałość, u nas na osobliwostki i przysmaki. A za prawdę takeśmy sobie gęby popsuli, że mało już gdzie zobaczysz nasze prawowierne stare potrawy szlacheckie: krupnik, kaszę, sztukemięsa, kluski i co pośledniej sze a zdrowe jedzenie, — brzuch i próżność potrzebują delikatesów. A tak to teraz umiemy przyprawić, podać, przelać czémś, uporządkować, aby brzuch nieopatrzwszy się, przyjął ochotnie choć nad miarę. Gdzież się to teraz szlachcie o kilkun wioskach obejdzie bez kucharza ze stolicy i przyborów zagranicznych, bez pasztetów, konserw, marynat, kompotów, sojów indyjskich, pieprzów kajeńskich, serów w kilkudziesięciu gatunkach, konfitur suchych i mokrych, imbiru smażonego i t. d.?

Jest pewny sakramentalny porządek: kiedy, co

i poczém, i z jakim podać akkompaniamentem, nietylko w interesie żołądka, ale dla okazania, że się zna świat i nie z jednego pieca chleb jadło. Znam takiego dostojnego urzędnika, który w kancellaryi bez sekretarza ani kroku nie robi, a w kuchni kucharzowi nie da się rozporządzić, bo wie najlepiej co czém przysmażyć, i jak obiad nłożyć, aby sobie palce oblizywano, kiedy podać zimne przekąski, po czém pończ rzymski i jak przyprawny, kiedy jakie wino lać, reńskie, stare, deserowe, kiedy ser przynieść i likwory... Cała ta nanka tajemnie pełna, jak się należy obiad zadysponować, aby gość przejadł się, upił i nie poczul nawet, że przebrał miarę...

Zbytek w tych bankietach dochodzi u nas daleko poczwarniejszych rozmiarów niż za Rejowskich czasów, kiedy dla oczu były farby i złocenia, a dla gęby sos winny i trochę muszkatełowej galki. Nigdy na ubogich składka tyle nie kosztuje co nasze zbiorowe obiady na uczenie dostojnych urzędników i obywateli, na których często jeden człowiek pożera, coby na rok głodnemu istotnie stało.

Sybarytyzm w jadle i przywyknienie do delikatów kończy się tém, że swoje przejadłszy, biedny ów brzech o dwóch nogach wlecze się, dwornijąc komuś ino, aby jadł nieszczęśliwy, i sprzedaje gębę za kawalek mięsa! Rodzą się tak owi ludzie słabi, wachający z którego kurzy się komina, mistrze do urządzania obiadów, wieley znawcy sosów i dyagnostycy sztuki mięsa, którzyby poszli pieszo i boso mil dziesięć, dla nasycenia nałogu wstydlivego.

Z caluteńkiego świata zwozić dziś nam potrzeba przysmaczki: latają po ostrygi na żelaznych kolejach wagony i przywożą je świeże, w pudełeczkach cyno-

wych hermetycznie zamkniętych, gotowe; zwożą nam potrawki, a wszelkiego kształtu i koloru butelki pełne najdziwniejszych preparacyj; jadą pomódz nam do strawienia obiadu, po którym istotnie długo sapać musimy, niżeli się jego ciężaru pozbędziemy.

Gdyby to wpływało tylko na stan kieszeni, mniej-szaby o to zresztą, choć tyle grosza z domu na takie rzeczy... żal zaprawdę. Ale jaki był skutek sybarytyzmu rzymskiego w owych czasach, gdy za barweny po kilkadziesiąt tysięcy sestercyj płacono? Jakie charakterów osłabienie, upadek ducha, spodlenie, tchórzowstwo i zamięłowanie choćby sumieniem okupionego pokoju? Takie być musi i dziś téj saméj przyczyny nieochybne następstwo. Człowiek za co wprzód grosz dawał, da za to później duszę i poczeiwość. A tak maluczko! tak w istocie mało potrzeba człowiekowi! i naj-energiczniejsze ludy tak właśnie są wstrzemiężliwe i w życiu proste.

Jakże tego nie widzieć, że to zezwierzęca, zbydla i poniża, że siły wydziera wszelkie i umysł tępi? Wie to i Rej, że niejednen nalogowo przywiązany do takich wygódek, gdy mu na nie grosza się zachce, gotów ucisnąć i z krzywdą nabyć go ludzką!

Alboż tak u nas nie bywa? Bijmy się w piersi, nie tak-ci?

Ale czego szczególnie obawia się nasz moralista, to wycieńczenia rodu, bo utraty sił żywotnych szlachty przez ono rozpustowanie.

„Tak z tych dziwnych wymysłów—powiada— z tych dziwnych różności przysmaków rozlicznych, co się ma inszego umnożyć, jedno sproсна utrata, a potem łakomstwo, a potem różność wrzodów a przypadków szkodliwych... w ostatku prędką a nieomylną pomsta

boża, która za grzechem jako chłopiec z mieczem chodzić musi...

„I patrz, wnet go już z onęj biesiady katarus męczy, kolera pali, flegma dusi, oczy zasiniały, nogi zapuchły, brzuch jako pudło, sciatyka, pedogra pewna. Ano mu syropy w gardło leją, skwarny od trzeciego dnia w żołądku macają, ano mu w brzuchu pełno, a w mieszkun nie masz... Więc i to czasem stoi za kwartanę, ano dłużnicy u drzwi zaglądają, a on się kryje, a on się zapala psiną oczy zasłoniwszy, a do jutra odkłada, a powieda, iż mu pewne pieniądze z Gdańska przyniosą, a on tam nie ma ani kwartniczka. A przedsię gdzie wziąć to wziąć k'wieczoru znowu nalewaj.”

Temu to zepsuceiu żywota i wyjścieu z prostoty Rej przypisuje mnóstwo wprzódy nieznanych chorób szkaradnych, na które dziwacznych lekarstw szukać potrzeba.

„Dawniej — mówi — na nasze słabości lada ziółko pomagało: byliczka, bukwiczka, kopytnik, podróżnik i t. p.; dziś potrzeba *bolum armenium, ira pigra, terra sigillata, reubarbarum, hermodaktilorum* (sic), *alkibingorum* (sic)... lekarstwa, które — dodaje — nietylko je po górach, po skalach szukając świat skryślali, ale i pod ziemią i pod wodą już ich zgmerali, a nakoniec ich i tam dostać nie mogą, ale je z miedzi i z żelaza, i czasem ze złota palą a dziwnie dystylują... a nie usłyszysz, by kto dziś zacy inaczéj zdechł, jedno powiedzą, iż byli tam na jednéj biesiedzie, tamże się rozniemógł, takżeć charlał, ażci poszedł.”

To, co tu Rej obszerniej się rozwodząc, o zbytkach i rozpuście stołu, jadła, picia mówi przeciwko obżarstwu i pijanicom, zdaje się dowodzić, że doszło do nas wie-

ści o jego własnej niewstrzemięźliwości muszą być przesadzone i potwarcze...

Dosadnie on maluje te biesiady pijane, których obrazy i u Kochanowskiego znajdziesz, a później mnóstwo ich śladów, bo się one coraz bardziej zagęszczały i poszły niemal w narodowy obyczaj, którego dziś już przecie znacznie się ujęło...

Jak zawsze, gdy mu życie powszednie odwzorować przychodzi, Rej z niezmierną siłą i wyrazistością wystawia je w rysach trafności i kolorytu pełnych. Smutne to, ale nieczmiernie prawdziwe.

„A tu patrzaj—odzywa się—jak to nadobnym sekwensem idzie. Bo z pychy przypada zbytek i obżarstwo, a z obżarstwa zasię co najpiękniejszy klejnotek opilstwo sprosne a obżarstwo.

„Abowiem gdy sobie już tych tortów napięka, nasmaża, albo też mniejsi stanowie kreplów — aleć i pieczenia z cebulą po prostu, wierz mi, iż też to niezła pomocnica do tego, — to już klękają a czasem i krzyżem padają, a po ziemi się jako bydło walają, lejąc sobie w gardło. A będzie drugi trzykroć z owym gardłem za węglem, a jeszcze sobie dobrze gęby nie ntrze, a już woła:—Naléj drugą!—Owa tylko blużą, aby pili, a piją zasię, aby znowu blwali. A to iście jest osobny przysmak do dobrej biesiady. I powiedają, że z tego zachowanie (przyjaźni, stosunki) roście. A wszak widamy to zachowanie. Bo więc już tam co miał jeden przeciwko drugiemu od roku, a iż po trzeczu sobie tego za nie nie miał, to się tam wnet wszystko wspomnie, i wnet się krzywdą uczyni, tak, iż z onego wielkiego zalecenia, a z onego braterstwa wielkiego, wnet pan brat drugiego brata pod ławą maca. Więc i sługom, choćby też czasem drugi nierad nieborak,

tedy mu dzbanem gwałtem będzie lał w gardło:—Spelnisz mi, bo to za zdrowie twego pana laskawego, chocia do niego nikt pić nie będzie.— A bardzo to panu pomogło, bo pan też gdzieś dawno za plotem albo pod lawą dyszy.

„To też nieborak on dzbaniarz lada gdzie w bloocie się powali, tamże i usnie, i suknią pomaże, czapkę straci, ostrogi mu odbiorą, z mieszkania wszystko wydłubią, a on nieborak umiema, by w łaźni był, a iżby go barwierz golil, ano mu psi głowę liżą. Obudziwszy się, więc się tu oskuba, sukmanę ubloconą za rękaw za sobą wlecze, nogi mu chodzą po kołędzie, przedsię na drugiego wola: — O Janie! zamieszkałeś czystej biesiady, toćśmy tu byli weseli, ba! i panowie się podobno popili, bo ich nie widać. — Aleć wesół, ano we łbie i w mieszkni nie masz, szczka, zatacza się, leć się najeżył, a snadź daleko weselsi bywają wilecy w lesie...

„A jakież tu zdrowie ma być, mój miły bracie? jaki rozum? jakie baczenie? Ano się we łbie miesza zawždy jako w browarze. Ano jeden zgore od gorącości, drugi zgnije od drożdży, dolewając zawsze tej skórczaněj beczki, w której ustawicznie kiśnie, a drożdże się marne w żołądku ustawają. Bo patrz, po chwili alić mu leją syropy w gardło, alić mu trą brzuch jak szkapie na rupie, alić na łbie rogi, guzy jako u kozła, alić się twarz świcci jako karmazyn, a nos jako perelkami osadził, aliści chłopu chrapie w gardle jako narecznej szkapie, kiedy się kn górze zaciągnie, aliścić w mieszkni nie masz nic, na ścianie nie masz nic, na grzbiecie niewiele, co się wszystko przelało.

„Bo zać tam będzie jakie ochędóztwo u takiego pana? Kufel brudny, garnek o jedném uchu, w oknie

wiecheie, stół czamletowy, bo wszędy wzory po nim kędy się piwo lało, kachel gliną zalepiony, na ławieby mógł rzepy nasiać, pościel brudna, izba zimna a nie-umiecciona, jastrząb ściany popryskął, owa aż się więc nie chce z onych rozkoszy do takiego pana... A on chodzi jakoby go teraz zdnn z gliny ulepił, a nie wie co ma rzec z sobą, chyba potrawy toć już tam roz-liczne będą...

„A drndzy czasem, iż się im zda krótki dzień, więc opończami zahłwwszy okna, to tak aż do drugiego dnia piją. Kucharz też niewiele się upracuje, bo to kapu-stą albo jakim kawalcem zimnej pieczonki odprawi. A jakoż tu poczeiwym żywotem zwać, mój miły bracie, takie dziwne a wymyślne obżarstwa? A on cho-dząc chrapie, sapie, pod ławę wlezie, a nie wie jeśli jest albo był człowiekiem...

„Więchyś go chciał poczeiwemi słowy hamować, a co wždy z nim mówić, a cóż potem kiedy mu nie rozumieć, a on klekce jako bocian, krzaka jako kier-noz? Więc mu się tu zachce śpiewać, aliści jako ciele ryczy. Więc mu się zachce w tanek, aliści się ślizga jako kozieł po lodzie. Więc mu się zachce milować, aliści drzemie albo usnie na stole...

„A czegoż się ty chcesz na takiej biesiedzie nauczyć? a czemuż się chcesz przypatrzeć? ano nie-tylko taka bestya, ale zacnie mądrzy ludzie w ta-kim sprosnym przypadku npadali.”

Piękne jest jeszcze porównanie duszy takiego czło-wieka nieprzytomnego dla ualogu, do więźnia, który w chwilach opamiętania przemawia do gospodarza swego: — „Ten nędzny a smętny więzień to dusza święta; chociaż bardzo zbolala w tém plugawém wię-zieniu swojém, przedsię stara się a jako może przestrzega



swego gospodarza, gdy się też kiedy obudzi, aby się uznał, aby się obaczył w téj plugawej sprawie swojej."

Dziś, dzięki Bogn, wyjątkowo nawet obraz ten nie jest prawdziwy; rzadziej u nas niż kiedy owe biesiady szkaradne i popisy opilstwa i harce sprosne okolo beczek. Ale za to wnijdźmy-no na obiady i uczty nasze, jaki zbytek innego rodzaju kosztowny i wymyślny! ile rodzajów win potrzeba, jakich napojów, aby gęby popsute zadowolić! To co dawniej piwem a miodem lub się węgryzmem odbyło, dziś choć mniejszą ilością daleko większemi opłaca się pieniędzmi. Musi tedy być i francuzkie dwojakié albo trojakié, czerwone i białe, różnych lat i pochodzenia, i reńskie, i węgryzn z myszką fabrykowaną, i hiszpańskiego coś, i włoskiego, i szampan, i likwory z Martyniki. Często jedna flaszką po sto złotych, to jest właśnie tyle, ile parobkowi za cały rok pracy się daje lub dawać powinno; czasem drożej jeszcze przysmak ów oceniony, i naturalnie żadnej też kieszeni nie stać na to. Ale próżność każe postawić nie co najsłabsze i najzdrowsze, ale co najdroższe. Opowiadano mi o jednym spanoszonym szlachcicu, do którego komissant przyjechał, aby sobie win u niego wybrał i likworów. Gdy doszli do tych ostatnich, powiada przybyły:

— To bardzo drogie! Nie wiem czy pan mieć zechcesz?

— Drogie! zawołał obrażony: a toć mi waćpan przyszlój sto butelek.

Otoż jak się to dziś dzieje. Dawniejsze pijaństwo pochodziło z hulaszczój natury, z popędu i krewkości; dzisiejsze z pychy, aby się popisać, że się tém upilo co najkosztowniejsze, choćby się opłacić miało uczty ruiną swoją i dzieci. Zastaw się a postaw się!

Ta tedy różnica główna, że my na próżność więcej chornjemy niż kiedy, i zbytek nasz w niej ma główne źródło. Nietyle on nam jeszcze potrzebny dla ciała, któreby się obeszło bez niego, co dla umysłu skrzywionego, który wielkość zakłada na tén, co jest śmiesznością a pozorem. Ztąd nieraz dziś spotkasz ezleka, co w domu sobie skapi, ludzi głodzi, żonę ciemieży niedostatkiem, a gdy mu przyjdzie wystąpić, nie pożałuje nic, byle go sąsiad i pan nie przepisał.

Z tych to złych nalogów a zbytków, stary moralista wyprowadza łakomstwo godzące na krzywdę ludzką, i opisuje nam znówu łakomych a cheiwych, co zbierają a używać nie mogą sami, porównywając ich trafnie do baranów między owcami, którym rogi między drabiny głowy włożyć i siana dostać nie dają, więc muszą z dala stojąc, gnój z pod siebie przegryzać.

Kończąc następ o łakomcach a cheiwych, przywodzi wreszcie anegdotkę następującą o sile darów i przepukstwie:

„Powiedali o jednym panie, iż gdy nbogi kmiotek przyszedł do niego, w jakiśś potrzebie swojej, nastawszy się długo u drzwi, poszedł do domu; nie chciano puścić. Potém po chwili przyszedł, wziawszy zaśie barana, a stanąwszy u drzwi, począł baranowi ogon łamać, a baranisko też poczęło wrzeszczeć, i kazano go wnet puścić, i sprawił sobie wszystko co mu było potrzeba. Potém przyszedłszy do gromady, żartował sobie z tego, powiedając: — Już dawno pann sznęć, dzień pilno robię, nigdy nie zamieszkał, a wzdym żadnego urzędu nie wysłużył. A mój baran skoro przyszał, téjże godziny został odźwiernym u pana.”

Dziś tę powieść zastąpiono ową żydowską głową

eukrn, która przez drzwi odemknięte na pół, wsuwa się naprzód przed proszącym i za nim przemawia. Zwyczaj wiejski chodzenia do dworu zawsze z podarkiem: kurą, jajami lub t. p. jeszcze się nawet utrzymuje, a co gorsza, że trudno go wykorzenieć, bo chłopiek się odrzuceniem ofiary ubogiej obraża.

Jak chciwość zysku jest siłą potężną i gdzie nie wiedzie człowieka, wymownie tu opisuje, wskazując, że ani śmierć nawet odstrasza, ani niebezpieczeństwo hamuje, ani strach przeraża, hyle coś zyskać a zarobić.

„Już za pieniądze otruć, zdradzić, we śpiączki zabić, matka dziewczkę w sprośną niewolę zaprzedać, już hycel najdzie slugę, co psa za ogon pod sukiennicą włcze, już drugi za katem drabinę niesie. A snadź nie masz takiej nieenoty, czego by nędzne pieniądze a marny a krótki pożytek, aby ci dwaj panowie nie sprawili.

„A jako jeden zacny dworzanin mówił:

„— Nie mogę tego u siebie znaleźć, czego by mi nie dostawało; pójść do skrzyni, wedle mego stanu wszystkiego dosyć; pójść do stajni, wedle mej potrzeby koni dosyć; do kuchni, wszystkiego dosyć. Owo w który kąt kolwiek pójść, tedy mi się zda, że nie masz wedle mego stanu czego by mi nie dostawało. A wždy na każdy dzień obieć wszystkie pany, obieć trzykroć rynek, szukam jeszcze czegoś, a sam nie rozumiem czego.

„A patrz, baba zdecydła już na polu, będzie nosiła pieniędzy macharzynę w zanadrzu, a nie ruszy ich, by miała zdecydować od głodu, i także z niemi czasem w barłogu gdzie zdechnie, a przedsię albo będzie zwodziła, albo czarowała, albo w gnoju gdzie wrzeszcząc

na mrozie zebrała, aby jęj co jeszcze do onęj macharczyny przybyło. Plebanisko będzie lyse, oprzałe, siwe, ma plebanię, na któręjby się mógł dobrze mieć i spokojnego żywota użyć — dajże mu drugą. A iż mu w nięj kto przekaża, aliścić się on wlecze do Rzymu, jakoby bocian w jesieni do cieplic, a czasem tamże zdechnie, a do plebanii się nie wróci.”

Starych to czasów obrazki, ale podobnych im, tylko inaczej przebranych, i terazby nie brakło. Owszem sądzę, że chciwość grosza jest większa niż kiedykolwiek była, tylko znown nicco różna w tych, którzy na nią u nas chorują. Dziś grosz już nie na to się zbiera, by się trzymał, ale jako siła i narzędzie uznanęj skuteczności.

Mówiliśmy gdzieindziej jak straszną i niebezpieczną ta gorączka złota wydaje się nam dla tego właśnie, że ducha w nas gasi i wytrzebia, że z nas czyni ludzi nowych a zaprzędanych jednemu tylko — zyskowi. Nadało to nawet naszęj epoce charakter zupełnie odmienny od poprzedzających, którego bezstronném okiem łatwo dopatrzeć.

Dawniej najwyżej w szacunku ludzkim, w poważaniu u świata stali ci, co dali dowody siły ducha, wytrwania, ofiary i niezależności od grosza, zaparcia się siebie dla prawdy — dziś najmocniej szanowani ci, co grosz robić umięją i dobić się go potrafili. Charakter największy nawet, błędnie przy pieniądzach.

Rycerz, żołnierz, duchowny, ludzie co ze swego stanu nie mogli się ubiegać za zyskiem, stali w hierarchii społecznej na czele i u szczytu; dzisiaj bodaj nie najwyżej stoją ci, co jakimbądź sposobem dorobili się milionów i wynaleźli środek pomnożenia mienia, choćby cudzą pracą, a swoim sprytem.

Przesąd szlachecki i rodowy ustał niemal lub żyje jako spuścizna stara siłą nałogu tylko; przesąd bogactwa jest w całym blasku i rozwoju. Najwyższymi dla nas mądrości dowodem nabita kieszeń: przed nią następuje wszystko. Złotemu cielcowi kłania się świat bałwochwalczy. Widzieliśmy najpoczwarńsze sceny rozbijania się o bryłkę złota w kopalniach kalifornijskich, orgię może najbardziej poniżającą, jaka kiedykolwiek przytrafiła się na świecie, a bursowe zapasy, gra na papiery i demoralizacya straszliwa wielkich giełd europejskich, napelnia obrzydzeniem i wstrętem. Jak dalece ta choroba zniżyła ogólnie pojęcia o moralności, o godziwem i niegodziwem, o uczciwem i podłym, odwołując się do tysiąca przykładów.

Znaleźli się panegirysci, co dowodzili i dowiedli wedle siebie, że nawet pocziwiny, rozsownym ani silnym duchem być nie można bez grosza, i całe narody poszły tym gościńcem frynarków i zabiegów po dobroczy, których szkodliwości nie widzą.

Ubrano tę chęć zysku w szaty przyzwoitej i powinnnej zabiegliwości, staranności i ładn; usiłowano okazać, że kraj szczęśliwym być nie może, ani wielkim, jeśli nie zapisze się w tę niewolę spekulacyi i handlarstwa.

Przyszłość dowiedzie rychło, zwłaszcza tam, gdzie łakomstwo doszło już uznania, poszanowania i stało się życia narodowego charakterem, jakie skutki wyrodzi, jaką zaszecepi moralność, jaką naukę wyda na gruncie tak przygotowanym...

Więc tu znowu z powodu łakomstwa a chciwości, przypowieśćka stara o wójcie, której pominąć się nie godzi.

„Jest on lakomec jako wójt we wsi, co mu gromada mówiła:

„— Miły wójcie, co ci też po tém, że się do tego dwora ciśniesz? Masz się jako człowiek, masz wszystkiego dobrego z łaski bożej dosyć, i jeszczebyś się lepiej miał, gdybyś swego domku był pilen, a przecież tam leziesz, więc też tobą robią jak osłem na każdy dzień, a doma siedząc, dzień odrobiwszy, miałbyś już sobie pokój. Więc tam rychlej nakają, a czasem i we grzbiet się dostanie.

Powiedział wójt:

„— Jest-ci to wszystko prawda, ale mi przecie miło, bo się z panem namówię, a też mnie miło, że mnie panem wójtem zowią.”

Często się na takich zabiegach nie więcej nad ten czezy tytuł wójta zyskuje, a spokoju postrada.

„Nie to wolność stracić— mówi Rej, — nie to ustawicznej pracy używać, nie to w każdą się trudność wdać, opuściwszy onę wdzięczną wolność i swobodę swoją, byleby nas wójty zwano, bylebyśmy z tego trochę szarą pyszki zażyli. Aż drugi nie rozstawia brogów (stert) na szerzą, aby się ich więcej zdało? a w drugim dzinry aż do ziemi; aż nie nawiesza kolnierzów lisich pacholkom na szyi? a w tyle baran dysze; aż gdzie wziąć to wziąć, szuba knia być nie musi? a w kalecie przedsię cyrografów z minntami pełno. Ale to nie, byleby nas wójty zwano...”

I dobrze stary powiada, że często nie o to rzecz, by wójtem być, byle wójtem się nazywać...

Niewolą to świata on mieni, wystawując razem jak kruche i mało znaczące te nabytki, które otrzymujemy ofiarą duszy i sumienia, przez brak wiary w cnotę i obietnice boże mieszczać wszystko tu na ziemi

i najwyższém dobrem mieniać, co jest znikomością największą.

O cnoty i rozum wołając znowu i napominając w duchu wiary, przechodzi potem do pychy i wszeteczności, znowu na nie nastając, jakoby je ze swego pocziwego człowieka przepędził...

Nie brak tu ciągle tych obrazków trafnych a żywych, w które całą swą księgę ustroił na podziw pięknie stary gaduła. Na każdej niemal karcie coś zastanawia, więcej jeszcze od rozumowań jego i narzekania, a to właśnie te wizerunki znikłej epoki, nieoszacowane barwą, jaką nam przechowały.

Ten obraz naprzykład pysznego człowieka:

„A cóż ci po tém, nędzniku, że siedzisz jako malowana opona za kęsem kamienia wykowanego? albo za jaką malowaną ścianą, albo za jaką upstrzoną kobierzyną, nadawszy nos swój, albo podniosłszy głowę? Ano choć ci kęś w oczy pochlebiają, a odszedłszy wszyscy się śmieją, wszyscy o tobie szepczą, wszyscy tobą choć nie w oczy gardzą... a ty nie dbasz kiloby-é (byleby) wąsatę chłopy z lisiemi kołnierzami przed tobą stały, a izby ci czterej ręcznik dzierzeli, abyś jedno chrapał, spluwał, na stronę poglądał, z postawą mówił, a ludzie aby się dziwowali, a ośmiawszy aby cię szli szacować...

„Zapomniałeś pono onych świętych przodków swoich a wielkich miłośników pańskich, jeśli też tak w górę podnosili głowy swoje, albo jeśli tak sprośnie nadymali twarze swoje przeciw bliźnim, albo jeśli tak szukali a zabiegali pożytkom świata tego dla nędżnej a téj szarej pychy jego? Mało ci znali alabastrów, marmurów, złota, srebra, pstrych opon i innych dziw-



nych przysmaków ku temu u Boga sprośnemu grzechowi; kwiateczki a piękna traweczka to było obicie ich, namiotek albo ebróściana budka, to były marmury i alabastry ich, podpłomyczek na węglu upieczony a kawalec baranioki, to były półmiski ich, miłość wierna, powinność życzliwa, sprawiedliwość, bogobojność, pomierność, to były wszystkie ubiory ich, wszystkie klejnoty. A zwali się sługami bożymi i sługami bliźnich swoich, a patrz jacy tam byli wieley panowie.”

To wspomnienie dawniej prostoty obyczajów tak piękne, dziś już nikogo nie wzruszy. Nazywa się to postępem, że więcej potrzebujemy, że ciało bez wielu wygod nie obejść się nie może... Ale zaprawdę — duszy z tém górzziej, bo jej ciało też przodkuje i gna ją jak służebnicę kędy samo chce...

Już w XVI wieku powoli to zepsucie się szerzyło; ale to, co Rej wymawia swoim czasom, poszanowanie grosza i bogactwa a nieozieranie się na ubóstwo i sprawiedliwość, które przodkować powinny — nie tak jeszcze było urosło jak za czasów naszych.

„A patrz jeno — pisze — gdzie się kolwiek na jakim zejść albo na jakiej biesiadzie być przytrafi, by też siedział najpoczeiwszy i najbaczniejszy człowiek, gdy przyjdzie choć największy nieczemnik, a lańcuchów nawiesza na sobie, już się ty pomknij szaraku, siadźże ty pozłocisty. Przyjdzie do jakiego prawa, do jakiego sądu, kędy chcesz — ano sprawuje swoją rzecz ubogi, bisi kolnierz, a jako soból przyjdzie, pomknij się wierę lisie, siadźże ty tu sobolu. Już twoja akeya do jutra musi trwać, a sobola odprawić. bo na pilną potrzebę, chociaż nie nie będzie. A ubogi baran ten musi za piecem czekać, aż się i tchórze pierwej odprawią.

„Patrzajże, iż onego pozłocistego, by też, jako ono stara przypowieść, nie uniał i kozie ogona zawiązać, alić go na nrzędy sadzają, alić go już z rady nie wyganiaj; ustąpcie wy szarzy, ale ty panie łańcuchu możesz zostać, a czasem go i w radzie posadzą.”

Kiedy on narzeka, że warsztat cnoty spustoszał, cóż nam już mówić, cośmy o imieniu jćj zapomnieli, tak, że cnotą zowiemy co wcale na nią nie zasługuje, że mianujemy wielkiem co jest najmniejszym!

---

## CZĘŚĆ DRUGA.

### VII.

Rej tedy wraca ku temu, żeby się rządzić rozumem, a w miarę wszystkiego używać i z zastanowieniem, dowodząc, że nawet złe rzeczy są po świecie, które ponniernie brane nikomu nie szkodzą. Cale to dowodzenie niezbyt mocne wszelako, bo rozumu nie starczy człowiekowi, a co złe to niedobre, i w świecie moralnym trudno pozwolić, by kruszyna złego miała wyjść na weale niezłe, gdy toż samo w większym rozmiarze złém jest. Rej to po swojemu przykładem popiera, że zły jest kat, a przecię potrzebny, że zły niecz, a jednak się przyda ku dobremu.

Zaponmiał wszakże, iż z enotą jest inaczéj, a trocha występku zawsze występkiem będzie, choćby g najinniéj było, i trocha pychy, jak on tu chce, równie nie do rzeczy. A to, co on tu odrobiną pychy zowie dozwolonéj i uczciwéj, nie pychę nazwać, ale uczucie godności swéj.

Wskazując tu mądrość wszędy za przewodnika życia i mistrzynię, ale za mało ją oznacza, i słabo jéj po

sady stanowi, tak, że trudno z niego wiedzieć, kędy ono przebywa i jak się jęj dorobić.

Z pychy dalej rodowodem koniecznym prowadzi Rej pogardę ludzką, a z niej zwadę i nieprzyjań, i niewolę, w jaką kuje zwada i narażenie się ludziom. Stan ten człowieka skłopotanego poważnieniem maluje się tu równie żywo jak inne obrazki: — bywaj zdrów pokoju! nie może go mieć nigdy pyszałek, który na cały świat patrzy z ukosa.

— „Ano cię już przyjaciele nawiedzać pojadą, już sług z krzywemi wasami musisz więcćj chować niżeli potrzeba, już ci onych kur, czegoś nie doskubał, ostattek pobiją i klódkę do piwnicy stłuką, już baran wrzeszczy a welna na nim trzeszczy, już będziesz miał zawždy świeże nowinki, choć to jako żywo nie było, bo cię będą na urząd straszyli, abys im dolewał, już musisz z nimi kozercę grać, choćbyś nie rad, folgując onćj potrzebie swojćj. Już ubijesz li kogo, tedy źle; ubiją li też ciebie, tedy jeszcze gorćj. Więc i wójt we wsi nie obejdzie się bez tego, aby do pana z nowinką nie przyszedł, bo to pospolicie ich święte przyrodzenie jest, aby pany wadzili; nie wiem co też na tém wygrają, bo się panowie pojednają, a ehlopu w tym rozterku zawsze w lech. Bo tak pospolicie powiedają: O! stłukł on mnie jednego, aleć ja mu pewnie stłukę trzech. A cóż ci ehlop krzyw? czemu onego nie tłuczysz, co ci winien?”

W tém obyczaje nasze znaecznie się już różnią od starych, i tego, co tu opisuje, ani widać, jedno nie wiem czy jest lepiej. Waśniono się tam i bito, ale nieprzyjaźń była jawna i oczywista, wojna jak na pograniezu, napadali się, rąbali, a kiedy potém przyjaźń nastala, to już do śmierci i serdeczna jak była wojna. Teraz

nie mać prawda bójek i zajazdów, wszysey bez mała przyjaciele sobie okrutni, klaniamy się nisko, pijemy i jemy, ale po cichu i za oczy psy na sobie wieszamy.

Przyzwoitość nie dozwala nawet ostatniemu łajdakowi drzwi zamknąć, burdy zrobić lub ręki nie podać choćby powalanej dłoni; nie zarzynamy się jawnie, ale za to z uszczerbkiem charakteru, za oczyma i plecami gryziemy brat brata.

Otoż bodaj czy nie lepiej było waśnić się i zajaść niż udawać przyjaciół, a w sereu mieć skrytą nienawiść. Pochodziły tam owe zwady, o których Rej pisze, z pychy często i wynoszenia się nad drugich; dziś i duma przybiera postawę pokorną do zbytku, a gorzej, że nikomu prawdy powiedzieć, ani mu wręcz pokazać co o nim trzymamy nie śmiemy. Do zwady rzadko przyjdzie otwartą; za to na kogo dziś lieczyć można? Najserdeczniejszy przyjaciel kąsa cię delikatnie za oczy, a jeśli broni, to w taki sposób, że wołałbyś potępienie. Odwagi wypowiedzenia co kto myśli,cale nam brakuje; ztąd tak mało godności w społeczeństwie naszym, charaktery tak starte, indywidualności niewybitne; a opinia publiczna po kątach się kryje nie śmiejąc wystąpić jawnie. Aby się o niej dowiedzieć, potrzeba jej szukać, śledzić, dochodzić, bo często i prawie zawsze inaczej się trzyma dla oka, a inaczej dla sumienia.

Zamilowanie spokoju, które tu Rej zaleca, jest nam aż nadto dziś drogie; wszystko mu aż do przekonań poświęcamy. Rzadki człowiek, któryby śmiał powiedzieć co myśli; a jeśli wyszepnie po cichu, jak mu uwierzyć, kiedy co godzina inaczej i z każdym różnie się spowiada?

Ta stara rubaszność, grubiaństwo nawet już lepsze

były, bo przynajmniej niezłomne okazywały charakter; dziś niezmiernieśmy grzeczni, ale z tą polityką przedpokoju wyglądamy na lokajów.

Nie ma dziś tych niedźwiedzi igraszek, które tu Rej opisuje, ale nie ma i niedźwiedziej siły w nas.

„Ale to nie u naszych panów kiedy się rozgrzeją—powiada stary—jeden drugiemu oczy zalać, kumpustem albo czém tłustém głowę zamazać, czapkę zrzezać, suknią zdrapać, pod nosem świeczkę zgasić. Więc lez (fałsz) zadać, więc niepoczeiwych słówek namówić, a pospolicie charci takie krotchwile miewają. Więc się tu po omacku gonia, więc przez się skaczą, jeden drugiego obali, a z onęj krotchwili to idą w się, aż jeden z chłomą nogą, drugi z rozdartem nehem wróć, skowycząc, do domu.”

No, takich rzeczy dziś już nie widzi, ale inna krotchwila natomiast: językiem się odprawiany nieprzytomnymi.

— Co to za poczeiwy, zaeny człowiek ten B... gdyby nie to, że trochę...

— Ba! trochę, łaskaw jesteś! powiedz: bardzo!

— Nie sądzę, żeby bardzo....

— Ale jakże! stryj jego żony opowiadał wujowi mojego dziada... I tak dalej w ten sposób.

— Wiesz co mówią o tym biednym C.?

— Słyszałem, nie bardzo wierzę...

— Upija się do poduszki.

— Nie do wiary! co za szkoda! alem zawsze uważał, że miał pociąg do butelki.

— Słyszalesz o D.? Zaręcza X., że depozyt sierocy złożony u niego nadwerczył!

— To nie... jaka to nieszczęśliwa słabość charakteru! najzacniejszy człowiek, ale słaby!.

— O E. prawią jego najbliżsi, że oszukał niegodziwie familię.

I tak dalej przez wszystkie litery alfabetu przecho-  
dzimy, najserdeczniejszych kłusając przyjaciół, wśród  
pochwiał mieszając najbezzasadniejsze potwarze, a trafi  
się, że B., C., D., lub E. wejdzie wśród rozmowy, to się rzucą  
ku niemu ścisnąć i całować, i oświadczać się mu z przy-  
jaźnią gorącą, a on im pomoże dalej czernić pp. J., K.,  
L., M., nie domyślając się, iż mu się dostało wprzód  
dosyć, lub nie minie go, gdy za drzwi się wysunie.

W społeczeństwie jeszcze tak świeżem a prostych  
obyczajów jak było za czasów Reja, często musiały  
się trafiać wybuchy, i mało kto swe uczucia hamo-  
wał; wołałbym jednak ową nienawiść i gorącość, niż  
dzisiejsze wyblechowane twarzyczki, na których ciepła  
ani zimna nie poznasz. Ślicznie opisuje nasz moralista  
wrażenia, które za lada przyczyną na obliczach się ry-  
sowały:

„Jeden się zaplonie ze wstydu, a drugi z gniewu;  
jeden się śmieje z prawej szczerości, a drugi się  
śmieje kiedy ma uderzyć; jeden płacze z radości albo  
z wesela jakiego, a drugi kiedy się rozgniewa. A wsza-  
koż na każdej biesiadzie, albo na każdej sprawie, to  
jest najpotrzebniejsza, abyś się cisnął do człowieka  
statecznego.”

Teraz spojrzij po twarzach: nie na nich już nie  
postrzeżesz, ani gniewu, ani radości, ani smutku, ani  
zapaleczywości; wszystkie jedną maską przyzwoitości  
pokryte, jednakie na pozór, i jak pobielane groby, kry-  
ją głęboko co się w nich dzieje. Człowiek wypraco-  
wał na sobie pozór obojętny i chłodny, przenniany jed-  
nak natury swój na lepszą otrzymać nie mógł, ba!  
i nie myślał.



Całujemy się wszyscy i ściskamy, ale nielepić kochamy niż dawniej.

Obłuda rzadki grzech towarzyski niegdyś, dziś jest enotą powszednią; a człek, co się nawet z pocziwém uczuciem na wodzy trzymać nie umie i wybucha z oburzeniem, grożąc zamieszanem drogiego spokoju, uważa się za źle wychowanego. Wychowanie bowiem całē zasadzono na jednych warunkach dla ludzi i piesków pokojowych: napierać się nie wolno, szczekać nie można, siedzieć spokojnie należy. Musisz ukrywać w sobie co myślisz, pobiłzać nawet zleniu dla świętego spokoju, a indyfferentyzm i chlód są najwyżej cenionemi towarzyskimi zaletami.

W tym względzie dalekośmy na inną drogę, i niepodobni do starych owych, zadzierżystych i skorych do waśni a zwady przodków, którym aż przestrogi dawać było potrzeba, jak się pokiereszowania ochronić.

My to teraz po eudzoziemsku odzywamy cichaczem, a gdy dopiecie, wyzwą cię po ciehu na rękę, strzelą dla ceremonii, obleją szampanem na zgodę, i znowu pokój święty między panami, którzy po ciehu jedzą, a w oczy sobie się klaniają.

Ta święta zgoda byłaby bardzo piękną, gdyby była nie malowaną, a istotną, i gdyby nie okupowała się często przypuszczeniem do towarzystwa i spółki ludzi widomie skalanych, dla których surowszymi sprawiedliwość być każe. Nie u nas pospolitszego nad potępienie skore niewinnych, i szybsze jeszcze przechaczenie wczoraj odepchniętym i potępionym, jedno i drugie bez podstawy i zasady. Opinia nie ma hamulca i kierunku stałego, i na jednę często szali kładzie splamionych z najczystszyimi.

Dawniej przed zhańbionymi obrusy rzezano u stołu,

i nikt z nimi do jednój misy nie usiadł; dziś ich uczy, byle mieli czém płacić, najwyhrańsze towarzystwo obśiada. A! gdybyż to czyniono w duchu nawrócenia i chrześcijańskiej wyrozumiałości, w duchu zgody i pokoju! Nie, dzieje się to przez lekkość, i zarówno potępienie jak oczyszczenie przychodzi często bez słusznego powodu.

Upadek charakterów smutny i widoczny, męztwa społecznego brak, a za prawdę i dla przekonania nikt waleczyć nie myśli, byle sza! byle cichu!

Ale niechże tylko interes własny załaskocze, niech idzie o kieszon, o grosz, o zajęte przez miłość własną stanowisko—dopiero komedia! Już-ci ten wczoraj obojętny na wszystko człowiek, swoją prywatę przebrawszy w sprawę publiczną, nieczyni z nięj wojnę zasad i społeczny interes. To świętokradztwo tak się u nas zaumożyło, iż niemal w każdym hałasie, przybierającym pozór rzeczy ogół obchodzącej, poszukawszy, znajdziesz tylko interes osobisty. Nieprzyjaciel jegomości staje się wrogiem kraju; już-ci go wskazują jako niebezpiecznych zasad i tendencyi człowieka, a w tém wszystkiem — patrz bacznie! o własną skórę krzykaczów gra idzie.

Nie było tego dawniej, bo imię sprawy ogólnej szanowano, bo się nie ważono poniewierać jęj na łada co i fałszować opinii dla dogodzenia chwilowemu interesowi. Dziś w łada współzawodnictwie posłyszysz zaraz wywołane wielkie wyrazy: dobra powszechnego, przywiązania do kraju, zgubnych dążeń i t. p., i na lep tych deklamacyj biorą się umysły płoche. Najłatwiej tak pozbyć się niewygodnego współzawodnika krzykiem i hałasem; ale powtarzam nie jest-li to świętokradztwo? W średnich wiekach, gdy kto miał urażę

a chciał się pomścić na wrogu, zadał mu czary i konszachty z dyablami, wzięli go na tortury, i musiał wyznać, że się z kulawym całował; teraz obrzecz potwarzą ladajaką, byle za niebezpiecznego krajowi wystawić człowieka, i rzecz skończona.

To posługiwanie się szumnemi a nieokreślonemi wyrazy, na ogół czyniącemi zawsze wrażenie, już tak nadużyte zostało, żeby go się powstydzić należało; środek to niechybny wprowadzić, ale nieucieczny.

Gdyby z takich rzeczy śmiać się można, strona krotokrwista dostarczyłaby obfitych obrazków w Rejowskiim rodzaju. Fabrykant fortepianów, któremu przeszkadza handlujący wiedeńskiem instrumentami, obwołuje go za nieprzyjaciela krajowej industryi i wroga postępu; szewc, któremu lakierowany bót współzawodnika zawadza, dowodzi, że to jest endzozieuszczyzna i wynarodowienie nie juchtowe nosić obowie; cukiernik w imię pomyślności kraju dopomina się, by nie zjadało paryżskich konfitur i t. p.

Zajrzyjcie tylko proszę w rozsiewane czernidla i roznoszone potwarze, w wołania usługujących nlecznych plotkarzy—a po nitce dojdziecie pewnie, że je rodzi, miłość siebie, co burzy, jątrzy i szepcze.

Dotknęliśmy tu tak, według mnie, ważnej a drażliwej strony obyczajn współczesnego, że godziłoby się jej dłuższy ustęp poświęcić. Na nieszczęście łacniej to pocznę niż żywo odwzorować. Zbyt wielu, by się w wierzmiu poznali, i dopieroż w imię kraju, wiary i dobra publicznego wznieśli by *Larum!* o swoje fizyognomie! Bóg z nimi, słuchajmy co dalej Rej prawi.

Wywodząc konieczną nłomność ludzką, stary nasz bazarz stwierdza to przykładami, że każdy i najczystszy ma sobie coś do wyrzucenia, a bez skazy być nie

może, i byleby starał się pohamować i poprawić, już dosyć.

Tu wskazuje, jak potrzeba panować nad sobą. W pierwszej chwili, powiada, nie jesteśmy mocni, byśmy się oparli wrażeniu strachu, gniewu; ale cała ta sztuka na tém, by rozum zaraz za czuprynę schwycił namiętność i szerzyć się jój nie dał.

„Powiedają o rycerskich ludziach, pisze, że kiedy ku bitwie, jeden zblednie, drugiemu się noga w strzemienu trzęsie, bo to są pierwsze przypadki, a nie są w naszą moc; ale skoro się obaczy, a uciecze się do rozumu, do sławy a do enoty o radę, wnet wszystko snadnie ominie.”

Tak też radzi rycerzowi chrześcijańskiemu hamować smutek, radość, gniew i wszelkie namiętności, a stać wedle zasady starożytnych, w mierze:

*Medium tenere beati.*

Nie żąda z niego nieć aniola bez namiętności i uczucia, ale męża ćwiczonego, który czuje co powinien, a panem jest siebie, by wrażenie góry nad rozumem nie brało.

Dowodzi tego jeszcze dobitniej, pisząc, że Pan nie chce nas mieć kartuzami, „albowiem i biesiada pocziwa nie wadzi, chociaż ją kto z niemalym kosztem swym uczyni ku swój pocziwości, byle nie wszeteczna, nie sprośna, nie owa obżarta. Także też na drugiem miejscu Pismo powiada, że ochotnego szafarza dóbr swych miłuje Pan Bóg. Ale pewnie nie owego, co z bębny a z dudami, tłukąc się po ulicach, szafuje te dary pańskie.”

Więc zawsze to *ne quid nini*, jest zasadą moralności Reja, w gruncie, jeśli ściśle weźmieniemy, pogańskiej raczej niż Chrystusowej. Zarzucićbyśmy mu mogli,

że zakochawszy się w pogańskich filozofach, ani Pisma nowego przymierza, ani ducha jego nie pojął. Dobrze było to *ne quid nimis*, ten półśrodek na grecko-rzymską filozofię, która się na gruntowniejszy pewnik i oparcie zdobyć nie mogła; ale dziś nietylko nie starczy, lecz jest zupełnym fałszem.

Cale inaczej gorliwy chrześcjanin mówić musi; owszem, nie ma miary w dobrém, być nie może, dążyć potrzeba do jak najwyższej doskonałości, bez miary i końca, bo w enocie przesadzić nie można. Z drugiej strony miary nie ma w występku godziwej, potrzeba zle w sobie wypłenić. Chrześcjanstwo wie dzie do ideału i nie pozwala na pośrednim szczeblu zatrzymać się w drodze, nie pობlaza zdrożności też, choć pojmuje słabość i legalnie miary w złém przyjąć nie może, nie powinno. Tak naucza wiara Chrystusowa, bo wie gdzie prowadzi i jakimi drogami; filozofia zaś pogańska stawała w środku niepewna, bo się obawiała posnuąć, nie rozpoznając jasno zadania i celu życia. Rej dobił się do tój wątlój średniczki filozoficznej, do tego ogólnika oklepanego, nie mając stalszej posady religijnej — obalamucili go nowiniarze.

Łatwo zda mi się dowieść, że umiarkowanie, o którym mowa, ze zdrowo pojętą zasadą chrześcjaną wcale się nie zgadza, i nie ma logicznego związku z wyraźnem prawem Ewangelii, zalecającem nicograniczone dążenie do doskonałości prawie bożkiej, mającej nas z Bóstwem zjednoczyć. To *medium* zużyte i odarte, które się i dziś jeszcze trafia n wielu, wcale drogi życia nie nakazuje. Założywszy sobie jako cel moralny jakąś średnią miarkę, człowiekby do niczego wielkiego dojść nie mógł. Podobieństwo ewangeliczne o wierze, która góry prze-

nosi, wskazuje siłę, jaką daje przekonanie człowiekowi o doskonałości, której dosięgnąć może.

Mówiąc dalej o panowaniu nad sobą, Rej przychodzi do gniewu i oszalenia zapaleczego, malując je jako zwierzęcą namiętność, niegodną człowieka, i ukazując fatalne jej skutki. Rozróżnia dosyć trafnie gniew od rozniewiania, to jest mimowolnego poruszenia, w którym jeszcze samo poznanie udziału nie ma, od nawyknięcia i nałogu, pierwsze (rozniewianie) wedle idei świętnej uznając za niewinne, drugie (gniew) za niegodziwy, skoro się w nim trwa, a on w bydlę zniżenia człowieka.

Znowu tedy rozum radzi się tu jako lekarstwo, i dozwala *gniew pomierny*, a Rej nie rozróżniając ściśle co właściwie jest gniewem, dochodzi do świętnej formułki, że pewny gniew jest dozwolony i powinien, że jest *pomsta poctwa*. Brak Rejowi w tej rzeczy zdania sobie sprawy ze znaczenia wyrazów i fenomenów psychicznych, gdy sprawiedliwą karę miesza w jedno z gniewem i zemstą, które są wcale czém innym. Nastaje na to, że człowiek często rozniewać się musi, ale gniewać się musi z rozumu; długo o tém rozprawia i obszernie. Znać w tém wszystkiém człowieka, który subtelności wyrażen i głębokiego na sprawy ludzkie poglądu nie miał, a z gruba i z prosta na świat patrzył, po szlachecku sobie sądząc. Ale obrzucenie na występki gniewem nie jest, ani wstręt do złego i ściganie go zemstą nazywać się może.

Przywiedziemy tu następę z powodu gniewu o zepsuciu ówczesnym, i wizerunek obyczajny, który lepiej ukazuje jak się Rej na to zapatruje.

„Rzadki ptak jest między bracią zgoda. Aż nie widzimy mąż z żoną w jakiej też czasem zgodzie

mieszkają? azaż nie widzimy, iż syn ojen lata liczy? a pyta się, dawno-li już wołoskiej wojnie? azaż gość pewien na drodze święj albo także w gospodzie? Azaż kmiotek pewien doma? pewien na targu? chociaż nikomu nie nie winien, jedno iż jedzie albo idzie z pobożną robotką swoją. Wszędy a wszędy wilków pełno, wszędy a wszędy nasadził się jeden na drugiego, aby go w czém podejść a podstąpić mógł. Wszędy a wszędy łakomstwo a swawola tak szeroko rozbily sieć swoją, że trudno i niewinnemu, aby się kto z niej wybić miał. A tak złość a przewrotność ona, szczerłość szlachetną na tym świecie przytłumiła, że prawie zatonęła jako dzinrawa łódź na głębokich wodach. A tak potrzebny jest głos pocziwego człowieka, aby roztropnem a pomierném upominaniem, a czasem i pocziwem karaniem niszczył, zacierał, a ku dobremu końcowi przywodził te sprośne wszeteczeństwa ludzkie."

To, co tu Rej niewłaściwie gniewem pocziwym zowie, jest odwagą powiedzenia prawdy i stania przy niej wbrew wszystkim i przeciwko wszystkiemu światu. Słowój tej cnoty i nam, i nam o! jakże brak bardzo! mówiliśmy już o tém, powtarzamy, bo mileżymy na złe jako na dobre dla spokoju i przyzwoitości, a komedję gramy jeno, żeby walki uniknąć.

Jest przecię wielki i święty choć zapomniany obowiązek, stawania za prawdą i dania gardła za nią, a kto jej nie śmie powiedzieć, niewart jej cnie. Św. Augustyn powiada, że nie sklamalby dla zbawienia duszy; my kłamiemy dla obiadów, dla światowych przyzwoitości, dla nakazania dobrego wychowania i obyczajów, w których wybaczą występki, a nie damją odwagi i szczerości.



Myli się tu Rej tylko w nazwaniu rzeczy, oburzenie święte gniewem pocziwym zowiąc. Wymaga on od człowieka mądrego napominania surowego, srogićj postawy przeciw występnym, téj cywilnéj odwagi chrześciańskiego rycerza, którój i dawniej niewiele na świecie bywało, a teraz może mniej jeszcze niż kiedy. Porównywa swojego nieczciwego człowieka do lekarza, i wskazuje mu, jak ma społeczność ratować.

Od doktorów takich niekajają daleko, a w towarzystwach naszych jeno się pokaż, gdy cię znają za surowego obrońcę prawdy, omijać cię będą jak szkodliwe stworzenie. Ciężkie też życie tych rycerzy ducha!

Lepiej i wygodniej daleko pochlebiać złemu nawet, ust nie otworzyć choć każe sumienie, i na szkarady pobłażająco się uśmiechać, ale człowiekowi chrześciańskiemu czy się godzi?

Zwyczajem było w Jerozolimskiej świątyni targować, nikt na to słowa nie mówił, obawiano się zapewne gnuśm sobie narazić; przecież Chrystus wygnał frymarzających z kościoła. Myśmy powinni być naśladowcami Chrystusa, a fałszowi się nie kłaniać, choćby wdział najbogatszą suknię i uśmiechał się nam jak najśłodziej. Kto nie ma meztwa do walki, nie skosztuje godów zwyczajkich, ani włoży na skroń wieńca tryumfatorów.

Niewyczerpany w obrazkach, Rej tak znówu maluje ludzi posadzających i drażliwych: „Jeden gdy kto czapki nie zdejmie, chociaż się nie baezy, wnet mnie ma aby to z gniewu uczynił. Czasem też między inszemi przywitać zapomni, a iż się w tém nie obaczy, też więc powiadamy: Cóż albo się na mnie gniewa? Towarzyszów prosi na obiad, a drugiego zapomni, też

„mniema, aby się na niego o eo gniewał. Drugi też gdy przykro na kogo wejrzy, choćby rad eudnie, ale nie umie, tedy się też będzie drugiemu zdalo, że z gniewu uczynił.”

Dalój jeszcze tak wystawia sierzdzistego człowieka: „Znajdziesz drugiego, co się i na nieme rzeczy, i na Boga gniewać będzie. Utknie się pod nim koń, już bije, tłucze, jakoby niebożątko chcąc to uczynił. Da mu gałąź w gębę, to już łaje, przeklina; a gałąź eo winna? on sobie winien, że jój nie obaczył. Uderzy się o kamień w nogę, kamieniowi łaje. Więc będzie lajał gradowi, deszczowi, śniegowi, błotu kiedy się upłuska.... a owszem jeszcze bardziej słudze, choć mu nie nie będzie krzyw, jeśli przykro kaszle, jeśli śpiąc chrapie, albo mu słoną potrawę przyniesie, albo umywając się iż sobie w rękaw wody naleje, a co sługa krzyw? Więc talerze, świeczniki za nim eiskając, potłecze. Albo gdy mu bót szwice ciasny przyniesie, obuć go nie może, tedy i szweca stłucze, i bót zrąba. A bardzo łacninelne lekarstwo na to jest, jedno maluczki czas ścierpieć.”

Szeroko się nazbyt może o tój passyi rozwodzi Rej stary, ale nie bez pewnej przyczyny. W narodzie wojennym a bitnym, musiała panować wyrobiona walką nieustanną drażliwość charakteru i skłonność do zadzierzystości. Wiemy to z ostatnich czasów, żeśmy do swarn i bitki nawet lada o co skłonni byli, ale czas to bardzo uśmierzył. Dziś pozostało nieco w słowach i łuczach starój buty i swarliwości, ale się to zwykle kończy jak poczęło pustym szumem.

Liczy tedy moralista na gniew lekarstwa, przestrzegając, aby ich w aptecce nie szukać. Pierwsza,

powiada, uciec się do rozumu; drga, znając siebie, mikać powodu do zwady, „alhowiem kto czuje blizkie zimno w czas na się kożuch wlecze, kto widzi szpetną ebmurę przed sobą a nadziewa się prędkiój płuty, w czas sobie opończę ohwiązuje.” Trzecia — mówi dalej — rozgniewawszy się od porywu trzeba wstrzymywać i z ręką nie śpieszyć: „alhowiem zaśpi czasem służka nieboraczek, iż omieszka posługi, wierei się, boi, żal mu bardzo tego, azażby go za to bić albo mordować ohaczywszy, że to nie ze złości uczynił? Każą nędznemu kniotkowi na jaką robotę, a on wołka albo konika naleźć nie może, płacze szukając go, boi się niebożaćko, a już go też bić, albo mordować, albo sadzać za to? Albo także sąsiadek albo kto inszy, iż mi co z niechęcenia albo z nieobaczenia uczyni, a już wnet siodłać? a już się wnet uścić?”

Czwarte wreszcie i ostatnie daje lekarstwo jeszcze na gniew; cierpliwość i znoszenie obelg wytrzymałe.

Zwracamy tu uwagę na to, że Rej ilekroć mu przyjdzie wspomnieć kniotka, czeladkę, ludzi podwładnych, czyni to z czułością, z ojcowską pieczą o nich i serdecznością niezwykłą. W tym względzie jest on jak i w innych, doskonałym przedstawicielem uczuć ogółu, i maluje dobrze stosunek prastary patryarchalby pana i kniotka. Z wyrwanych pojedynczych faktów, ze smutnych wyjątków pośpiesznie i lekko sądząc, nieprzyjaciele nasi i my sami częstokroć nazbyt czarnemi barwami malowaliśmy tę stronę przeszłości naszej. Znalazłyby się jednak dowody, że cały, dla nas dziś niezrozumiały nstrój przeszłości, jakkolwiek z postępem czasu nie dosyć dający rękojmi ludowi i widocznie będący stanem przejścia tylko, nie był tak nie-

szezęśliwy, tak w uciski obfity, jak się niektórym wnosić podobało. Jeżeli brakło zabezpieczających praw pisanych, wypełniały niedostatek tradycye, obyczaje i religijne zasady. Niedobrze dziś pojmujemy ten stan przeszły, gdyż podania zaginęły, zwyczaje się zmieniły, stosunek wyrobił inny, a pozór pozostał tylko hieroglifem niezrozumiałym.

---

## VIII.

Ukazawszy wady po trosze, i te właśnie, na które w owe czasy chorował szlachcie najpospolicij, Rej przychodzi do enot, jakie mu zaleca, a na czele ich położył,—*świętą prawdę!*

Ale wnet, jako Pilat, musiał się zapytać: Co jest prawda?

Nie sznkajmy u niego mądrój definicyi. Wiedział Rej, że téj dać nie jest w silc; że łatwiej poścignąć prawdę uczuciem niż ją rozumem określić; że ją mieć w sobie potrzeba, choć się z nią wyrazić trudno. Praktykę prawdy zasadza on na tém, by przekonaniu swojemu wbrew nie czynić, ani mówić.

„A iście — dodaje — niedarmo oni zacni a święci przodkowie nasi ten obyczaj między się puścili, a pewnie iż potrzebny, że czyni co chcesz, wszystko to może być dworskimi obmówkami pocziwemi zakryto i obmówiono; ale jako się kto z nieprawdą na plac wytoczy, to już tam dalej od gęby żadnej appellaeyi nie masz.”

Tego obyczaju świętych przodków od dawna już nie znamy, a trefny i piękny falsik tak nam smakuje, że wolimy ezlowieka, co prawdy nie mówi, niż gbura

pocziwego, eo ją w oczy rzeże wszystkim bez żadnego względu, ehoć Rej to eale inaczéj pojmował.

„Nie może być szkodliwsza rzecz, jako gdy kto nadobnemi farbowanemi słówki a oną anielską postawką pokrywa prawdę świętą, a falsza, onego nieszlachetnika, ehee prawdą nieznać. Jeszeze to snadź szkodliwszy niżli on pies, eo się idąe do ciebie lasi, a marda ogonem, a gdy się nie obaczysz, alić on za nogę cap. Bo wždy ów eo szczeka, jeszcze wždy przestrzega, że czlek nań sobie kija szuka, albo sobie korda poprawi. Albowiem taki człowiek onemi takimi obleśnemi słówki neukrujeć tak potrawkę, iż by najśłońska tedyż się słodka będzie widziała; poda-ć tak piękne a zafarbowane słówka, żebyś ty przysiągł, że to szezera prawda.”

„Bo patrzaj —mówi dalej—na onego sprosnego a przemierznego chlopa, eo się więc owo słówki niewieściemi pieści; więc się tu umizga, choeiaż mu nie trzeba, więc tu postawki dziwne stroi, więc tu słówka rozlicznemi przysmaczki cukruje, jeśli mu to pochwalić masz albo nie? Albowiem wierz mi, że tam ledwie trzecie słówko prawdziwe będzie.”

Dalej tedy idą po temu stare przykłady, jako to: słówka kraszone niewiele warte, i jakim sposobem z pod nich prawdę rozeznawać.

Na pierwszym miejscu kładnie prawdę, której bronić, którą wyznawać i pilnować jój poleca.

Światowa dzisiejsza przyzwoitość i moralność, weale się w tak surowe nie wdaje przepisy. A toby czlek pokoju nie miał, gdyby z prawdą się milezeniem, onó-wieniem, postawą i uczynkiem nie mijał!

Męztwa też do wypowiedzenia prawdy mało kto

znajdzie, a drogi ten klejnot choć w zanadru chłowa, pokazywać się na świat nie śpieszy.

Mówiliśmy już o tém z innego powodu:—świat nasz nie ma apostołów i mieć ich nie może; dla świętego spokoju i gnuśnego odpoczynku, dajemy wszystko, nawet część wiekniśtej prawdy. Waleczymy jeszcze czasem o nią przy rozdrażnieniu wątroby z mniejszymi od siebie, ale z większymi nie śmiemy, potakujemy im tylko. Słabszy nie będzie się bronił, więc z nim szermować łatwo; a w mocniejszym boimy się zemsty, lękamy zakłócenia spokojności. Ztąd dziś ta niepewność i brak przekonań, ten sceptycyzm ogólny; bo nikt nie stanie w obronie prawdy, a najprzekonańszy zważyć o niej musi, nie widząc, by siłę miała, by natchnąć potrafiła.

Zobojętnienie, na które wymowne usta skarżyły się przed ćwiercią wieku w rzeczach wiary, dziś jeszcze jest chorobą epoki, jest trądem, który ją zjada. Nie na jedną wiarę, ale na wszystko co nas otacza jesteśmy zimni i obojętni. Siły, tonu, energii brak całej naszej epoce, nie tylko u nas, ale w ogóle ludzkości.

Wszystko zbywamy tém: „Co mi tam!” i obojętném ramion ruszeniem, które się stało hasłem naszego kwietyzmu XIX wieku....

Rozumie dobrze Rej, że słaby nie może dać świadectwa o prawdzie; zaraz więc po niej kładzie stałość i moc w człowieku, wymagając ich od swego szlachcica, „żeby go ani strach, ani dobrodziejstwo żadne od jego pozewiśej przystojności nie odwiodły.”

Chrześcijański rycerz jego ma stać tak wysoko, aby go nie pożył żaden fraszek ziemski, żadna trwoga o przyszłość, ponimając, że ma aniołów bożych przy so-



bie na straży. Ale gdzież dziś wiara w one anioły i pomoc z wysoka?!

Męztwa i słabości daje nam tu przykład Rej, w powieści następującej:

„Czytamy o jednej pannie o hetmańskiej dziewczce: Gdy jej ojca zabito, który był hetmanem w oblężonem mieście, a już nieprzyjaciele i w bronę (bramę) się lamali i mury ubieżeli—ta wnet skoczywszy, popadła ojcowski miecz i przyłbiec na głowę włożyła, i krzyknęła na ludzi, którzy już poczęli byli uciekać:—Opomnijcie się źli ludzie, co czynicie? a gdzież ucieczecie? a chociaż hetman zabity, hetmańska dziewczka żywa! Za mną kto enotę miluje! Bo jaki to wasz wstyd i lekkość będzie, jeśli mnie ubogiej (biednej) dziewczki nie ratujecie?—Skoczyła na mury, a za nią wszyscy jak wodą linał. A tam jej Bóg poszczęścił, iż miasta obroniła, i wielką szkodę w owych ludziach uczyniła, tak, iż musieli od miasta odejść.”

Takiego to wielkiego ssera (jak to dawniej zwano), wielkiego charakteru i heroizmu od poczeiwego człowieka swojego wymagał moralista, stałości, męztwa, ofiary i wytrwania na duchu.

Nie daje mu się frasować, troskać, obawiać lada czego, ale za prawdę życie dać każe, bądź co bądź Nie dozwala mu być „zazięblój myśli,” ale wesołego oblicza, jasnych oczu i gotowości na wszystko nieustraszonej a swobodnej.

Żaden wypadek nie ma go trwożyć, żadna strata boleć zbyt, żadne cierpienie uginać; „zawždy wesół, z przepieczną myślą być winien, i stać jak ono mocne dziewo, które się wiatru żadnego nie boi.”

Nie możemy wymagać od starszka garbły, za którym poszliśmy tą drogą zarosłą a zaniedbaną, ażeby

nas metodycznie prowadził. Droga jego idzie jak owe szlaki odwieczne, które górę często okrażają, niziny mijają, do lasu zagładną, i suną się jako im wygodniej, nie koniecznie by do celu prościęj.

Tak i Rej, którego dzieło po trosze stare przypomina gościńce.

Od owęj prawdy a stałości, które dobrze z sobą powiązał, nagle przeprowadza nas w sferę nową, do serdecznój potrzeby poczętego człowieka, któręj chce dogodzić, każąc mu sobie przyjaciela szukać.

„Przyjaciela mu tedy potrzeba—mówi dalej Rej—albowiem kto go nie ma, już wiele nie ma, a jest jako malowany obraz jaki na ścianie, co na wszystkich patrzy, a z żadnym nie mówi, albo jak ów żubr odyniec, co go od siebie stado wybije, iż jedno sam pustopas chodzi, a żadnego spółku z innymi zwierzęty nie nżywa.”

„Możeż być rzecz wdzięczniejsza jako przyjaciel? który już wszystko a wszystko spolu z sobą niesie, i smutek i wesele, i szczęście i przygody, złe i dobre, i wszystką majątność swoją, czasu, potrzeby jakiej radby z tobą zawždy na polu rozdzielił! Już dwie skrzynie za jedną, dwa domy za jeden, dwie stajni za jedną. Już gdy się zjadą, wszystko miło.”

Ale gdzież to takie stare przyjaźni wielkie, wylane a dożywotnie—pokażcie mi je proszę?

O takięj przyjaźni, jaką pod tém imieniem rozumiano w starych czasach, o owych Orestach i Pyladach, dziś ani słyhać—potrzeba nawet przyjaźni zwietrzała dla nas, i rycblęj się kto obawia mieć przyjaciela niż go pragnie. Widujemy wielu przychylnych sobie, w dobrych żyjących stosunkach, ale o związku takim, coby

z dwóch ludzi czynił jednego, o idealnej przyjaźni, o jakiej marzyli poci, ani słyhać.

Owszem, takeśmy gwoi spokojowi, którego szukamy, ze wszystkimi jakoś dobrze i serdecznie, że z nikim wyłącznie do pary się nie dobieramy. Z każdym być chcemy niezgorzć i na stopie przyzwoitć, dla serca nam nie brak druha. Sądę, że do charakterystyki naszego wieku należy i to, że gorących owych przyjaźni przez całe życie ciągnących się do mogiły, chętnych do ofiary, poświęcenia pełnych, dziś już nie wiadać. Samolubstwo nas porozpraszało, potrzeby serca nie czujemy, a boimy się coś dać, wyrzekając się tego co nam dane być może, żeby ua rachunku nie stracić.

Zdradzamy się wzajemnie z najzimniejszą krwią, i zdrady oczekujemy, jako rzeczy naturalnej i koniecznej.

Nam szeroka rzecz Rejowa o przyjaźni i przyjaciółach dziwno wygląda, bośmy i potrzebę podobnego związku czuć przestali. Od stu lat, zda mi się, nie mamy i jednej o tém książki, może jednego rozdziału, tak się to uczucie wygluzowało z rejestru społecznych potrzeb.

Wylicza Rej różne rodzaje przyjaciół, charakteryzując ich po swojemu dobitnie:— przyjaciel dobry a cnotliwy; przyjaciel zalecany, który pięknymi słówkami przysmaczki ci się zaleca; przyjaciel pochlebny mało od tamtego różny, godzący na korzyści, jakie ma ciągnąć z ciebie, a ośmiewający cię za oczyma. Weźmyż ten Rejowski obrazek, bo to klejnoty te jego wizerunki ludzi: „A poznasz go snadnie (pochlebę) i ze słówek, i z postawek jego, a on tu dziwnymi szlaki będzie na cię zachodził; więc to wszystko co się jedno okolo ciebie dzieje, będzie chwalił a wysławiał, więc się tu będzie umizgał, więc się tu będzie uśmiechał;

chociaż mu nie trzeba; więc będzie powiadał jako tam was na jedném miejscu bardzo dobrze wspominali, jako za wasze zdrowie pili, jako jeden pan was wysławiał, jako powiedział, że szkoda owego człowieka, iż się domem zabawił, hoby się dworem parął, byłby owo godny człowiek. Ano tego jako żyw nie slyszal. Przyjdiesz z nim do stajni, to się rzekomo będzie dziwował onem porządkowi, to już konie będzie wysławiał, iż takich tu żaden pan w téj okolicy iście nie ma. Będzie pytał: Ten młody czyjego stada? a kiedyby był w dobrych rękach, byłby to endny koń; ale dajcie go do mnie, ujrzyeie co to za koń będzie, wszak go wam wolno zasię będzie wziąć odemnie kiedy jeno raczyeie.— A wiem pewnie, że tyloby go widział.

„Przyjdiesz zasię z nim do komory, to znowu będzie po ścianach upatrował, to znowu wszystkiemu będzie się dziwował, to tu będzie na wszém porządek chwalił, to będzie szaty wysławiał, dokładając: Iż to husarskie szaty prawie wspaniałe kn waszemu wzrostowi! jużbyście knse niemieckie mogli rozdać, bo za prawdę, iż się już dziś nie dzierżą. To arkabuzik porwie na ścianie, to siekierczkę, to czapeczkę, to pióreczko, a przedsię bez tego nie będzie, aby czego nie oberwał.”

Obok zaraz równie trafny kreśli obrazek przyjęcia u zalecanego przyjaciela.

„Gdy do niego przyjdiesz albo przyjedziesz, toć się już będzie wierał, skakał, biegał, na czeladź, na żonę będzie wołał:—Nuże mila Anno, staraj się pilno co będzie pan jadł, boś jako żywa takiego gościa w domu swym nie miała!

„Ano wczoraj takuchnyż dingi był, co mu także mówiono.

„Więc tu nie siedzieć, więc tu sam będzie k'stołu służył, więc tu dzban wzięwszy, pokłękawszy i Anna, to weń łeb wmurowy aż mu mino uszy pociecze za zdrowie pijąc. Ale ma wygraną na poły, bo już pije i za się i za Annę. To potem pożara głodnego każe do izby puścić, ubłociwszy go—to będzie wołał:—Hahan! pożar! hahan! —Toć będzie powiedział, iż dopieruczko z lasa przybieżał, a jest to taki pies, by nie był postronny a nie wiem za coby stał, bo na każdy dzień wyciecze, to tak długo goni, aż mu chłopięta leda z charciskiem gdzie zabieżą, to już też pewny herab (herap), bo jako z rękawa tako przed nim poszczują, bo już tam wszystko na oko; ale młody pies, nadziewam się, że się jeszcze postanowi.

„A tego pożara ledwo czasem kijem za panem wybija.

— „A wszakoż, powiada, jeśli się WM. podoba, by miał złotą sierść na sobie, tedy ja WM. każdego dam.—

„Więc potem chudą szkapę przywiedzie, więc tu po izbie każe im w kolo krężyć, powiedając, by temu koniowi nie jedna wada, byłby to taki koń, żeby mu to w tej okolicy równia nie było. A jest takiego stada, że ledwieby mu u króla brata znalazł—(anoby takuchnego cioteczno-rodzonego leda gdzie na polu uchwycił)—jedno, iż mi się z bystrości puścił inochodą, ale młody koń jeszczeby mu to odjął.—A szkapę z bystrości ledwo kijem do wody dopędzi.

— „A wszakoż jeśli się WM. podoba, racz go WM. kazać wziąć.

— „A jeślibyś ukazał postawę, iżbyś miał wolą wziąć, to wnet na chłopca kinie (skinie):

— „Nu, wiedźże Janie do stajni, kiedy się panu nie podoba.

— „A jeśli weźmiesz, tedy w tydzień po lepszego poszle, a nie dasz li, tedy cię pozowie.”

Wygląda to jakby na malowidelko z natury jakiego sąsiada pana Reja, i na istotną przygodę; rzekłbyś, żeś na to patrzył, tak wybornie odwzorował.

Obok dwóch malowanych przyjaciół, zalecanego i pochlebey, stawi zaraz prawdziwego i szczerego, maluje poświęcenie jego i przywiązanie stateczne we wszystkich życia przygodach. Nie wyczerpany w kreśleniu charakterów, trafiwszy na żyłę obfitą, nieprędko ją opuszcza, i tu znowu epizodycznie wtrąca z powodu rozmów, jak to się ludzie obrażają, gdy ich wad tknie kto choćby nieumyślnie, i do siebie zaraz biorą przy-mówisko.

Prawego tedy przyjaciela wylicza obowiązki: mówić prawdę i prowadzić ku enocie. To pierwsze jego znamię; omylne słówka pieszczone uie przystały mu.

Następnie przywodzi przykłady idealnych przyjaźni, bez którychby się był obejść mógł, Pytyasza i Daionua, Orestesa, Pylada i Brutusa, z uwagą, że przyjaźni u pogan stalsze były niż dzisiaj.

Teraz już o przyjaźni takiej mowy uie ma, w obyczajach naszych jest forma przyjazna dla wszystkich, w sercu nie czuje się potrzeby podziachu; cały ustęp w Rejn, wedle myśli pisarza do ważnych życia prawideł należący, nam się wydaje dziwowym, jak o bazyliisku lub feniksie...

Gdy tak już postanowił człowieka swojego, zawarowawszy od wad, uposażywszy w cnoty, na straży postawiwszy przy nim przyjaciela wiernego, idzie dalej wskazując mu jak ma urządzić życie i darami od Boga danymi dla drugich szafować, rozumiejąc przez to nie te tylko co w skrzyni, komorze lub oborze, ale

dary ducha, na czele obowiązków kładąc pomaganie bliźniemu wszelkimi sposoby możliwemi.

Rozdziela tedy dobrodziejstwa na kilka rodzajów, na takie, które są wspólne, to jest obu stronom, temu co daje i co bierze pożyteczne, a po prostu mówiąc opłacane, i na dobrodziejstwa przymuszone, które się pełnią z obowiązku staun i także wypłacają, wreszcie na dobrowolne, serdeczne i jedynie imienia tego warte.

I dalsze jeszcze wskazuje dobrodziejstw rodzaje, mało kosztujące a wielkiej zasługi, oraz zwierzące, co wprost ciału się czynią szkodliwe, jak gdy opilcowi wódki. a graczowi karty, lub zwadliwemu miecza poddasz.

Ostatecznie mówi o obowiązkach społecznych, z miłości bliźniego wypływających i utrzymujących w jedności ludzkość całą, narody i rodziny. Natchniony ideą miłości powszechniej, wpada w marzenie, jakby świat mógł wyglądać, gdyby się wszyscy kochali jak należy i pomagali sobie nawzajem, jakimby był rajem i niebem. Aniołowieby po nim wędrowali, a dyabeł zblednąć-by musiał.

Ale dyabeł czerwony, jak był: do dziś dnia, i ta wielka miłość chrześcijańska, któraby cudów dokazać mogła, dotąd jest czeżem słowem tylko. Nie wierzymy w jej cudowne skutki i maluczko jej zażywamy. Czy przyjdzie kiedy jej panowanie na ziemi? czy ludzkość wzniesie się do pojęcia skutków, jakieby ona sprowadziła na ziemię i rozplomienić się nią potrafi?? Bóg jeden raczy wiedzieć. To pewna, że jakkolwiek wielki i niezaprzeczonny uczyniliśmy postęp od XVI-go wieku pod względem materialnym, wyżyna moralna wcale się nie podniosła. Od lat kilkudziesięciu zwłaszcza, po przechorowaniu na niebezpieczne utopie, ludzkość wszyskieni drogami wraca do pogańskiego realizmu i unika



idealów. Hasłem epoki jest utrzymanie się w możliwych granicach na czysto ludzkim polu, za pomocą środków czysto ludzkich.

Ostatnie kilka lat dowiodły, że nanka Chrystusowa zupełnie zapomniana została, gdyż całkiem przeciwnie jej w zasadzie teorye uznano i przyjęto za prawidła. Nie możemy tu skreślić całkowitego obrazu pojęć dzisiejszych wbrew chrześcijańskiej idei przeciwnych; wspomniemy tylko o kilku.

Chrystus wznosi sztandar ducha przeciwko ciału, nakazuje umartwienie jego, pogardę zdobyczy cielesnych, staranie się o podźwignienie moralne, a zapomnienie o ziemskim, które ma być przydane synom jego; my za zasadę pierwszą przyjmujemy użycie i zaspokojenie ciała. Jakbyśmy zrozpaczyli o pokonaniu w sobie smoka, postanawiamy go karcić, aby mileżał. Karimy też, wszystkiem możliwem opychamy, pieścimy, a głodna jego paszcza wciąż się na nową pastwę otwiera.

Dawniej prawdą było, że pokonanie namiętności jest drogą do oswobodzenia ducha i nadania mu potęgi; dziś walki z ciałem nie przypuszczamy nawet, a granice namiętności zakresła tylko druga, endza, ohok rozpościerająca się; pogodzić obie, to zadanie wieku.

Nie chodzi o poskromienie, idzie o pojednanie i minknienie boju, o pomieszczenie wszystkiego tak, aby jedno nie zawadzało drugiemu.

W potęgę anachoretów, których duch wzmagal się umartwieniem dobrowolném, prostotą życia, cierpieniem, temu najdoskonalszemu udoskonaleniu narzędziem, wierzyć przestaliśmy. Nie przemódz ciało myślny, tylko je ntuezyć i nciszyć w śnie gunsnym.

Czémże więc wyżsi ci Anglicy Chrystnsowi od bałwochwalczych Indyan? jaka między nimi zasad różnica, gdzie lepszość wiary, jeśli obu w tym boju wolno jednego używać oręża? Co przyniosą ci zdobywcy pokonanemu krajowi? naukę siły i przemocy, nie zaś przebaczenia, miłosierdzia i miłości!

I temi to środkami chcą do Chrystnsa nawrócić pogan! Nie dziwię się, jeśli Indyanie odpowiedzą, że wolą Bramę i Wiszn! Jakież postępy? jaką prawdę przynoszą z sobą wojujący? w imię jakiej wależą idei? jest li taka wojna godziwą?

Taż sama Anglia rozeznala się nad nieszczęściem uciśnionej przez Turków Grecyi, ale tam miała interes własny, i naówczas wielkie słowa posługiwały jej do upiekania swojej grzanki; gdyby drugie wyspy Jońskie zabrać mogła w imię Ewangelii, nie wątpimy, że towarzystwo biblijne najmocniejby tę prawdę Chrystnową popierało.

Wejrzymy nareszcie na społeczne prawa tak jasno wyłożone w Ewangelii! Gdzie się one spełniają? gdzie Matenszowe: „Miluj bliźniego jak siebie samego?” gdzie jego: „Wy wszyscy jesteście braćmi?” (29), gdzie Janowe: „Kto nie miluje, trwa w śmierci?” gdzie owo: „Jedni drugich brzemiona noście?” i gdzie na ostatku wiara w tę prawdę, że kto daje ubogim, ma skarb w niebie?

To braterstwo pierwszych czasów chrześcijańskich, tak wybitne w wiekach walki z pogaństwem, dziś jest imieniem tylko. Uznajemy braci tylko w tych, którzy nam chlubę przynieść mogą lub pomocą się wywdzięczyć; zapieramy się tych, dla których myśmy potrzebni. Braterstwo! czeze i wyśmiane słowo; gdzież ta rodzina Chrystnowa? gdzie węzły, coby wszystkich łączyły? Ten bratem nie jest, bo źle wychowany; tam-

ten, że obcy; inny, że ubogi; a i rodzony niezawsze bratem, jeśli ci nie po myśli.

Mamy mnóstwo sofizmatów i formulek na wytłómaczenie się z zarzutów, a Ewangelię samą tak subtelnie wykładamy na powszednie potrzeby, że jej kazemy nawet świętokradzko egoizmowi naszemu posługuwać.

Ale dość o tém; bo rozszerzywszy się, na książkęby starczyło dowodów, żeśmy na nowo w pogańskie błędy popadli, a zakrawa to już na deklamację i komunal, zbyt często powtarzany, jedno bez skutku...

Wiele i szeroko o dobrodziejstwach pisze staruszek, wywodząc ich naturę i skutki, nieco się powtarzając, jak to starym nie nowina rzucając rady z ubochea i kreśląc po swojem obrazki, gdy mu się co na krzywej drodze ku temu nawinie. Tak na przykład, że z powodu dobrodziejstw krótką pamiętę wyświadczonych łask przyponniał, rozgaduje się o ludziach, co radzi wszystkiego zabywają. Ten obrazek pustych a lekkomyślnych ludzi do charakterystyki czasów dobrze się nadaje. „Gdy dziś spojrzysz na wartogłowne lby ludzkie, jako się mieszają, jako w nich zawżdy jako w kotle wró, mały to dziw, że chudych pacholków albo jakiejś małej nieczyerności ich ani baczają, ani pamiętają. Ale jeszcze dobrze, że to pamiętają z kąd rodem wyszli, albo co się kolo nich toczy. Ano dziurką przez szybę wygląda jeśli już świta, ano każdą godzinkę liczyć musi, anoby najlepsze towarzystwo, by najwdzięczniejsza biesiada, wnet się porwać musi, a nigdy sam swój nie jest, podobno-ć polowica dyabłowa.

„Drugi zaśie będzie tak niedbały, że zaśpi a zapije wszystkie czasy swoje, a nietylko pamięć, ale i rozum czasem uroni. A potem gdy już nie masz nic,

albo zdechnie, albo się na lutni grać uczy, a tak swego świata jako tako domitrzeży.

„Drugiego też żołądny król od wielu rzeczy odwiedzie, a swemi go sprawami zabawi, że tych drobnych pamiętać nie będzie powinien. Drugiego trąbka w las tak głęboko zawiedzie, że ledwie w noey się z niego wytłucze. Przyjechawszy do domu, z onego głodu pije do półnoey, a śpi do południa. A kiedyż też na co pamiętać? Drugiego czepek z brameczką (szlarczyką) tak uszychtuje, iż nie tylko by drobne rzeczy pamiętać miał, ale czasem zapomni na wieczery co na obiedzie jadł. Bo tam dziwne arkabuzy zawždy we łbie łmęć muszą.”

Nie brak nam i dzisiaj osobliwych fantazyj, które od surowszego zastanowienia nad życiem i od obowiązków odwodzą. Za czasów Reja, jeden spał, drugi pił, inny grał lub polował, ostatni się rozmiłował, że o wszystkiem zapomniął; teraz zliczyć trudno ileśmy sobie stworzyli zabawek, aby się po za szranki walki i z pola poważnej pracy sprowadzić. Bawimy się wszystkiem co Bóg daje.

Jeden choruje na artystę i pecka po płótnie zapalczywie, zapominając o gospodarstwie dla owęj fantazyi, i choć rysować się nie uczył, a tego co przystało znać malarzowi ani wie, ani slyszal, ma się za znakomitego lubownika sztuki. Drugi tak samo gra na skrzypcach lub bębni po klawicymbale, a choć ludzie od jego muzyki nieiekają, on się w niej rozkoszuje, zapomina wiekuiście, że dzieci koszul nie mają. Trzeciemu przyszła mania zbierania, bo slyszal, że to drudzy robią, i znosi rupieć, choć ani pojmuje, na coby się przydać mogły. Inny tak samo pisze, a choć z or-

tografią w ścisłych nie bywał stosunkach, co mu tam gdy geniusz czuje w sobie? Wszakże na obronę jego hr. Henryk Rzewnski publicznie wyznawał, że grammatyki i pisowni żadnego języka dobrze nie znając, wszystkiemi genialnie się posługuje. Więc po cóż nauka? Traktat filozoficzny pisze czerpiąc z siebie, bo mu dzieje starsze umysłu ludzkiego niepotrzebne, a choć się tam jedno drugiego nie trzyma, ojciec rad dziecięcin; zresztą ci, co sykają, to zazdrośni!

Teraz ten pielęgnuje kwiatki czuliej niżli żonkę; inny pokochał politykę i tak się w nią zatopił, że o długach i gospodarstwie zapomniął; ów podróżować musi, bo mu swoje niebo nie dość jasne; słowem tych dziwaków, co manowcami chodzą, omijając obowiązki, bez miary.

Na dnie tego wszystkiego jest wstręt do wytrwałszej pracy, do surowszych zajęć, jest zamaskowane próżnowanie, podobne do owego krzątania się sługi, który pochwycony na beczymości, łapie lada co i ściera gdzie pyłu nie ma, aby udął, że nie siedział z założonemi rękami.

Ale wróćmy znówu do Reja, który dowodząc: że nie za każde dobrodziejstwo *Bóg zapłać* powiedzą, ba! i polają czasem, a przecież niemniej do czynienia dobrego jesteśmy obowiązani,—przywodzi tu starą anegdotkę, którą za nim powtórzymy.

„Powiedano na jednego dobrego człowieka, iż jechał drogą, i ujrzał podle drogi chłopca dopierozko obwieszzonego, a ludzie od niego idą, a on jeszcze sobą rusza, i kazał wnet skoczyć słudze, żeby go uciął; a po tém ten téjże noey komorę wylupał. Jechał po kilku dniach onże człowiek mimo ono miejsce, a no chłopca onegoż znów wiesząją. I pyta pacholka:

„— Nie jestże to złodziej, coś go ty był odciał?

„A złodziej stojąc na drabinie odpowiedział:

„— A on panie! Ale bodajby mnie był zabity odcinał, co bych był już zarazem odcierpiał.”

Ukaznje więc dalej, iż potrzeba być nie dla jednego kogoś dobrym, kto ci miły, bo to żadna zasługa, ale dla wszystkich równie, i kochać nie wybranych, których łatwo milować, ale ogół cały wielką, świętą miłością chrześcijańską, i żywot prowadzić nie do zbytku rozpasany, ani nazbyt ponury i nędzny, ale pomierny i przystojny.

Człowiek pocziwy, mówi, ma być jako jasna świeca, stać w miejscu odkrytym, z sobą się nie taić, a przykładem drugich wieść ku dobremu i umacniać. Nie chelpić się sobą, nie nadrabiać postawą, nie błyskotać lecz świecić im trzeba, nie czémś ziemskiem a zmiennem się przechwalać, ale dńszne skarbić klejnoty.

Niebardzo logicznie do tego przyszło znown, że marnotrawstwo i skąpstwo z jednego domu idą, aleć i to prawda wielka, choć ją tu przypiał nieforemnie. Marnotrawca i skąpiec, oba namiętni, oba samoluby: pierwszemu pycha lub rozpusta, drugiemu cheiwość niechcy nadyma, oba dla siebie tylko pracują; oba w rzeczy nie nie mają, bo użyć nie potrafią. Rej zawsze do swojego powracając, żeby środka i pomierności się trzymać, obie te ostateczności za równie szkodliwe nważa.

Od tych epizodycznych ustępów powraca wreszcie autor do tego, jak ma szlachcie gospodarzyć i co na wsi robić; a tu dopiero z nim znown do starego żywota obyczajów naszych wracamy radzi, bo przedniejszego, nadeń przewodnika w te zapomniane ciemne przeszłości trudno.

Najprzód więc zbytniej zabięgliwości, któraby się w znużenie skąpstwo i zrzędlivość zmienić mogła, broń, aby się znów o mienie do zbytku nie frasować, bo to przychodzi i odchodzi jak Bóg daje.

„Nie bądźże—mówi on — skrzętnym a frasownym gospodarzem, co jak nurek w Częstochowój chodząc wszystko dyabły wygania. Ujrzy-li koźę rano wstawszy na dworze, to woła biegając:—A nie czasze było tego dyabła dawno 'na pole wygnać?—Ujrzy świnię w brogu, to zasię woła:—Ono dyabeł w brogu! Hałas dyable za drugimi w pole!—Ujrzy śmieci w izbie, to woła:—A nie czasze wam było tego dyabła z izby wymieść?—Ujrzy gnój pod kołnii, to woła na pacholka:—Jeszcze-by nie czas tego dyabła dawno wyniotać?—Owa cały dzień będzie dyabły z domu wyganiał. Więc i czeladź potrwoży, pogromi, iż się jedni pokryją, drudzy biegają by szaleń, nie wiedząc do czego się pierwój rzucić, a sam biegając za nimi z maczugą, tak się ufrasuje, że mu się i jeść ledwie ku wieczorowi zechce.”

„Ażaż nie lepić się z żonką, z urzędniczkiem (ekonomem), a chociaż i z panem wójtem, rano wstawszy, nadobnie namówić, czasy i przypadki rozważyć, a co potrzebniejsze postanowić, czeladkę nadobnie rozprawić (rozporządzić)?”

Takich gospodarzy frasobliwych trudno podobnoby znaleźć, bo to dziś poszło na ekonomów wszystko, i mało kto, by na jednę wiosce, sam swojego dogląda. Jużemy tak spanieli wszyscy, że nam śmierzdi pocziwne zajęcie około chleba powszedniego i roli. Wieczorem do późna jegomość zagrał się w preferansę z sąsiadem, nie może wstać przed dziesiątą, a wyszedłszy w szlafroku z fajką po kawie na ławę w ganku, choćby i zobaczył bydło w stertach lub świnię w wa-



rzywie, nie pójdzie sam ratować, chyba służącego poszle, bo gdzieby zaś tak wielki pan miał się fatygować ku oborom! We dnie też czasu nie ma do obowiązków gospodarskich, na to jest ekonom; a gdy przyjdzie chłop ze sprawą, to godziny u progu darmo marnuje, bo się pan nie ruszy od rozinowy dla owego biedaka, któremu każda chwila droga. Wieczorem pójść lub pojechać trudno, gdyż obiad był późno, a zaraz po jedzeniu zdrzeć się jest we zwyczaj, i chybaś mi karetę zaprzął, która po miedzach nie dojedzie, bo wózek trzęsie, a konia dosiąść nie potrafi. Dla wielkiego owego pana, zbyt to są male rzeczy!

Zeszły też gospodarstwa nasze i dobytki na lichotę, a szlachta stęka na niedostatek. Ale jakże ma być lepiej, kiedy sami o swoje nie stoim, i wiejski gospodarz ani wie co u niego na polu, w stodole, w spichrzu i oborze się dzieje!

Czytałem listy z przeszłych wieków Radziwiłłów, Lubomirskich i Potockich, najmajętniejszych w Polsce posiadaczy ziemi, dowodzące, że znali tak swoje folwarki, stada i mienie, jakby jeden tylko mieli. Dziś nie wiem, czyby się podpanek nasz na parze wiosek przyznał do tego, że chudobę swoją i jej pochodzenie rozezna. Zda mu się to za małą rzeczą, bo z magnatami idzie o lepszą przepychem, i byle sto dusz we wsi, musi być rządea, coby jegomości zastąpił. Już ten nie zgrzeszy zabiegliwością zbytęcną.

To, co tu Rej w czterech porach roku poleca czytać swojemu szlachcicowi, robią i dziś, ale rozliczni oficyaliści pańscy, gdyż sam pan nie ma czasu, chorując na magnateryę. Wszyseśmy dziś strasznie wielej ludzie, geniusze, o poziomych niemogące myśleć sprawach. To państwo nas zabija; spojrzenie tylko jak się

to dnie, wypręża i wysoko głowę nosi, choć nie wie-  
dzieć z kąd wyszło, a co gorsza, nie ma z czém chodzić  
po świecie!

Szlachcie na zagrodzie równy był wojewodzie, ale  
dziś to już on sam wojewodą być musi. Niedosć inn  
być równym wszystkim godnością człowieczą, uznaniem  
swój poczeiwości i praw ludzkich, trzeba nadewszystko  
być równym powozem, końmi, winem, liberyą, domem,  
i tém, na co nim nie staje. „Może on, mogą i ja!” wola  
podpanek, i wytrwa lat parę, a potem ruina, i kręci  
się w długach, i wyklamuje wierzytelom, i narzeka  
na losy, a to nie losy, tylko jegomościene głupstwo  
wszystkiemu winno.

Różnicy stanów nie dopatrzysz dzisiaj. Gdyby na  
umyśle i duchu zawisło to panoszenie się, niechby  
każdy laził jak najwyżej a piał się do góry — ale  
cała rzecz to pić i jeść, tak chodzić i tak szumieć jak  
drudzy. Brak prostej arytmetyki, ale miłość własna  
zawsze dwa razy dwa dziesięć rachować zwykła; nie  
ma na to rady.

Wiejskie też proste życie ziemianina, które tu tak  
świeżemi maluje się barwami, dziś prawie niewidziane—  
choć ono miało zaprawdę swój urok i rozkosze, swój  
wdzięk, dziś dla nas zakryty.

„Gdy przypadnie wiosna — mówi stary — azaż nie  
rozkosz z żonką, z czeladką, po sadkach, po ogród-  
kach sobie chodzić, szczepków naszczepić, drobne  
drzewka rozsadzić, gałązki obcinać, mszyce po-  
zbierać?”

Dalój życzy i wineczka, i różyczek sobie nasadzić,  
ku czemu nawet przepisy daje. Snadź sam lubił ogród  
i kolo niego chadzał, bo się rozwodzi jak grządki  
urządzać, aby niezbyt były kołpakowate, i co na nich

siać, i jak je starannie opieścić, i jak się o drzewka starać. Gniewa się też na niedbalech, którzy ogrodów, sadowi i wesołym wirydarzykom są przeciwni, mając to za trudną rzecz — woleliby gnoju nawieźć na to uniejsce i jęczmienia posiać.

Snadź z sadów musiały być i wówczas pożytki znaczne; bo oprócz przyjemności, jaką ukazuje z tego, że wonna roślina lepiej wygląda pod oknem niż śmierdzący lopuch lub pokrzywa — dowodzi i zarobku, jaki mieć można z téj niezeiwój pracy.

Za tém wychodzimy w pole z nauką, jak kolo niego gospodarzyć, ha! nawet co posiać, i żeby się w drobne rzeczy nazbyt nie puszczać, bo grunt żyto, pszenica, jęczmyk miły i owies, z których grosz przychodzi, a z tego tam groszku i tatarki a maku nie wiele wziąć i rozlecie się to łatwo.

Dziśby przepisy gospodarskie mogły być inne, ale nad wszystko jeden postawić należy: pracę własną a niespuszczanie się na ludzi. Ci, co około roli sami chodzą, swoim na nią okiem patrzą i własną uprawiają myślą, zawsze dobrze wychodzą.

Od pola przechodzi do gospodarstwa rybnego, bo to dawniej u nas także ważną gałąź stanowiło; oczyszczać każe stawy i sadzawki, zarybiać je choćby kupnem. Wszędzie Rej nie tylko samą korzyść materialną npatruje, ale się po szlachecku lubuje i cieszy widokiem wzrostu, porządku, ładu, jaki zaprowadza. Dla niego snadź to gospodarstwo jest miłośnictwem, jest prawie namiętnością, jest powołaniem prawdziwem, tak się każdą najmniejszą rzeczą raduje i cieszy, od sadu idąc do stawu, od sadzawek do czyściuchnej pasieki, do chlewka, na których wszędzie zysk pocziwy pracą zdobyty ukazuje.

Tylko nie trzeba leżeć wiele a biesiadować — powiada — ale pilno około tego chodzić.

Cała tajemnica — praca.

Pani też żonie przepisuje zajęcie w ogródach, około łnów i konopi, koło przędzywa, koło gąsek i wszelakiego drobiu.

Ej! ej! tak ci to bywało!... a dzisiaj!...

Zlitujcie się — pani u toalety, nimże się ubierze! potem musi kartkę francuską wczoraj pocztą dokończyć, bo nie wie czy kameliowa dama dała serec brunetowi czy blondynowi i w wielkiej jest o to niepewności; później powietrze wyjść nie dozwala, piecze lub wieje zbyt mocno; dalej goście nadjechali i klucznicy ma od tego, która w jedwabnej sukni chodzi i dziewczką się wyręcza. Sama już pani nie siądzie u kółowrotka ze służebnymi, nie naznaczy im nawet roboty; bo jakżeby to jej przy francuszczyźnie, fortepianie i krynolinach przystało?

W najbiedniejszym domku szlacheckim, pod pozorem wyższego wychowania i dobrego tonu, praca obowiązkowa nie smakuje, wstydzą się jej jak barbarzyństwa. Żle to jest, bo można wybornie pogodzić ukształcenie istotne, gruntowne i zajęcia najprostsze a konieczne, które zresztą bardzo zbawienny wpływ wywierają i na samego człowieka, i na tych, co go otaczają. Falszywy polor okrywa nas śmiesnością, a próżnowanie do niczego dobrego nie prowadzi.

Z najbielszemi rączkami można pójść do spiżarni, z najartystyczniejszą dmszą policzyć motki, z najszlachetniejszemi serecem karcić kury i gołębie, z najliryczniejszą poczyą zadysponować obiad. Panie, które się boją prozy życia, grają komedycę sentymentalną, ale im brak uczucia, bo w prostocie szukałyby idealu

i poezyi, boby się lękały pokazać zbyt prozaicznemi, i nie myślałyby o tém, jak *wyglądać* będą, ale czém być mają.

Minęła tedy wiosna, nadechodzi lato i owoce tego, co się z wiosną przysposabiało. Rej z ucznieniem smakosza unosi się nad obfitością ogrodowin i przysmaczków pracą i zabiegliwością przydłbanych.

— Używaj miła duszo, masz wszystkiego dobrego dosyć! — woła — ale ostrożnie, ale pomierwie.

Pojedziesz sobie z kroguleczykiem na pięści do żniwa, a tu ślicznie żną, dziewczeczki śpiewają, wołają drudzy weselo, snopki układają, i miło im robić, kiedy sam pan widzi, ale nie taki, co z maczugą (kijem) lata a po grzbiecie kolacze.

Tymczasem szlachcie sobie przejeżdżając się, przepióreczkę ugoni, nie czyniąc wszakże szkody w biednym pólku chłopskim, ani się tam popisując na sełwał przed ludem — nie tak, aby wszyscy stali, dziwując się i wołając: „Owo padła, panie! padła!”

A pan się przed nimi pyszni, że chróściciela ugonił, a oni stoją tymczasem, sierpy porzuciwszy.

Jedzie dalej, a patrzy, czy nie mokre siano mu w brogi składają, czy czas przesechłe snopy wozic do stodoly, a obiegłszy tak gospodarstwo, miło mu do domu powrócić na spoczynek.

Jesienią znowu do siewaczów, ziennia zorana pachnie, a ziarno w nią rzucają — błogosław Boże na przyszłe lato! Zaleca tu nasz Rej głęboką orkę, bo nie od dziś dnia wiadomo, że zbawienna jest polu; zaleca dobry wyrobek roli, na której się znał; sam każe bryły dobrze rozbijać, a w czas ziarno rzucić, żeby się przed zimą miało porę rozesłać.

Rankiem wolnym nie hroni psów zapuścić i w lasy pójść za zwierzem. „Ano rozliczne głosy jako fletniczki z puzany krzyczą, ano myśliwiec wrzeszezy, trąbi dojeżdżając za niemi. Wypadnie zajęczek, azaż go nie rozkosz poszczwać, za nim sobie pobiegać, a jeszcze lepsza do lęku (siodła) go przywiązać i do domu przynieść. Ano chnie i dobra myśl rośnie, ano się krew dohra mnoży, ano żołądek przechowywa, ano wszystko zdrowo, wszystko miło. Przyjedziesz do domu, ano się jeść chce, ano już wszystko nadobnie gotowo, ano grzybków, rydzyków nanoszono, a ptaszków nalapano. Bo i to uciemała krotchwila, że pan sobie czasem w budzie bardzo rad posiedzi. Ujrzy po chwili, ano miody podbierają, ano owieczki strzygą, owoce znoszą, zakrywają a drugie suszą, ano rzepy, kapusty do dolów chowają, układają, drugie też suszą, ano wszystko miło, wszystko się śmieje.”

Zdaje mi się, że choć ten opat, który tak wszechecznie obżarstwo Rejowe opisał, mocno musiał przesadzić — jednakże miał powód mówić o niém, bo i z żywota tego widać co chwila, że staruszek dbał o głębę. Pilno on zaleca swojemu wychowawcowi, ahy nie zapominał żadnego zapasu; uczy go ćwikłę przyrządzać, powidła smażyć, owoce suszyć, przysmaki różne gotować, pędzić wódki i t. p.

Wszystko to teraz rzadko gdzie znajdziesz, bo i z nżywania wyszło, bo bez zagranicznych konserw, pasztetów, blaszanych puszek i truflí mało się który dom obejdzie. A choćby kto ogórek lubił, to się go prawie wstydzić będzie, że i tani, i swój, i ten sam co w izbie czeladnój; pochwalić się z nim nie można, a tu się gwałtu czémś chwalić trzeba.

W końcu gdy tak na zimowe leże apteczka i spi-



żarnia już zaopatrzona, każe Rej myśleć o tém, eo i groszby przynieść mogło: „bo to święta kopa — powiada — co dwie za sobą przynieść może.”

Inaczéj zaś nie przyniesie tylko pracą; bo martwa kopa groszy, gdy jéj rozumne użycie nie ożywi, nie poruszy się, gdy trud nie zapłodni, nie uczynić przez się nie może. Zawsze więc zaleca jednó: praeę wytrwałą a użycie pomierne. Dziś zasada jest całkiem przeciwna: praca jest najpomniejsza, a używanie wytrwałe; i to spełniamy też święcie.

Kopa zaś smakuje nam tylko, gdy ją strwonić mamy; gdy endzym zdobyta potem, niedaleko tém zajechać.

Nadechodzi wreszcie zima, polowanie znowu, ale już inne, rybołówstwo po stawach, żelaza na lisy, zabaweczki myśliwskie i gospodarskie. Jakbyś patrzył na to życie ziemianina naszego: maluje nam je żywo, ale tak ono od dzisiejszego odmienne, że chyba eo podobnego po zakątkach poleskich jeszcze się gdzie da znaleźć.

„Nakoniec — mówi — rozkosz z charty się przejechać, na cietrzewka sieć zastawić, knropatwiczkę rozsiadem przykryć, a przejeżdżiwszy się a obłowiwszy, do domu przyjechać.”

„Ano izba ciepła, w kominie gore, potraweczek nadobnych nagotowano, grzaneczki w ezaszy w rozkoszném piwie miasto karasków pływają... Po obiedzie się do gumienka przechodzić, dopatrzeć jeśli dobrze wymłacają, jeśli słoneę dobrze układają, płewki, zgoniunki chędogo chowają.”

Skrzętny nasz szlachcie, może i co mu potrzeba mieć a grosza za to nie dać; radzi mu bowiem Rej uczeiwego handelku spróbować, wina sprowadzić beczek kilkanaście, trochę odprzedać z zarobkiem, a resztę



sobie darmo zostawić; tymże sposobem może i baranów kupić, a co się okroi po sprzedaży, na swoją potrzebę użyć, toż z piwem i t. p.

I widać, że to za dawnych onych czasów szlachectwa nie psuło, gdy się kto takim frymarkiem bawił, bo na Zachodzie inne były w tym względzie wyobrażenia; a ci, co nasze szlachectwo na tamte kopyto chcą nabijać, grubo się mylą. Żadna praca nie planiła u nas ziemianina, który i końmi z Turcyi, i winem z Węgier, i korzeniami z Gdańska kupeżył, a nikt mu tego za złe nie miał. Czynili to najwięksi panowie, póki się nie zaczęli uczyć pojęć nowych za granicą. Dopieroż gdy mądrość cudza za swoją stała, nie rzezano już obrusów przed tymi, co się z faworytami żenili, jak dawniej bywało, bo we Francyi to szło i chwaliło się, ale za to plwano na ichmościów, co odpasawszy kord, jęli się pracy jakiegokolwiek.

Tu włożył Rej śliczny obraz, jako się biedni ludzie maleni czém, z zarobku lichego żywić zwykli, i wystawia nam, jak wyglądał podówczas ów rynek krakowski.

„Kto się chce tym dziwom przypatrzeć, jako się chudзина (biedota) żywi, idź na krakowski rynek, tam się nadziwniesz. Ano jedna kielbaski smaży, druga gzelec sprzedaje, druga wątrobę pieczoną z octem a z cebulą, druga też zwodzi, druga z opłatki po rynku i po ulicach biega, druga z wieńcy (wieńcami), druga z ziółki i z czerwoną maścią siedzi. Więc i u krup, u śledzi, u masła, u świece, u szklenie, u jabłek, u żemeli, u bótów, u ryb, u żarn, u barszczu, u ogórków, u rozmaitych ogrodnych rzeczy siedzi — a ktoby się ich naliczył! Więc co ich po smatrzućcieli, po kramikach, pod krzyżmi siedzi! — jedba z żelazem,

druga z płótnem, trzecia z barehanem, z leszem, z goździami i z rozmaitemi przyprawami, a ktoby się tego napaniętał, już nie licząc rozmaitych a rozlicznych rzemieślników, co się swemi robotami żywią, dziwnych a dziwnych kwestów między ludźmi się napatrzysz. A wždy się żywią i w dobrych szatach chodzą; a cóżby pocziwy człowiek nie miał sobie pożytków uawymyślać?...”

Wskazuje to Rej namyślnie, aby dowiódł, że gdy tak małuczkiemi środkami, z zarobków lichego handlu życie utrzymać można, cóż dopiero temu, który ma wszystko po temu, co ino wieś daje?

Byle praca i zabieглиwość a oszczędność przytém, czego się tu dorobić nie można!

Prawda to wielka i dziś — a powinno to nie mamy się lepij, i powolny upadek wiejskich gospodarstw i majątności widoczny. Czemu? bośmy do zbytków nawykli, a od pracy się odzwyczaili. Za czasów Reja pańskie oko patrzyło wszystkiego, dziś najemne i takie, co swojego pożytku szuka; obyczaje były proste i potrzeby niewielkie, teraz państwo straszne i nalogi wykwinie. A nie może być, żeby na co nie stało, zwłaszcza gdy próżność wymaga — musi być.

Idzie za tém ruina niechybna.

Kończy się ów opis czterech pór roku na wsi zwrotką czysto Rejowską, która nieinaczéj tylko jego własne życie maluje, bo tak często do niéj powraca, że nie może to być wymuszony obrazek.

„Nachodziwszy się po swém *pobożém* gospodarstwie, już też sobie w cieplej izbie usiądziesz, albo sam, albo z przyjacielem. A jeśli jeszcze Pan Bóg dziatki dał, toć już jako blazenkowie kuglują, żonka

z pańienkami szyje, też się z tobą rozmawia, albo też co powie, pieczenia się wieprzowa dopicka, cietrzew w rosółku, a kapłon tłusty z kluskami dowiera, więc rzepka, więc inne potrawy. A czegoż ci więcej potrzeba?"

Dzisiejsze życie szlachcica na wsi, caleby się inakszemi rysy odwzorować musiało: obyczaj odmienny, zatrudnienia inne, i nie w smak to stare a poczeiwe żytko nasze tak ciche a święte.

Z wiosną szlachcic myśli, czy wyprzedawszy się z resztek zboża, będzie mógł wyruszyć za granicę, bo mu żona cherła i onby sam rad się przewietrzył. Już tedy i stodoła, i spichrze, i ogrody, i sady na rękach pana ekonoma, który, byle duża wieś, panem rządcą się zowie. Skoro maj gaje ubierze, pakują się i wybierają w drogę, albo razem lub każde z osobna, porzucając dzieci na najemnych rękach, czyli je z sobą na próżnowanie niepotrzebne ciągnąc od gospody do gospody.

Lato tedy cale upływa gdzieś u wód: w Spaa, w Emsie, w Wiesbaden, Karlsbadzie lub gdzieindziej; a nie bez tego, żeby się Paryża nie zachwyciło, a po drodze i niemieckim nie pokłoniło stolicom. Tu zwyczaj każe oglądać galerie, i państwo wierni mu; wloką się, szukając coby na wiarę cudzą pewno już uwielbiać mogli, o czémby powróciwszy szeroko sąsiadom rozpowiadali. Już tam tych sądów powtarzać nie myśląc, jakie się trafiają na widok areydzick; bo żeby i piękna dopatrzeć się, trzeba się do tego przyuczyć i przygotować.

Z początkiem jesieni, po rodzinném błocie, zwlekamy się do pustego dworu, do zimnych i zapylonych

izb, do opuszczonego gospodarstwa, do nudno wydajacój się okolicy, która przeraża osamotnieniem.

Jakże tu zimę przetrwać? Niepodobna! Więc jeśli nie do Warszawy, to choć do mniejszego jakiego miasteczka, aby tylko jak najmniej w domu.

Po kilku lceicach takich peregrynacyj i wycieczek, do reszty opada dwór, zapomina się ludzi, obojętnie do gospodarstwa, i już nie ma tu co czynić.

Przyjdzie gromada, zachwyciwszy pana między jedną a drugą podróżą: twarży nie przypomnisz, nie zrozumiesz co mówić będą, a związek serdeczny, który dziadowie picłęgnowali między tym ludem a dworem na wieki zerwany.

Pan narzeka na chłopów, wieśniacy na pana. Rządca się panoszy, anarchia rozpościera, i po kilku lceicach sprzedają ojcowiznę z licytacyi.

Z tych, co na wsi siedzą, maluczko też takich, co by starszszlacheckim trybem życie prowadzili. We dworze państwo, ale ich na wsi nie słyhać. Pan jeździ do sąsiadów i do miasteczek, ekonom na folwarku gości przyjmując, pisarz unizgami zajęty — a robota idzie jak Bóg dał. Jedno zgnije, drugie na pniu podpada lub z pokosami w ziemię wrosnąć — wszystkiemu Pan Bóg winien; a grosza nie ma i chwast pola zaplenia. Pani ma także swoje zajęcia, więc nie wyjrzy: a strój, a muzyka, a nerwy, a wychowanie lepsze, nie dają jój zniżyć do tych mizeryj, którą spuściła na klęcznicę. Cztery lub pięć razy do roku uczyły z muzyką, taniami, lampami. Co niedziela goście lub państwo w cudzym domu. Dosyć, że tak bez nich jak z nimi.

I szlachta musi podupadać powoli.

Zaleca jeszcze Rej swojemu poezeiwemu człowie-

kowi, gdy tak już życie swe urządzi, aby sobie pracę i wypoczynek mieniając, nżywał wczasu; a najprzód, ażeby czytał i starał się oświecić.

Jak gdzieindziej tak i tu nie pragnie on zaprzętać mu głowy rzeczami próżnemi, do stanu jego nieodnoszącemi się, nie radzi fabuł trudnych a niepożytecznych, Owidyusza lub Horacyusza, ale głównie zaleca księgi moralne, kształtujące lub mogące się do życia codziennego zastosować. Czytania nie uważa on wcale jako rozrywkę i zabawę, ale jako naukę, przedewszystkiēm każąc w niēm szukać przykładów enoty, a potēem tego, coby się szlachcicowi do jego gospodarki i rzemiosła rolnika przydać mogło.

Moralisci, podróże, historia przyrodzenia stają na czele czezych poczyjek i lekkich ksiąg; nie życzy Rej wcale. Nie było ich też naówczas w języku polskim, a mało i w innych; musiano szukać w literaturze bujniēj rozkwitlēj, starożytnēj, od którēj Rej wszędzie odciaga niesłusznie, może dla tego, że sam w niēj nie smakował, bo niewiele jēj znał.

Inny rodzaj życia, przedewszystkiēm czynny, nie dopuszczał wówczas ludziom rycerskiego stanu, bardzo daleko w naukowe pnszczać się rozdroża; nie było na to czasu. Dziś, gdy zdawszy na ludzi wszystko, niczēm się sami nie zajmujemy, do zbytku jest chwil wolnych, z któreni nie wiemy co zrobić. Gospodarstwem trudni się ekonom z wójtem, ogrodem ktoś drugi, spiżarnią i folwarkiem klucznica, interesami plenipotenci, dziećmi bony i guwernerowie, kołnisi stajenni—więc się życie zostaje całe, nieużytkowane prawie, chyba na zabawy i rozrywki, a na książki stanie go bardzo. Jednak porachowawszy tych, co czytają, niewielką stosunkowo liczbę znajdziemy.

Książka się kupi niekiedy, leży często na pokaz na stoliku, przywozi się do domu jak sprzęt dla przyzwoitości; ale jej nikt nie tknie, dopóki nie przejdzie do przedpokoju, do garderoby i folwarku.

Nie powiem, żeby wszystek rozum w książkach siedział, dużo go też po świecie chodzi; ale książka szlachećcowi by nie zawadziła. Cóż on, jeśli nie przednia straż cywilizacyi? Trzeba mu wiedzieć kędy dalszych braci prowadzić, trzeba więcej umieć nad nich, i jeśli nie rękami to nożem pracować. Obchodził się bez ksiąg wielu Rejowski wychowaniec — dla czego? bo czynem i praktyką, żywym głosem je zastępowano; uczył się prawa w trybunale, sztuki wojennej na koniu, gospodarstwa kolo roli, i po trosze wszystkiego w pocie czoła. Dziś życie nasze, krom przyzwoitości i form chłodnych, nieczego nie uczy; trzebaby się więc choć do książki uciec, zwłaszcza gdy ich jest tyle o wszystkiem i dla wszystkich. Ale — idźmy dalej ze starym szlachećcem.

Po książce konik i zbroiczka — to było pierwsze, i stary nasz nigdy o tém nie zapomina. Sądził u koń mlokosa, każe nań i starszemu znowu.

„Nuż gdy się trafi czas po temu i pogoda, azaż to nie jest rzecz potrzebna człowiekowi pocziwemu na konika wsiąść, zbroiczki sobie przypatrzeć, słudze też na drugiego kazać wsieść? albo jeśli się przytrafił dobry towarzysz jaki, więc tu sobie pomierunie pobiegać, spytać go jeśli umie obrócić, albo z razu wyskoczyć (pomknąć), albo się zastanowić gdy tego potrzeba; albo jeśli się koniowi takie wędzidło podoba, jeśli w niébm nie trząsa, albo jeśli nie nabożny, jeśli w niego nie patrzy, leb wzgórc podniosłszy? Więc też uie wa-

dzi, jeśli po temu zdrowie, i drzeweczko (kopię) wziąć, nadobnie sobie z niém poigrać, albo też do pierścionka albo do czapeczki pomierzyć, bo ztąd i krotocwila (zabawa) i ćwiczenie urosć może. Ale gnuśność nasza a tępość wszystko nam snadnie odejmie. Bo będzie drugi wołał gdzie w cieniu pod dębem leżeć, albo w kufel nagładać. I dąb-ci nie zamieszka, i kufel nie zająć; wierz mi, iż się doczeka, aż z przejażdżki przyjedziesz.

„Przyjdą trwogi albo potrzeby jakie — jakoż świat bez tego być nie może — już siła będziesz miał przed onym chwastem, co ni koniczka dosiąść, ni drzeweczka w rękę wziąć, ni zbroiczki na się włożyć nie umie. A często z przestrachu zadni plach (tylna część zbroi) na przodku sobie zawiesi, a mniema, że tak bardzo dobrze.”

Rycerska wprawa ciągle na myśli i oku u Reja, i że ją pilno zaleca swemu szlachcicowi, jako obowiązek, nie ma się czemu dziwić; wszyscyśmy wówczas żołnierzami byli, wstyd było nie unieść tego, do czego się rodził każdy, bo cały naród szlachecki do wojny i konia był przeznaczony.

Ale już w XVI wieku pod wpływem włoskiego obyczaju, cywilizacyi zachodniej i większych nawyknień, znacznie się było rycerstwo nasze zmieniło, i nasz moralista nieustannie na gnuśność i niedbalstwo narzeka nie bez powodu.

Nie będziemy zbyt obwiniali samych siebie o zgnęśnienie; wielki w tém udział miały wypadki. Nagłe z rycerskiego zastępu, z żołnierzy chrześcijańskich stojących na kresach, weszliśmy w rodzinę ludów innym bytem żyjących, w egzystencję odmienną i ina-



ezęj obwarunkowaną. Ta przemiana musiała spowodować reformę, przerobienie się obyczajów. Jak ciało w biegu siłą przeciwną wstrzymane i eiśnięte innym kierunkiem, musieliśmy na chwilę stanąć w miejscu; lecz i natura nasza przyczyniła się do przedłużenia momentu niepewności.

Dziś jeszcze się to czuć daje, i szlachcie przedstaw-  
szy być onym rycerzem Chrystusowym, jeszcze sam  
nie wie czém będzie, a jest istotą nieokreśloną, tro-  
chę z przeszłości, trochę z nowych pierwiastków zło-  
żoną.

Zadanie czasu właśnie, czém się staniemy.

Jedni chcą, byśmy całkiem nowe i idealne poezęli  
życie, nie patrząc tradycyi i przeszłości, byśmy się  
z gruntu przetworzyli; drudzy terażniejszość pragną  
z odlanków starych skłecić, przy wiejskiem życiu, przy  
roli i zachowaniu pradziadowskiej spuścizny się trzymając.

Ci z nas pół-Niemców, pół-Anglików, owi niedobit-  
ków ubiegłej epoki tworzą.

Jedno jak drugie niespełnia dobre; przedewszystkiem  
nam sobą pozostać należy i związku z tradycją pra-  
stara nie zrywać. Niechronna zapewne przemiana  
obyczajów i żywota, ale niechże nie będzie taką, by  
dosięgła natury naszej, by eo u nas jest szlachetnego  
i dobrego, a naszego własnego, z nas wygłuzowała.  
Zatrzymajmy z dawnego co się tylko da; szanujmy  
stare szaty ojeowskie.

Nowymi się stać a na cudaków się przeistoczyć  
bardzo łatwo; ale się nas zaprze historia, jak my się  
jēj zaprzemy. Wszystko więc, co może nas wy natu-  
rzyć a odjąć nam starą cnotę, choćby dawało korzyść  
mnożę i drogie, nie na dobie dla nas. A co z dro

giego obyczaju pradziadowskiego zmieści się w ciasnej naszej torbie podróżnej, nieśmy dalej drogą od Boga przeznaczoną.'

Bądźmy jako ogledni pielgrzymi, co nie wiedząc gościńca nowego, niosą z sobą i wodę, i chleb, i sprzęcik, który w przypadku przydać się może, choćby zaciężyl na ramionach.

Gnusność zarzuca Rej, ta jeszcze dziś w nas trwa, ale mamy obok niej wadę, o której on lekko napomyka tylko, równie szkodliwą jak zobojętnienie: jest nią brak siły ku wytrwaniu.

Pierwsze poruszenie nasze zawsze święte i dobre; nie żalujemy życia i mienia, gdy krew zagra na skorym razie; ale pędem a skokiem nie się nie dzieje, wszystko się dokonywa powoli, a nam właśnie na ciętą, skromną, stałą i wytrwałą czynność brak mocy. Życie niejedem da całe w chwili, ale go zdawkową monetą godzin pracy długiej nie potrafi poświęcić, a tu właśnie kroplami się kamień dziurawi, i cedry po włosku rosną przybierając, i co nagle to po dyable. Po pierwszej owiej gorączce ofiary, dla którejbyśmy i koszulę zdjęli, i skórę sobie obedrzyć dali, następuje zmęczenie łatwe, niemoc, i ręce opadają. We wszystkich, cośmy kiedy przedsięwzięli, to najwięcej szkodziło a na drodze stało, żeśmy z jutrem rachować się nie mogli, bo jutro inny człowiek, ani go poznać, i wczorajsza ochota mieniła się w wątplenie a zapal w niewiarę.

Kończą się drugie księgi rozpoznaniem co jest chwalebą prawdziwą a omylną, i jakić człowiek służyć a dorabiać się powinien.

Tą sławą jako wędą długie wieki brano człowieka;

Pracuje i dziś się na nią; aleśmy przyszli do poznania wyższej prawdy: że można się i na niesławę dla sumienia ważyć, i sławę poświęcić dla obowiązku, i w oplotach sukni chodzić dla pocziwości, że nie dla sławy winien się święcić człowiek, ale dla prawdy. Sława u ludzi tyle tylko warta, jeśli ci orężem jest i narzędziem do czynienia dobrego, jeśli drugich do naśladowania cnoty bodzić, jeśli jej używasz na pocziwo, a jako nasyccenie i nagroda jest małą rzeczą w sobie i nieczemną. Dziś ją masz, jutro straciłeś, a opiera się nie wiem na czym i wydrze ci ją lada kaprys.

Uganiać się za popularnością i dorabianie uznania powszechnego z umysłu, pochlebstwem tłumowi, płażaniem złem, zaparciem się swojego przekonania, występkiem jest i podłością. Zyskuje się w ten sposób chwilowy okłask a śmiech pokątny, i dorobi się popularności ale nie szacunku.

„Albowiem patrz kiedy kogo wedle świata chwala, że czysty pan, czysty porządek około niego, czeladzi dosyć, koni dosyć, na stole pysznie, więc tam w każdy kąt nalewają, więc tam zawsze pisk, huk, krzyk aż do północy, to się więc ta chwala każdemu podoba i bardzo mu smakuje, i co się kołwiek około takich ludzi broi, iż się wszystko dla tej próżnej chwaly broi, i za wielką rozkosz ludzkie poczytują, iż takich żywotów używają. Ale to wileza pociecha.”

Rej pozyskanie takiej popularności i chwaly porównywa do owej przez wilka pochwyconej.

Nie jeden u nas urzędnik dobija się tak uścisków serdecznych panów braci, i godzi tylko, aby pozyskał oznaki miłości, nie zaś na cześć i miłość zasłużył. Wiele często okupić przyjdzie kochanie owo ofiarą przekona-

nia, a po leciech kilku, gdy się oazy otworzą, owa wielka popularność pełźnie jak farbowana franka na słońcu.

Uznanie u ludzi nie kupuje się lecz zasługuje; kto się o nie stara, najlaciej straci, bo już to, że go pragnie, dowodzi, że nie wart.

Dla prawdy zabołć miło i święta powinność; a średni wiek człowieczy tém prawidłem życia, które jest walką, skończyć najwłaściwiej.

---

## IX.

Trzecią księgę przypisał autor Spytkowi Jordanowi pami na Melsztynie kasztelanowi krakowskiemu, którego zowie się dawnym a prawie domowym sługą. Że tu więcej mu przypadalo mówić o poważnych rzeczach tyczących się całej Rzeczypospólitej, słuszną była pierwszemu jój senatorowi księgi te dedykować.

Przyszliśmy tu już do ostatnich lat, do starości naszego szlachcica, która wszakże nie na spoczynek, ale do różnej nieco pracy go wzywa. Łacniej, powiada Rej, zrozumieć drogę, którą wąż wlaź, jaką ryba plynie, kędy ptak leci, niżeli kędy leci myśl a sprawa człowieka młodością nniesionego; nie mniej zamieszania i niespodziewanych okoliczności w średnich lciech człowieka, aż dopiero na starość nieco spokoju i odpoczynku. Wszakże starych a szalonych także dostać woła moralista: na rynku świata i to się znajdzie za niewielkie pieniądze.

Ci rozbójnicy dnehowi, jak ich tu zowie, którzy przeciwko cnocie się zasadzają, są to zawsze niedogasłe namiętności, nienasycone lub dopiero na schyłku życia rozwijające się najbujniej. Ale ma cnota dworzan, co jój bronią: tam marszałkiem łakomstwo, tu po-

hoźność, skromność, poczciwość; tam gniew, tu pokora i pokuta; tam zwada, tu pogarda świata; tam lenistwo, tu czynność.

Przynajmniej takimby wodom starość oddać potrzeba: bo stary a szalony, powtarza Rej—nie ma nic poczwarniejszego; a wiek dojrzalszy łatwiejszy ku enocie, do której i od zadawnionego występku zawrócić się czas zawsze. Tu się tedy wskazuje, jak Bóg starców i sędziwe lata opieką swą okrywał, jak karał starość, która własnych siwych włosów szanować nie umiała, nareszcie jak chrześcijański starzec sprawować się ma.

Nim do tego wizerunku przyjdziemy, powiedzmy nawiasowo, że dziś, zwłaszcza w świecie większym, całkiem starców nie mamy. Tej powagi starości, tej świętości, jaką ona ukrywała, a zarazem dojrzałości w obyczajach i umyśle, weale się nam dziś nie chce, a cała sztuka jak najdłużej choć pozór młody zachować.

Złąd owe istoty osobliwsze z pofarbowanym włosiem, wyciągniętymi marszczkami, malowaną twarzą, i sztywną postawą, kaszlące a nsilujące biegać i swawolić, istne pajace, na których patrzeć litość bierze i wzgarda dobrowolnego ich poniżenia.

Kobiety i mężczyźni chorują równie na tę chętkę przedłużenia młodości nieroztropną i śmieszną, która nie odmładniając ich weale, odejmuje im tylko powagę i zaćność, jakiej się siwym włosiem, zapracowanym niecierwie, dosłużyć mogli.

Tych matron majestatycznych, tych starców poważnych, gdzież dziś szukać? Chyba gdzie pod słomianą wiejską strzechą. W pałacach wiekuista panuje młodość, a włosy, zęby, rumieniec i figurę i wszystko

sprowadzić można z Paryża; to tak mało kosztuje!  
a młodość tak wiele warta!

Za czasów Reja zwaly się takie postacie chimera-  
mi ludzkimi, a nieszczędzący wyrazów moralista  
wprost je blaznami nazywa.

Obok tronu starości, który jako nagrodę lat wy-  
służonych wysoko stawia autor, wiarę, nadzieję i łaskę  
jako posagi wznosi, ukazując, co sprawia nadzieja  
i wiara, a łaska. Wiarę porównywa do szczepu, łaskę  
do kwiatów na nim rozwiniętych, nadzieję do majo-  
wego deszczu, który je skrapia.

Wyścigiem później wystawia życie ze Ś. Pawłem,  
i biegiem do mety, od której odbicie sromota.

Więc choć starość siły odbierze, nie ustawać ei  
w biegu, i nie spoczywać ei gnuśnie; dalej a dalej do  
końca.

W pokoju ducha i białej szacie młodości, wdzianej  
na spoczynek stary, iść a iść ku udoskonaleniu, ku  
rozwiązaniu ze światem, z ludźmi, a podniesieniu my-  
ślą ku wiecznemu! Czas jako złodziej okrada, mówi  
dalej, więc chwil policzonych użyć na dobre, gdy ich  
mniej codziennie zostaje; nie szukać pokoju, którego  
świat dać nie może, ale pokoju bożego i skarbów,  
których rdza ani mól nie gryzie.

A że świat bez przygód być nie może, radzi ich  
opatrzenie unikać i zapobiegać im za wezasa, i przede-  
wszystkiem szwanku na duszy nie dopuścić, a stale  
w sobie serce zrobić, dla którego nie ma nic strasz-  
nego.

„Człowiek poważny jest nieco ku Bogu podob-  
ny sprawami swojemu, a tak one pańskie dary czynią  
mu jakąś powagę w oczach jego, że się go wszetecz-  
ny zawždy wstydać musi i w poczciwości go mieć.



A wszeteczny zasię, by najwięcej złota nań nawieszał, tego mieć nie może. A czemu? Że się w nim dary pańskie nigdy okazać nie mogą. Bo nie pomoże szkapie pozlocista uzda, ani zlemu mieczowi nowe pochwy, ani spróchniałemu domowi skrzypiące powietrzniki... przedsię zle złem być musi... Bo gdyby położono grono wina nadobnie dojrzałego, a podle niego drugie z drewna urzezane choć nadobnie pokoszczone albo uryantówkę pięknie dojrzałą a drugą także z drzewa albo z kamienia ustruganą i pomalowaną—zda mi się, iżby się każdy wolal do tej prawdziwój rzucić.”

Wiek czlowieczny, powiada jeszcze, jest jako rok bieżący: „Zbieżała wiosna kwitnąca młodości twojój, zbieżało lato ono gorące, przypadła na cię chłodna jesień, kiedy wszystko dojrzewa i do spiżarni się chowa, nieczego nie czekasz, jeno spokojnój zimy, abyś po pracy odpoczął.”

Starość więc, to już przygotowanie do śmierci głównej, do drugiego żywota,—do godów, na które w bieli stanać mamy. „A my tu równie jako krawczycey co wędrują od miasta do miasta, aż potém ku starości sznakają warstatów swoich, gdzieby już usiąść i żywota dokonać mieli”—z tą różnicą, że nasz ostatni warstat nie z tego świata.

Przedłużając to porównanie stare żywota do podróży, Rej i drogi, i towarzysza, i celu patrzeć każe, o każdym mówiąc sobie powoli z osobna, nieco się już powtarzając z tego, co w średnim wieku powiadał. Ton tej książki poważniejszy, a obrazków w niej dużo mniej, i zda się, że mając starość opiewać, poczul, że się do jój harmonii nastroić było potrzeba. Wszystko tu też jakby kazanie natchnione a proste, płynie strumieniem szerokim a spokojnym.

Daléj o prostowaniu drogi żywota, i owe bozkie błogosławieństwa ewangeliczne, obiecane nbogim w duchu, eichym, zasmueonym, pokrzywdzonym, miłosierdnym, serca czystego, pokój milującym, a niezwyml dla sprawiedliwosci. Wyklad błogosławieństw jest chłodnawy, i nie pocznł starzee jak nowy świat one zwiastowały, rozległszy się po raz pierwszy na rynkach rzymskich, wśród świata Cezarów, uświęcając eierpienie, ucisk, pokorę, ubóztwo i wszystko co, dotąd miane było w pogardzie.

Nowe to prawo i zakon niosły z sobą błogosławieństwa dla tych przeznaczone, którym dotąd tylko *Vae victis!* się rozlegało grobowym jękiem, a i dziś jeszcze jedyną pociechą tych, eo jój od nikogo nie mają, jest błogosławieństwo wszystkim boleściom, wszystkim uciskom, wszystkim łzom i cierpieniom, wszystkim, co poniżone i sterane.

Treścią nowego zakonu są te błogosławieństwa tak pełne znaczenia, w które świat zwyceięzki nie wierząc, szanować je musi przecię.

Rej zamyka ten ustęp poważny, błogosławieństwem uciśnionych dla sprawiedliwosci, eierpiących dla prawdy,—ale sąż jeszcze męczennicy, którychby boleść nie złamała i coby eierpieć nmicli?

Niech każdy z nas obejrzy się i powie mi, kogo zobaczył wytrwale bolejącego dla sprawiedliwosci? kto się w końcu jój nie zaparł choćby milezeniem?

Jak w wieczornéj rozmowie u komina, co to się powoli toczy, z przedmiotu na przedmiot przechodząc niepostrzeżona, tak tu daléj idąc, spotykamy coraz nowe o świecie i ludziach, mało się z sobą wiążące pogadanki: jako w każdéj pszenicy kąkol być musi, i między dobrém złe się zamiesza, jako hamować zmys-

ły i cielesność; jak biedny ten, co panem siebie nie jest, a przez pół do dyabła należy, to jest do świata i napiętności, ludziom ani Bogu nie służąc, jedno sobie a sobie.

Malując obraz statecznego męża, doszłego lat bezpiecznych, zaleca mu autor wciąż myśl wyższą nad przygody i wypadki, sree wielkie a niedostępne trwodzi, a zarazem i unilowanie rozkoszy, stoicką wytrwalosć, żelazną wolę i mmyśl, co by niczym zachwiać się nie dał.

Te rady nacechowane są moralnością raczej filozoficzno-pogańską choć czystą i piękną, niżeli chrześcijańską, rzekłszy prawdę; a choć Pismo Święte przywodzi często, w ogóle ideał starea, jaki tu maluje, wystawia więcej filozofa rzymskiego, niż pokorne dziecko miłości Chrystusowej. To oderwanie się od świata, które poleca, jest wszędzie jeszcze napiętnowane trochę samolubstwa starego, a poszukiwanie chwały większą gra rolę niż wewnętrzne uspokojenie. Barwa ta w Reju pochodzi bez wątpienia z jego nowiniarstwa, i jest wypływem reformy, której zachwyił. Całe imy jest ton i duch pism czysto katolickich tój samój epoki, choć w nich toż samo poszanowanie dla przedchrześcijańskiej filozofii pamiuje.

O mądrości, roztrupności i fortunie, o zachowaniu się na świecie starea i wybiciu z zależności od względów ludzkich, o oku bożem, o dobroci wreszeie mówi jeszcze, i tój pragnąc żeby nie bylo za nadto, bo według jego zdania, wszystko zle co nazhyt. Dalej prawi: że człek poczeiwy ma hyć jako zwierciadło, wszystko co najpiękniejszego jest w sobie ukazujące; że ma wspamiłą myśl mieć i ukladność; że w przygodzie dopiero i ciężkim wypadka okazuje się charakter czło-

wieka; i jak z dolą waleczyć, jak smutek daremny hamować, jak rozumem przyrodzeniu gwałt zadawać.

Może sam przedmiot téj księgi, czy też usposobienie piszącego sprawiły, że w pisaniu jój znacznie tou odmienił i spoważniał; barwisty styl ów nawet, choć tu i owdzie po staremu się ukraś, unika jaskrawości, którą wprzód szafował. Wiele się tu już powtarza z tego, cośmy wyżej widzieli, i znać bardzo, że autorowi brakło wątku, bo się ogólnikami szeroko lata, nalegając na jedno, a zbrojąc enotą przeciw przygodom i fortunie odmiennój, której koleje bolesne wylicza. Naostatek postawiwszy starca w obec śmierci, chce i przeciw obawie jój silnie go zbroić, aby się krótkości życia i końca jego nie lękał; dowodzi przytém, że człowiek sam sobie życie skraca, niepomierném jego używaniem i siedmiu grzechami głównymi, które są jakby siedm oręży samobójczych. Prostotę życia uważa za uajlepszy sposób przedłużenia go. „A przypatrz się kto chce: powiada—temu—nie więcej-li najdziesz siwych, lysych a przedsię i tłustych i nadobnie rumiałych między ludźmi prostymi, którzy acz grube potrawy jedzą, ale tylko do sytości, a brzucha jak wałtucha nie natkają, ani jako śmierzącego buklaka nie naleją, uizli uieędzy zaenymi ludźmi? Bo acz go też i ten czasem naleje, ale z rzadka, i to k temu chłodném piwem, a potém wszystko wypracuje z siebie. Albo także patrz i między mniemy jako więcej tłustych i rumiałych uajdziesz niżli między naszymi bratry, którzy ustawicznie z podpuchlami oczyma a zhladłą twarzą po światu chodzą.”

Nie można twierdzić, iżby nie miał słuszności, bo życie, jakie prowadzimy, weale do zdrowia nie wie-

dzie, a im bardzićj się pieściu, tém mnićj w nas siły Trudności też i frasunek resztę biorą.

„Bo jeśli jest człowiek na jakim urzędzie, już go zawždy pilnować musi, a co którą godzinę zegar uderzy, to łbem miece, by szalony, pilnując, aby czasu swego nie omieszkiał. Jeśliby też na wyższy stan rad wstąpił, to za nastolkami błoto depeąc biega, przed progiem stoi, a czasem się na nim i prześpi. Nie je aż w noce, i to na zimno, bo mu bardzo przestygło czekając pana. Nuż zasię żona, nuż dzieci, nuż służby, bo tam trzeba, aby było zawždy pstro, gdzie wziąć to wziąć, bo się tém ma ozdobić kto tytułów dostawać chce, a czasem więc drugi na ten szane szczęście i wszystko wysadzi, jedno to jego co na grzbiecie a na szyi zostanie, acz czasem wygra, czasem też po arenach u mnichów włócząc się żywota dokona.” Jest to wizerunek nie jednego szlachetki, który dwora dla chleba pilnował.

I jeszcze o nauce życia i o tak zwaném zabijaniu czasu, którego krótkości bywają ludzie radzi, choćby go raezj przedłużyć pragnąć trzeba, bo i tak mało go bardzo mamy. „Są drudzy, mówi, co jakby z radością czasy swe wyliczają, aby im rychło zbiegły. Bo go usłyszysz jeszcze w mięsopusty po onćj rozstrojonćj biesiadzie, a on sobie dobrze tuszy, iż nam dali Bóg prędko post zbieży, bo na krótki dzień wyszedł. Potém z Wielkiejnocey liczy Ciziojanus (kalendarz) daleko-li do Św. Jana, tusząc sobie dobrze, iż go nam dali Bóg prędko zbieży, bo tam też już potém rychło żniwa i owoce nastaną. Potém liczy do świętego Marcina, też także sobie tuszy, iż też to dali Bóg prędko minie, bo już tam nam czynsze przypadną.

Więc potém zasię kto ma długi wyciągać, liczy daleko-li też do God (do świąt), a też sobie winsznie, iż to dali Bóg prędko nam zbieży, bo będą piemiążki. A tego nie baczy, iż też sam pan za temi czasy bieży, a nie baczy gdzie mu podkowa odpadnie, a gdzie na szyję utknąć ma.”

Znowu tedy do malowania życia wracamy. Rej od marnego próżnowania odwodząc, do praey i książki zachęca; przestrzega, aby się za lichemi nie ubiegać pożytki: „Albowiem chociaż kto doczeka i wzmożenia jakiego, a już go zajdzie zima starości, a cóż mu po tém? z jakąż tego rozkoszą na łóżku, a jeszcze blisko pieca postawioném, kaszlając zażywie? Ano już flegma w piersiach skrzypi, ano już dychawica mówić nie dopuści, ano już jednego kłopotu zbył, drugiego napytał, bo zbył pracy, biegania, a nabył frasunku myślenia, a ludzkich szacunków, a przymówek. Bo o mini sobie szepczą. A trzebaż mu tego było? a co potém na starość iż się zniewolił? a na co się to już dobrego przygodzi?— A to ma w zysku, iż mu one wdzięczne czasy marnie upłynęły, których mógł w rozkoszonym żywocie użyć, które mu tak marnie zbiegły jako na wiosnę woda, gdy gorące słońce śnieg zaziębły prędko roztopi—tak go ani znaczkę zostanie, a nie wiedzieć się gdzie podzieje.

„Więc sobie tu na starość dopiero groby knją, alabastry, marmury i insze rozliczne kamienie lamia, herby pozłacają, tabliczek nawieszczają, i mniemają, aby onych swych niekzemnych a zaziębłych czasów a żywotów mieli tą pamięcią nadstawić. O nędznaż ta pamięć twoja, patrz długo-li trwać może?”

I pyta: gdzie jest grób Aleksandrów, gdzie Achilla lub Hammibala?



Nie o groby się więc starać, ale o pozostawienie po sobie niezawidnej pamięci.

Ani starości, ani śmierci, dodaje niżej, lękać się nie powinniśmy, bo starość niesie doświadczenie i przyda się na świecie jeśli nie ręką to głową. „Malo że kto powrozy targa albo podkowy lamie, a dalej ani sprawy ani rady w sobie nie ma.”

To tylko nieszczęście, że najlepsze doświadczenie starości na nie się nie przydało, bo go nie słuchają, i każdy się sam sparczyć musi niżeli uwierzy, że gorące.

Dziś zwłaszcza nie w takiej powadze starość i nie tak się do niej niekają jak przedtém; aleśmy już ukazali po części przyczyny, dla których szanować jej nie chcą, bo szanować się przestała i za pan brat chodzi pod pachy z szaloną młodzieżą.

Obawę starości dla jej nienżyteczności odbiwszy, moralista dowodzi, że i dla tego, jakoby siły odbierała i ciało zemdlila, lękać się jej nie trzeba, bo zbytek żywota a niepomnierna żywota też nie po tem. Tu mu przyszło odmalować tego, co my zowiemy wierzypiętą, a którego on zowie wierziprochem. „Zaprawdę jeśli co komu przystoi, mówi, to nadobny statek młodemu człowiekowi. A zowią go poważni ludzie panienką, powiedając, iż czysty stateczny młodzieniec by miał być panienką. Ale nasz poskoczny nazbyt, a na cóż się jego figle przydadzą? I sobie szkodzi i ludziom. Bo jeśli na szkapie siedzi, tedy i się wierci, biega, darmo nigdy nie postoi. Więc albo co potluje, albo poprzewraca, albo kogo zdepeze, a sam też albo o tragarz w łeb, albo o gąłaz w głębie weźmie, albo i ze szkapą padnie, a potem modrym płatem nogę uwija. Jeśli też pieszo to albo przez stoly, albo przez ławki skacze,



jednego nogą w bok, dragicie szpadą po gębie, a sobie też albo w bok, albo w gołęń, albo szklenicę po-  
thcie. Owa nie wiem ani rozumiem, nacz się one figle  
jego przygodzą?"

Jako sprzeczność opowiada życie poczciwego sta-  
ruszka: „Ubogi starzec może sobie nadobnych, a sta-  
tecznych, a spokojnych przechadzek użyć okolo staw-  
ków, albo po sadeczkach swoich, albo też po polu, pa-  
trząc, nie masz-li w pszenicy kłokoli? A potem przy-  
szedłszy, siadłszy sobie u chędogiego stolika, smacz-  
nych a pomiernych potraweczek się najeść, a potem  
na swym przyrodzonym inochodniczku, który na no-  
gach pan, na białym a nadobnym łóżecku się prze-  
jeździć, z czeladką sobie pomówić, pożartować, pokro-  
tochwilić. A jeśli też jaki dostateczny, może też sobie  
i jaką cichą muzyczką główkę naszychtować, a potem  
się smaczno przespać, a potem się przebudziwszy, to  
sprawować, co też już jego stanowi należy.”

Pragnąc dla swego starca pokój, wielce jednak  
rozdziela go od gnuśnego wyrzeczenia się wszelkiej  
pracy, chce, by miał pokój od burdy, od prawa, od  
zbytków, od innych świata zaprzątnień, ale nie od za-  
jęć poważnych okolo dobra Rzeczypospolitej, by leżąc  
jako niedźwiedź, mruczając a łapę ssąc w barlogu, nie  
gnuśniał, ale krajowi, przyjaciółom i sobie służył póki  
sił.

Upewnia przytém, że starość całkiem nie wyczer-  
puje i odbiera mocy, ale tylko zmienia rolę, i z tego,  
co sam młócił, czyni dozorcę przy młóckach. I lepić,  
powiada, patrzeć jak młodzi szaleją, niż samemu się  
trząść i brykać; zresztą i to szaleństwo młode, kto go  
wie? azali tak rozkoszne jak się widzi? „I szkapa się

będzie endna zdala pod endnym pokrowcem, a gdy go odkryjesz, alić klaponehy albo jaki prześlągly.”

Naostatek obawa starości przybliżającej śmierć wprowadza nas na dowody, że nieuchronnego końca lękać się niepotrzeba i próżna. Tu już znane nam dobrze występują argumenta: jak śmieszna hać się tego czemu zaradzić niepodobna, jak poczeiwemu ostatnia godzina straszną być nie powinna, chybaby nazbyt do świata się przywiązał i przyłgnał, jak śmierć wreszcie nigdy duszy nieśmiertelnej dotknąć nie może. Tu mnóstwo przywodzi przykładów starych, jak poganie nawet śmierć mało sobie ważyli.

Piękne tu przychodzi porównanie człowieka, który z wysokości ducha na świat patrzy, do Kserksesa przypatrującego się mnogości wojsk swoich i płaczącego nad niemi. „Gdybyśmy i my też dzisiejsi Kserksesowie weszli na wysoką górę, a pomyśleli sobie, wejrzawszy nie na wojsko, ale na wszystek świat, jako marnie ludzie schodzą, a często giną, że ich ledwo trzecia część w małych czasiech zostanie—moglibyśmy też zapłakać a pomyśleć sobie, że tu czas nasz krótki a omylny jest, a nie się w nim nie kochać.”

Więc czuwać a czekać z lampą wiary niezagasłą, rychło-li pozwą na gody do Pana; a tymczasem pociech, jakie Bóg dał, używać—boć są pociechy późnego wieku, które nam tak Rej maluje:

„Aż ty nie masz czém tego przyczerniałego domu swego, tój starości swój oczyścić a nadobnie zafarbować pociechami rozlicznemi, gdy będąc w pokoiku swoim, opnściwszy rozliczne burdy, frasunki, a kłopoty świata tego, będziesz używał rozkoszy, patrząc na one sprawy swoje, któreś sobie postanowił za czasów

dużości swojej. Ano sobie siędziesz w nadobnym domku, któryś zbudował wedle myśli swojej, ano łożeczko nadobnie usłane stoi dla odpoczynienia twego, anoc synowie służą, jeśli je Pan Bóg dał, i z żonkami swemi, wymyślają ci potrawki wedle czasów swoich, anoc jeden przynosi ptaszków, drugi zajączków, białe głowy knrek, owoców rozlicznych, że bezpiecznie możesz rzec w owym wdzięcznym pokoju swoim: Używaj miła duszo, bo masz wszystkiego dosyć.

„Przechodzisz zasię do sadków swoich, do rybniczek swoich, którycheś sobie namnożył za możniejszych lat swoich, ano rozliczne owoce wiszą przed oczyma twemi, ano rybki skaczą, ano jagniątko, kozłatka igrają, ano wnuczątka za nimi przed oczyma twemi jako wdzięczne knreczątka skacząc biegają, anoc gruszcзки, jagódki zbierają, przynoszą, jako mogą się przysługują, ano stada bydła rozliczne jako od Joba, z wrót twoich pędzą, ano się pola one zielenią coś sobie rozkopał za możniejszych czasów swoich. A przeczże ty sobie masz mierzić starość swoją?”

Gdzież dziś taki obraz starca wnuczęty otoczonego, w gromadce rodziny? gdzie ci dziadowie siwowłosi, ktorzy na dom błogosławieństwo sprowadzali?

Dziś gdy do tego przyjdzie, że dzieci dorosną a postanowią się, ojciec i matka najczęściej im miejsca następując, z domu niekają gdzieś do miasta, i jak na wygnanin żywot pędzą. Boby tam może ich starości nie poszanowano, boby się synowa krzywiła lub zięć krzywo patrzył, a wreszcie starzy także chcą jeszcze nżywać świata.

Więc wyfryzowany dziadunio, udając młodego kawalera, z laseczką po mieście się nwiija, i drogo oplaca fawory tancerek, które się z niego uśmiechają; a ba-

humia uróżowana szuka dystrakeyi w gronie próżniaczęj gawiedzi, nad francuzkiemi romansami lub w miejskich ploteczkach.

Starymi być nie umiemy, ani żyć po staremu; a jeśli gdzie w głębi wsi pod słomianą strzechą trafi się patryarchalnych obyczajów rodzina, z jakąż ciekawością cisną się dziś ją oglądać i dziwować temu, co niegdy było powszedniem!

Jakkolwiek ostatnia księga Reja nie obfituje w obrazy i chłodną jest w miarę innych, a więcej dogmatyczną i nauczającą niż odwzorowującą życie XVI w., z samych rad, z ich toku, z kilku oderwanych rysów poznać łatwo, jak inna była społeczność owa, do której się stosowała.

W imię innych prawd, innemi argumentami i językiem do dzisiejszych ludzi pisać potrzeba; dla tego tak nam tu pusto, tak to żadnego związku nie ma z teraźniejszością, że się treścią suchą i kilku uwagami ograniczyć musimy. Jest to świat, którego nam braknieć, wiek, któregośmy się zaparli. Młodzi za wezasu starzeją, starzy młodymi chcą być na zawsze, świat nie jest ani szczerze młody, ani zupełnie stary, wszyscyśmy jednego wieku, dzieci i ojcowie, w smutnym jakimś stanie pośrednim, który ma boleści wszystkich lat, chce mieć wszystkich wieków rozkosze, a w istocie dźwiga tylko ciężar całego żywota za weześnie i za długo.

W piętnastym roku już dziś ludzie skończeni, w sześćdziesiątym trafiają się fireyki i unizgusy pocernione. Jakieś chaotyczne zamieszanie. Biada tylko, że godność na tem traci, a nie zyskuje szczęście!

Na czele ksiąg, które stary ma czytać, kładnie Rej mędrców i filozofów, potem opisy spraw rycerskich

ludzi poważnych, dalej jeszcze zabawne fabuły i krotchwilne facecye, naostatek Pismo Święte.

Radzi nawet temu, coby sam czytać nie umiał, jak to się w one czasy wielu trafiało, aby sobie na głos czytać kazał, i muzyką się też rozweselił, „na lutence lub na jakim symphonaliku kazawszy sobie nadobnie zagrać, a pocieszyć zafrasowaną myśl i serce swoje.” Ostatnia wreszcie rozrywka—z przyjacielem rozmowa wesola, o wesolych czasach młodych!

Wstawił tu Rej, jako dowód niezbadanych dróg a sądów bożych, powiastkę najdłuższą w całym dziele, zkądinąd znaną, której pochodzenia dobrze wyjaśnić nie umiemy, ale ją wszyscy znamy od dzieciństwa, bo się niejeden raz powtarzała w różnych zbiorach.

Nie będzie ona nowością dla czytelników, ale musimy dla sposobu, w jaki jest przedstawiona, postąpić sobie jak pan Jowialski, i wiedząc, że ją znacie, zacytować całą, aby pokazać, jak wygląda w szacie XVI wieku. Porównacie ją sobie do przerobień późniejszych. Stara ta bajeczka bodaj czy nie jest wschodniego pochodzenia...

„Była stara przypowieść, a pewnie, iż pewna. Byli w jednej wsi dwa szlachcicy, jeden był dobry, cnotliwy a wierny i na wszem pobożny, drugi łakomec, łupieżca a na wszem złośliwy a niepobożny. Temu cnotliwemu potem urodził się syn, i już był dla onego syna odmienił onę stateczność i pobożność swoją, i począł był jakoś przyłakomszym nabywać a przyczyniać onę majętności swój, i już one jałmużny i inne miłosierne uczynki jakoś były ustawać poczęły u niego. A byli niedaleko owęj wsi dwa pustelnicy w lesie: jeden był święty a doskonały człowiek, który był ode trzydziści lat na puszczy, nigdy z niej nie uchodząc, drugi był

nowo nastaly. Ten nowo nastaly czytając Pismo Święte, napadł na ono miejsce u Pawła Ś., gdzie tak mówi:—O dziwnie są sądy twoje, mój miły Panie, a nigdy są żadnym obyczajem niepoścignione rozliczne drogi twoje!—Także czytając ono miejsce, wszystko sobie rozmyślał: co to są za dziwy w tych sądziech pańskich i w tych niepoścignionych nigdy drogach jego?

„Pan, kto się o nim pyta, iście żadnego w żadnej wątpliwości nigdy opuścić nie raczył, posłał do niego anioła swego, aby ono miejsce rozważył a wyłożył. A gdy anioł do niego przyszedł, też pod figurą pustelnika, pytał go:—Co to czytasz?—powiedział mu:

„— Iżem napadł na miejsce u Pawła Ś., gdzie powiada, iż dziwne są sądy twoje mój miły Panie, a żadnym obyczajem niepoścignione są dziwne drogi twoje. I myślę sobie: co to za sądy, a co to za drogi, iżby ich nikt żadnym obyczajem, rozumem dosiadać nie mógł?”

Anioł mn powiedział pański:

„— Pójdziejż ze mną, ukazę ja tobie dziwne sądy pańskie, a nigdy niepoścignione sprawy jego.

„A gdy szli pospółu, wiedział dobrze anioł o onym drugim starym a świętym pustelniku, i prosto szedł do niego, i ujrzał go, a ów na okrutnej, wysokiej skale siedział, zwiesiwszy sobie na dół nogi, a patrzył sobie na ono miasto, w którym się był urodził, i pomyślał sobie, aby tam był szedł a pożegnał przyjacioly swoje już w starości swój. Anioł spytał onego pustelnika: coby to był za człowiek? acz o nim dobrze wiedział. Powiedział mn pustelnik, iż to jest tak święty człowiek, iż ten żadnego grzechu za żywota swojego nie winien, a już też ode trzydzieści lat mieszka na téj puszczy.

I rzekł mu anioł:

„— Postójże tu mało, pójdę ja też sobie co z nim pomówię.

„A potem anioł cichucho przydybawszy do onego człowieka świętego, pchnął go nogą, że z onęj srogięj skały spadł na dół, tak, iż się w nim wszystkie kości popadały.

„On drugi począł uciekać; anioł na niego zawołał:

A czemu uciekasz? wszakżeś chciał widzieć sądy pańskie! Pójdziejże jedno dalej, ujrzysz tego więcej.

„Pustelnik potém ostraszony się, doczekał go i siedł z nim tam gdzie on chciał.

„Przyszli potém do onęj wsi, tam gdzie oni dwa sąsiedzi byli: jeden dobry a enotliwy, a drugi bardzo zły a wszeteczny. I przyszli pierwój do onego dobrego, który je z wielką pocziwością i z wielką wdzięcznością przyjął tu, i z żonką, i z onym synem, który już był podrósł, im służył, karmił, poił i wielką wdzięczność, tak jako pielgrzymom bożym ukazował. I miał kubeczek srebrny w skrzynce, po który bieżawszy, wina im w niego albo co miał nalewał. Potém po onęj biesiedzie anioł się wezbrał precz dalej iść, podziękowawszy gospodarzowi wstał z za stoła, a on kubeczek, gdy nikt nie widział jedno on pustelnik, w zanadrza włożył. A potém wyszedłszy przed dom, prosił onego dobrego człowieka, aby onemu synowi swemu kazał je przez wieś przeprowadzić. A była w pośrodku wsi rzeka głęboka, na której były ławki, co przez nie na drugą stronę, ku onemu złemu przechodzono. Gdy byli pośród ławek, a ono dziecko z ochotą naprzód przed nimi idzie, anioł upatrzwszy gdzie największa głębia, także ono dziecko pchnął nogą, iż spadło i utonęło; a pustelnik zaśię w nogi, tak, iż go



ledwie anioł ukrócił, powiadając, iż to sądy pańskie, iżby dalej z nim szedł, bo mu się już bardzo ony sądy nie podobały i oprzykrzyły.

„Przyszli potem do onego złego a wszetecznego łakomca. Chciał anioł rzkomo do niego w dom iść, a on wyrwawszy się począł im szpetnie lajać:— A już włóczęgowie się włóczycie! mam ja teraz co innego czynić, niż się z wami bawić. — I począł już był psów wołać, aby je był poszezwał z domu swego. Szli precz. Odszedłszy mało dalej, potknęli pastuchę, a on bydlę pędził. Pytał go anioł: — Czyjebym to było bydło? powiedział: iż tu z tego dwora bliższego. A wyjawszy on kubeczek, co był dobremu wziął, dał onemu pastuchowi, powiadając:—Daj to miły bracie pannu swemu, bochmy to przedewroty znaleźli; musiały podobno dzieci igrając tam tego odejść. — Nowy zasię dziw i nowe sądy przypadły na pustelnika onego.

„Anioł go potem już nie chciał długo na słowie dźierać. Odwiódłszy go sobie na stronę, a siadłszy pod drzewem, pyta go: jeżeliby się był przypatrzył sądom pańskim a dziwnym drogom jego? Powiedział pustelnik:

„— Ba! przypatrzyłem się, ale mi się bardzo nie podobają.”

Anioł mu potem powiedział:

„— Otoż tak wiedz, mój miły bracie, iż Pan Bóg nigdy nie bez przyczyny nie czyni, a wiele jest ich, co się bardzo dobrze ludziom podobają, a przed Majestatem jego bardzo za złe bywają osądzeni. Otoż tak wiedz, iżem ja jest anioł jego do ciebie na urząd (na unyślnie) posłany, abych ci to rozwiódł, czemuś się dziwował i w czémś wątpił.—Ten się znowu bardziej złął i począł sobą trwożyć. Anioł rzekł:—Nie

lękaj się nie, a słuchaj sądów bożych. Otoż tak wiedz, ten pustelnik, któremu ja ze skały zepchnął, był to wzięty człowiek przed oczyma pańskimi, a pilnie na niego patrzalo święte oko jego; ale widziałeś, iż siedząc na owój skale, poglądał na niasto ono, gdzie się był urodził, i miał pewnie wolą tam iść a pożegnać przed śmiercią swoją przyjaciół. Pan obawiając się, aby się był tam nie zgorszył, a iżby nie musiał być rozeiagnąć jakiego sądu swego nad nim, kazał go wziąć w niewinności ze świata tego, nasyciwszy go dosyć laty, a teraz już używa przed oblicznością pańską wielkiej rozkoszy.—Tak, że wždy on był zafrasowany pustelnik po części pocieszon.

„Powiedział mu zasię anioł:—Podobnoć też to będzie dziwno, że o owemu dobremu człowiekowi, co nas wdzięcznie przyjął i kubek wziął i syna utopił.—Powiedział pustelnik:—Ba, bardzo dziwno! i bardzo się bał.

Powiedział mu anioł:—Nie się niebożę żadnej takiej rzeczy nie dziwuj na świecie, bo to wszystko są sprawy wiedliwie sądy pańskie. Bo tak wiedz, że owo był tak święty a pobożny człowiek, póki mu się był ten syn nie urodził, a pilnie na niego patrzalo oko pańskie. A gdy mu się syn urodził, już był począł lichwić, i innemu kształty łakomemi nabywać dobrego mienia, rozmyślając się na onego syna swego. Pan mu go kazał wziąć w onęj niewinności jego, który też już i z onym pustelnikiem teraz stoi w wielkiej radości przed Majestatem pańskim. A ojciec jeśli się uzna a przyjdzie zasię znów ku onęj niewinności, pewnie go Pan Bóg pocieszy, i inszego mu syna da, i rozmnoży szeroko dobro jego. A iżem mu kubeczek on wziął, tak wiedz, iż gdy był albo na modlitwach swoich, albo na innych pobożnych sprawach, tedy

zawsze myślał, aby mu go kto nie ukradł, albo iżby mu jako nie zginął. A tak Pan kazał mu go wziąć, aby nie trwożył myśli swojej, a nie myślał o tem czego mało potrzeba, a owszem, aby strzegł powinności swojej; a wierz mi, iż już cko pańskie teraz pilniej na niego będzie pogaładało.

„Będzieć też podobno przydziwniejszemu, że ten kucbeczek owemu złemu posłał, co nas psy mało nie poszczęwał. To pewnie wiedz, iż ten Pan darmo nie ni od kogo nie chce. Ten chociaż go widział złym, wždy bez tego nie może być, aby też kiedy imienia pańskiego nie wspomniał, albo też paciorka nie zmówił, albo czego dobrego nie uczynił, a też wždy jest ocalrzechon w imię święte jego; a tak Pan tym doczesnym ludziom za ich dobre uczynki też doczesnemi rzeczami płacić raczy. A tak nie się temu nie dziwnij, iż się czasem szczęści złośliwemu, a iż frasunki przypadają na dobrego. Bo już Pan temu złemu nie winien zostać nie chce, ani sprawy żadnej mieć z nim na sądzie swoim. A owemu zasię dobremu, jeśli mu statecznie wytrwać w stałości swojej, szuka zawždy takich dróg, jakoby mu było sownie wszystko nagrodzono, a k'temu iż go ustawicznie czeka z rozmaitemi pociechami jego jako wdzięcznego gościa swego. A tak toć są dziwne sądy pańskie a dziwne drogi jego, a już się o nich więcej nie pytaj.

„Potem anioł zniknął od niego, a pustelnik się też zdumiawszy szedł do miejsca swego. I był potem święty człowiek i wielki kaznodzieja z niego.”

Portem spoczynku zowie Rej starość pogodną, której godziny szczęśliwemi maluje barwami, jeszcze raz dowodząc, że śmierci się lękać nie potrzeba, i rozkosze przedstawując a majestaty niebieskie, do których

poczeiwi dopuszczeni będą... Na tém kończą się te trzy księgi żywota, które zamyka następującemi słowy:

„Przyjmijż to odemnie, proszę cię miasto rejestru poczeiwych spraw swoich, *jako od prostaka*. A gdy się tu jako z rejestru zobaczysz w sprawach swoich, snadnie potém znajdziesz między mędrszymi, czego dalej w sobie poprawować, i jako się sprawować będziesz miał. Jedno nie leż darmo, czytaj, szukaj, biegaj, a dowiaduj się o powinności swojej. Bo i Pan Bóg na nas woła, abyśmy się dowiadowali o piśmiej, na których zależy i sława, i poczeiwość, i zbawienie nasze. A zatém cię Panu Bogu poruczam trojakiemu w staniach a jednemu w Bóztwie, który króluje bez początku i będzie bez końca na wieki wieków. Amen.”

Do tych trzech ksiąg dodał Rej czwartą, o przypadkach rozlicznych czasów dzisiejszych, której, jako żadnego już związku z obecną chwilą uciemającej, rozbić i przywozić nie będziemy.

Szło w niej nie o żywot jednego człowieka, ale o sam byt Rzeczypospolitej uiedbalością powszechną zagrożonej; a stary gaduła tak się o tém odzywa do Stanisława Szafranca z Pieskowej Skały, pana na Secyminie, przypisując mu ową księgę ostatnią:

„Dokonawszy tych książek, zdalo mi się też trocha wspomnieć o naszej porządnej niedbalości polskiej. Do której mało piórka potrzeba, by się jej jaśniej oczy każdego przypatrzyć i uszy przysłuchać mogą, kto jedno kęs jakiego rozważnego baczenia u siebie znaleźć będzie mógł. Bo acz to nie mojej głowy rozmyśl, na takie rzeczy głębokie równie jak bez wiosła na morze się puszczać; aleć już i kowale kując,

i stolarze pilując, gęsto o tém mówią, już nieźła jedno iż i kamienie wolać musi, czego się w rozmowach ludzi rycerskich pocziwych, i w innych staniach wielkich często nasłuchamy: iż wszyscy powiadają: źle, źle, źle! a tego nigdziej nie słyszy, ktoby do tego drogi podawał, jakoby temu źle zabiegać."

A! bo też to zawsze łatwiej było złe ukazać, niż na nie zaradzić; tak i dzisiaj jest, a póki jeszcze znamy, że nie jest dobrze, nie ostatecznie złego nie ma.

---

## X.

I na tém niech będzie koniec obrazowi przeszłości, z jej własnych dobytek szezatków, do któregośmy tylko kilka n wag o dniu dzisiejszym dołożyli. Zda-li się na co to wejrzenie po za siebie i porównanie wielce odmiennych czasów? nie wiem; ale kto wie! Wśród naszej drogi nierazby zdrowo było obejrzeć się w tył i przypomnieć, jako niegdyś bywało.

Z tych ksiąg starych wiece jeszcze dawna obyczajn i myśli prostota, wiara silna i woń własna nasza, od której do zbytku odwykliśmy.

Poważny zwrot do przeszłości wśród zaprzątnic terażniejszych, odczwanie się do podań i obyczajn starego, częstoby nam za wskazówkę posłużyły, jakimi drogami iść mamy.

Mogliśmy ten obraz uczynić daleko pełniejszym, dodając z innych źródeł co brakło Rejowi; ale chcieliśmy zarazem, by dziełem odwzorowała się tu jedna z najcharakterystyczniejszych postaci swojego czasu.

Zdaje mi się, żeśmy ją tu lepiej poznali, niżeli dotąd z maluczkich i szybkich na nią poglądów;

bośmy dłuższą przebyli chwilę na tój ze stareem rozmowie, i wywnętrzyl się przed nami do dna serca swojego.

Zaiste, ciekawa księga i człowiek, choć w obojgu dzisiejszy tryb myślenia nie zasmakuje może. Jest tu wiele powtarzaniiny i gadulstwa, ale wiek równie temu winien jak pisarz. Widzimy i dziś u ludu, że mu raz myśl swą wypowiedzieć nie dosyć; lubi ją powtarzać kilkakroć, wysila się, by był zrozumiany, nie dowierza mocy słowa swego. Tak i dawni pisarze, szczególnież Rej, który ma prostaczkowate, jak sam powiada, narowy, i nie jest uczonym, ale dzieckiem szlacheckiego dworku. Całą dziś treść moralną tych ksiąg wyraziłbyśmy potrafili w niewielu słowach; ale na ów wiek treściwe takie wypowiedzenie byłoby niedostateczne. Czytano powoli, mało, a pisarz musiał ciągle cały stawać przed oczyma czytelnika, by się dać lepić poznać i pojąć.

Krom powtórzeń i długości, nie formie tego dzieła, swobodnej a barwy pełnej zarzucić nie można, patrząc na czas, w którym i dla którego napisane było. Zachowała nam ona styl rozmowy, muóztwo powiastek i rysów naszej społeczności, to właśnie, co najmniej w innych książkach zostało.

Sama treść, którąśmy tu jak najdokładniej podać starali się, przynajmniej co do części najwięcej nas obchodzącej, wskazuje niezmierną różnicę społeczności ówczesnej od naszej, na którą zresztą nastawać nie trzeba, tak jest widoczna.

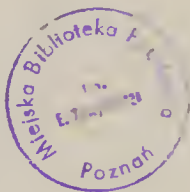
Jesteśmy w postępie, czy upadku? nie wiem; ale to pewna, żeśmy się wielce odrodzili od tój szlachty, której tu żywot stary nam Rej malował tak dobitnie. Inny cel, zadanie i drogi. Byłże to wiek i człowiek



barbarzyński, dla tego, że mniej od nas ćwiczony i nie w tak szachowaną a pstrą ubrany szatę? Postąpiliżesmy duchem, postępując w cywilizacyi materyalnój i w tém, cobyśmy rad nazwać gimnastyką myśli?

Są to pytania, które się nastęrczają dziś już, ale których rozwiązanie zda mi się zostawione przyszłości. Niech czytelnik poduma, rozpatrzy się, i sam sobie wniosek, którego zapisać na tych kartach nie śmiemy, wyciągnie.

K O N I E C.

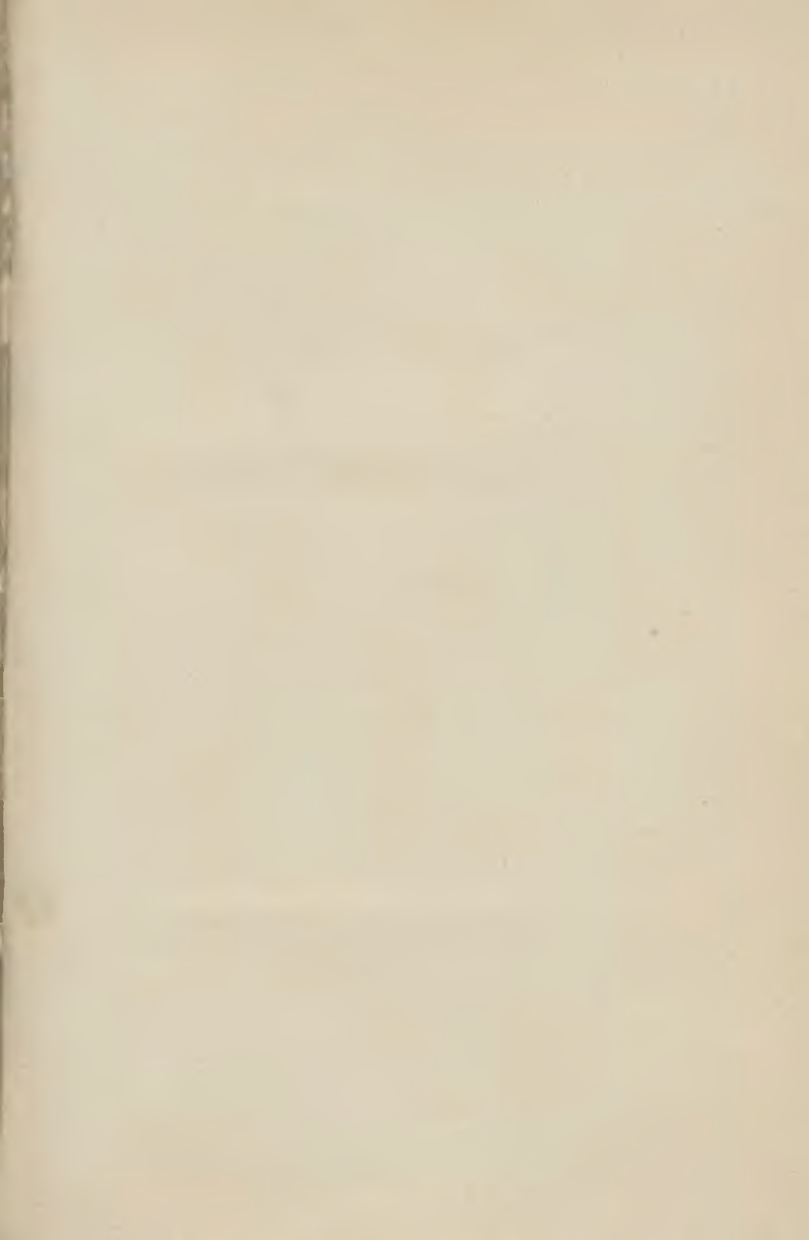


## SPIS RZECZY.

---

	Str.
Król i Boudarywna . . . . .	1
Dziś i lat temu trzysta . . . . .	219

---





1220 11/27/24 - 1/2 - 1/2

4-2

Biblioteka Raczyńskich

**JK 1461**



**JK1461**